KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/75 - 2/76 1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

NAGRODA LITERACKA „KULTURY"

ANTYAMERYKAŃSKI PISARZ – PROFESOR SHARP

PAWEŁ HOSTOWIEC:
OBRAZY Z CZASÓW KRYZYSU ROLNEGO

SPIS RZECZY:

Paweł Hostowiec : *Obrazy z czasów kryzysu rolnego* 5
Michał Sokolnicki : *Niemcy po Wielkiej Przegranej* (2) .. 17
Witold Gombrowicz : *Fragmenty z dziennika* 31
Stanisław Kościałkowski : *Francuz odkrywa Stanisława Augusta* 39
Tymon Terlecki : *„Hamlet" polski i angielski* 61
Danuta Bieńkowska : *Cztery mile za piec* 80
Florian Śmieja : *Czarne strofy* 82
Zygmunt Ławrynowicz : *Dziwne miasto* 83
Józef Mackiewicz : *Fotograf* 84

STRATY KULTURY POLSKIEJ

K. A. Jeleński : *Bluzka z błękitnych pereł* 99
K. I. Gałczyński : *Do mowy polskiej* 103
K. I. Gałczyński : *Nocny testament* 104

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski : *List z Wyspy* 106
K. A Jeleński : *Makiawel i Jałta* 111
Łukasz Winiarski : *List z Jugosławii* (2) 114

SPRAWY I TROSKI

Wojciech Zaleski : *Uwagi i wnioski w sprawie Kolegium Wolnej Europy* 125
S. N. : *Ludzie z Kraju o F. E.* 135

KRAJ

Roman Krzyczkowski : *Metro w Warszawie* 140

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wacław Szyszkowski : *Palestra warszawska* 151

Kronika KULTURALNA

Jan Ulatowski : *Nonsens treści i formy* 161
Krytyk : *Rzymianie nie zdobywali Everestu* .. 164
Londyńczyk : *Kronika angielska* 170
J. J. : *Wystawa rękopisów i druków* 174
Jan Torosiewicz : *Wystawy paryskie* 175

KSIĄŻKI

K. A. Jeleński : *Poeta i historia* 179
Janusz Jasieńczyk : *Bieg do Fragala* 185
Czesław Miłosz : *Młodzi poeci* 191
Jul. Mier. : *Chleb i kamień* 194
(j) : *Notatki wydawnicze* 196
(j) : *Przegląd miesięczników* 200
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 201

JAK PISZEMY

Stanisław Westfal : *Pielę „Ziele"* 204
Tadeusz Gierymski : *Że Polacy nie gęsi* 216

◆

— *Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1953* 218

◆

Arcybp. Józef F. Gawlina, W. Gniatczyński, St. Zarzewski, J. S. Dutkowski, Z. Kiersnowski, W. K., J. Jenne, A. Polakiewicz: *Listy do Redakcji* 230

◆

— *Noty biograficzne autorów* 237
— *Résumé en langue française* 239

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Janvier - Février 1954

INSTYTUT LITERACKI

Do prenumeratorów i czytelników "Kultury"

Odmiennie niż w latach ubiegłych rozpoczynamy rok 1954 *numerem podwójnym (styczeń-luty). Zdecydowaliśmy się na to celem wyrównania odstępów czasu pomiędzy numerami pojedyńczymi i podwójnymi naszego pisma. Dotychczas numery podwójne ukazywały się w miesiącach luty-marzec oraz lipiec-sierpień każdego roku, obecnie zaś wydawać je będziemy w styczniu-lutym oraz lipcu-sierpniu.*

Następny pojedyńczy numer „Kultury" ukaże się 1 *marca rb.*

Adres londyńskiego biura „KULTURY" jest następujący :
Juliusz Mieroszewski,
11, Gainsborough Road,
London, W.4., Tel. : CHIswick 3231

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIIIe)

nrf

Le roman de Czeslaw MILOSZ

LA PRISE DU POUVOIR

traduit du polonais par J. Hersch

PRIX LITTÉRAIRE EUROPÉEN 1953

est à présent en vente dans toutes les librairies

Un volume 500 fr.

Vient également de paraître :

Un essai de Czeslaw MILOSZ

LA PENSÉE CAPTIVE

traduit du polonais par André Prudhommeaux et l'auteur

Un volume 650 fr.

GALLIMARD

KSIĄŻKI POLSKIE

Powieści, pamiętniki, książki dla młodzieży, książki techniczne i zawodowe, książki dla dzieci, podręczniki do nauki języków obcych

oraz

POLSKIE PŁYTY GRAMOFONOWE

oberki, polki, walczyki, krakowiaki, tanga oraz piosenki patriotyczne i wojskowe

poleca

" LIBELLA "

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Ile - Paris-4e

Telephon DANton 51-09

Metro : Sully-Morland albo Pont-Marie. Autobusy : Nr. 86 oraz 67.

Żądajcie BEZPŁATNYCH katalogów.

Nagroda literacka "Kultury" na rok 1954

KULTURA ustanawia nagrodę w wysokości 100.000 franków (to jest £ 100 lub dolarów am. 300) za **pracę literacką** (powieść, essay, opowiadania) **dotychczas nieopublikowaną.**

Nagrodzona praca będzie jednocześnie wydana w ramach „Biblioteki KULTURY", przy czym autor jej — niezależnie od nagrody — otrzyma honorarium w myśl ogólnie przyjętych zwyczajów.

Maszynopisy, nieprzekraczające 300 stron znormalizowanego formatu, należy nadsyłać do Redakcji KULTURY (1, Avenue Corneille, Maisons Laffitte (S.-et-O.), France) **do dnia 31 października 1954 roku.**

Maszynopisy winny być zaopatrzone godłem, przy czym należy do nich dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą nazwisko i adres autora.

W skład jury wchodzą : Jerzy Giedroyc, Paweł Hostowiec i Konstanty A. Jeleński.

Obrazy z czasów kryzysu rolnego

1. BUNT ROLNIKÓW ARGENTYŃSKICH

Wyniesiony przez jedną z tamtejszych bezkrwawych rewolucji na stanowisko prezydenta Argentyny, generał Juan Domingo Peron nie ma dobrej prasy na Zachodzie. Demagog, piszą o nim dziennikarze, dyktator : zamknął niezależną prasę, skonfiskował drukarnie, trzyma w więzieniu przywódców opozycji. Szaleniec : upaństwowił najbardziej prosperujące przedsiębiorstwa i nie wie co z nimi począć; wzorem sowieckim chce w dwa plany pięcioletnie pokryć fabrykami kraj rolników i pastuchów. Od kilku lat stało się w prasie zwyczajem opatrywać rzadkie wiadomości z Argentyny ironicznymi notatkami redakcyjnymi.

Niechęć Europejczyków do argentyńskiego generała ma zapewne różne słuszne przyczyny. Większość argentyńskich nowinek, ,,solidarność narodowa'', ,,blok peronistów'', ,,reforma kulturalna'', ,,plany pięcioletnie'' itd., płynące w szumie sztandarów i potokach patriotycznej wymowy, przypominają im mało zachęcające wzory europejskie. Są to jednak zjawiska w znacznej mierze powierzchowne, piana płynąca w naszym wieku rynsztokami rewolucji. Przewrót odbywający się w Argentynie nie jest na pewno zjawiskiem prostym, i Polacy czy Rumuni, pochodzący sami z krajów rolniczych, mogą dostrzec w nim wiele rysów sobie znanych lecz mniej widzialnych dla ludzi wychowanych na asfalcie krajów przemysłowych.

Argentyna należy do krajów, które wyciągnęły największe korzyści z drugiej wojny światowej. Rolnicza część Europy znalazła się wówczas od razu w rękach niemieckich i wojujące kraje przemysłowe Zachodu musiały aprowidować się w Ameryce, nie oglądając się na cenę towarów. Anglia została w krótkim czasie wystrzyżona nie tylko ze swego zapasu dewiz i złota, ale także z kapitałów inwestowanych za ocean. Wzamian za zboże i mięso, Argentyna mogła na najkorzystniejszych warunkach na-

być koleje i inne przedsiębiorstwa użyteczności publicznej należące do towarzystw angielskich.

Przeglądając kiedyś przed wielu laty teksty koncesji kolejowych w Argentynie, piszący te słowa zainteresował się obszernymi terenami rolniczymi należącymi do towarzystw kolejowych. Tereny te ,leżące wzdłuż dróg żelaznych, stały przeważnie odłogiem. Koleje biegły częściowo przez stepy i w braku pasażerów pociągi na niektórych liniach kursowały raz na tydzień. Dlaczego koncesjonariusze nie zrobili nic dla kolonizacji tych terenów, niezbędnych na pozór dla amortyzacji tego rodzaju przedsiębiorstw? Ziemia w Argentynie wzrastała w cenie, umowy gwarantowały koncesjonariuszom stałe oprocentowanie inwestowanego kapitału, reszta zaś interesowała ich mało.

Podobnie wyglądały inne przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. Gazownie sprowadzały węgiel zza oceanu, nie interesując się bogatymi źródłami gazów ziemnych. Na drogim gazie i handlu węglem można oczywiście więcej zarobić niż na tanim gazie ziemnym.

Zyski z inwestowanych w ten sposób kapitałów Argentyna opłacała wywozem artykułów rolniczych i hodowlanych, których ceny leżały na samym dnie wolnego rynku. Ale i tych cen rolnicy argentyńscy nie dostawali do ręki. Zboże skupowały wielkie firmy eksportowe posiadające śpichrze i składy portowe. Na amortyzację tych ostatnich i na zyski właścicieli odpadała część niskich cen, jakie uzyskać było można zagranicą. Jeżeli w tych warunkach znajdowano wciąż ludzi chętnych do pracy na roli i nawet przyjeżdżających w tym celu z Europy Wschodniej, wytłumaczyć to można tylko tym, że ludność krajów rolniczych nie miała innego wyboru jak tylko między pracą za 50 groszy na dzień i śmiercią głodową. Imigrantów z Europy przyciągała ekstensywna i rabunkowa uprawa roli w Ameryce, pozwalająca brać się do rolnictwa bez żadnego kapitału.

Do wybuchu drugiej wojny światowej wszystkie kraje rolnicze znajdowały się w podobnej sytuacji. Wszystkie posiadały ubogą ludność wiejską, wybierającą między głodem i marnym zarobkiem; wszystkie kupowały wyroby przemysłowe po wysokich cenach, płacąc za nie wywozem artykułów rolniczych po cenach wolnorynkowych, opartych na najbardziej rabunkowych systemach uprawy.

Warunki te stworzyły stan wielkiej nierówności między krajami starego przemysłu i krajami rolniczymi. W pierwszych robotnik przemysłowy otrzymywał złotówkę za godzinę pracy, w drugich robotnik rolny pracował cały dzień za jedną złotówkę lub nawet za 50 groszy. Kraje przemysłowe, mając możność aprowidowania się tanio w krajach rolniczych, zaniedbywały coraz bardziej własne rolnictwo. Przybysza z Europy Wschodniej uderza na Zachodzie widok obszarów leżących odłogiem. W okolicach Krakowa lub Bielska można było widzieć góry wyorane do wysokości 900 i tysiąca metrów, z których deszcze spłukały warstwę urodzajną, a które uprawiano wciąż w braku innego

wyboru. Już w Rzeszy ziemie takie były zalesione. W krajach leżących dalej na zachód uprawiano tylko najlepsze grunta. Zresztą, wobec wyboru między miastem i wsią, w krajach przemysłowych znajdowano coraz mniej osób chętnych do pracy na roli.

Zastanawiając się nad źródłami zamożności uprzemysłowionych krajów Europy Zachodniej, nie możemy pominąć faktu, że kraje te przez blisko sto lat aprowidowały się na pół darmo. Tak łatwo zostać bogatym. Gdyby przynajmniej taniość artykułów spożywczych na rynkach międzynarodowych pozwalała robotnikom krajów przemysłowych odżywiać się lepiej i taniej, prowadząc do zniżki cen wyrobów przemysłowych i częściowego chociażby złagodzenia nierówności między ludnością krajów przemysłowych i rolniczych ! Rzeczy wzięły jednak inny obrót. Dla utrzymania resztek własnego rolnictwa, kraje przemysłowe otoczyły się murami celnymi, utrzymując na rynku wewnętrznym poziom cen rolniczych kilkakrotnie wyższy od poziomu rynku światowego. Żywność importowaną sprzedawano w nich po cenach rynku wewnętrznego. Dwoistość cen była źródłem zamożności nie tylko kupiectwa, lecz przede wszystkim organizatorów nierówności i łatwego zarobku, prezesów i dyrektorów, wszystkich ,,mec'ów'', których *la folle de Chaillot* w komedii Giraudoux zamyka w lochu, a których liczba i znaczenie w stolicach Zachodu zadziwia obcego przybysza.

W krajach rolniczych, których położenie zdawało się pogarszać z roku na rok, jako jedyne wyjście z matni widziano naśladowanie krajów zamożnych i rozbudowę własnego przemysłu, chociażby za cenę długiego okresu jeszcze większego ubóstwa i ograniczeń. Osiągnięcia tego celu nie umiano sobie w danych warunkach wyobrazić inaczej niż za pomocą całkowitej reglamentacji życia gospodarczego, wymagającej z kolei wzmocnienia centralnego aparatu państwowego i — co za tym idzie — ograniczenia wolności i zwiększenia przymusu właściwego dyktaturom i demokracjom totalitarnym. Tego rodzaju zabiegi nie znajdowały z natury rzeczy sympatii w krajach przemysłowych.

Opisane wyżej wysiłki były przeważnie bezowocne i opinia Zachodu aż do czasów Perona nie miała przyczyny zajmowania się nimi ponad miarę. Walcząc z trudnościami finansowymi i żyjąc z dnia na dzień, kraje rolnicze nie były w stanie wytworzyć żadnego wspólnego systemu obrony swych interesów. Kraje amerykańskie, ze swym systemem gospodarki rabunkowej i nieograniczonym niemal zapasem ziemi, stanowiły zabójczą konkurencję dla rolnictwa europejskiego. W początku wielkiego kryzysu ekonomista amerykański Stuart Chase pisał, że otamowanie erozji wodnej i powietrznej, wywołanej w Stanach Zjednoczonych przez rabunkowe rolnictwo, wymagać będzie wydatków ocenianych na 35 miliardów dolarów. Tyle straciła na swym systemie Ameryka, rujnując jednocześnie rolnictwo europejskie. W Europie najlepszym wyjściem z tej sytuacji wydawało się ograniczenie do minimum własnej produkcji rolnej i pokrywanie

niedoboru na wolnym rynku. Nie wszystkie jednak kraje mogły sobie na to pozwolić.

Druga wojna światowa zmieniła niemal zupełnie tę sytuację. Cała dawna strefa rolnicza Europy znalazła się w rękach sowieckich. Na próżno łudzono się na Zachodzie, że rządy komunistyczne Polski, Węgier i Rumunii będą nadal wywoziły swe ziemiopłody, licząc się z ich ceną jeszcze mniej niż to robiły rządy burżuazyjne. Wywóz z tych krajów ustał zupełnie. Stany Zjednoczone porzuciły za czasów Roosevelta swój system rabunkowy i nie mogą więcej wywozić zboża po 10 złotych za kwintal metryczny. Z ubogich krajów rolniczych pozostała jeszcze Argentyna, ale rewolucja wyniosła tam na wierzch Perona, który zarobiwszy podczas wojny trochę pieniędzy przystąpił do forsownego uprzemysłowiania kraju. Ludność wiejska zaczęła odpływać ku miastom; jednocześnie przyszły lata posuchy i produkcja rolna Argentyny skurczyła się do poziomu konsumpcji wewnętrznej.

Rodzaj paniki ogarnął wówczas kraje przywykłe do na pół darmowej aprowizacji. Organizacja Narodów Zjednoczonych dla spraw rolniczych i aprowizacyjnych podniosła alarm, bo ludność globu wzrastała szybciej niż produkcja środków żywnościowych. Teoria Malthusa, tyle razy obalana przez profesorów, okazała się słuszna, pisały gazety. Głód powszechny wydawał się nieunikniony, i wielu zaczęło odżywiać się forsownie na zapas, dla stworzenia rezerwy osobistej.

W tym stadium rozwoju wypadków generał Peron zaczął na wszystkie sposoby zachęcać rolników i hodowców argentyńskich do zwiększenia produkcji w celu wykorzystania pomyślnej koniunktury i wysokich cen. W początku roku bieżącego rolnictwo argentyńskie wróciło do dawnego poziomu produkcji. Peron nie miał jednak wcale zamiaru sprzedawania zboża i mięsa po dawnych cenach.

W czasach przedwojennych łamano opór krajów rolniczych przy pomocy prostych zabiegów. Kraje eksportujące zboże, aby korzystać z wzajemności traktatowej, nie miały zazwyczaj ceł ochronnych na ten artykuł. Każdy mógł do nich przywieźć zboże w dowolnej ilości. Kraj przemysłowy, mając niewielkie zbiory własne i rozwinięty system kolejowy, mógł szybko zmobilizować zebrane zboże i rzucić je, po cenach nie znoszących konkurencji, na rynek upatrzonego na ofiarę kraju rolniczego, w chwili gdy ten ostatni zdołał właśnie po żniwach jako tako ulokować omłóconą część swych zbiorów. Pojawienie się obcego zboża na jego rynku wywołało zwykle rozwiązanie kontraktów, nieprzejrzany chaos i spadek cen poniżej wszelkiego rozsądnego poziomu. Wówczas dopiero kraj przeprowadzający tę operację kupował tam większą partię zboża po cenie najniższej.

Z Peronem tak żartować nie można. Rząd argentyński posiada monopol zbożowy i jest jedynym nabywcą cerealiów, będąc jednocześnie właścicielem wszystkich śpichrzów i składów portowych. Kto chce aprowidować się w Argentynie, musi trak-

tować z Peronem, ten zaś — nie obawiając się więcej polsko-węgiersko-rumuńskiej konkurencji — żąda cen określanych przez nabywców jako ,,bezwstydne''. Nie poprzestając na tym, generał Peron wymaga od swych kontrahentów dostarczenia mu wzamian —i to po *precios equitativos* — maszyn i urządzeń przemysłowych.

Bunt rolników ogarniający dziś całą Amerykę łacińską jest jednym z nieuniknionych skutków utraty dawnej pozycji przez Europę Zachodnią. Dawny ,,system europejski'', przegrany w płaszczyźnie politycznej do Niemiec przy zielonym stole Locarna i Monachium i przegrany w konsekwencji do Stalina w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, nie da się więcej utrzymać w płaszczyźnie ekonomicznej w stosunku do Argentyny, ani w stosunku do dawnych obszarów kolonialnych.

2. TRĄBA ANIOŁA

Wielki kryzys gospodarczy 1930-1936 zaostrzył i ukazał w jaskrawym świetle dysproporcje i konflikty wewnętrzne Europy Zachodniej i krajów atlantyckich. Euforia zwycięstwa i okresu inflacji rozwiała się w kilka tygodni, ukazując głębokie rysy w samych fundamentach cywilizacji zachodniej. Zastanawiając się nad przyczynami zmierzchu i degradacji Europy Zachodniej po drugiej wojnie światowej, musimy wciąż wracać myślą do mglistych dni późnej jesieni 1929, kiedy ukazały się pierwsze zarysy tego procesu.

W latach kryzysu ukazała się również po raz pierwszy słabość Zachodu w stosunku do Rosji sowieckiej. W oczach obiektywnego czytelnika traktaty polityczno-teologiczne Lenina i Stalina nie mają same przez się nic subwersywnego. Swą siłę rewolucyjną zdają się czerpać z konfliktów wewnętrznych Zachodu, swą siłę perswazji z bełkonu ideologicznego przeciwników i swą nadzieję z rozczarowania i melancholii, jakie w latach kryzysu ogarnęły pozostałą część świata.

Trąba anioła zwiastująca wielkie przemiany zabrzmiała po raz pierwszy na Wall Street w listopadzie 1929. Dzień ten zastał mnie w Paryżu. Zajęty innymi sprawami i nie przeczuwając nic złego szedłem koło południa przez Montparnasse, kiedy uwagę moją zwróciła na siebie grupa ludzi tłocząca się, żywo gestykulując, w narożnej kawiarni. Była to jedna z kawiarni posiadających tzw. ticker, notujący kursy giełdowe. Coś niezwykłego musiało zajść na giełdzie. Nie wiele myśląc zszedłem do metro Vavin i w kwadrans później wylądowałem na place de la Bourse. Niespokojny tłum otaczał wzniesioną przez Napoleona majestatyczną świątynię pieniądza.

Każdego dnia gazety przynosiły odtąd fantastyczne wiadomości. W miarę zbliżania się do Wall Street, pisali korespondenci z New Yorku, coraz częściej spotyka się ludzi o zaczerwienionych oczach i twarzach nie golonych od kilku dni. Są to bro-

kerzy, którym klienci w ciągu kilku dni przynieśli na sprzedaż papiery kupowane przez siedem lat nieustającej zwyżki. Kursy wszystkich papierów spadają z godziny na godzinę. Panika osiągnęła najwyższy punkt, kiedy rozeszła się wiadomość, że tickery notują kursy sprzed kilku dni. Niemniej fantastycznie brzmiały przemówienia prezydenta Hoovera, usiłującego przekonać obywateli, że źródła zamożności Ameryki są nadal nietknięte i że wszystko zależy od oceny sytuacji. Myślcie, że jesteście nadal bogaci, a prosperity zaraz powróci. Tymczasem w Stanach było już dziesięć milionów bezrobotnych i — gdy prezydent mówił — tworzyły się nieodwracalne fakty, niezależne już od niczyjej opinii.

W kilka miesięcy później zaczęły nadchodzić wiadomości o kryzysie w amerykańskim rolnictwie. Wskutek zmniejszenia się konsumpcji wewnętrznej, ceny zboża spadły do nie notowanego dotąd poziomu. Już przedtem poziom ich wystarczał tylko na pokrycie niskich kosztów gospodarki ekstensywnej, i rolnicy z trudem płacili raty bankowe. Nowy poziom nie zostawiał marży na żadne spłaty. Zagrożeni egzekucjami rolnicy porzucali farmy, siadali na samochody i jechali w inne strony. Pisma donosiły, że w latach kryzysu 200.000 farmerów porzuciło swe gospodarstwa. Na ich miejsce przychodzili bezrobotni z miast, którzy nie mając tytułów posiadania ani odpowiedzialności finansowych sadzili na opuszczonych gospodarstwach warzywa na własny użytek.

Exodus farmerów nie był wzorem do naśladowania dla rolników europejskich. Łatwo jest uciekać na własnym samochodzie, mając przed sobą najbogatszy kraj świata o niezmierzonych przestrzeniach i możliwościach. Opowiadano wprawdzie, że pod Łowiczem jakiś ziemianin porzucił dom pisząc kredą na drzwiach : ,,Gospodaruj Panie Boże, bo Kowalski już nie może'', ale to była bajka, ukrywająca w sobie — jak wiele bajek — pobożne życzenia. Rzeczywistość była mniej różowa. Zagrożeni sekwestrami i eksmisją rolnicy polscy nie mieli dokąd uciekać.

3. ROLNICTWO FRANCUSKIE W LATACH KRYZYSU

Latem 1931 kryzys ogarnął całą Europę. Paryż przybrał na stałe wygląd z okresu ,,martwego sezonu''. Międzynarodowa elita artystyczna licząca między innymi 60.000 malarzy i tyluż krytyków i degustatorów sztuki rozjechała się na cztery wiatry. Sto tysięcy obywateli amerykańskich — wśród nich wielu znakomitych pisarzy — wróciło za ocean. Antoni Potocki i Wincenty Korab-Brzozowski, mieszkający w Paryżu od 1897, ukazali się nagle w Ipsie i Zodiaku. Wielkie hotele na Champs-Elysées i dokoła Etoile, aby nie stać pustką, wynajmowały pokoje po cenach Quartier Latin.

Tylko rolnictwo francuskie zdawało się opierać zwycięsko kryzysowi. Ośrodki okręgów rolniczych jak Tuluza, Agen lub Bordeaux pulsowały życiem. Podróżny musiał długo szukać po hotelach wolnego pokoju. W hotelu Royal-Gascogne zapytałem portiera o przyczynę tej różnicy między Paryżem i Bordeaux, na co otrzymałem odpowiedź w stylu gaskońskim :

C'est que tous les parisiens sont foutus et nous tenons le coup. Spędziłem wówczas w tych okolicach parę tygodni na wsi, chcąc się zapoznać z miejscowym rolnictwem. Inspektor ministerstwa rolnictwa poznał mnie z kilku merami gmin wiejskich i prezesami syndykatów rolniczych. Jeden z nich, zapytany o kryzys, powiedział :

— Wiele mówi się o kryzysie, ale żadnego kryzysu dotąd u nas nie było. W zeszłym roku, w niczym sobie nie odmawiając, odłożyłem 15 tysięcy franków. W poprzednich latach odkładało się wprawdzie po sto tysięcy, ale co z tego? W naszej gminie najuboższy gospodarz ma półtora miliona oszczędności. Inni mają przeciętnie cztery do pięciu. Niech pan sam zobaczy. Tu wyjął z szafy portfel w kształcie harmonii, wypchany papierami wartościowymi. — Mój dziad rzucił to przekleństwo na naszą rodzinę. I co nam z tego przyszło? Pozostaliśmy ciężko pracującymi chłopami. W niedzielę zamiast odpoczywać czytamy „La cote Défossé" i liczymy ile straciliśmy na papierach. Ja sam jestem już za stary, aby się z tego wyrwać, ale mam nadzieję, że moje dzieci przehulają kiedyś wesoło tych kilka milionów.

Inny doświadczony rolnik pokazał mi archaiczny pług lub raczej sochę stojącą pod okapem domu.

— Takich rzeczy pan na pewno u siebie nie widział. Niech pan stąd jednak nie wnosi, że nie znamy lekkich traktorów i najbardziej nowożytnych narzędzi. Jeżeli orzemy nadal wołami zaprzężonymi na rzymski sposób do pługa, robimy to w trybie dobrowolnego ograniczenia produkcji, dla uniknięcia nadwyżek i dla ujścia losu polskich rolników.

W Europie Zachodniej jedna Francja posiada obszary rolne pozwalające na wyżywienie ludności i wygospodarowanie poważnych nadwyżek. Połowa tych obszarów leży od dawna odłogiem. W istniejącym systemie gospodarki światowej nikt nie mógł namawiać rolników francuskich do zwiększenia produkcji. Już sam nadmiar win i buraków cukrowych stworzył niepokonane na pozór trudności. Rolnicy byli przekonani, że przy wysokim poziomie cen wewnętrznych, utrzymywanych przez cła ochronne, najrozumniejszym wyjściem jest utrzymywanie stałego niedoboru, łatwego do pokrycia przez import z krajów zmuszonych do wyprzedawania swych produktów rolnych za bezcen.

System ten wytrzymał zwycięską próbę wielkiego kryzysu. Kraje, które go wprowadziły zawczasu, okazały się bardziej odporne, i nikt nie słuchał więcej argumentów zaczerpniętych z liberalnych tradycji XIX wieku.

Pojawili się wówczas teoretycy dowodzący, że rolnictwo nie było nigdy produkcją opłacalną i od czasów starożytnych było subwencjonowane z innych źródeł dochodu narodowego. W czasach nowszych subwencji tych istotnie nie oszczędzano, ani w formie ceł ochronnych, ani w formie dewaluacji pieniądza, oczyszczającej periodycznie rolnictwo z długów i zobowiązań. Wspomniany już wyżej Stuart Chase sądzi, że dostarczanie rolnikom coraz nowych gruntów do dewastacji było formą subwencji praktykowaną przez Stany Zjednoczone.

Argumenty te wydają się słuszne, ale wyciągnąć z nich praktyczne wnioski mogły tylko kraje rozporządzające dla subwencjonowania rolnictwa innymi źródłami dochodu. Oto dwie cyfry pozwalające ocenić różnicę między sytuacją rolników subwencjonowanych i innych:

W zwiedzonych przeze mnie w 1931-1935 okolicach Francji rolnictwo, w stosunku do ceny ziemi, dawało zyski obliczane na 10-12 %. Gospodarstwa nie przynoszące takich zysków były opuszczane. W tym samym czasie w Polsce zyski z rolnictwa nie przekraczały 3 procent.

4. GLASBERG

Moja znajomość z Glasbergiem była najbardziej przypadkowego rodzaju. Chcąc mianowicie odwiedzić jednego z najbliższych przyjaciół mieszkającego pod Włodzimierzem, przyjechałem razu pewnego do tego miasta, które Polacy znali przeważnie ze sławy tamtejszej podchorążówki, a które dla historyka posiada niezwykle ciekawe zabytki z XI i XII wieku. Na dworcu wsiadłem do tzw. *gite fajeton*, który miał mnie zawieźć na miejsce. Bruk w Włodzimierzu kończył się na skraju miasta, w miejscu dość błotnistym, tworząc wysoki próg, z którego konie a potem *gite fajeton* zsuwały się ostrożnie w głęboką kałużę. Po deszczach furman zatrzymywał się zwykle w tym miejscu, zawijał poły kapoty, wyciągał z pobliskiego płota długą żerdź i przed zjazdem do kałuży mierzył jej głębokość. Dalej jechało się tzw. traktem. Kresy polskie posiadały dwa rodzaje tych dróg. Jeden, pamiętający czasy dawnej Rzplitej był wysadzany starymi drzewami. Najpiękniejszy z tych traktów, na kresach południowych, był dziełem Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Drugi rodzaj miał na sobie stempel czasów mikołajowskich. Inżynierowie gubernialni wytyczali mianowicie i okopywali biegnący w prostej linii przez góry i doliny pas ziemi szerokości 20 sążni — około 50 metrów — którego sposób użytkowania zostawiali domyślności podróżnych. Środkiem tego pasa wiły się koleiny drogi polnej omijającej pagórki i inne nierówności gruntu pozostawione na środku traktu.

Gite fajeton jechał właśnie takim traktem szczególnie obfitującym w pagórki i „kosohory", kiedy spostrzegłem leżącego na trawie starszego człowieka o siwej brodzie, w nowym po-

pielatym surducie. Mój furman, który spostrzegł go również, strzelił z bata chcąc najwidoczniej przyśpieszyć jazdę. Kiedy kazałem mu stanąć, zapytał :

— Czy pan chce koniecznie świadczyć w sądzie ?

A widząc mnie zmierzającego do domniemanego trupa dodał :

— Pan ma znaczne buty. Niechże pan przynajmniej nie zostawia śladów.

Nieznajomy nie był jednak trupem. Zdawał się spać. Oddech miał równy, puls słaby lecz regularny. Po chwili otworzył oczy.

— Jest mi słabo — powiedział.

Podniosłem go i zaprowadziłem do fajetonu. W drodze dowiedziałem się, że w dzień wielkiego postu starozakonnych wyszedł w drogę na czczo i zemdlał przed dwoma lub trzema godzinami.

Widząc mnie wysiadającego z fajetonu w towarzystwie nieznajomego, mój przyjaciel patrzył przez chwilę w milczeniu po czym *a parte* powiedział :

— Glasberg musiał się w czepku urodzić, aby trafić właśnie na jedynego człowieka, który go nie znał, bo nikt inny nie chciałby mu pomóc. Ja sam nie miałem z nim żadnych interesów, ale wiem, że uchodzi za najzłośliwszego lichwiarza w całym powiecie.

Glasberg nie chciał nic jeść. Wypił szklankę mocno osłodzonej herbaty po czym siadł do fajetonu i wrócił do Włodzimierza. Taki był początek naszej znajomości. Odtąd, ilekroć go spotykałem w Włodzimierzu, ucinaliśmy małą rozmówkę.

Latem 1930, w samym początku kryzysu, który w tzw. Polsce B przybrał od razu ostre formy, zapytałem Glasberga, jak idą interesy.

— Interesów — powiedział — nigdy nie brakuje. Są tylko zupełnie inne niż przedtem. Probuję robić co się da. Jeżeli np. mam u jakiegoś dłużnika 20.000 złotych, liczę dziś, że po najdłuższych procesach i egzekucjach nie dostanę z powrotem więcej niż 10.000. Proponuję mu więc, że za 500 złotych gotówką zwrócę mu połowę weksli. W ten sposób zarabiam 500 złotych na czysto, a po takiej tranzakcji mój dłużnik płaci mi zwykle bardzo akuratnie procenty od pozostałej połowy długu.

— Nadzieja — ciągnął dalej — jest rzeczą bardzo ważną w sprawach finansowych. Dłużnik musi wierzyć, że potrafi spłacić swe zobowiązania. Może się w tym mylić, ale powinien tak myśleć. Kiedy przestanie wierzyć w możliwość spłaty, zginie marnie,a i ja stracę pieniądze. Jeżeli więc widzę, że nadzieja w nim słabnie, moją rzeczą jest doń przyjść i płomyk nadziei w nim na nowo zapalić.

Następnie dowiedziałem się, że podczas wojny tureckiej 1877 ojciec Glasberga nauczył go ,,poznawać'' weksle. W ciągu swej pięćdziesięcioletniej działalności Glasberg nigdy nie oddawał weksli licząc, że prędzej lub później dług da się wyegzekwować. Te-

raz dopiero po raz pierwszy przestał liczyć na trwałość istniejącego systemu zobowiązań.

Słuchałem go uważnie widząc że mam przed sobą człowieka doświadczonego, posiadającego zdumiewającą jasność sądu i konsekwencję w działaniu, których brakło większości ówczesnych ministrów i finansistów.

Istotnie, nie było wówczas widać żadnego powodu, dla którego tylko posiadacze pretensji gotówkowych mieliby zachować sto procent stanu posiadania, gdy miliony bezrobotnych utraciły wszelkie zarobki i nawet właściciele nieruchomości i towarów patrzyli na codzienne kurczenie się wartości szacunkowej ich majątku. Zresztą, poza wszelkimi rozważaniami natury socjalnej lub moralnej, należało wyciągnąć wnioski z iluzorycznego w tych warunkach charakteru pretensji gotówkowych.

W rok po Glasbergu Wielka Brytania wyciągnęła te wnioski dewaluując funta o 40 % to jest obniżając mechanicznie w tej proporcji wszelkie pretensje. Niemcy, które po inflacji 1918-1924 bały się wchodzić znów na tę drogę, znalazły się w największych trudnościach, kiedy w drugim roku kryzysu zbankrutowały towarzystwa ubezpieczeniowe i 13 lipca 1931 największe banki znalazły się w obliczu niewypłacalności.

Przed krajami w tym położeniu stała otworem droga inna, mianowicie znana już z greckich wzorów *seisachtheia,* oddłużenie czyli skreślenie całkowite lub częściowe, mocą ustawy, różnych kategorii zobowiązań. Metodę Solona stosował w prywatnym zakresie Glasberg. Ministrowie i finansiści wahali się jednak długo z wejściem na tę drogę i późne ustawy ich były przeważnie musztardą po obiedzie. Chłopi np. stanowili wówczas w Polsce jedną z najmniej wypłacalnych grup ludności. Puławski Instytut drobnych gospodarstw obliczał, że wskutek kryzysu utracili 66 % dochodów gotówkowych. Ustawa o oddłużeniu rolnictwa kazała jednak na siebie długo czekać i ukazała się wreszcie w 1934 w tekście liczącym przeszło sto artykułów zredagowanych tak zawile, że prawnicy zażądali miesiąca czasu dla zapoznania się z ich właściwym sensem. Dopiero w obliczu tego powszechnego zamętu można ocenić samotną decyzję Glasberga.

Kiedy w 1931 opowiedziałem o rozmowie z Glasbergiem jednemu z paryskich znajomych, zawołał :

— *Ex Oriente lux! Ex Oriente lux!* Jest to pierwsza dobra wiadomość jaką słyszałem od początku kryzysu. Mam nadzieję, że Polacy, mając takiego finansistę, zrobili go od razu ministrem skarbu.

Glasberga nie zrobiono ministrem. Dobrze, jeżeli nie zesłano go do Berezy, gdzie bawili inni wołyńscy finansiści. Wkrótce po opisanej rozmowie przestałem bywać w Włodzimierzu i nie spotykałem więcej Glasberga. Obawiam się, że zginął w komorze gazowej lub w Rosji. Jakikolwiek był jego los, pragnąłbym tu złożyć świadectwo jego zapoznanemu geniuszowi.

5. LICYTACJA W MAJĄTKU POD WARSZAWĄ

Ubóstwo broniło w znacznej mierze drobnych rolników od sekwestru i wystawienia ich majątków na sprzedaż. Komornicy nie znajdowali u nich nic wartego zajęcia, ewentualni zaś nabywcy gruntu byliby po roku — i dla tych samych przyczyn — równie niewypłacalni jak ich poprzednicy.

Inne było położenie większych majątków, które można było rozparcelować. Kryzys położył w Polsce koniec pozostałym jeszcze ordynacjom i latyfundiom. Sławna ordynacja zamojska, rozciągająca się przed kryzysem na dwa powiaty, stopniała i resztki jej oczekiwały pod sekwestrem swego losu. Wilanów Branickich przeszedł faktycznie w posiadanie Banku Rolnego, który — nie znajdując bardziej wypłacalnych nabywców — ofiarował część parceli wilanowskich na spłaty własnym urzędnikom.

Mniejsi ziemianie bronili się jak umieli, prawem i lewem. Jeden z nch, przewielebnie zgnębiony, odwiedził mnie razu pewnego donosząc, że wszystkie wybiegi prawne zostały wyczerpane i że w następnym tygodniu w jego majątku pod Tarczynem odbędzie się licytacja zajętego inwentarza. Jak jej zapobiec? Młody ziemianin słyszał, że na Puławskiej ulicy mieszkał specjalista udaremniający wszystkie licytacje w powiecie warszawskim. Poszedł więc doń i w jednej z parterowych ruder tej dzielnicy znalazł siedzącego za stołem, w kaszkiecie i długich butach, osobnika o energicznym wyglądzie, który — wysłuchawszy relacji mego znajomego, rzekł lakonicznie:

— To się, panie, załatwi. Trzysta złotych gotówką z góry. Ponieważ w sąsiedztwie jest browar, będzie pan łaskaw przygotować dla moich ludzi 30 butelek piwa, tyleż kawałków kiełbasy i po funcie chleba na głowę.

Mój znajomy zapłacił 300 złotych, ale zaraz po wyjściu zaczął tego żałować. Oddał ostatnią gotówkę zupełnie nieznajomemu człowiekowi o podejrzanym wyglądzie i zapewne jeszcze gorszej reputacji, w zamian za niepewną obietnicę. W smutnej zadumie stał przez chwilę na ulicy, gdy spostrzegł osobnika w kaszkiecie gwiżdżącego donośnie w palce. Wałęsający się na ulicy inny osobnik w kaszkiecie podbiegł żwawo:

— Co szef każe?

— Jest robota. Trzydziestu ma być we wtorek rano na grójeckiej kolejce.

— Zrobione.

Podsłuchana rozmowa pokrzepiła trochę na duchu ziemianina, nie rozwiewając jednak wszystkich wątpliwości. W parę tygodni później spotkałem go znów i dowiedziałem się o przebiegu licytacji.

Już przed wyznaczoną godziną, kolejką i końmi, zaczęli się zjeżdżać kupcy, sąsiedzi i ciekawi. Ukazał się też „szef" z Puławskiej. Za nim gęsiego szło trzydziestu mężczyzn o wyglądzie

rzemieślników i robotników, najwidoczniej bezrobotnych z Warszawy. ,,Szef'' podszedł do gospodarza :

— Licytantów to ja już znam. Niech mi pan teraz pokaże głównych wierzycieli. O nich się osobno pomyśli.

Wreszcie przybył komornik w asyście policji. Na obszernym podwórzu ustawiono stół, przy którym zasiadł komornik, odczytując głośno akt zajęcia i listę przeznaczonych na licytację zwierząt, które stojący kołem przybyli mogli teraz obejrzeć.

W toku oględzin zdarzył się pierwszy incydent. Jeden z ludzi ,,szefa'' z Puławskiej ,stojąc obok poważnego kupca, w pewnej chwili nastąpił mu podkutym butem rezolutnie na nogę. Kupiec ryknął i instynktownym ruchem odepchnął grubianina. Tamten zaś z najżywszym oburzeniem :

— Co się pan pchasz ? Co się pan pchasz ? No, patrzajcie go ! Ja tu taki sam dobry jak i pan. Co ? Może pan powiesz, że masz pan do mnie pretensję ? — I tu uderzył go laską po głowie.

Nastąpił nieopisany zamęt. Wszyscy rzucili się w stronę skąd dochodziły gniewne głosy. W ciżbie przewrócono stół komornika, którego papiery spadły w błoto. Licytacja została przerwana. Policjanci przystąpili do spisywania protokółu. Zanim dopełniono tych obrządków, minęło ze trzy kwadranse. Kiedy spokój został przywrócony i komornik zabrał ponownie głos, ,,szef'' zauważył, że nie zdążono wcale obejrzeć zajętego inwentarza. Wszystko więc zaczęto od nowa.

Spokój został niebawem zakłócony przez inne incydenty.

— Trzymaj złodzieja ! Ukradli mi portfel ! — odezwał się dramatyczny głos. I znów tłok i zamęt na całym podwórzu.

Nikt jednak nie opuszczał placu. Zasekwestrowany inwentarz był interesującym obiektem i kupcy nie dawali za wygraną. Tymczasem mnożyły się trudności. W miarę upływu czasu coraz więcej obecnych odczuwało potrzebę zniknięcia na chwilę za stodołą. Ale ,,szef'' ustawił tam jeden ze swych posterunków. Dzikie wrzaski dały się słyszeć zza stodoły, skąd zaczęli wybiegać ludzie utarzani w błocie, ocierając płynącą z nosów krew.

Na tych igraszkach zeszło kilka godzin. Policjanci ochrypli od przywoływania do porządku niesfornych. Wszyscy odczuwali znużenie w kolanach i głód. ,,Szef'' uznał, że sytuacja dojrzała do rozstrzygającego posunięcia. Wszystko uciszyło się nagle i przystąpiono do licytacji pierwszego cielęcia. Dały się słyszeć różne cyfry.

— Po raz pierwszy... — zaczął komornik. Tu odezwało się jeszcze parę głosów.

— Dodaj pan jeszcze tę złotówkę — rzekł ,,szef''.

Doświadczony licytant, ,,szef'' ustąpił wreszcie cielę, ale zdążył wyśrubować jego cenę o parę złotych powyżej bieżącej ceny rynkowej. Po tej tranzakcji przyjezdni kupcy zaczęli opuszczać podwórze, co oznajmiało koniec przetargu, bo miejscowi nie brali w nim zasadniczo udziału.

Paweł HOSTOWIEC

Niemcy po Wielkiej Przegranej

2

NAPAŚĆ NA POLSKĘ

W ślad za pierwszą wojną światową i w związku z wyrokiem wydanym na Niemcy w Art. 231 traktatu wersalskiego powstała tzw. *Kriegsschuldfrage* — kwestia, kto był winien wojnie? Dziś jeszcze, po upływie lat czterdziestu, kwestii tej nie można uważać za całkowicie rozstrzygniętą.

Żadne podobne zagadnienie nie pojawiło się po wojnie drugiej, zaś zadanie historyków w dziele ustalenia odpowiedzialności ułatwione zostało przez samego Hitlera, który uplanował, uzasadnił i wywołał wojnę. Rozprawę wojenną z Polską zapowiedział on w instrukcji z dnia 3 kwietnia i na odprawie 23 maja; plan wojny zakomunikował dowódcom 22 sierpnia, wyznaczając równocześnie jej termin; cel uściślił w układzie, zawartym 23 sierpnia przez Ribbentropa z Rosją sowiecką, przewidującym rozbiór Polski. Co do ,,niesprowokowanej napaści'' nie istniała więc i istnieć nie może żadna wątpliwość: przekonanie o tej niezaprzeczalnej prawdzie stało się podstawą prawną i moralną decyzyj wojennych, powziętych 2 września przez Wielką Brytanię i Francję i tak się rozpoczęła sześcioletnia Druga Wojna Światowa (1).

---

(1) Ostatnio wydany podręcznik, szeregujący fakty i dokumenty kryzysów 1938-1939, Erwin Wickert, *Dramatische Sage in Hitlers Reich*, Stuttgart 1952, gdzie źródła podane są w 714 przypiskach i w obszernej bibliografii; por. wydane poprzednio Heinz Holldack, *Was wirklich geschah*, Muenchen 1949.

,,*Weisung fuer die einheitliche Kriegsvorbereitung der Wehrmacht fuer 1939-1940*'', Berlin 3. 4. 1939, w dokumentach procesu Weizsaecker'a i in., tom XII, zawiera ,,*Fuehrer's Direction*'', przewidującą termin 1 września, oraz pierwsze oficjalne sformułowanie ,,*Fall Weiss*'', przewidujące wojnę z Polską.

Odprawa wojskowa Hitlera z 23 maja 1939 roku według notatek ppłk. Schmundt'a, ogłoszona w Dok. Norymberskiego Procesu, obecnie także w *Documents on International Affairs 1939-1946*, I. (London) 1951, str. 271 sqq.: ,,decyzja... zaatakować Polskę przy pierwszej nadarzonej sposobności... to będzie wojna... naszym celem — izolować Polskę... Zasada podstawowa : konflikt rozpoczęty od ataku na Polskę będzie sukcesem, jeśli mocarstwa

Jeżeli sam fakt agresji Hitlera nie podlega dyskusji, to sposób i szczegóły jej przeprowadzenia w praktyce, taktyka przez niego zastosowana, zdolne są tylko fakt ten potwierdzić i odpowiedzialność historyczną powiększyć. Rokowania niemiecko-sowieckie o podział Europy wschodniej i o ujarzmienie jej narodów są karykaturalną kopią układów rozbiorowych 18-go wieku i stanowią przykładowy wzór ludobójstwa. Negocjacje z Anglią i oferty czynione pod jej adresem między 20 a 30 sierpnia noszą wszelkie cechy planowanego oszustwa i miały wyłącznie na celu izolowanie Polski jako ofiary postanowionej uprzednio agresji. Napad wyznaczony pierwotnie na 26 sierpnia, następnie i ostatecznie na 1 września, kalkulowany był w głównej mierze względami strategii — najskuteczniejszym sposobem zaskoczenia i pobicia przeciwnika. Od lipca począwszy przygotowywana była i orkiestrowana dokładnie kampania przeciwko uciskowi mniejszości niemieckiej w Polsce, mająca dostarczyć powodu do wojny. Między 17 a 22 sierpnia ukartowane zostały preteksty wojenne : napad kryminalistów niemieckich w fałszywych mundurach polskich na stację w Gliwicach i projektowane wywołanie konfliktu zbrojnego w Gdańsku. Na koniec, manewry taktyczne ostatnich trzech dni przed dokonaniem napaści nie były ani przez jedną chwilę traktowane poważnie : żądanie przybycia pełnomocnika polskiego do Berlina miało prowadzić do powtórzenia szantaży dokonanych z Schussningiem w lutym 1938 i z Hachą w marcu 1939 i do dyplomatycznego upokorzenia Polski zanim jeszcze zostanie ona rozgromiona na polach bitew; zaś ,,wspaniałomyślna oferta'' z wieczora 29 sierpnia, polegająca na propozycji plebiscytu na Pomorzu, miała —

---

zachodnie pozostaną na uboczu... Jeśli to się okaże niemożliwe, lepiej będzie zaatakować (najprzód) Zachód, a przy sposobności równocześnie skończyć z Polską...''

Odprawa wojskowa Hitlera z 22 sierpnia 1939, jednoczesna z podróżą Ribbentropa do Moskwy, wg notatek Schmundt'a, źródła j. w., por. notatkę bibl. u Bullocka, *l. c.* str. 482. Hitler wspomniał o pierwotnej swojej intencji zaatakowania najpierw Zachodu : odtąd ,,stało się dla mnie jasne, że Polska zaatakowałaby nas w wypadku konfliktu z Zachodem... Zniszczenie Polski stoi na pierwszym planie... Znajdę dobry argument propagandowy dla rozpoczęcia wojny, (wszystko jedno czy) prawdopodobny czy nie. Zwycięzca nie będzie później pytany czy powiedział prawdę, czy też nie. Gdy się rozpoczyna wojnę, ważna jest nie słuszność, lecz wygrana...''

Ostatnio, wiarogodność tzw. protokółów Schmundta została zakwestionowana, por. recenzję książki Wickerta w *Das Historisch-Politische Buch* 2, Goettingen 1953. Jednakże, jeśli nawet notatki spisane są później, jeżeli w szczegółach mogą być niedokładne, to jednak styl, sposób rozumowania i celowość w myśleniu Hitlera oddane są z uderzającą wyrazistością i zgodne z późniejszą realizacją; są one także podobne do innych, analogicznych wypowiedzi i są pośrednio potwierdzone w innych, współczesnych i zasługujących na zaufanie źródłach : por. relację Gizeviusa w dzienniku von Hassela, *Vom Anderen Deutschland*, Zuerich (1946) str. 74 sq. W zasadzie i w głównej treści wiarogodność ,,protokółów'' nie może być kwestionowana.

— wedle własnych oświadczeń Hitlera — stworzyć dla niego samego ,,alibi'' — świadectwo jego ,,umiarkowania'' — mogące jeszcze w tej decydującej chwili powstrzymać interwencję brytyjską. Jeżeli zestawić cały przebieg zdarzeń, agresja Hitlera ukazuje się jawna, premedytowana, od początku do końca prowadząca konsekwentnie do wojny (2).

---

(2) Rokowania niemiecko-sowieckie w Moskwie 23/24. 8. : przebieg znany z memorandum niemieckiego, ogłoszonego w *Nazi-Soviet Relations*, Dept. of State 1948, str. 72 sqq.; zestawienie dotychczasowej dokumentacji u Wickerta, str. 269-77; por. wspomnienie uczestnika, Peter Kleist, *Zwischen Hitler und Stalin*, Bonn 1950, spisane po dziesięciu latach z pamięci i dość bałamutne.

Odpowiedzialność Stalina — zachęcenie Hitlera do napaści na Polskę — wynika z wymiany telegramów 20-21. 8., tekst w *N.-S. Relations*, str. 66 sq. 69. Według Fritza Hesse, *Das Spiel um Deutschland*, Muenchen 1953, str. 193, meldunek o oświadczeniu Potiemkina, 10. 8.: że ,,Rosja gotowa jest do porozumienia z Niemcami na wszystkich polach'', ,,obudził w Hitlerze przeświadczenie, iż przy pomocy Rosji łatwo mu będzie rozwiązać kwestię polską'', skutkiem czego nie przywiązywał nadal żadnej wagi do prowadzonych za kulisami kontaktów z Chamberlainem.

Negocjacje z W. Brytanią nawiązano z inicjatywy Hitlera w rozmowie z amb. Hendersonem 25. 8. o 13,30; w półtorej godziny potem Hitler wydał, nie czekając na odpowiedź angielską, swój pierwszy rozkaz do wojny z Polską; gdy jednak, po dalszych dwóch godzinach otrzymał wiadomość o podpisaniu w Londynie sojuszu brytyjsko-polskiego, rozkaz cofnął, z motywacją : ,,potrzebuję czasu dla negocjacyj''; por. Wickert *l. c.* 289 sq. Powyższe zestawienie faktów pozwala stwierdzić, że jedynym motywem negocjacyj z Wielką Brytanią była chęć zapobieżenia jej wejściu do wojny, a zatem izolowania Polski.

Gwoli ścisłości dodać należy, że inicjatywę Hitlera wyprzedziły prowadzone od końca lipca dwuznaczne kroki sir Horace Wilsona, doradcy premiera Chamberlaina : najpierw w rozmowach z delegatem finansowym Rzeszy Wohltatem, następnie z reprezentantem *Deutsch. Nachrichtenbuero* Fritz Hessem; jego relacja w książce *Das Spiel um Deutschland*, Muenchen 1953, str. 177-95; relacje Wohltata w wydawnictwie sowieckim *Documents and Materials relating to the eve of the Second World War*, II; por. Wickert *l. c.* 245 sq. Cały ten dość zagadkowy epizod znany jest dotychczas wyłącznie ze źródeł niemieckich.

Pierwszy termin ataku na Polskę wyznaczony 25. 8. o godz. 13,02 na ranek 26. 8., zastąpiony prowizorycznie datą 31. 8., po czym 31. 8. o godz. 12,40, definitywnie ustalony na 1. 9. godz. 5,45. Por. Wickert *l. c.* 290, 335.

Sprawę mniejszości niemieckiej w Polsce, użytą jako pretekst, oświetla v. Hassel, *l. c.* str. 74 : ,,*die entsprechende Provocation der Polen, vor allem in Oberschlesien, wuerde jetzt losgehen*'' (15. 8.). W tymże sensie ostrzegał autora niniejszej pracy amb. von Papen w Ankarze już 14. 8. Por. Bullock *l. c.* 466, 475 : Er. Kordt, *Wahn und Wirklichkeit*, str. 187; *Dokumente zur Vorgeschichte des Krieges*. Ausw. Amt., Berlin 1939, str. 81-111, 237-268.

Preteksty wojenne, ukartowane na osobisty rozkaz Hitlera : incydent w Gliwicach, wyświetlony zeznaniami gen. Keitela w Norymberdze (Dok. norymb. S. 7082), Naujocksa i gen. *Abwehr*'y Lahausena, por. E. Kordt, *Wahn...* str. 210, Bullock *l. c.* 501 sq., Wickert *l. c.* str. 258 sq., 342-45; tamże, str. 259, o rozkazach Sekr. Stanu Kopplera i Veesenmayera, dotyczących przygotowania prowokacji w Gdańsku.

Może się wydawać rzeczą zbyteczną odnawiać te zakończone procesy i dowodzić sprawy niezaprzeczalnie słusznej. Jednakże problemat polsko-niemiecki i związana z nim kwestia napaści Hitlera na Polskę nie są w literaturze politycznej Niemiec formułowane jasno, a źródłem tych niejasności był od początku stosunek opinii narodu do całego zagadnienia. Wprawdzie, jak to stwierdzają współcześni, entuzjazmu wojna 1 września przeciw Polsce nie wywołała; ale rewindykacja „Korytarza" była przyjęta jako naturalna i właściwa. Mówią o tym nie tylko urzędnicy, jak Abetz, Weizsaecker i nawet bardziej obiektywny Erich Kordt; podnoszą to nie tylko pamiętnikarze, jak Peter Kleist, Frantz von Papen, czy Fritz Hesse; ale tą samą wytyczną kierują się kompilatorzy historycznego materiału, jak o tym jaskrawo świadczy podręcznik do „Dni dramatycznych hitlerowskiej Rzeszy", ogłoszony ostatnio przez Erwina Wikkerta.

Z takiej, przyjętej z góry tendencji wynika chęć przedstawienia wypadków lata 1939 w ten sposób, że przyczyniło się do nich równolegle postępowanie stron obu, Niemców i Polaków. W notatkach współczesnych, w reminiscencjach pamiętnikarskich, lecz także w zestawieniach powojennych powtarza się uporczywie opowieść o polskiej „pobudliwej opinii publicznej", o „temperamencie sfer kierowniczych", o „nieodpowiedzialnych elementach", o przyrodzonym „braku rozsądnego umiarkowania". Na tym tle istniała rzekomo w Niemczech ciągła obawa przed „działaniami prowokacyjnymi", przed wywołaniem incydentów ze strony polskich „radykałów", co byłoby tylko „na rękę Hitlerowi". Stąd też nieustająca krytyka postępowania Anglii, dającej na ślepo owej nieodpowiedzialnej Polsce zapewnienie bezwarunkowej pomocy, zobowiązującej się do „automatycznie wchodzącej w życie" interwencji.

W takich ramach występuje plastycznie krok przedsięwzięty w Londynie, w przedostatniej fazie zdarzeń, przez Ericha Kordta, w porozumieniu z sekretarzem stanu Weizsaeckerem. Krok ten, „ostrzeżenie Vansittarta — trudne postanowienie", jak go dziś Kordt nazywa, nastąpił jak się zdaje w ostatnich dniach czerwca 1939. Kordt uprzedził głównego politycznego doradcę *Foreign Office* o zainicjowanym a napoczętym już zbliżeniu niemiecko-sowieckim, a jednocześnie wyraził obawę przed „polską prowokacją", która użyta zostanie jako „pretekst" przez Hitlera. Cel takiego przestrzeżenia był oczywisty : miało ono zatrwożyć Anglię przed skutkami gwarancji udzielonych Polsce i spowodować wahanie przed ich ostatecznym potwierdzeniem. Była to więc podwójna gra, tak charakterystyczna dla Weizsaeckera, usiłująca łączyć negatywne cele opozycji przeciw Hitlerowi z pozytywnymi zadaniami dyplomacji hitlerowskiej, zamierzającej przede wszystkim izolować Polskę. Toteż istnieje zasadnicza różnica pomiędzy ostrzeżeniem Anglii we wrześniu 1938, połączonym z projektowanym zamachem stanu w Niem-

czech, a tą dwuznaczną próbą 2 czerwca 1939, wycelowaną równolegle z polityką Hitlera — przeciw Polsce (3).

Historię ostatnich dni przed wojną cały szereg pisarzy niemieckich stara się do dziś przedstawić jako wynik jednoczesnej perfidnej agresji Hitlera i bezrozumnego oporu Polaków. Weizsaecker mówi o ,,polskich wykroczeniach i bezprawiach". Kleist mówi jako o fakcie dokonanym o ,,polskiej mobilizacji" 25 marca, nie podając wcale, że ograniczone ówczesne zarządzenia Warszawy były słabą tylko reakcją na zarządzenia Berlina, znane już dzisiaj nie tylko z wojennych kronik, ale z ujawnionych tajnych rozkazów i planów sztabu : żadnej ,,mobilizacji" polskiej w oznaczonej dacie nie było. Wickert podobnie jak Kleist mówi o nieposkromionej polskiej ,,propagandzie", o prowokacyjnych demonstracjach, o nierozważnych wypowiedziach poszczególnych polskich dyplomatów. Najbardziej jednak koncentruje się ta literatura niemiecka na dwóch przedwojennych epizodach : gwałtom przeciwko mniejszości niemieckiej w Polsce i pospiesznej odmowie Polski wysłania w dniu 30 sierpnia pełnomocnika do Berlina.

Już Peter Kleist, w swoim bałamutnym dziełku, poświęconym głównie stosunkom Niemiec z Sowietami, mówi o ,,ograniczeniach" stosowanych w Polsce względem Niemców od kwietnia, o najściu na związki i stowarzyszenia kulturalne, o zamknięciu 300 szkół. Weizsaecker w swoich wspomnieniach opowiada o ,,pędzeniu" Niemców, po 20 sierpnia ,,w głąb Polski". Tenże Kleist w przypisku do cytowanych przezeń twierdzeń Ribbentropa o polskim ,,mordzie masowym w Bydgoszczy" opowiada o wygnanej z tego miasta w pierwszych dniach wojny ludności niemieckiej i podaje, na podstawie obliczeń dokonanych przez zorganizowaną przez *Volksdeutsch'ów* ,,centralę grobów", liczbę zamordowanych z tej okazji Niemców na 15 tysięcy. Dopiero jednak przedwojenny londyński szef *,,Deutsches Nachrichten Bureau,* Fritz Hesse, w swoich świeżo ogłoszonych wspomnieniach usiłuje przedstawić całość tej tajemniczej sprawy. Twierdzi on mianowicie, że wprawdzie pierwszy rozkaz wojenny z 25 sierpnia został popołudniu tego dnia przez Hitlera wycofany; jednakże nie zdążono już cofnąć znaku umownego, mającego spowodować jednoczesny wybuch powstania mniejszo-

(3) Tendencja złożenia odpowiedzialności na łatwopolną opinię polską, na polskich ,,radykałów" na brak umiarkowania i temperament kół kierowniczych, zainicjowana we wspomnieniach Weizsaeckera, podtrzymywana przez E. Kordta i P. Kleista, znalazła swój pełny wyraz w systematycznie uszczypliwych i napastliwych uwagach Wickerta w książce rzekomo wyłącznie sprawozdawczej. Argumenty dobierane są pod stałym kątem widzenia krytycznych w stosunku do Polski kierunków opinii i historiografii angielskiej.

Misja londyńska E. Kordta, potwierdzona przez Weizsaeckera, *Erinnerungen*, Muenchen (1950), str. 235, opisana została przez E. Kordta, *Nicht aus den Akten*, str. 313-19 : tamże odsyłacze do wynikłej na procesie Weizsaeckera polemiki. Sprawa ta, znana dotychczas głównie ze źródeł niemieckich, wymaga jeszcze oświetlenia ze strony dyplomacji brytyjskiej.

ści niemieckiej : było to nagranie, przez rozgłośnię berlińską, pewnej określonej melodii o północy z 25 na 26-ty. Skutkiem tego niedopatrzenia wynikły w dniu następnym przygotowane zawczasu w Polsce napady zbrojne na określone obiekty strategiczne. Ze swej strony polski sztab generalny zarządził w tymże czasie przymusową ewakuację Niemców z zagrożonych prowincyj zachodnich. Ze spotkania tych dwóch równoległych akcyj wynikł szereg zajść i starć, w których paść miało trupem 4.850 Niemców, ,,mężczyzn, kobiet i dzieci''. Do cyfry tej propaganda niemiecka dodała potem jedno zero, zaś Alfred Berdt, łącznik biura z Hitlerem, usłyszawszy skądś wziętą cyfrę 30, dodał ze swej strony jeszcze jedno zero i zameldował zamordowanie przez Polaków 300 tysięcy.

Taką, dość mało wiarogodną historię uzupełnia Hesse jeszcze mniej prawdopodobną wersją, rzekomo przez tegoż Berndta opowiedzianą, według której ów jego fantastyczny meldunek nastąpił akurat w południe 31 sierpnia, po czym Hitler ,,zamarł przez chwilę, zaryczał'' i wydał swój drugi, ostateczny, rozkaz wojenny. Owóż, jedno z dwojga : albo starcia z ,,uzbrojoną'' niemiecką ludnością nastąpiły przed wybuchem wojny, a wówczas propaganda niemiecka nie omieszkałaby ich rozgłosić jako istotnego powodu wejścia wojsk do Polski; albo też miały one miejsce już po wybuchu wojny, a w takim razie nie mogły być powodem rozkazu Hitlera z 31 sierpnia. Ogłaszanie dzisiaj tak bezsensownych opowieści może mieć tylko na widoku wprowadzenie w błąd naiwnych lub nieświadomych. Gdy jednak pogłoski o masowym mordowaniu Niemców przez Polaków powtarzają się znowu w informacyjnej literaturze niemieckiej, dobrze by było znaleźć sposób obiektywnego, a może nawet obustronnego ustalenia faktów. Żyją przecież po stronie polskiej ważni i bezpośredni świadkowie, zajmujący w sierpniu 1939 odpowiedzialne stanowiska w rządzie, administracji, sztabie, i mogliby przyczynić się do niewątpliwego stwierdzenia prawdy (4).

---

(4) O ewakuacji ludności niemieckiej por. raport von Kuechlera, gen. konsula z Torunia, 28. 8., *Dokumente...*, j. w. str. 268 sq., o znaczeniu tylko lokalnym. Propagandowej literatury oficjalnej wojennej o ,,polskich okrucieństwach'' obecne piśmiennictwo polityczne niemieckie nie cytuje.

O przedwojennych zarządzeniach polskich, P. Kleist, *l. c.* str. 25 : ,,*am 25 Maerz begann die polnische Mobilmachung*''; tamże, str. 105, przypisek o ,,*Bromberger Blutnacht*'', nie zawierający nawet wzmianki o rzezi dokonanej w Bydgoszczy przez Niemców; oczywiście, cytowane przez autora wypowiedzi Ribbentropa miały na celu zatuszowanie zbrodni niemieckich w Polsce. Opowiadanie Fritza Hesse, *l. c.* 207 sq., oparte jest w całości na źródłach pośrednich i plotkach zasłyszanych — sam Hesse przebywał w tym czasie, prócz dni 26-27. 8. , w Londynie; stąd ograniczona wartość całej tej mało prawdopodobnej opowieści; podobnie na pośredniej tylko wiadomości opiera się relacja E. Kordta, *Nicht aus d. Akten*, 330 sq., opisująca scenę w *Reichskanzlei*, odnosząca się wyraźnie do 29 lub 30 sierpnia, i na którą się Hesse powołuje.

Obok tej sprawy mniemanych gwałtów polskich, drugim tematem nieustających prób zrzucenia współodpowiedzialności na Polskę jest zagadnienie ,,pełnomocnika" polskiego i przygotowanych na jego przyjazd ,,wspaniałomyślnych" propozycyj. Chodzi tu o czas między 7 wieczorem 29 sierpnia, gdy Hitler przysłania pełnomocnika zażądał, a 6,30 wieczorem 31 sierpnia, gdy ambasador polski został odprawiony z niczym. Jasne jest, iż rzecz cała była li-tylko źle odegraną komedią. Co najwyżej, miała się powtórzyć, jak Beck słusznie osądził, smutna historia prezydenta Hachy : gwałt moralny, upokorzenie i wymuszenie kapitulacji. Jasne też, że chodziło o ostatni wysiłek wbicia klina pomiędzy Polskę a Wielką Brytanię, co trafnie ocenił lord Halifax, ograniczając swe pośrednictwo do zakomunikowania tej propozycji Beckowi... w dwadzieścia cztery godziny po jej otrzymaniu. Pomimo to Wickert, w swoim zestawieniu wypadków, mówi o presji jaką mieli wywierać na Polskę w tej chwili, podobnie do Francuzów, również i Anglicy : ale stwierdza ,,Polakom nie było spieszno".

Do czego mieli się spieszyć? W tym tkwi sedno sprawy, a sprawa ta była i jest nader prosta. ,,Pełnomocnik" polski stanąłby w obliczu ,,wspaniałomyślnej oferty" Hitlera. Treść jej została odczytana wieczorem 30 sierpnia Hendersonowi przez Ribbentropa, zakomunikowana nazajutrz Dahlerusowi przez Goeringa, zaś tekst jej ogłoszony został tegoż wieczora z rozgłośni berlińskiej. Ultymatywna w formie, zaborcza w treści, zawierała ona w swym punkcie głównym żądanie plebiscytu na całym Pomorzu na modłę odbytego w swoim czasie retroaktywnego plebiscytu w zagłębiu Saary. Nim jeszcze wojna wybuchła i zanim została przegrana, Polska miała być traktowana jak w 1793 roku Sejm grodzieński. W świetle tajnego protokółu, podpisanego na tydzień przedtem w Moskwie, miał to być początek umówionego ze Stalinem rozbioru Polski.

Tę sprawę, tak prostą, próbują dzisiaj pisarze niemieccy zaciemnić i skomplikować. Według ich interpretacji istniał u Hitlera wybór dwóch sposobów rozwiązania kwestii polskiej : jedno — to była *die grosse polnische Lösung*, którą przedstawił Dahlerusowi Goering jeszcze 29 sierpnia, równające się przywróceniu co najmniej granicy 1914 roku; drugie — *die kleine polnische Lösung* — polegać miało na okrojeniu tylko części zachodniej Polski, przede wszystkim na zagarnięciu Pomorza. Autorzy ci — Hesse, Wickert, a także powołujący się na Weizsaeckera Kordt — podają, że Hitler w ostatniej chwili, zastraszony stanowczością Anglii, gotów był wybrać drugie, skromniejsze wyjście i rezultatem tego zwrotu był ,,kompromisowy" tekst żądań, przygotowany 29-go dla polskiego ,,pełnomocnika". Owóż, dla Hitlera, cała ta inscenizacja służyć miała jedynie reżyserowanej z góry komedii, dostarczyć mu, wedle jego słów własnych, ,,alibi" wobec świata i własnej niemieckiej opinii. Inaczej dla dzisiaj piszących pamiętnikarzy i komentatorów : dopatrują się oni w propozycjach Hitlera ostatniej okazji zachowania pokoju; co

więcej, uważają je jeszcze teraz za rozsądne, w gruncie rzeczy umiarkowane, dające podstawę do porozumienia między stronami : ,,ich przeprowadzenie, pisze Wickert, zmniejszyłoby trudności, wynikłe z nierozważnego wytyczenia granicy wschodniej w Wersalu. Lecz cóż ? — na przeszkodzie stanęła niecierpliwość, ,,nieustępliwość", ,,oporność" Polski ,która wprost ,,szła na rękę" Hitlerowi, nie przysyłając ,,pełnomocnika", zaniedbując okazję, jaką jej dawały niewygórowane, ,,uderzająco skromne", postawione jej warunki (5).

(5) Sprawa ,,pełnomocnika" i ,,oferty" : przy osądzaniu całego okresu polityki niemieckiej między 24 sierpnia a wybuchem wojny w tydzień potem, należy mieć stale na uwadze fakt, iż Hitler był już wówczas związany tajną umową ze Stalinem, przewidującą rozbiór Polski i niedozwalającą na żadne jednostronne korzyści terytorialne niemieckie bez równoczesnych zysków dla Związku sowieckiego. Przy uwzględnieniu tego podstawowego elementu sytuacji cała akcja Hitlera z tych dni w stosunku do Polski nie jest niczym innym, jak tylko lepiej czy gorzej odegraną komedią — zasłoną dymną, jedyny cel jego ówczesnej polityki : uniknięcie interwencji angielskiej lub co najmniej jej opóźnienie.

Sprawa polskiego ,,pełnomocnika" wymaga specjalnego opracowania. Por. *Documents concerning German-Polish relations*... London 1939, str. 138sq., 142. Nota Hitlera z odnośnem żądaniem wręczona została amb. Hendersonowi 29. 8. o godz. 19,15; Lord Halifax telegrafuje w odpowiedzi, 30. 8. o godz. 2.: ,,*it is, of course, unreasonable to expect that we can produce a Polish representative in Berlin to-day*..." Amb. Kennard w depeszy z Warszawy z tegoż rana, przed otrzymaniem instrukcji, donosi : ,,*it would be impossible to induce the Polish Govt. to send M. Beck or any other representative immediately to Berlin to discuss a settlement on basis proposed by Herr Hitler*", tzn. : wedle raportu Hendersona, ,,*return of Danzig and the corridor to Germany*". Toteż dopiero o 18,50 tegoż dnia 30. 8. lord Halifax donosi amb. w Warszawie o żądaniu niemieckim, jednak bez doniesienia terminu i z zastrzeżeniem : ,,*we cannot advise Polish Govt. to comply with this procedure, which is wholly unreasonable*". Wynika stąd, iż rząd brytyjski nie przekazał rządowi polskiemu ultymatywnego żądania Hitlera, a zawiadomił o nim Warszawę, i to z zastrzeżeniem, dopiero w 24 godziny potem, czyli po upłynięciu postawionego terminu. Również i Francuzi ograniczyli się do instrukcji dla amb. w Warszawie przyłączenia się do ,,*démarche*" brytyjskiej, a to w depeszy datowanej 30. 8. o 23,20. Jawnie przekręcając te fakty, pisze Wickert, *l. c.*, str. 322 : ,,*Polen hat es nicht eilig. Waehrend des ganzen Tages (30. 8.) versuchten Paris und London die Polen davon zu ueberzeugen, dass sie Hitlers Angebot nicht ausschlagen duerften*".

,,*Das grosszuegige Angebot*" : tekst opracowany był 30. 8. w biurze Weizsaeckera, por. współczesną notatkę z *Erinnerungen*, str. 259 : ,,*Wir arbeiten einen vernuenftigen Kompromissplan aus, die erste konstruktive Idee seit Monaten*"; podobnież w zapiskach Théo Kordta u E. Kordta *Nicht aus d. Akten*, 337 : ,,*Ich hatte im Laufe des Tages* (31. 8.) *einen Drahterlass mit dem Vorschlag zur Regelung der Korridorfrage erhalten, der die Unterschrift d. Staatssekraetaers trug. Der Vorschlag erschien mir auffalend vernuenftig*". Wynika z tego, że tekst ,,oferty", godzącej w całość terytorialną Rzplitej, był redagowany przez umiarkowanych i ,,opozycyjnych" Niemców, grupę urzędników *Wilhelmstrasse*, pod kierownictwem Weizsaeckera. Ten tekst został odczytany przez Ribbentropa amb. Hendersonowi wieczorem 30. 8., zakomunikowany przez Goeringa tejże nocy Bir-

Oczywiście, całe to powojenne szukanie częściowego chociażby alibi dla niczym nie usprawiedliwionej napaści na Polskę nie ma samo w sobie żadnego realnego znaczenia. Stanowi ono co najwyżej dowód niezrozumienia po dziś dzień ze strony niemieckiej istoty polsko-niemieckiego zagadnienia. Już sam sekretarz stanu Weizsaecker uważał ,,przedmiot sporu polsko-niemieckiego za nieokreślony wyraźnie, a zatem trudny do ujęcia". ,,Cały, razem wzięty, problemat polski, twierdził ze swej strony Ribbentrop, nie posiada żadnej wagi własnej... jest on w najlepszym razie drugorzędną okazją dla ruszenia z miejsca wielkich sił..." Obawiać się można że dziś jeszcze zagadnienie polskie rozpatrywane jest przez Niemców podobnie, czyli nie samo w sobie, jako jeden z głównych czynników położenia i polityki w Europie środkowo-wschodniej, lecz tylko jako pretekst wielkiej polityki lub też pochodną stosunków do wielkich mocarstw. W dawniejszych czasach, od Bismarcka aż po Hitlera, przejawiało się to w traktowaniu spraw polskich wyłącznie w kręgu widzenia konfliktu lub przymierza z Rosją. Dzisiaj politycy i publicyści niemieccy zdają się patrzeć na zagadnienie polskie wzrokiem skierowanym na świat anglosaski. Weizsaecker, tak surowo osądzony przez anglo-amerykańskie trybunały, we wspomnieniach spisywanych przed śmiercią, wciąż zwraca uwagę na to, jak nierozsądne, jak łatwowierne było angażowanie się Wielkiej Brytanii po stronie nieobliczalnych Polaków. Jego najbliższy współpracownik Kordt w swej najnowszej książce nazywa gwarancję brytyjską, udzieloną Polsce ,,krokiem zbyt pospiesznym", który posłużył ,,nieodpowiedzialnym czynnikom w Polsce jako zachęta do prowokacyjnych działań". Znajdujemy w tych opiniach staranne dobieranie argumentów, z arsenału angielskich krytyków, związania się Wielkiej Brytanii z Polską i niewczesnego udzielenia jej brytyjskiej gwarancji. Wickert,

---

gerowi Dahlerusowi i opublikowany wieczorem 31. 8. Odmowę Ribbentropa wydaniu ambasadorowi brytyjskiemu tekstu tego na piśmie tłumaczy obecnie Hesse, *l. c.* 206, zwyczajem Hitlera przerabiania i poprawiania własnych tekstów, w oczywistej sprzeczności z okolicznościami tego faktu : urzędowym charakterem dokumentu, przekazanego np. także Goeringowi, pilnością całej sprawy, oraz istotnymi zamiarami Hitlera.

Obok powyższego tekstu istniał jednak również i drugi, o którym Goering mówił Dahlerusowi w nocy 29-30. 8., por. Wickert *l. c.*, 318; przewidywał on zabór zachodniej części Polski aż po Łódź. Z tymi pomysłami, zapewne już wentylowanymi w Moskwie i stanowiącymi podstawę do późniejszego planu całkowitego rozbioru, zrealizowanego na wniosek Stalina, wiąże się legenda o dwóch jakoby planach, rozważanych przez Hitlera : ,,*die grosse und die kleine polnische Loesung*"; ob. Fritz Hesse *l. c.*, 205 sq., a także Kordt, *Wahn...*, 202 sq.., 206.

W istocie jednak cały ów rzekomy ,,kompromis", ,,idea konstruktywna", ,,rozsądne wyjście", ,,wspaniałomyślna oferta" — istniały jedynie w imaginacji i nigdy nie miały być przedmiotem załatwienia. Hitler sam, jak świadczy tłumacz, dr Paul Schmidt, powiedział później : ,,*Ich brauche ein Alibi, vor allem dem deutschen Volk gegenueber...*", por. Wickert *l. c.* 327.

chcący być tylko rejestratorem zdarzeń, notuje z widoczną satysfakcją, jak ,,Londyn stał się (tuż przed wojną) nieco bardziej trzeźwy w stosunku do Polski, jej wysokich finansowych żądań, jej niedostatecznego uzbrojenia, jej przesadnych politycznych pretensyj''; zdaje się on nie dostrzegać stwierdzonego już dzisiaj faktu, że do polskich niedociągnięć w przygotowaniach wojennych przyczynił się niemało brak zarówno finansowej jak materiałowej pomocy ze strony sojuszników zachodnich; politycznych zaś pretensyj czy żądań polskich w ogóle nie było, jeżeli nie liczyć zrozumiałego, szczególniej dla dzisiejszych Niemiec po ich smutnych doświadczeniach, oporu przeciw przemarszowi wojsk sowieckich i znowu jest to argument zapożyczony żywcem u angielskich przeciwników Polski i pomniejszycieli międzynarodowego znaczenia jej sprawy.

W całej tej literaturze pamiętnikarskiej czy interpretacyjnej krytyka pod adresem Anglików ogranicza się do wytykania im, że zawierzyli Polsce, że zdecydowali się przyjść jej z pomocą. Diametralnie przeciwne stanowisko zajmują ciż sami autorzy niemieccy w stosunku do wypadków 1938 roku : tam, gdy chodziło o Czechosłowację, gotowi są oni zarzucić polityce brytyjskiej brak stanowczości, a Chamberlainowi — jego skłonność do ugody. Wygląda to na metodę, na stałe schlebianie każdorazowemu poglądowi, przesądowi, modzie politycznej anglosaskiej. Otóż, jeżeli rażące jest każde pochlebstwo, to szczególnie niewłaściwe staje się ono wtedy, gdy uprawia się je kosztem pokrzywdzonego i wyzutego z praw narodu.

PRZEDSIĘWZIĘCIE BARBAROSSY

Pozostaje wątpliwe, czy i w jakim stopniu kierownicy sztabów i przywódcy wojen rządzili się w wyborze kryptonimów operacyjnych względami geografii lub historii. ,,Lwem morskim'' nazwał Hitler dość przejrzyście zamysł inwazji wysp brytyjskich. Dalekie analogie historyczne przyświecały mu zapewne, gdy swój zamiar pochodu na Rosję ochrzcił imieniem tego cesarza, który najdalej na wschód posunął germańskie zagony, ukorzył Polskę Bolesława Kędzierzawego i pierwszy naruszył jej śląskie dziedzictwo, a zginął jako wódz krzyżowy tam, gdzie niegdyś Pompejusz ubezpieczał wschodnie rubieże rzymskiego imperium. Nie wiadomo też, czy wódz Trzeciej Rzeszy zdawał sobie sprawę, że podobnie jak Fryderyk II Barbarossa sięgał on po rzeczy nieobjęte, gdy podbiwszy Polskę i wyszedłszy poza Bałkany, równocześnie chciał zagarnąć ziemie aż po Ural i Propontydę.

W każdym bądź razie nie może podlegać wątpliwości, że to niepomierne przedsięwzięcie 1941 roku było największym hazardem Hitlera i przyczyniło się do jego zguby. Politycznie nieprzygotowane, zadecydowane zostało wbrew ostrzeżeniu ze strony

co najmniej dwóch wybitnych doradców : szefa sił morskich admirała Raedera i ambasadora w Moskwie Schulenburga. Ale autorytet Hitlera, wsparty opanowaniem kontynentu Europy i zwycięzeniem Francji, był bezapelacyjny i wystarczył, aby potężna maszyna wojenna ruszyła naprzód z pełną wiarą w zwycięstwo i aby wojsko dokonało największego swojego wysiłku. Świat, zdawało się, zatrzymał się w biegu i ,,stał z zapartym oddechem''.

Krytycy odezwali się oczywiście po klęsce. Znalazł się wpośród nich zarówno dwuznaczny doradca polityki hitlerowskiej *von* Weizsaecker, jak autor wykonawczych instrukcyj operacyjnych, szef sztabu Halder. Autorzy wojskowi znaleźli okazję uszeregowania błędów. Istotnie : nowe przedsięwzięcie wojenne rozpoczynało się w chwili, kiedy jeszcze poprzednie nie zostało ukończone. Atak na Rosję otwierał wojnę na dwa fronty. *Zweifrontenkrieg* — przed czym ostrzegał już dawniej Bismarck i Schlieffen, a czego uniknięcie w 1939 poczytywał sobie sam Hitler za szczególną zasługę. Na koniec, wojny tej nie poprzedziło dostateczne, ani fachowe, rozpoznanie sił ani możliwości nieprzyjaciela. Jeżeli dodać do tego błędy w wykonaniu, niewątpliwe od samego początku i mnożące się z biegiem czasu, tedy jedynie dziwić się wypada, że całe to przedsięwzięcie, tak omylne w założeniu swoim, a tak opacznie przeprowadzone w praktyce, było nie raz, lecz parę razy, bliskie powodzenia. Główną przyczyną tak zdumiewającego faktu jest, że wbrew pozorom nie pakt z 23 sierpnia 1939, a atak z 22 czerwca 1941 stanowił istotę polityki Hitlera.

Zamysł rozprawy z bolszewizmem był osią tej polityki do 1937 roku. Powrócił on bardzo wcześnie, w samym szczytowym punkcie wojny z Zachodem. Ledwie zamilkły ostatnie strzały nad Atlantykiem, gdy już, w początku lipca 1940 pojawiają się pierwsze symptomy wieszczące burzę na wschodzie. W połowie lipca notują współcześni rozpoczynające się transporty wojsk na wschód i interpretują je w sensie nowych zamiarów wojennych. Między 20 a 30 lipca dojrzewa decyzja Hitlera uderzenia na Rosję i jest przedmiotem rozważań w najściślejszym gronie. Od sierpnia szereg świadków, w tej liczbie wiarogodny i dobrze informowany *von* Hassel, że Hitler powziął zamiar uderzenia na Sowiety. W tym świetle wahające, niezdecydowane przygotowania do inwazji Anglii wydają się, co najmniej w części, kamuflażem. Listopadowe rozmowy z Mołotowem w Berlinie służą Hitlerowi już tylko sprawdzianem. W miesiąc potem następuje decyzja : 18 grudnia Hitler wydaje dyrektywę operacyjną Nr 21 — *für den Fall Barbarossa*. ,,Myśl wykorzystania pierwszej okazji, aby powalić także i Związek sowiecki — podaje Erich Kordt — nie opuściła Hitlera nigdy, nawet po zawarciu paktu o nieagresji''. ,,Walka z bolszewizmem, poświadcza inny uczestnik tych zdarzeń, stanowiła tak podstawowe jądro ideologii narodowo-socjalistycznej, iż ignoruje się cały rozwój paktu z Sowietami, upatrując w nim coś więcej, niż chwilowy manewr...'' Sam zaś *Führer*, w swoim liście do Mussoliniego, 21 czerwca 1941, wyznaje jak

ciężyło mu przez te lata ,,wspólnictwo ze Związkiem sowieckim". Stanowiło ono dla niego samego jak gdyby ,,zerwanie z własnym pochodzeniem, pojęciami i zobowiązaniami z przeszłości"; czuł się ,,szczęśliwy, że się wyzwolił z tej udręki". 129 lat wcześniej Napoleon rozpoczynał swą ,,drugą wojnę polską" i szedł na Moskwę wbrew swej chęci i przekonaniu. Wprost odwrotnie Hitler : Polska nie wchodziła wcale w jego zamierzenia, ale Moskwa była jego świadomym celem, wypełnieniem z dawna powziętego zamiaru. Dla Napoleona pożar Moskwy był niedogodnym przypadkiem. Hitler zamierzał zniszczyć Moskwę do cna — i jako rzeczywistość rosyjską, i jako symbol bolszewizmu (6).

Droga, jaką do tego celu wódz Trzeciej Rzeszy wybrał, wiodła poprzez ruiny Warszawy. Jak notuje dzisiaj jeden z tych, którzy mu ówcześnie służyli, pakt z Sowietami był Hitlerowi potrzebny jedynie dla obalenia Polski : po czym, mógł być bezkarnie zdradzony. Ta podwójna zdrada zaciążyła na całym przedsięwzięciu. Dzieje mają swoją wewnętrzną, nieubłaganą logikę. Nie podobna było chcieć jednocześnie zniszczyć Warszawę i Moskwę; podobnież za Napoleona nie można było tejże samej chwili zadowolić Polskę i ugłaskać Rosję. Należało uczynić wybór. Bez współdziałania Polski rozprawa z bolszewizmem nie była możliwa. Po trupie Polski nie podobna było dojść do Moskwy. Idąc w głąb Rosji, Hitler, podobnie jak Napoleon, pozostawiał za sobą *vacuum*. Może zdawał sobie z tego sprawę, zaprzęgając do swego rydwanu Finlandię, Rumunię, Węgry : zabrakło środkowego ogniwa — Polski, gdyż ją zawczasu zniszczył. Z punktu widzenia całej przeszłości i ideologii Hitlera błędem był nie sam pochód na bolszewizm w 1941 roku, lecz wytrącenie jego podstawowego warunku na dwa lata przedtem.

---

(6) Wyprawa Hitlera na Rosję *(Fall Barbarossa)*: argumenty decyzji zestawione w książce gen. Andersa, *Klęska Hitlera w Rosji 1941-1945*. Londyn 1952; por. gen. Kukiel, *Hitler jako wódz...*, *Bellona*, 1950, I.

Elementy decyzji Hitlera znane są obecnie szczegółowo, jeżeli nie całkowicie, z protokółów norymberskich, diariusza gen. Haldera, znajdującego się w Waszyngtonie oraz dalszych nowych publikacyj, por. Gerhard L. Weinberg, *Hitlers Entschluss zum Angriff auf Russland* w *Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte*, Stuttgart 1953, 4. Problemat Rosji został poruszony po raz pierwszy przez Hitlera w rozmowie z Brauchitschem 13. 7. 1940 w związku z przekonaniem, że Anglia ociąga się z nawiązaniem rokowań, licząc na Rosję. Następnie, na odprawie 21. 7., pojawia się plan unieszkodliwienia zawczasu Rosji : ,,*Russisches Problem in Angriff nehmen... Russisches Heer schlagen Politisches Ziel : Ukrainisches Reich, Baltischer Staatenbund, Weiss-Russland-Finland...*" Wreszcie, na Konferencji na Berghofie 31. 7. decyzja : ,,*Russland Faktor, auf den England am meisten setzt. Irgend etwas ist in London geschehen... Entschluss : Im Zuge dieser Auseinandersetzung (mit England) muss Russland Frühjahr 41 erledigd werden...*" Decyzja zapadła zatem w umyśle Hitlera między 21 a 31 lipca, tzn. przed szczytowym napięciem bitwy powietrznej o W. Brytanię; w związku z tym 2 sierpnia odwołane zostały wszelkie przygotowania demobilizacyjne, brane pod uwagę jeszcze w początku lipca.

Literatura powojenna niemiecka nie potrafi dać sobie rady z tym problematem. Rzecz naturalna : w umysłach panują dość powszechnie poglądy urobione w czasie wojny : pakt sowiecki uważany za *Meisterstück* dyplomatycznego zaskoczenia, napaść na Rosję uznana za bezmyślne szaleństwo. Pierwszy pozwolił Niemcom, pod osłoną Stalina, pobić Polskę i Francję; druga wprowadziła zwycięską armię na bezgranicza i stała się początkiem końca. Wojna z Polską była, jeśli nie popularną, to przynajmniej zrozumiałą; wojna przeciw Rosji wydaje się, pomimo 1914 roku, zerwaniem tradycji mogącej powołać się na Fryderyka Wielkiego i Bismarcka. Polska ukazuje się w ramach tego obrazu ,,państwem sezonowym'', tworem znienawidzonego Wersalu; Rosja — ostoją wschodnio-europejskiego ładu, który przetrwał nieomal półtora stulecia. Powtarza się ta groteskowa scena, kiedy Göring, na krytycznym zakręcie dziejów, rysował Dahlerusowi, na wyrwanych kartkach z kalendarza, coraz to nowe granice projektowanej Polski, to po prostu przywracające granicę podziałową Królestwa Kongresowego z 1815 roku, to sięgające jeszcze dalej, poza Kalisz, Łódź i Płock, odnawiając linię drugiego rozbioru lub pomysły wiślanej granicy Knesebecka : — i to wszystko jako rozwiązanie ,,kompromisowe'', przygotowywane dla polskiego pełnomocnika.

Żaden ze współczesnych niemieckich autorów nie przystąpił jeszcze do zagadnienia niemiecko-polskiego w obrębie tragedii ostatnich lat, jako do sprawy samej w sobie, stanowiącej oddzielny odcinek polityki niemieckiej i osobną kartę środkowo-europejskiej problematyki. Każdy z nich ma tendencję do wtłoczenia kwestii tej w ramki czy to stosunków z Rosją, czy poglądów naśladowanych z Anglii, czy wreszcie w koleiny wyżłobione przez tradycję pruską. A przecież kwestia polska zaważyła decydująco, sama przez się, na rezultatach pierwszej wojny światowej, a stała się głównym powodem drugiej. Jest więc nad czym się zastanowić.

Co się zaś tyczy tradycji pruskiej w grze uprawianej z Rosją kosztem Polski, to jeden przynajmniej spomiędzy tych pisarzy, wnikliwy Kordt, poświęcił jej mimochodem parę uderzających uwag. Wedle niego, mylne jest redukowanie polityki Bismarcka do utrzymania drutu między Berlinem a Petersburgiem; należałoby ją raczej powiązać z dzisiejszą koncepcją ,,powstrzymywania'' Rosji. ,,Bismarck nie byłby nigdy dopomógł, z powodu jakiejś sprawy Korytarza, czy też dla innej jeszcze racji, do zniszczenia tego *glacis* państw, które założono z pomyślnym skutkiem jako przedmurze Europy środkowej na Wschodzie''. Tradycje wymagają więc również, choćby były najbardziej zakorzenione, dokładnej analizy i beznamiętnego sądu.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Michał SOKOLNICKI,
Ambasador R.P.

PLON

EGON CAESAR COMTE CORTI

VIE, MORT ET RÉSURRECTION D'HERCULANUM ET DE POMPÉI

795 fr.

•

PER HÖST

DES PHOQUES ET DES INDIENS

« De la mer de glace à la forêt vierge »

795 fr.

•

MAJOR GENERAL CHARLES A. WILLOUGHBY

LA CONSPIRATION DE SHANGHAÏ

Sorge, chef d'espionnage soviétique.

600 fr.

•

GONZAGUE DE REYNOLD

LA FORMATION DE L'EUROPE, II.

LES GERMAINS

Le Monde barbare et sa fusion avec le Monde antique.

1.200 fr.

•

ROSAMOND LEHMANN

LE JOUR ENSEVELI

Collection « FEUX CROISES »

570 fr.

PLON

Fragmenty z dziennika

Środa.

W ,,Kulturze'' z września artykuł Jana Winczakiewicza o Balińskim, Lechoniu, Łobodowskim i Wierzyńskim. Figurują oni w *Antologii,* którą dr St. Lam przyrządził pod kategorycznym tytułem ,,Najwybitniejsi poeci emigracji''.

Recenzja Winczakiewicza zawiera tylko jedną prawdę i dlatego tym silniej uderza... gdyby jednak jej autorem nie był poeta, pełen kultu, ukłonów, delikatności dla Poezji, nie nazwałbym jej druzgoczącą. Ale w tym rzecz, że cała nieco staroświecka galanteria, z jaką Winczakiewicz całuje końce paluszków Muzy wierszowanej, nie zdołała stłumić w nim jęku, który podzielam : dlaczego to wszystko myszką trąci? ,,Wszyscy czterej zapatrzeni są w przeszłość'' — stwierdza z żalem wielbiciel, aby dodać zaraz coś jeszcze gorszego. ,,Więcej : patrząc w przeszłość, patrzą oczyma przeszłości. I więcej : spoglądając na wypadki bieżące, patrzą również oczyma przeszłości''.

Jaka szkoda ! Gdyby chodziło o zwykłe wiersze to ostatecznie, nic wielkiego. Ale to są przecież wiersze ,,świetne'', ,,znakomite'', które budzą tyle naszego podziwu — więc niechby przynajmniej nas nie kompromitowały. Tak, lepiej by było aby te cztery oblicza ,,najwybitniejszych'' nie spoglądały na nas jak z albumu starych rodzinnych fotografii, aby te uwielbiane tomiki nie były albumami jesiennych zasuszonych liści. *Où sont les neiges d'antan?* Cóż nam gędzą czterej subtelni królewicze naszego marzenia, jakąż to kantyczkę nuci ich tkliwa harfa? O, ta kantyczka jest właściwie kołysanką ! Spać...

Nie atakuję bynajmniej czterech znakomitych poetów (trudno, jak słusznie pisze Winczakiewicz, aby zmienili sobie oczy) — atakuję li-tylko nasz podziw. *Où sont les neiges d'antan?* W tej logice, która poezji emigracyjnej każe być poezją wspomnień, żalu, odwrotu, ucieczki, lub, w najlepszym wypadku, nie-

teraźniejszości, w tej logice jest coś tak dialektycznie i historycznie logicznego, iż to nieomal daje w pysk. Cóż innego pozostało nam, prócz tej subtelnej wspomnień perfumy? Azaliż nie jest historycznie uzasadnione i zapisane w księgach marksizmu-leninizmu, że poezja warstw kończących się musi być poezją dnia wczorajszego? Wsiądźmyż tedy posłusznie do dyliżansu tych czterech historycznie uzasadnionych poetów i jedźmyż wraz z nimi ku tym gajom byłych słowików i byłych róż, ku starodawnym pocztówkom, mołojcom i babcinym sztambuchom. *Où sont les neiges d'antan?* Daremnie ,,poloniści'' w rodzaju p. Weintrauba pocieszają nas, że jednak Wierzyński szuka nowych form wypowiedzi i że jego rytmika staje się ,,swobodniejsza'' a liryzm bardziej bezpośredni i ściszony. Tu nie idzie, niestety, o rytmikę ani o liryzm, głośniejszy lub cichszy, ale o nastawienie duchowe, o samo nastrojenie — i nie tyle harf, ile harfiarzy.

Où sont les neiges d'antan? Ale nie zgadzam się z Winczakiewiczem gdy mówi, że to romantyzm zmusza ich do unikania współczesności i że ich aintelektualizm jest przyczyną ich bezradności w świecie dzisiejszym, antyromantycznym, w którym jest miejsce tylko na poezję intelektualną. Nie-dzień, źle mówię, noc, którą przeżywamy, wypełniona jest po brzegi romantyzmem o mocy tysiąca Byronów. Nie było nigdy takiej burzy w udręczonym łonie ludzkości, ocean nasz ryczy i rozbija się o skały. I nawet skłonny jestem mniemać, że cuda tej grozy nie są obce czterem historycznie uzasadnionym bardom, o których mowa. Ale tej piękności nie mogą oni zmieścić w swoim Wierszu, w Wierszu, który wyrobił się im w dawnych przedwojennych czasach i to nie włazi im w metaforę, to nie mieści się im w stylu.

Jak zemściła się na tych ludziach naiwność ich wiary w Poezję i w Poetę, ich kult formy poetyckiej, ich zapamiętanie we wszystkich fikcjach, jakie wytwarza środowisko poetów! Poeta dnia dzisiejszego powinien być dzieckiem, ale dzieckiem chytrym, trzeźwym i ostrożnym. Niechaj uprawia poezję, lecz niech w każdej chwili będzie zdolny zdać sobie sprawę z jej ograniczenia, brzydot, głupot i śmieszności — niech będzie poetą, lecz poetą gotowym w każdej chwili poddać rewizji stosunek poezji do życia i rzeczywistości. Niech, będąc poetą, nie przestaje ani na chwilę być człowiekiem i niech człowieka nie podporządkowuje ,,poecie''. Ale tego auto-szyderstwa, tej auto-ironii, autopogardy, auto-nieufności nie była w stanie zapewnić naiwna szkoła Skamandra, której jedyną ambicją było pisać ,,piękne wiersze''. Gdy więc dzisiaj Lechoń powinien by odnowić i zreformować w sobie poetę-Lechonia, w czym znajdzie punkt oparcia, gdzież jest to coś co by mu pozwoliło zaryzykować jakąkolwiek zmianę? Boi się on naruszyć w sobie choćby jednego przecinka, gdyż kto wie, a nuż przestanie wówczas być poetą i wiersze będą mniej pięknymi wierszami? Jak Lechoń może w tym sensie zwrócić się przeciw poecie-Lechoniowi, jeśli Lechoń jest

— tak czytaliśmy — ,,altissimo poeta'', i jeśli poezja stała się jego fachem, sytuacją społeczną, postawą duchową? Jakże popsuć sobie tak szczęśliwie ustaloną harmonię z czytelnikami?

Tym czterem historycznie uzasadnionym, którzy zostali nam dani abyśmy ich podziwiali i, podziwiając, poczuli rozkosz wymierania i bezsilności, nie brak formy — brak im dystansu do formy. Swobodni wobec świata, na jednym tylko punkcie są skrępowani : na punkcie poezji. A to okropne, to ciasne ,,ja jestem poetą'', wypowiadane z namaszczeniem świętego wtajemniczenia, odcina ich od wszelkiej piękności, która rodzi się w gąszczach życia i uderza w uświęcone formy. Co pewien czas, dokonywując śmiałego zamachu na własną sztywność, wprowadzają jakąś straszliwą inowację — nowy rym lub asonans — i na tym koniec.

Artysta, który urzeczywistnia się wewnątrz sztuki, nigdy nie będzie twórczy — musi on koniecznie umieścić się na tym jej pograniczu, gdzie sztuka styka się z życiem, tam gdzie powstają niemiłe pytania w rodzaju : o ile ta poezja, którą piszę, jest konwencjonalna, a o ile naprawdę jest żywa? Jak dalece kłamią ci, którzy mnie wielbią, i jak dalece kłamię, uwielbiając siebie jako poetę? Gdy jednak kilka takich pytań postawiłem w artykule ,,Przeciw poetom'', pytań wcale nieskomplikowanych, których jedyną specyficzną właściwością było, że dotyczyły nie samej sztuki wierszowanej a tylko jej związku z rzeczywistością, okazało się że nikt nic nie zrozumiał, a już najdoskonalej nie zrozumieli poeci. Gdyż cechą tej religii, jak wszelkiej innej, jest, że ona nie dopuszcza zwątpienia, nie chce wiedzieć. Ale dość. Dlaczego tak znęcam się nad poetami? Wam i sobie zdradzę rację mojego dobrodusznego okrucieństwa : wiadomo mi, że poeta wszystko zniesie i niczym nie poczuje się dotknięty pod jednym warunkiem — aby przyznano że jest poetą. I tutaj mogę dać im pełne zadośćuczynienie i sto razy powiem, że są poetami, tak, wybitnymi poetami, a nawet, jak chce *Antologia,* najwybitniejszymi poetami (nic nie mam przeciwko temu).

Ty jednak, narodzie, strzeż się ich historycznie uzasadnionego zmierzchu. Nie daj się wciągnąć w gierkę ,która polega na tym, że oni ,,śpiewają'' a ty podziwiasz. Zrewiduj swoje komunały. Czasem bywa tak, że podziwiamy, bośmy przyzwyczaili się podziwiać ,a także dlatego, że nie chcemy popsuć sobie parady. Bywa też, że podziwiamy przez delikatność, aby nie robić przykrości. Na wszelki wypadek doradzam : uderzmy w nich mocno aby zobaczyć, czy się nie przewrócą. A ten cios, być może, wyzwoli w nas teraźniejszość i da nam klucz do przyszłości. Głupcy! Dlaczego pozwalacie aby poetów narzucała wam historia? Wy sami musicie ich stwarzać, ich i historię.

Piątek.

Poszedłem do modnego sklepu Ostende i kupiłem parę bucików żółtych, które okazały się za ciasne. Wróciłem więc do

sklepu i wymieniłem tę parę na inną, tego samego fasonu i numeru i w ogóle identyczną pod każdym względem, która okazała się równie ciasna.

Bywa, iż sobą zdumiewam siebie.

Sobota.

X., jego żona, oraz p. Y., nader czynny w Polonii argentyńskiej opowiadali mi ploteczki. Podobno na posiedzeniu organizacyjnym jakiegoś stowarzyszenia postawiono moją kandydaturę na członka — wówczas prezes, czy tam ktoś, wyskoczył i ryknął, że dla takich wyrodków miejsca tu nie ma ! A na posiedzeniu innego komitetu uchwalono, że moja ,,współpraca'' jest niepożądana.

Bóg z nimi. Nawet gdyby wysłano do mnie delegację z muzyką i kwieciem, nie współpracowałbym z komitetami, które śmiertelnie mnie nudzą, a także nie przyjąłbym prezesury gdyż, będąc człowiekiem poważnym, nie nadaję się na figuranta. Te zabawki w prezesów, komitety i sesje dobre są dla sontagsjaegerów, nie dla znojnego pracownika na niwie literatury i kultury rodzimej, jak ja. Wiem zresztą, że żadna delegacja mi nie grozi, gdyż nienawiść komitetów do mnie wynika z samej ich natury i komitety, jako takie, zawsze będą mnie zwalczały, nawet gdy wszyscy ich członkowie prywatnie i na osobności będą mi szeptać na ucho : babrz pan ile wlezie ! Oby jednak spadł z nieba ogień, który by oczyścił życie argentyńskie Polaków z nadmiaru tandety. Ludzi tych nie mogę zrozumieć. Jest dla mnie zagadką, że facet, który przeszedł przez siedem kręgów piekła, zaznał sytuacji sięgających samego dna duszy, wyczerpał ostatecznie sens walki, bólu, rozpaczy, wiary i zwątpienia, tu, w Argentynie, wylądowawszy, wstępuje jakby nigdy nic do komitetu i zaczyna recytować nieśmiertelny, jak się okazuje, frazes. Wiedza o życiu, którą uzyskali, którą musieli uzyskać, jest jak gdyby obok nich — mają ją w kieszeni swojej, ale nie w sobie — a zresztą i ta kieszeń została zaszyta.

Dzieciństwo ich tonu jest nieznośne. Tygodnik ,,Głos'', zasilony nowymi piórami w ciągu ostatnich lat, przestał być okropną szmatą i przerodził się w dumny i pożyteczny ,,organ'', niemniej jest to w dalszym ciągu zgromadzenie cioć i wujciów, oddających się wszelkim możliwym ostrożnościom aby nie zgorszyć nieletniej siostrzenicy. Ta troska o przedpotopową niewinność dzisiejszych Polaków jest rzeczywiście wzruszająca. Osoby, które doznały najostrzejszego życia, są traktowane jak pensjonarki z piątej klasy i dozwolone są im jedynie pewne tematy, należycie ocukrzone i złagodzone. Może jednak lepiej, że ,,Głos'' zachowuje te ostrożności, gdyby bowiem ,,Głos'' przemówił prawdziwym swoim głosem to obawiać się należy, że głos ten rozsadziłby ,,Głos'' w pięć minut może nawet z całą kolonią. Lękamy się naszego prawdziwego głosu i dlatego używamy ,,Głosu'' doskonale nijakiego.

Daleki jednak jestem od zwalczania tego stanu rzeczy środkami zbyt drastycznymi. Co pewien czas ktoś — najczęściej prezes, skarbnik, lub sekretarz — zwraca się do mnie z poufnym wezwaniem abym stał się biczem kolonii i zjechał wszystko jak należy. Nie uśmiecha mi się ta rola. Niczego nie dokażemy babrząc się wzajemnie i wymyślając sobie od hipokrytów, głupców i niedołęgów. Natomiast dążyć trzeba do tego, aby w tych Polakach obudziła się świadomość ich nierealności, tej fikcji, jaką żyją, i aby ta świadomość stała się w nich decydująca. Trzeba im powtarzać : ty nie jesteś taki, ty naprawdę już wyrosłeś z tego co mówisz, ty zachowujesz się tak bo dostrajasz się do innych, celebrujesz, bo wszyscy celebrują, kłamiesz, bo wszyscy kłamią, ale i ty i my wszyscy jesteśmy lepsi od farsy w której występujemy — to im trzeba mówić póki ta myśl nie stanie się dla nich deską ratunku. Ten rodzaj Ketmanu jest nam koniecznie potrzebny. Musimy poczuć się jak aktorzy złej sztuki, którzy w swych ciasnych i banalnych rolach nie mogą się wygrać. Ta świadomość pozwoli nam przynajmniej przechować naszą dojrzałość do czasów, w których będziemy mogli stać się bardziej rzeczywiści.

Nie winię nikogo, gdyż to nie ludzie winni, tylko sytuacja.

Czwartek .

On (Miłosz), podobnie jak oni wszyscy (literaci pewnej szkoły, wychowani na ,,społecznej'' problematyce), doświadcza zmagań, udręczeń, wątpliwości, które były zupełnie nieznane dawniejszym pisarzom.

Rabelais nie miał pojęcia o tym, czy jest ,,historyczny'' czy ,,ponad-historyczny''. Nie zamierzał uprawiać ,,pisarstwa absolutnego'' ani hołdować ,,czystej sztuce'', ani też — na odwrót — wypowiadać swoją epokę, w ogóle nic nie zamierzał ponieważ pisał, jak dziecko załatwia się pod krzakiem, aby sobie ulżyć. Uderzał w to, co go rozjuszało; zwalczał, co stawało mu mu na drodze; i pisał dla rozkoszy — własnej i cudzej — pisał, co mu podchodziło pod pióro.

Niemniej Rabelais wypowiedział swoją epokę i przeczuł epokę nadchodzącą i, w dodatku, stworzył nieprzemijającą i najczystszą sztukę — a stało się to ponieważ, wypowiadając siebie z najpełniejszą swobodą, wypowiadał zarazem wieczną istotę swej ludzkości i siebie, jako syna swojego czasu, i siebie, jako zarzewie nadchodzącego czasu.

Ale dzisiaj Miłosz (i nie on jeden) przykłada palec do czoła i medytuje : jak i o czym mam pisać? Gdzie jest moje miejsce? Jakie są moje obowiązki ?? Mamże zanurzyć się w historii ? A może szukać ,,drugiego brzegu'' ? Kim mam być ? Co mam robić ? Nieboszczyk Żeromski, bodaj, miał zwyczaj odpowiadać w takich razach : pisz, co ci serce dyktuje — i oto rada, która najbardziej mi trafia do przekonania.

Kiedyż położymy kres tyranii chochołów abstrakcji, aby ujrzeć na nowo świat konkretny? Potęga tych wyfilozofowanych antynomii jest tak wielka, iż Miłosz zupełnie zapomina z kim rozmawia i podsuwa mi rolę obrońcy ,,czystej sztuki'', rolę nieomal estety. Cóż mam z tym wspólnego? Jeśli przeciwstawiam się schematom, grożącym literaturze nazbyt aktualnej, to wcale nie po to aby narzucać inny schemat. Ja nie opowiadam się za sztuką wieczną ,ani czystą, mówię jedynie Miłoszowi że trzeba uważać aby życie nie przetworzyło się nam pod piórem w politykę — albo w filozofię, albo w estetykę. Nie domagam się ani sztuki stosowanej, ani czystej — domagam się swobody, domagam się twórczości ,,naturalnej'', takiej, która jest niepremedytowanym urzeczywistnianiem się człowieka.

Lecz on mówi : — Lękam się... i lękam się tego, że gdy oddalę się od Historii (to znaczy od truizmów doby obecnej), będę samotny. Na co ja powiem : — Ten lęk jest nieprzyzwoity i, co gorzej, urojony. Nieprzyzwoity, gdyż jest, zaiste, rezygnacją nie tylko z wybitności, ale i z własnej prawdy, jest rezygnacją z jedynego — chyba — heroizmu, który stanowi dumę, siłę, żywotność literatury .Ten kto się boi ludzkiej wzgardy i osamotnienia wśród ludzi, niech milczy. Ale lęk ten jest także urojony — albowiem popularność, którą zdobywa się na służbie czytelnika i prądów epoki oznacza jedynie duże nakłady — i nic, nic więcej — a tylko ten, kto zdołał wyodrębnić się z ludzi i zaistnieć jako człowiek osobny, a dopiero potem zdobywa sobie dwóch, trzech, dziesięciu wyznawców, braci, ten tylko wydobył się z samotności w granicach sztuce dozwolonych.

I mówi (wciąż we władzy tej wyrozumowanej wizji, która w nim tak kłóci się z najcenniejszymi właściwościami jego osoby) : — My, Polacy, możemy dziś z góry i śmiało przemawiać do Zachodu ,,dlatego po prostu (tu cytuję dosłownie), że nasz kraj jest terenem przemian najważniejszych, jakie mogą się zdarzyć i że w tych przemianach jest ,,śpiew przyszłości'', który wzniesie się, kiedy runie panowanie Moskwy nad narodami''. Na to odpowiedziałbym radą, aby tę myśl przyłożył do Bułgarii albo Chin, które także są przecież w owej historycznej awangardzie. Nie, Miłoszu : żadna historia nie zastąpi ci osobistej świadomości, dojrzałości, głębi, nic nie rozgrzeszy cię z ciebie samego. Jeżeli jesteś osobiście ważny, to choćbyś zamieszkiwał w najbardziej konserwatywnym punkcie globu, świadectwo twoje o życiu będzie ważne; ale żaden historyczny magiel nie wyciśnie słów ważnych z ludzi niedojrzałych.

Więc to wszystko staje się trudne, wątpliwe, ciemne, zagmatwane pod najazdem skomplikowanej sofistyki naszych czasów; ale odzyskuje krystaliczną jasność swoją gdy pojmiemy, że dziś nie mówimy, nie piszemy w jakiś nowy i szczególny sposób, ale tak właśnie jak to się działo od początku świata. I żadne koncepcje nie zastąpią przykładu wielkich mistrzów, żadna filozofia nie zastąpi literaturze jej drzewa genealogicznego, obfitego w nazwiska które napełniają dumą. Nie ma wyboru : moż-

na tylko tak pisać jak Rabelais, Poe, Heine, Racine lub Gogol — albo wcale. Dziedzictwo tej wielkiej rasy, które nam zostało przekazane, jest jedynym prawem które nami rządzi. Lecz ja tutaj nie polemizuję z Miłoszem, który jest rasowym koniem — polemizuję tylko z jego chomątem, z tym wozem wypełnionym skrupułami, które mu przeszłość jego doczepiła.

Poniedziałek.

Dlaczego nie wymieniłem Wittlina, pisząc o recenzji Winczakiewicza, skoro i jego wiersze zawarte są w antologii?

Pominąłem go, ponieważ Winczakiewicz również go pomija — gdyż, jak twierdzi, te dawne wiersze Wittlina nie są miarodajne. Ale chciałbym postawić kropkę nad i.

Gdyby Wittlin był tylko autorem wierszy z antologii, na pewno zahaczyłbym i o niego. Ale Wittlin to stwór ziemnowodny i mieszkaniec dziesięciu rzeczywistości — poeta, który jest prozaikiem, święty, który jest buntownikiem, klasyk spokrewniony z awangardą, patriota i kosmopolita, społecznik, który jest samotnikiem. Jeden z tych Wittlinów wywodzi się wprawdzie ze Skamandra i obarczony jest w pewnej mierze jego dziedzictwem, ale oto dziewięciu pozostałych Wittlinów napiera na niego, domagając się rewizji. Ta cicha burza Wittlinów w Wittlinie, to wrzenie na pozór jakże układnego wulkanu, ta umęczona i aktywna jego ludzkość nie jest moim wrogiem — jest sprzymierzeńcem. A siła wszelkiego wittlinowskiego buntu na tym polega, że on za nic nie chce się buntować i, jeśli buntuje się, to dlatego że musi. Oto czemu nikt z nas nie jest tak przekonywujący, jak on, i niczyje słowo nie jest zdolne zjednać w tym stopniu ludzi zatwardziałych w przesądzie. Doświadczyłem na sobie tej siły, gdyż przedmowa Wittlina do mojej książki jest majstersztykiem klarownej perswazji i dobroci, naładowanej najbardziej współczesną dynamiką. Lecz właśnie z powodu tej przedmowy uderzyłbym chętnie na Wittlina — uderzyłbym, aby nie powiedziano, że oszczędzam go, ponieważ mnie broni i popiera (nędzne są moje uczucia!).

Wtorek.

Mowa, wygłoszona do narodu na bankiecie w gościnnym domu pp. X., u schyłku A. D. 1953.

Gdy święta nadejdą, lubicie podlewać łzami klomb wspomnień i wzdychać rzewnie do utraconych miejsc rodzinnych. Nie bądźcie śmieszni, ani ckliwi! Nauczcie się dźwigać własne przeznaczenie! Przestańcie opiewać mdławo piękności Grójca, Piotrkowa lub Biłgoraja. Wiedzcie, że ojczyzna wasza to nie Grójec ,ani Skierniewice, nawet nie kraj cały, i niech krew uderzy wam na policzki rumieńcem siły na myśl, że ojczyzną waszą wy sami jesteście! Cóż z tego, że nie przebywacie w Grodnie, Kut-

nie lub Jedlińsku? Czyż kiedykolwiek człowiek przebywał gdzie indziej, niż w sobie? Jesteście u siebie, choćbyście znajdowali się w Argentynie lub w Kanadzie, ponieważ ojczyzna nie jest miejscem na mapie ,ale żywą istnością człowieka.

Przestańcie zatem hodować w sobie pobożne iluzje i sztuczne sentymenty. Nie, nigdy nie byliście szczęśliwi w Kraju. Tamte sosny, brzozy i wierzby są w istocie zwykłymi drzewami, które wypełniały was bezbrzeżnym poziewaniem gdy, znudzeni, oglądaliście je niegdyś przez okno każdego ranka. Nieprawda, że Grójec jest czymś więcej niż przeraźliwą i prowincjonalną dziurą, w której ongiś biedowała wasza szara egzystencja. Nie, to kłamstwo : Radom nigdy nie był poematem, nawet o wschodzie słońca ! Nie są cudowne i niezapomniane tamtejsze kwiaty — a nędza, brud, choroby, nuda i krzywda osaczały was i wówczas, jak psy wyjące głuchych polskich wsi o zmroku.

Nie będźcie, mówię, mazgajami. Nie zapominajcie, że póki mieszkaliście w Polsce nikt z was Polską się nie przejmował, ponieważ ona była codziennością. Dziś natomiast nie mieszkacie już w Polsce, ale za to Polska silniej w was zamieszkała — ta Polska, którą określić należy jako najgłębszą ludzkość waszą, urobioną pracą pokoleń. Wiedzcie, że wszędzie tam gdzie wzrok młodzieńca odkrywa swoje przeznaczenie w oczach dziewczyny, tworzy się ojczyzna. Gdy na ustach waszych jawi się gniew lub zachwyt, gdy pięść godzi w łajdactwo, gdy słowo mędrca lub pieśń Beethovena rozpala wam duszę, uwodząc ją w nieziemskie kręgi, wówczas — na Alasce i na równiku — rodzi się ojczyzna. Ale na placu Saskim w Warszawie, na rynku krakowskim, będziecie bezdomnymi włóczęgami, domokrążcami bez przydziału i wędrownymi, beznadziejnie ordynarnymi groszorobami jeśli pozwolicie aby trywialność zabiła w was piękność.

Trzeba ubolewać, że nie jesteście dość szlachetni i dość natchnieni aby odkryć patetyczny sens waszej tułaczki.

A jednak nie traćcie nadziei. W tej walce o głębszy sens życia i jego piękność nie jesteście osamotnieni. Na szczęście macie przy boku sztukę polską, która dziś stała się czymś ważniejszym i prawdziwszym niż bezdomne ministerstwa i urzędy wyzute z władzy — i ona to, sztuka, nauczy was głębi, jej bicz, surowy i dobrotliwy zarazem, spadnie na was ze świstem ilekroć zaczniecie się rozklejać, ślimaczyć i mazgaić. Ona, sztuka, otworzy wam oczy na surową piękność współczesności, na wielkość waszego zadania, a zbyt prowincjonalne uczucie zastąpi uczuciem nowym, na miarę świata, na miarę tych horyzontów, które dziś się przed wami otwierają. Przywróci wam zdolność lotu i mocy aby nie powiedziano o was słowami Szekspira :

Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy !

Witold GOMBROWICZ

Francuz odkrywa Stanisława Augusta

Z królów polskich czasów nowożytnych jedynie dwaj budzą większe zainteresowanie w historiografii *europejskiej* : Sobieski z powodu Wiednia i Stanisław August ze względu na swój stosunek do epoki Oświecenia oraz z powodu tragizmu losów Polski za jego panowania.

Jeżeli o Stanisława Augusta chodzi, to dowodem tego ,,międzynarodowego'' zainteresowania jest w ostatnich dziesięcioleciach fakt, że doczekał się on biografii w języku angielskim *Nisbet Baina* ,,The last king of Poland and his contemporaries'' (Londyn 1919), w języku niemieckim *O. Forst Battaglii* ,,Stanislaus August Poniatowski und der Ausgang des alten Polenstaates'' (Berlin 1927), tudzież w języku francuskim Jean Paul Palewskiego ,,Stanislas-Auguste Poniatowski, dernier roi de Pologne'' (Paryż 1946). Jest również rzeczą charakterystyczną, iż ukryte przez sto lat z górą w Rosji, pisane po francusku, pamiętniki Stanisława Augusta w dwu pierwszych tomach, obejmujących czasy do roku 1780, opublikowane zostały przez rosyjską Akademię Nauk w Petersburgu, względnie Leningradzie, w latach 1914-1924 (ciąg dalszy, dotyczący ostatnich lat życia króla (zm. 12 lutego 1798) nie ukazał się — o ile mi wiadomo — dotychczas).

Najnowszym, szczytowym osiągnięciem zainteresowania dla osoby i czasów Stanisława Augusta jest wielkie dzieło p. Jean Fabre'a. Dzieło — nie waham się tego powiedzieć — znakomite pod wielu względami. Pierwsze *wielkie* dzieło, dotyczące *całego* okresu panowania Stanisława Augusta po ,,Wewnętrznych dziejach Polski'' Korzona.

Prof. Fabre zajmuje się wiekiem 18-ym w Polsce od dawna. Jest autorem między innymi studium pt. ,,La propagande des

---

Jean Fabre, professeur à la Faculté des Lettres de l'Université de Strasbourg : *Stanislas-Auguste Poniatowski et l'Europe des lumières*. Publications de la Faculté des Lettres de l'Université de Strasbourg, fascicule 116. Société d'édition : Les Belles Lettres. Paryż, 1952. Str. 111+746. 25.16.

idées philosophiques en Pologne sous Stanislas-Auguste et l'école varsovienne des Cadets" (R.L.C., 1935), interesował się działalnością w Polsce Jana Dubois de Jancigny (por. Jean Fabre, „Jean-Baptiste Dubois de Jancigny et son activité en Pologne"), a „Considérations" — „Uwagi nad rządem polskim" — Jana Jakuba Rousseau zamierza opublikować wkrótce w wydaniu krytycznym z komentarzami.

TŁO OGÓLNE

Książka p. Fabre'a kreśli postać Stanisława Augusta *na bardzo rozległym tle ówczesnych stosunków w Polsce* : umysłowych, literackich, artystycznych, politycznych, społecznych, a częściowo ustrojowych i gospodarczych (tych ostatnich mniej). Daje nader trafną charakterystykę społeczeństwa polskiego wieku 18-go w różnych jego warstwach ze szlachtą na czele (np. str. 36), rozumie rolę lóż masońskich w dziejach wieku 18-go w ogóle, a w sprawach polskich, zwłaszcza w związku z akcją rozbiorową w szczególności (por. str. 428, 496 i w. inn.). Zdaje sobie autor dokładnie sprawę z właściwości zasadniczych psychiczno-społecznych Polaków 18-towiecznych, ze specyficznego charakteru urządzeń ustrojowych Polski, tudzież z zaborczego dynamizmu jej sąsiadów, czego nieraz nie uświadomiali sobie lub nie chcieli uświadomić zarówno ludzie ówcześni, jak i późniejsi historycy. I to nadaje szczególną wartość książce, pisanej niezmiernie żywo i barwnie. Już same tytuły rozdziałów i podrozdziałów takie, jak : *Powrót prochów — Le retour des cendres,* nawiązujący do sprowadzenia prochów Stanisława Augusta w roku 1938 do Wołczyna (str. 1), lub *Filozof ukoronowany — Un philosophe couronné* (tytuł cz. II, str. 123), *Zwodnicze związki — Les liaisons décevantes,* stosunki z oświeconym Zachodem, na których tak zawiódł się Stanisław August (str. 292), *Duch i smak* (królewski) *L'esprit et le goût* (str. 365) : świadczą o dążeniu do barwności i plastyki w przedstawieniu rzeczy.

RODZINA KRÓLEWSKA

Znajdujemy też w książce omawianej tryskające życiem charakterystyki wybitniejszych postaci, przede wszystkim najbliższej *rodziny królewskiej.* A więc zwięzła, ale wyrazista zarazem jest charakterystyka ojca Stanisława Augusta. *Stanisław Poniatowski,* herbu Ciołek, ongiś towarzysz nieodstępny Karola XII, tęga głowa, polityk giętki, człowiek pod wielu względami niepospolity, mający rozgałęzione stosunki na Zachodzie, później kasztelan krakowski, członek „Familii", małżonek Konstancji Czartoryskiej, „chmury gradowej", jak ją nazywano w rodzinie, dla której do końca (ona zmarła w r. 1750, on w 1762) nie przestał żywić sentymentów najczulszych. Znany był już i dawniej, dzięki pięknej mo-

nografii Klemensa Kanteckiego (1880), ale p. Fabre zdołał wydobyć ze źródeł niejeden szczegół nowy i ciekawy (str. 125-133 et pass.).

Świetne też są charakterystyki *braci królewskich.*

Najstarszy spośród nich *Kazimierz,* ex-podkomorzy koronny, o dość poziomym charakterze i przeciętnym umyśle (str. 150 et pass.), utracjusz, wiecznie goniący za groszem, którego jedyną chyba zasługą było to, że był ojcem księcia Stanisława, podskarbiego wielkiego litewskiego, najświatlejszego, najbardziej w sensie dodatnim postępowego z Poniatowskich, a w którym jego ukoronowany stryj najchętniej widziałby swego następcę; ekspatriował się ks. Stanisław z czasem zupełnie, pomimo iż ojciec i rodzina ściśle z krajem i dworem związani byli. Dalej — *Andrzej,* generał austriacki, któremu zawdzięczał król, jak stwierdza p. Fabre, ,,pociechę swego życia i jedyną radość swoich lat ostatnich'', gdyż był on ojcem księcia Józefa, i w tym charakterze ks. Andrzej, ten trochę kondotier i prostak (str. 152), lecz człowiek uczciwy, przeszedł przede wszystkim do historii Polski. Wreszcie, najmłodszy i najwybitniejszy z braci królewskich *Michał,* opat czerwiński, biskup płocki, ostatecznie prymas ,odznaczający się hipertrofią krytycyzmu, uporem, ambicją, pewną oschłością, ,,którego ateizm nie był tajemnicą dla nikogo'' (str. 153), jak również ,,niewiara w Polskę'', lecz który — mimo to — położył wielkie zasługi na gruncie prac Komisji Edukacyjnej, jako protektor nauk, zawsze, w zakresie stosunków z Oświeceniem zachodnim, popierający króla. Był on jedną z postaci najbardziej niepopularnych swojego czasu; toteż przypisywano mu zgubny wpływ na króla, i tylko przez śmierć uszedł on zemsty ludu podczas insurekcji kościuszkowskiej w roku 1794, przy czym autor samobójstwo uważa w tym wypadku za bardzo prawdopodobne (str. 548). Nie mówi natomiast autor o tym, że Michał Poniatowski odegrywał przez lat szereg, choć tajemną, lecz ogromną rolę polityczną : był w Koronie kierownikiem partii ,,regalistów'', koronnej ,,partii dworskiej'', podobnym, jak podskarbi Tyzenhauz był na Litwie. Jest, w ogóle, szkodą niesłychaną dla nauki historycznej naszej, że dotąd nie posiadamy wyczerpującej monografii tej niewątpliwie bardzo ciekawej i wybitnej, choć mało pociągającej moralnie postaci, jaką jest Michał Poniatowski.

O sumienności autora w zakresie badań stosunków rodzinnych królewskich świadczy fakt, że w dziele jego znajdujemy nie tylko charakterystykę tych znanych braci królewskich, ale spotykamy dane szczegółowe o dwóch innych braciach, częstokroć przemilczanych przez historyków, o których nawet sam Stanisław August nie wspomina w swoich pamiętnikach.

Są to : drugi co do starszeństwa z kolei brat, *książę Franciszek,* chory na epilepsję, który jako kanonik krakowski, zmarł w roku 1758 w wieku lat 35-ciu (str. 151), i młody rycerski *Aleksander,* który będąc żołnierzem armii francuskej okrył się

chwałą wojenną i, nie doszedłszy lat 20-tu, zginął bohaterską śmiercią w Palatynacie w r. 1744 (151-2).

I *siostry królewskie* : starsza *Ludwika Zamoyska,* w rezydencji swej w Wiśniowcu snobująca na sawantkę i pięknoduszkę, ,,która na nieszczęście po swym drugim owdowieniu mogła zbyt wiele czasu poświęcić swemu królewskiemu bratu'' (str. 154), oraz *Izabela Branicka,* ,,pani krakowska'', ,,księżna filozofów'' na Białymstoku, mająca ,,więcej pozornej, lecz wcale nie rzeczywistej godności od siostry'', doczekały się szerszego uwzględnienia w książce p. Fabre'a.

Ale nie tylko rodzeństwo króla przedstawione jest w książce szczegółowo, obszerne ustępy poświęcone są *Czartoryskim, Augustowi* i *Michałowi,* ,,kochanym, lecz nie kochającym wujaszkom'', jak ich król nazywał, i całej ich ,,familii'', do której i król przez matkę należał (str. 125-57 et pass.).

I trzeba to przyznać, że Czartoryskich, może pod wpływem stanowiska wobec nich króla, aż nazbyt wyraźnie zarysowanego w jego pamiętnikach, potraktował autor z widoczną niechęcią, nieraz nie szczędząc im ostrych słów i nie zawsze zasłużonej przez nich przygany (str. 335 np.).

PRZEDSTAWICIELE SPOŁECZEŃSTWA

Poza tym zgoła wszyscy wybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa polskiego, których takie czy inne z królem wiązały stosunki — przyjazne czy wrogie — znajdują tu swoje charakterystyki, plastyczne i barwne zawsze, często obfitujące w szczegóły, wydobyte z listów, pamiętników i źródeł, małodostępnych niekiedy suto omaszczone pikantną anegdotą, a niemal bez wyjątku historycznie słuszne i całkowicie bezstronne.

Oto *Franciszek Bukaty,* wieloletni przedstawiciel interesów polskich w Anglii, ,,wcielenie czcigodnego w oczach angielskich patriotyzmu polskiego'', marzący stale o powrocie do cichego życia w swojej wsi rodzinnej (str. 420-421); oto *Ignacy Massalski,* biskup wileński, światły, ale i wad pełen, ,,więcej jeszcze niestały, niż fałszywy'', intrygant, pragnący zostać ,,polskim Mirabeau'' bez powodzenia (str. 272-73, 441-42 et pass.); *Jacek Ogrodzki,* najwierniejszy z wiernych, ,,poczciwy Ogroś'', niegdyś guwerner, z czasem sekretarz królewski (str. 159-161); *Feliks Oraczewski,* towarzysz Reytana na sejmie r. 1773, rektor Szkoły Głównej Koronnej w Krakowie, człowiek rzetelny, choć nie zawsze umiejący orientować się w sytuacji (469-71); albo ów ,,Bakchus nieświeski'', ,,pijak, głupiec, śmieszny, ale imponujący zarazem'', który po libacjach trzeźwiał w kaplicy, przy odmawianiu różańca (48 ss.), *Karol Radziwiłł ,,Panie Kochanku''; czy bracia Sułkowscy* (str. 264, 299-300, 467-8); *August,* człowiek o małpiej twarzy, prawdziwa ,,kopalnia projektów'', którymi był ,,nafaszerowany'', marzył, żeby zostać wobec Stanisława Augusta Cromwellem, gdy nie mógł być Colbertem,

i brat jego *Franciszek,* pretensjonalny elegant i niepoważny wojażer zagraniczny; *bracia Moszyńscy : August,* stolnik koronny, ,,wielki mistrz masonerii polskiej'', sknera i ,,antyklerykał napastliwy'', pragnący uchodzić za człowieka uniwersalnego, i *Fryderyk,* ,,osobistość okrzyczana'', ,,koślawy kutwa'', chciwiec i dusigrosz, zwany z tego powodu ,,percepta'', pedant, znienawidzony przez uczniów warszawskiego korpusu kadetów, którego był dyrektorem w zastępstwie księcia generała ziem podolskich, popadając w ustawiczne zatargi z profesorami korpusu (str. 264-65 et pass.).

A oto dwie, jakże plastycznie zarysowane postaci dwóch wybitnych pijarów ,,Sapere ausus'', *ksiądz Stanisław Hieronim Konarski,* którego działalność w różnych dziedzinach, a zwłaszcza w dziedzinie wychowania autor ceni niezwykle wysoko i sądzi, że wpływ jego przekroczył granice Polski i za pośrednictwem Leszczyńskiego, Coyer'a, Pyrrhys de Varilles'a oddziałał na formację niektórych poglądów Jana Jakuba Rousseau'a (str. 106-109, III-121 et pass.); oraz *ksiądz Antoni Popławski,* filozof, ekonomista i fizjokrata, którego od króla oddalała pewna surowość klasztorna i filozoficzna (str. 107, 439, 440). Za to wyjątkową sympatią króla cieszyli się trzej znakomici ex-jezuici : ,,kochany Naruch'' — *biskup Adam Naruszewicz,* historyk i pisarz, królowi całą duszą oddany, ,,drogi Piramek'' królewski, *Grzegorz Piramowicz,* zasłużony działacz Komisji Edukacji Narodowej, ,,tyleż subtelny duchowo, co szpetny cieleśnie'', wreszcie *ksiądz Marcin Odlanicki-Poczobut,* słynny astronom wileński (str. 439, 448 et pass.).

CUDZOZIEMCY

Swobodnie obraca się też autor wśród cudzoziemców, z którymi stykał się Stanisław August w swej przedkrólewskiej młodości, lub którzy służyli mu później, jako królowi, czy też bawili na dworze warszawskim chwilowo, bądź jako podróżnicy, ciekawi zwiedzić Polskę, bądź jako poszukiwacze szczęścia.

I tu znowu widzimy całą ogromną i jakże barwnie przez autora skreśloną galerię typów.

Rozpoczyna ją szereg ,,pożądanych i niepożądanych'' wychowawców przyszłego króla, jak zacny *ks. Allaire* o wielkich zaletach umysłu i serca, jego główny przez lat parę wychowawca (str. 162-66, 178, 603, 604...). Wśród zaś ,,niepożądanych'' przygodnych ,,mentorów'' umieszcza autor na miejscu naczelnym *Hermana Karola hr. Kayserlinga,* Kurlandczyka, ambasadora rosyjskiego w Polsce, jeszcze za czasów Anny Iwanówny (1730-40), ,,pół profesora, pół dyplomatę'', amoralnego, despotycznego, pedantycznego (str. 166-7); poza tym na liście wpływ ujemny wywierających ,,preceptorów'' króla w jego młodości wymienieni są tutaj :*Łukasz Toux de Salverte,* Szwajcar z pochodzenia , wojskowy z profesji, ,,matematyk królewski'' — jak

się tytułował, charakter dość mizerny, okultysta, ,,książę wtajemniczonych", w masonerii brat XXI-go stopnia i kawaler Różanego Krzyża (str. 95, 169-70, 496, 500...); i zwłaszcza *sir Charles Hanbury Williams*, ,,dowcipny, olśniewający i zepsuty", ,,dyletant", pozbawiony jakichkolwiek skrupułów moralnych, z którym przyszły król od roku 1750 pozostawał w ścisłych osobistych stosunkach ,zarówno w różnych krajach Europy Zachodniej, jak w Polsce i Rosji — oto byli ludzie, którzy kształtowali młodzieńczy umysł i charakter tego, co miał zasiąść na tronie, i oni to, szczególnie zaś Williams, ku nieszczęściu swego pupila, nauczyli go ,,realizmu", jaki otwierać będzie przed nim nieraz dwuznaczną drogę postępowania, jeżeli nie wręcz prowadzącą do hańby (str. 170-175 et pass.).

Dalej idzie *legion cudzoziemców, zatrudnionych w służbie zagranicznej, dworskiej, osobistej i wszelkiej innej.*

Oto margrabia i arcybiskup, a później niefortunny kardynał, *Tomasz Antici*, przedstawiciel interesów Polski przy Stolicy Apostolskiej, kosztowny, ale nie nazbyt lojalny wobec swej mocodawczyni, bo marzący o zostaniu oficjalnym ambasadorem Rosji przy Watykanie (str. 421-22). Dalej kroczą inni : *Maurycy Glayre*, rodem Szwajcar, cieszący się wielkim zaufaniem u króla, przedstawiciel jego w Paryżu, wielki mistrz Wielkiego Wschodu w Polsce (str. 426-7 et pass.); oraz następca jego nad Sekwaną *Filip Mazzei*, Florentyńczyk, ,,powstaniec" i radykał, dobrze widziany w kołach radykalnych Francji przedrewolucyjnej i rewolucyjnej (str. 350-1, 507-22 et pass.), i trzeci rezydent polski we Francji *Lewis Littlepage*, awanturniczy Amerykanin, któremu król okazywał stanowczo więcej życzliwości i zaufania, niż ta niepewna moralnie i umysłowo osobistość zasługiwała (str. 427-8, 501, 507 et pass.).

Spośród tych cudzoziemskich przybyszów, niezwykle licznych, którzy stale otaczają osobę Stanisława Augusta w Warszawie na funkcjach przeróżnych, przesuwają się poprzez karty książki : *Chrystlan Samuel Friese*, Sas, używany do posług najrozmaitszych, archiwista nadworny, niegodny zaufania, okazywanego mu przez króla, lecz spisujący jego pamiętniki i towarzyszący mu aż do śmierci (str. 401 et pass.), lub taki *Józef Duhamel*, którego funkcje były równie mało określone, jak Friese'go, wiecznie nazywany : ,,ten młody Francuz ", pretensjonalny pyszałek, kobieciarz, zawsze zadłużony po uszy, pracujący w bibliotece, w koncelarii, przy budowie, w ogrodzie... wszędzie (str. 398, 401-2 et pass.); czy też taki *Marek Reverdil* z Genewy, wielbiciel Russa, zuchwały, upadły moralnie, bibliotekarz królewski, używany do misji poufnych, lecz uważający siebie i uważany przez lat dwadzieścia za najautentyczniejszego na gruncie warszawskim przedstawiciela zachodnio-europejskiego Oświecenia ! (str. 402-205, 460...). Do tzw. ,,kliki włoskiej" na dworze warszawskim należeli, jakże barwnie przez p. Fabre'a przedstawieni : *ks. Carlo Benvenuti*, dworak-pochlebca, służący do wszystkiego i do niczego (str. 406-407); *Marcello Baccia-*

relli, znany artysta malarz, ,,odziedziczony" przez Stanisława Augusta po Auguście III, ,,gotów malować wszystko, czego by tylko chciano, szybko i w sposób najbardziej pochlebny" dla pozującego lub zamawiającego (str. 389-90); *ks. Gaetano Ghigioti,* obdarzony w r. 1768 indygenatem polskim, kanonik warmiński, ulubieniec dam, salonów warszawskich i króla, ,,głowa lekka, wolna od ciężkich skrupułów", miłośnik gry kartowej, stąd w ustawicznej będący potrzebie pieniędzy, lecz inteligentny i pracowity sekretarz korespondencji z Kurią rzymską (str. 407-408 et pass.); i wreszcie najszlachetniejszy chyba pośród nich, który, pomimo krótszego od tamtych w Polsce pobytu, najszczerzej się do niej przywiązał i najwięcej swej przybranej drugiej ojczyźnie zasłużył — *ks. Scypion Piattoli* (str. 385, 408-418 et pass.).

Daje też wśród cudzoziemców autor obszerny obraz wszelkiego rodzaju szarlatanów, oszustów, szachrajów, hulaków, wydrwigroszów, karciarzy, awanturników, obieżyświatów, jak ,,wielki" Casanova, Cagliostro, rzekomy ,,Castrioto, książę albański", kawaler d'Eon i wielu, wielu innych, o których żywo opowiada nam autor w różnych ustępach książki, lecz zwłaszcza w rozdziale *La ruée des aventuriers — Najście poszukiwaczy przygód* (str. 281-291), którzy Polskę uważali za jakieś Eldorado dla siebie i próbowali szczęścia, trzeba to przyznać, często przez czas dłuższy i w sposób niepojęty korzystając z dobrotliwych a naiwnych względów królewskich.

PRZDSTAWICIELE ,,OŚWIECENIA"

A poza nimi przedstawia p. Fabre świat tych, którzy reprezentowali istotnie ,,les lumières" — oświecenie europejskie ówczesne.

Voltaire, d'Alembert, Diderot, Grimm, Holbach : wszystko to byli ludzie, o których opinię ubiegał się Stanisław August usilnie i sądził, że ich zdanie zaważyć może na decyzjach europejskiego świata politycznego i jego stosunku do Polski. Autor opisuje szczegółowo tych ludzi ,,Oświecenia" i środki, stosowane przez króla, a zmierzające ku ich pozyskaniu.

Niestety, był to świat wprawdzie intelektualnie przodujący Europie Zachodniej, ale *moralnie stojący niesłychanie nisko,* cyniczny, pozbawiony skrupułów etycznych, sprzedajny i dający się kupić więcej dającemu. Autor zna ich doskonale, i co do ich wartości etycznej, a jednocześnie i w pewnej mierze naiwności, dającej się podejść łatwo Fryderykowi czy Katarzynie, co do ich uwielbienia siły materialnej i — powiedzmy — doktrynerskiego fanatyzmu wolnomyślicielstwa (,,leur fanatisme à rebours", str. 248, ,,le fanatisme de la philosophie", str. 308) : nie ma żadnych wątpliwości. Wie też autor, że nienawiść, *pogarda do Polski* była w sercach ,,filozofów" ówczesnych *nie do wykorzenienia* (,,le mépris de la Pologne était indéracinable au coeur de la ,,philosophie", str. 310). Dlaczego? bo Polska była słaba i w ich

oczach nazbyt hołdowała ,,przesądom kościelnym'', a walkę o niepodległość swoją w konfederacji barskiej łączyła z żarliwością katolicką...

Ocena *Voltaire'a,* oparta na trafnym rozróżnieniu w nim wielkiego pisarza i zarazem małego, lichego człowieka, czciciela potęgi, przedajnego pochlebcę, (,,venal et flagorneur comme un parasite'', str. 313); charakterystyka *Diderot'a,* zjednanego całkowicie przez Katarzynę, która nabyła lekceważony przez bibliofilów paryskich jego księgozbiór za cenę niepomiernie wyższą od tej, jaką by mógł otrzymać w Paryżu, zyskując w nim odtąd ,,piewcę swej wielkości'' (str. 340-42 et pass.); a zwłaszcza obraz *Melchiora Grimma,* istotnego ,,promoteur des lumières'' 18-towiecznego, opanowanego prawdziwą pasją nienawiści do kościoła rzymskiego i namiętnym kultem wszelkiej siły, a pogardą dla słabości, jednego z najlichszych ludzi owego czasu (str. 331-352 et pass.) : należą do najświetniejszych kart książki p. Fabre'a.

Jakże bardzo pragnął tych ,,arbitrów opinii filozoficznej'' pozyskać sobie, zjednać dla swych planów reformatorskich, odwrócić nawet przy ich pomocy, jak się naiwnie łudził, niebezpieczeństwo prusko-rosyjskie od Polski, Stanisław August; prowadził z nimi korespondencję, nawiązał kontakty osobiste, wydawał nawet na nich pod różnymi pretekstami znaczne sumy, jednak, oczywiście, całkiem bezskutecznie, gdyż tym ludziom imponowała przede wszystkim siła militarna i materialna tudzież frazes liberalistyczny. A tej pierwszej król polski nie posiadał, zaś frazesem liberalnym któż zjadliwiej pognębić mógł przeciwnika, niż ,,Wielki'' Fryderyk, i któż mydlił oczy obłudniej i wprawniej niż Semiramida Północy?! Zaprawdę, z góry przewidzieć można było — jak to wykazuje autor — że wszelkiemu występkowi, nawet zbrodni, dokonywanej na Polsce przez despotyczną siłę w imię rzekomego postępu i liberalizmu, ,,filozofowie'' albo będą przyklaskiwali, albo co najwyżej umyją ręce (str. 250).

Świetna jest też charakterystyka — chyba po raz pierwszy w nauce historycznej przedstawiona tak wnikliwie — owej bogatej mieszczki paryskiej ,,*mateczki Geoffrin*'', tej ,,reine-mère de la Pologne'', jak ją nazywano, która chciała uchodzić za łączniczkę między Stanisławem Augustem i Polską a paryskim światem ,,Oświecenia'', i w charakterze ,,l'ambassadrice des lumières'' — wysłanniczki oświecenia — narzuciła się królowi ze swoim przyjazdem do Warszawy, najniefortunniejszym, gdyż rozczarował on obie strony i bardzo rozluźnił, oziębił, uczynił zgoła konwencjonalnymi dalsze między nią a królem stosunki (str. 192-194, 292-312 et pass.).

I na tym tle powiązań ,,Oświecenia'' ówczesnego ze Stanisławem Augustem i Polską przedstawia nam autor jakże odmienny ich stosunek do Fryderyka i Katarzyny II.

Autor ma ich oboje, Fryderyka i Katarzynę,za cyników (str. 285), uważa, że są oni ,,*escrocs et profiteurs des lumières*'' — oszustami i paskarzami Oświecenia (str. 552), którzy wyzy-

skiwali bezwstydnie („sans pudeur") hasła tego „Oświecenia" na rzecz despotyzmu i swoiście pojętej zaborczej racji stanu (str. 255). Ustalone też ma przekonanie w sprawie stosunku tej ukoronowanej pary do Polski. Przecież dla Fryderyka naród polski był „la plus fine canaille, la dernière nation de l'Europe et la plus avilie" — „najprzebieglejszą kanalią, ostatnim z narodów europejskich i najpodlejszym" (str. 248); nie lepsze i nie wyższe miała o nim pojęcie i „Semiramida Północy", niejednokrotnie dająca temu wyraz (str. 352).

I na tym punkcie *pogardy i nienawiści do narodu polskiego spotykali się* obaj ci ukoronowani *przedstawiciele absolutyzmu z przedstawicielami „Oświecenia"* zachodnio-europejskiego. I do nich to właśnie Stanisław August zwracał się nieraz, wyobrażając sobie, że przy ich pośrednictwie zarówno u króla pruskiego, jak i u imperatorowej, wyjedna jakieś ustępstwa, jakąś sąsiedzką życzliwość dla Polski, którą za wszelką cenę chciał ratować. Oczywiście, były to czyste złudzenia i marzenia, zgoła nie realne.

◆

Jakże na tym tle w dziele p. Fabre'a przedstawia się *postać Stanisława Augusta, jako nie tylko tytułowanego, ale i głównego w istocie bohatera całości?*

Już parokrotnie w większych i wnikliwych lub mniejszych recenzjach o dziele p. Fabre'a spotkać się można ze zdaniem, że autor daje tu charakterystykę i ocenę Stanisława Augusta tak pochlebną, iż uważać ją właściwie należy za apologię jego (por. np. „Wiadomości" Nr 43/343, 1952, Stanisław Mackiewicz — „Wielkie dzieło Francuza o Polaku").

Istotnie, stanowisko autora wobec tej postaci dziejowej jest nader przychylne; korzysta też on jak najobficiej z *pamiętników królewskich,* pisanych, wzorem Cezara i późniejszych Napoleona, w osobie trzeciej, a utrzymanych w tonie *jednostronnie apologetycznym.* Groziło historykowi, na pamiętnikach tych, jako na podstawowym źródle opierającemu się, że, pod ich wpływem sam, wpaść może w ton podobny, i da obronę, apologię Stanisława Augusta — nazbyt chwalczą i stronniczą, niemal że idealizującą.

Tak wszakże nie jest. Uchroniła autora przed tym niebezpieczeństwem *rzetelność naukowa i wszechstronne korzystanie ze źródeł.*

Oprócz pamiętników królewskich, autor uwzględnia tysiące materiałów innych, zarówno pochodzących od samego Stanisława Augusta i jego stronników, jak i od przedstawicieli obozu przeciwnego, usiłuje niczego nie opuścić,o niczym nie zapomnieć i, wznosząc się ponad całość materiałów, wydać sąd całkowicie bezstronny.

Bo też ilość i jakość materiałów, przez autora zgromadzonych, jest zdumiewająca.

Autor zna, oczywiście, całą bogatą literaturę przedmiotu; oprócz innych badaczy (np. prof. Kota), ceni zwłaszcza wysoko sąd *prof. Konopczyńskiego* (np. str. 117), *może nie docenia* i stawia nazbyt w cieniu sądy o ludziach i wyniki badań *prof. Tadeusza Korzona,* które dla czasów Stanisławowskich, a też i dla osoby Stanisława Augusta, mają przecie dotychczas epokowe znaczenie.

Nie tylko uwzględnia większe prace, a i pomniejsze studia dawnych uczonych jak : Askenazy, Smoleński, Kalinka, Kraushar, Gubrynowicz, Batowski, Mańkowski i inni, ale też rozprawy i rozprawki młodych pracowników naukowych z lat ostatnich, przedwojennych i powojennych, polskich i francuskich, że przytoczę tu dla przykładu tylko : pracę Melanii Skorzepianki o ,,Feliksie Oraczewskim, rektorze Krakowskiej Szkoły Głównej" (Kraków, 1935), oraz Heleny Rządkowskiej pt. ,,Stosunek polskiej opinii publicznej do Rewolucji Francuskiej" (Warszawa, 1948), tudzież z francuskich : prace p. Ambroise Jobert'a : ,,Magnats polonais et physiocrates français (Dijon, 1941) oraz tegoż ,,La Commission d'Education Nationale en Pologne" (Dijon, 1941).

Szczególną zaletą autora jest jego wyjątkowo gruntowna znajomość i oczytanie w literaturze pamiętnikarskiej i epistolograficznej, zwłaszcza zaś *broszurowej i pamfletowej francuskiej 18-go wieku,* traktującej o sprawach polskich (por. np. str. 574 et pass.), przy czym zdradza on słusznie wiele nieraz krytycyzmu i nieufności w stosunku do podróżników cudzoziemskich, opisujących Polskę, i w ogóle do wiadomości o Polsce, podawanych przez cudzoziemców (jak Coxe, Coyer, czy artykuły ,,polskie" w ,,Encyklopedii" francuskiej (np. str. 24, 25, 26 et pass.).

Takie wydawnictwa, jak ,,Sbornik" Cesarskiego T-wa Historycznego Rosyjskiego, który w 130 przeszło tomach ileż pierwszorzędnego materiału do dziejów polskich zawiera, chociażby w tomach korespondencji Katarzyny z Grimmem, ,,Archiwum Woroncowa", wielotomowa korespondencja Fryderyka Wielkiego : wszystko to zostało przez autora szeroko uwzględnione i w zakres badań wciągnięte...

A poza tym *materiał archiwalny, rękopiśmienny,* jakże obficie korzysta z niego autor, cytując nieraz ustępy z nieznanej dotąd korespondencji, z pamiętników, i jakże bardzo ożywia przez to swoje wywody, zbliżając czytelnika w sposób bezpośredni do ludzi 18-go wieku.

P. Fabre przyznaje, że zainteresowania Stanisława Augusta były tak wszechstronne, stosunki z najprzeróżniejszymi ludźmi w różnych krajach tak rozległe, i że materiały odnośne są rozrzucone i dają się znaleźć niemal wszędzie, we wszystkich krajach i w zbiorach, w których by tego najmniej spodziewać się można.

Oprócz archiwów francuskich (zwłaszcza Ministerstwa Spraw Zagranicznych), i niektórych angielskich i niemieckich, przeprowadził autor badania *niemal we wszystkich ważniejszych*

zbiorach rękopiśmiennych polskich. Żałować jedynie należy, iż okoliczności nie zawsze pozwoliły autorowi wyzyskać *w całości materiały* danego zbioru rękopisów : np. w spisie materiałów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie (str. 688-91), pominięte zostały tomy 714, 718, 720, zawierające korespondencję Stanisława Augusta z Antonim Tyzenhauzem (nieraz w minutach własnoręcznych królewskich), związaną często ze stosunkami króla z Europą Zachodnią. Szkoda również, że nie sięgnął p. Fabre do zbiorów T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie (co za pobytem jego w Polsce przed r. 1939 zasadniczo było możliwe), a które posiadały między innymi nader ciekawą (może dzisiaj już zaginioną) kilkotomową korespondencję biskupa Ignacego Massalskiego, dotyczącą też relacji polskich z zagranicą w epoce Stanisławowskiej.

Natomiast wielką zasługą autora jest, że był on jednym z pierwszych badaczy tej epoki, którzy mieli możność w pracy swojej szeroko uwzględnić *Zbiór Popielów,* mieszczący się w okresie niepodległości w Archiwum Głównym w Warszawie i stosunkowo od niedawna dopiero udostępniony pracownikom naukowym. Ma on dla czasów Stanisława Augusta, a w szczególności dla stosunków króla z przedstawicielami Oświecenia, znaczenie pierwszorzędne.

◆

Ten bardzo obfity i różnorodny materiał źródłowy, z którego autor korzystał, sprawił, *że zdołał on ustrzec się wszelkiej jednostronności w ocenie Stanisława Augusta,* zwłaszcza jednostronności panegirycznej.

Zapewne, *widzi w nim wiele wyjątkowych zalet :* wie, że jest — pomimo wszystko — wyższy moralnie i od Fryderyka i od Katarzyny (str .482) podkreśla niejednokrotnie jego szczere przejęcie się duchem oświecenia, jego niezwykle żywą i chłonną inteligencję z wielkim uznaniem mówi o jego uprzejmości, darze ujmowania sobie ludzi : Ségur mówił o Stanisławie Auguście, ,,umiał się on podobać, ale nigdy nie umiał rozkazywać'' (str. 482). Wysoko ceni jego zdolności krasomówcze (str. 373-4), jego wybitny ,,styl epistolarny'', i, o ile o listy francuskie chodzi, powołuje się na kompetentne w tym względzie zdanie Gustawa Lanson'a (str. 377 i przyp. 42 na str. 650), sądzi wszakże iż nadmierna obfitość korespondencji Stanisława Augusta wpływała na jej nieco zbytnią powierzchowność.

Natomiast nie ma dość słów podziwu dla Stanisława Augusta, jako dla *pamiętnikarza.* Pamiętniki te, które, niestety, dotychczas drukiem ogłoszone są ,,bez ostatniego rozdziału'', czy raczej tomu, bez ostatniego osiemnastolecia życia króla, bez lat 1780-1798, i urwane są na roku 1780, w połowie panowania jego, uważa autor za źródło niezmiernie ważne dla siebie, poza tym jednak dopatruje się w nich *wysokich walorów literackich* i cech najlepszych ,,memuarzystów'' czy ,,moralistów'' francuskich (jak np. La Rochefoucauld, La Bruyère i inni), bez ich

ślepego naśladowania, tak iż, zdaniem p. Fabre'a, poza swoim ,,historyzmem'', nader wartościowym i niezrównanym, posiadają one ,,Le charme de roman intime'' oraz ,,une incontestable originalité'' i stoją na pograniczu wielkiej sztuki (str. 375-6).

Można, oczywiście, być bardziej powściągliwym w osądzie zalet narracyjno-literackich pamiętników Stanisława Augusta, jednak bezsprzecznie i słusznie, wraz z p. Fabre'em, uznać w nich trzeba pierwszorzędne źródło historyczne, aczkolwiek, jak ogromna większość pamiętników, mocno subiektywne.

ZAINTERESOWANIA KULTURALNE

Podnosi też autor z całym uznaniem ogólne *zainteresowania kulturalne* Stanisława Augusta, jego usiłowanie stworzenia na Zamku w Warszawie gabinetu przyrządów fizycznych i technicznych o zastosowaniu praktycznym, zainicjowanie sporządzenia mapy Polski (str. 380)... Marzył także król o stworzeniu wielkiej encyklopedii o charakterze praktycznym i postępowym (str. 385-386), o kolegium medyko-ekonomicznym w Warszawie (str. 435), o ,,Universitas Generalis Poniatoviana'' w Warszawie (str. 436), brał do serca sprawy Komisji Edukacji Narodowej. Bo sprawy polityczne były tak pogmatwane i tragiczne, iż w Polsce, jak mawiał król, ,,pozostawały nam tylko sprawy wychowania : to kłaść trzeba było ponad wszystko, interesować się tym nieustannie''... To jedynie miało wydać, choć dopiero w zasięgu długofalowym, skutki dodatnie (str 445 et pass.).

Wszystko to pozwala autorowi słusznie stwierdzić, że Stanisław August był rzeczywistym *,,prekursorem nowoczesności''* w Polsce i uważał to niejako za hasło swego panowania (str. 435 i pass).

HUMANITARYSTA I NIEPODLEGŁOŚCIOWIEC

Do zalet króla zalicza też autor *humanitaryzm* jego i chęć *świadczenia dobra* innym, dostrzega w nim nawet wysokie *poczucie* zasadniczych *interesów państwa* (str. 414), zwłaszcza od czasu, kiedy stał się ukoronowanym tego państwa przedstawicielem, zaś w zbliżeniu się Stanisława Augusta do kół Oświecenia europejskiego widzi nie tylko dogadzanie skłonnościom osobistym, lecz sądzi, iż przez to szukał on ratunku i zbawienia dla Polski (chciał ,,sauver la Pologne par les lumières'' (str. 23), w czym się zresztą, jak widzieliśmy, całkowicie i gorzko pomylił.

Poczytuje autor Stanisławowi Augustowi za wielką zasługę, z czym się, jak sądzę, trudno z autorem zgodzić, iż przez swoją dyplomatyczną ustępliwość i uległość wobec Rosji opóźnił ostateczną zagładę Polski przez rozbiory przynajmniej o lat 20 (str. 241). Jednocześnie, *jako najwyższą pochwałę niepodległo-*

ściowego stanowiska króla i dążenia jego do zrzucenia jarzma zależności od Rosji, przytacza zdanie Konopczyńskiego, iż chciał Stanisław August porozumieć się z kołami kierowniczymi konfederacji barskiej, oraz słowa, wyrzeczone do niego przez Stakkelberga, iż król jest w gruncie rzeczy i w duchu ukrytym konfederatem barskim : ,,Vous êtes vous-même Barien dans l'âme'' (str. 239).

ZASŁUGI NIE ZASŁUŻONE

Natomiast, *na apologię króla, cokolwiek przesadną i niesłuszną,* bo nie opartą na faktach ścisłych, *wygląda przypisywanie wszystkich niemal dodatnich objawów działalności narodowej ówczesnej — inicjatywie i dobrej woli,* planowym zamierzeniom i akcji *królewskiej.*

Trudno np. uznać za słuszną opinię, że to Stanisław August dopiero wypowiedział *walkę takim fetyszom narodowym,* jak ,,liberum veto'' lub twierdzenie, że ,,Polska nierządem stoi'' (str. 40), przecie występowano przeciwko nim i dawniej i niezależnie od Stanisława Augusta. Cała *działalność Komisji Edukacji Narodowej,* aczkolwiek niewątpliwie szła po linii dążeń królewskich, jednak rozwijała się, zarówno w samej Komisji, jak i w Towarzystwie dla Ksiąg Elementarnych dość niezależnie od króla i jego inicjatywy, wbrew temu, co autor na ten temat utrzymuje (str. 436-446). *Nawet znaczny przyrost ludności* Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta, spowodowany ogólnym wzrostem dobrobytu, nawet wzrost dochodów skarbowych przypisuje autor Stanisławowi Augustowi (str. 467), chociaż wpłynęły na to liczne i rozmaite czynniki, i kto wie, czy osoba króla i jego inicjatywa nie gra tu o wiele mniejszej od innych czynników roli.

Nie podobna też uważać za dzieło inicjatywy Stanisława Augusta — kanału Ogińskiego, jak to czyni autor, sądząc przy tym błędne, że służy on połączeniu Wisły z Prypecią (str. 463-464). Kanał ten jest zarówno w zamiarze, jak i w wykonaniu zasługą hetmana wielkiego litewskiego Michała Ogińskiego : jego kosztem, przez jego dobra Łohiszyńskie i według jego planów był przeprowadzony. Już raczej z osobą króla związana być może tak zwana ,,kopanica Muchawiecka'', o lat dziesięć z górą późniejsza od kanału Ogińskiego, a która w wyniku dała tzw. kanał Królewski, o którym autor nic nie mówi. Kanał ,,Królewskim'' zwany, łączący Pinę z Muchawcem, a więc pośrednio Dniepr i Prypeć z Wisłą, powstał wprawdzie z inicjatywy ekonomicznej litewskiej Tyzenhauza, ale przeprowadzony był przez ekonomię królewską Brzesko-Kobryńską, został przez króla uroczyście otwarty, i przynajmniej formalnie uchodzić może za dzieło króla. Mówiąc o *uniwersytecie wileńskim* (str. 551), który Stanisław August odwiedzał w roku 1797, w ostatniej swojej drodze, jadąc z Grodna do Petersburga, na wezwanie cesarza

Pawła, powiada autor o tej uczelni : ,,c'était son oeuvre'' — wcale niesłusznie, gdyż uniwersytet wileński komu innemu o wiele więcej miał do zawdzięczenia, niż Stanisławowi Augustowi...

Można by przytoczyć sporo podobnych przykładów *,,nie zasłużonych zasług''*, za które Stanisław August odbiera od autora nie zupełnie zasłużone pochwały. Poprzestaniemy na jednym jeszcze fakcie : profesor Fabre wyraża uznanie dla humanitaryzmu i *postępowego społecznie stanowiska króla w sprawie włościańskiej.*

KRÓL A WŁOŚCIANIE

Istotnie, za Stanisława Augusta nie jedna postępowa i pożyteczna społecznie reforma w stosunkach włościańskich dokonana została w wielu dobrach ówczesnych. Stanisław August przyjmował je do wiadomości z zadowoleniem wyrażał też niejednokrotnie pełne współczucie dla stanu włościan i humanitarne poglądy, pisząc np. w liście do Tyzenhauza, że za największą miałby sobie hańbę, gdyby ktokolwiek z włościan królewskich miał słuszny powód skarżyć się na pana swego, oraz gdyby czyikolwiek włościanie mieli się lepiej od królewskich... Jednak, jak wiadomo, przynajmniej w części dóbr, zależnych od siebie, mianowicie niemal na całym ogromnym obszarze (z małymi wyjątkami) ekonomij, czyli dóbr stołowych, litewskich, przyzwolił na to, iż administracja królewska, dla podniesienia dochodów królewskich, zniosła istniejącą tutaj od roku 1680, od czasów Jana III Sobieskiego *gospodarkę czynszową,* i wprowadziła zamiast niej *gospodarkę pańszczyźniano-folwarczną,* opartą na ściślejszym wyzyskaniu pracy ludności chłopskiej ekonomicznej. Mogę tu powołać się na moją pracę pt. ,,Ze studiów nad dziejami ekonomij królewskich na Litwie'', wydaną w Wilnie jeszcze w roku 1914, na przedwojenne wydanie ,,Zarysu historii gospodarczej Polski'' profesora Jana Rutkowskiego oraz D. Pochilewicza ,,Pierewod gosudarstwiennych krestian Wielikaho Kniażestwa Litowskaho s otrabotocznoj renty na dieniežnuju w XVII w.''. Istoriczeskije zapiski, Moskwa, 1951.

Zaprowadzenie po ekonomiach, zamiast gospodarstwa czynszowego, ponownie robocizny pańszczyźnianej, ograniczającej wolność rozporządzania swoim czasem i osobą, a więc wolność osobistą włościan ekonomicznych, było zjawiskiem dziwnym i uderzającym, wobec całkiem odmiennej tendencji, istniejącej (pod wpływem fizjokratyzmu) w drugiej połowie wieku 18-go w całej Rzplitej.

Przypomnijmy tu sobie, chociażby działalność emancypacyjną w stosunku do włościan Pawła Brzostowskiego w Pawłowie pod Wilnem i jego ,,Rzeczpospolitą Pawłowską'', biskupa Massalskiego w dobrach Ihumeńskich i gdzie indziej oraz Chreptowicza w Szczorsach, lub bratanka królewskiego Stani-

sława Poniatowskiego w dobrach Korsuńskich... To zaś, co działo się za pozwoleniem Stanisława Augusta w zależnych od niego i dla zwiększenia jego ,,stołowych'' dochodów w ekonomiach królewskich na Litwie, było *sprzeczne z tą postępową tendencją emancypacyjno-społeczną,* a jednak się działo!... Zwiększenie doraźnej bowiem rentowności, uzyskanej chociażby drogą pewnej *akcji wstecznej społecznie,* dla takiego, wiecznie będącego w kłopotach pieniężnych utracjusza, jak Stanisław August, było argumentem aż nazbyt przekonywającym, wobec którego często ustąpić musiały i uczucia, żywione w sercu, i nawet bardzo liberalne poglądy, wyrażane bądź na obiadach czwartkowych, bądź w listach do ,,mamy Geoffrin'' lub do samej ,,Semiramidy Północy''.

Daleki wszakże jest profesor Fabre od bezwzględnie chwalczej apologii króla. Podkreśla wiele rysów ujemnych jego psychiki i charakteru, i jako człowieka i jako króla.

Z powodu pobytu jego w Petersburgu (str. 213) mówi o Stanisławie Auguście, jako o młodym człowieku przede wszystkim *amoralnym,* który w Rosji nie interesuje się niczym poza intrygą i przyjemnością, ma oczy zamknięte na wszystko inne, a zwierzenia jego o tym pobycie i o stosunku z przyszłą cesarzową Katarzyną, nawet na tle życia ludzi wieku 18-go, wywołują, zdaniem autora, wręcz obrzydzenie (,,écoeurement'' — str. 217). Zachowanie się stolnika litewskiego, przyszłego króla, na zerwanych sejmach roku 1761 i 1762 uważa za *haniebne* (str. 209-10). *Ocenia bardzo krytycznie obfitość jego romansów i miłostek,* tak nieraz kosztownych, tak deprawujących otoczenie, tak gorszących patriarchalną opinię kraju, tak kompromitujących jego osobę i tak bardzo niewczesnych, i z powodu straszliwej tragedii, przeżywanej przez kraj, i ze względu na stanowisko tego śmiesznego króla słońca — ,,ce roi soleil dérisoire'' (str. 228), który był mężem nie tylko pani Grabowskiej, owej swojej ,,ciężkiej, ograniczonej, lecz spokojnej i bardzo przeciętnej pani Maintenon'', lecz — jak mówi Wybicki — chciał być czy ,,był mężem żon wszystkich'' (str. 228 oraz przyp. 53 na str. 615).

KRÓL A SZTUKA

Walczy ze zdaniem, że Stanisław August był artystą, zabłąkanym do polityki (,,un artiste égaré dans la politique'' — str. 386) : sądzi, że jest to zdanie, które ostać się nie może przy cokolwiek chociażby bardziej wnikliwym badaniu. Stwierdza u *Stanisława Augusta całkowitą nieznajomość dawnej literatury polskiej* (np. Kochanowskiego — str. 211-12), *obojętność dla poezji i muzyki :* poezja i muzyka to dla niego świat zamknięty; jeżeli miał on kapelę nadworną, to tylko dlatego, że wypadało ją mieć, lecz nie interesował się nią głębiej wcale (str. 386). Podobnie było i z teatrem : *i teatr również nie miał w królu ani szczególnego miłośnika ani znawcy;* a za zasługę autor poczy-

tuje mu to chyba, iż nie ośmieszał się osobistymi występami na scenie, jak to czynił niegdyś Ludwik XIV (str. 371-372).

Co do *architektury*, uważa p .Fabre, że to August III był promotorem stylu w budownictwie Warszawy, który niesłusznie otrzymał imię Stanisława Augusta, a nawet obecność w Warszawie Canaletta, Bacciarellego, i innych, przypisuje zasłudze raczej Augusta III, po którym ich odziedziczył jego następca (str. 51).

W ogóle, wbrew powszechnie przyjętemu mniemaniu, i wbrew opinii o sobie króla, autor *odmawia* mu w dziedzinie sztuk plastycznych znajomości rzeczy i gustu : sześć fałszywych Rembrandtów i jeden fałszywy Leonardo da Vinci, w zbiorach królewskich, nagromadzenie ,,pêle-mêle'' bez smaku i logiki obrazów wartościowych obok żadnych co do wartości w Łazienkach — najlepiej tego, zdaniem autora, mają dowodzić (str. 392). Gromadząc te dzieła sztuki, jak i słynny zbiór rycin, Stanisław August był, według surowego osądu p. Fabre'a, *nie tyle miłośnikiem sztuki i artystą, ile raczej kolekcjonerem*, któremu chodziło więcej o ilość okazów, niż o ich jakość, a zbiory królewskie miały znaczenie przede wszystkim, jako pewnego rodzaju *manifestacja symboliczna*, a nie istotna wartość artystyczna.

Coś analogicznego widzimy w księgozbiorze królewskim : Stanisław August gromadził go stale i znacznym kosztem, i zgromadził książek dużo; jednak i w tej dziedzinie dopatruje się autor nie zamiłowanego bibliofila, lecz raczej *kolekcjonera nowości bieżących*, które go interesowały z różnych względów życiowych bieżących. Analiza wykazu katalogowego książek Stanisława Augusta ma tego, według autora, niezbicie dowodzić (str. 377-379).

Autor mówi, jak widzieliśmy, o żywości umysłu Stanisława Augusta, o jego interesowaniu się wszystkim : literaturą, naukami ścisłymi, polityką, ekonomią, historią, podróżami, anegdotami czy plotkami całej Europy. O wszystkim król umiał mówić przyjemnie; ale, *niestety, niczego, dosłownie niczego* (z pewnym chyba zastrzeżeniem co do prawa i ekonomii) *nie znał gruntownie*. I tu przytacza profesor Fabre surowe zdanie Moszczyńskiego, wyrażone w jego ,,Pamiętnikach'', że, przy swoich właściwościach duchowych, mógł być Stanisław August przy boku wielkiego monarchy wspaniałym jego sekretarzem lub mistrzem ceremonii (str. 230 przyp. 59 na str. 616), zdanie, które, nawiasem mówiąc, uderzyło, przy całej uszczypliwości, swoją trafnością niegdyś już Korzona.

,,Mało energii, dużo oświecenia'' — tak mówi o Stanisławie Auguście Ségur, i inni historycy powtarzają je za nim. Przytacza też je i p. Fabre, który ponadto widzi w Stanisławie Auguście zdolność raczej poddawania się wypadkom, niż panowania nad nimi, i ,,patriotyzm całkowicie oportunistyczny'' (str. 231, 232).

Tego rodzaju sądy o Stanisławie Auguście w dziele p. Fabre'a dowodzą bezstronności jego wniosków.

O sądzie p. Fabre'a, który mógł już uwzględnić nowe źródła, nieznane Korzonowi, przede wszystkim pamiętniki królewskie, *powiedzieć by należało, iż jest on wolny od namiętnej surowości Korzona, ale też i od nadmiernej niekiedy pobłażliwości sądów publicystyczno-historycznych,* że usiłuje on słusznie suum cuique tribuere, alterum non laedere...

Profesor Fabre jest *pełen życzliwości dla Stanisława Augusta* i ta życzliwość powoduje ostre jego wystąpienia *przeciwko ,,bezlitosnemu'' Rulhière'owi,* autorowi słynnej ,,L'Histoire de l'anarchie de Pologne'', którego sądy, tak królowi niechętne, stały się podstawą dla wielu późniejszych jego ujemnych charakterystyk (str. 6-11, 188 et pass.). Współczuje tragicznej sytuacji, która wywoływała z ust króla rozpaczne słowa : ,,Telle est ma triste destinée...'' — ,,Taki jest mój smutny los : zawsze pragnąłem dobra mojego kraju, a wyrządziłem mu tylko zło'' (str. 532); jest z wielkim uznaniem dla hasła, jakie król głosił, usiłując się nim kierować : ,,Courage et patience !''.

W ostatecznych zaś swych wywodach na końcu książki, aczkolwiek nie dostrzega w nim heroizmu, ale widzi dążenie do użyteczności. Uznaje w nim, słowem, strony dodatnie i ujemne, jasne i ciemne, wielkie zasługi, ale i przewiny wielkie...

◆

Postać Stanisława Augusta stanowi, oczywiście, przedmiot największego zainteresowania autora, który też poświęca jej skreśleniu najwięcej badawczej uwagi i miejsca. Ale przedstawia ją na bardzo szeroko zarysowanym tle stosunków europejskich. Taki np. rozdział ,,A la découverte de l'Europe'' (str. 176-206) to nie tylko opis lat młodych Stanisława Augusta, ale, w związku z jego podróżami, *świetna charakterystyka środowisk europejskich* w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, Londynie, wreszcie w Holandii.

Czytelnika polskiego uderza na każdym kroku gruntowna znajomość zarówno szczegółów, jak i ogólnego charakteru stosunków polskich ówczesnych. Autor np. nie zaniedbuje zapoznania się z *,,Journal littéraire de Pologne''* Sasa Friesego, którego jedyny numer ukazał się w roku 1754 (str. 21), a jednocześnie, chcąc dać tło podstawowe do zrozumienia czasów Stanisławowskich, jakże głębokie uwagi czyni na temat *ducha polskiego baroku* lub usiłuje wyjaśnić istotę tego, co nazywamy *,,sarmatyzmem''* (str 92, 112, et pass.). Znakomicie też zna i rozumie zakryte najczęściej dla cudzoziemca tajniki duszy polskiej : dlatego *słusznie ocenić zdoła przesadne sądy obce o nietolerancji polskiej i fanatyzmie* polskim, które wyzyskiwały zręcznie dla swych celów Rosja i Prusy (str. 70); niejednokrotnie stwierdza, że ani Fryderykowi ani Katarzynie w gruncie rzeczy nie chodziło bynajmniej o tolerancję religijną w Polsce, i że sprawą rzekomej opieki nad różnowiercami polskimi ci *,,promoteurs machiavéliques''* sprawy dysydenckiej posługiwali się wyłącznie w swoim zaborczym interesie (str. 242).

Z sarkazmem mówi autor *o radach,* dawanych Stanisławowi Augustowi *z Anglii,* co do zaprowadzenia ,,tolerancji i filantropii'' w Polsce, ale bez żadnej zapowiedzi realnej pomocy przeciwko zagrożeniu rozbiorowemu przez sąsiedzkie wrogie potęgi, co tak bardzo przypomina pełny goryczy sąd Askenazego na temat odwiecznych zachodnio-europejskich *liberalnych ,,katechizacji''* w stosunku do Polski. Jakąż gorzką ironią i jakby bólem nabrzmiałe są słowa jego o zachowaniu się Francji rewolucyjnej wobec Polski, zmagającej się z despotyzmem, która tak na nią liczyła ! *bierność Francji,* ,,une attitude irrevocablement passive'', przy teoretycznych czy rzekomych sympatiach, jest całkowita, znajdując dla siebie wyraz w szumnych, lecz beztreściwych frazesach przemówień żyrondystowskich, by później przeistoczyć się w kierowaną ,,świętym egoizmem'' oportunizmu cyniczną już zgoła perfidię Robespierre'a, jego towarzyszy i bezpośrednich następców...

I stało się tak, że za Kościuszki, walcząc o resztkę swego bytu niepodległego, *Polska, ginąc jako państwo, ale rodząc się, jako naród,* znalazła się *w całkowitym opuszczeniu* (str. 544, 545) Dodajmy od siebie, że Polska, upadając ,,wśród zawodu'' swoim *,,poległym ciałem'' dała ,,innym szczebel do sławy grodu'',* mianowicie przyczyniła się upadkiem swoim do ratunku i zwycięstwa Francji rewolucyjnej (por. A. Sorel, ,,l'Europe et la Révolution française'' i A. Chuquet, ,,Guerres de la Révolution'').

USTERKI I UCHYBIENIA

Ze względu na te wybitne i wprost wyjątkowe zalety książki omawianej, czuję się w obowiązku wskazać tu *na pewne usterki i uchybienia,* dające się zauważyć przy lekturze.

Są one, jak na rozmiary książki (str. 746 większego formatu), stosunkowo nieliczne i nie posiadają znaczenia zasadniczego.

A więc najprzód : *usterki, dostrzeżone w pisowni imion własnych osób i nazw geograficznych,* tak trudne do uniknięcia w książce, pisanej przez cudzoziemca i drukowanej za granicą :

Str. 2,17, indeks na str. 712 : Korzon Władysław — błędnie, zamiast Tadeusz; str. 34 : Wielkorski, zamiast Wielhorski; str. 46 : Tułczyn, zam Tulczyn; str. 128 : Panluci, zamiast Pauluci; str. 158 : Kozieniec, zam. Kozienice; str. 214 : ,,boyards'' w znaczeniu ,,bojarowie rosyjscy'' nie ma nic wspólnego z genezą tego wyrazu; *błędnie* łączy się raczej z pojęciem ,,bayard'', jako rycerz ,,sans peur et reproche''; str. 284 : wody mineralne słone Burko, oczywiście błędnie, zam. Busko, oraz Orkusz (kopalnie srebra) zam. Olkusz; str. 399 : Wargacki, chyba Wargocki; tamże Łubański, może raczej Łubieński; str. 420 : Sierkiejewice Bukatego, chyba Sierhiejewicze; str. 454 : Włosłowice, zam. Włostowice; str. 455 i przyp. na str. 662 : Gołań-

ski ma być Filip Nereusz Golański; str. 460 : Jarłowiec, zam. Jazłowiec; str. 478 : Charlotte Godźka (Sanguszkowa), zapewne zam. Gozdzka; str. 539, 546 : Igelsrön, zam. Igelström; str. 578 : tytuł ,,Wiesza Dawidowa" oczywiście zam. ,,Wieża Dawidowa..."; str. 582 : provincia polana, zam. Polona; str. 593 : Narguczewski chyba Nagurczewski; str. 594 : Bohomolec, ,,Małżeństwo w kalendarze", zam. ,,Małżeństwo z kalendarza"; str. 600 : Książę podkomorze, zam. podkomorzy; str. 606 : także indeks str. 699 : Borsch (podkanclerzy koronny), zam. Borch...

To są najważniejsze usterki w pisowni i transkrypcji imion i nazw, jak widzimy, nie są one ani liczne, ani zbyt rażące i nie mają istotnego znaczenia.

Co do dających się zauważyć *myłek i błędów w treści wykładu,* to, oprócz tych, które zanotowane zostały już wyżej, w toku szerszego omawiania poszczególnych fragmentów książki, wymienić należałoby, między innymi, następujące jeszcze niejasności czy nieścisłości, rzeczowe usterki czy uchybienia, wymagające wytłumaczenia, uzupełnienia lub sprostowania : Str. 10 : jest rzeczą wysoce wątpliwą, a w każdym razie wymagającą bliższego wyjaśnienia, czy i o ile pod protektoratem rosyjskim możliwe byłoby w ogóle jakieś odrodzenie wewnętrzne Polski w okresie Stanisławowskim; str. 30 : zbyt wielkie znaczenie zdaje się przypisywać autor działalności Stanisława Augusta w zakresie sprawy włościańskiej (czemu, jak widzieliśmy, przeczą niektóre fakty z dziejów ekonomij królewskich na Litwie w owym czasie); str. 30 : nie wydaje się być słusznym pogląd autora, iż sprawa włościańska była głównym powodem odrzucenia Kodeksu Zamoyskiego w roku 1780. Główną przeszkodą do jego uchwalenia i przyjęcia było niewątpliwie stanowisko Rosji, która istotnie, jako pretekstu, używała i nastrojów antywłościańskich w masach szlacheckich; tamże str. 30 : trudno również zgodzić się z wyrażonym tu zdaniem autora, iż Konstytucja 3-go Maja przez wzięcie chłopów pod opiekę prawa stanowiła w stosunku do nich tylko ,,quelques belles phrases" : w rzeczywistości miało to orzeczenie o wiele większe moralno-prawne znaczenie, niż się często przypuszcza; str. 43 : wydaje się przesadzonym i niesłusznym zdanie, jakoby przedsięwzięcia przemysłowe i handlowe specjalnie jezuitów, takie, jak drukarnie, drogerie, browary, dużą rolę odegrały w ruinie i wyludnieniu miast polskich; str. 51 : ,,grand chancelier de Lithuanie" Flemming, zam. grand trésorier de Lithuanie; str. 72 : ,,podkomorzego" z ,,Pana Tadeusza" nazywa autor ,,szambelanem" — niesłusznie, skoro, oprócz ,,podkomorzych" istnieli w Polsce Stanisławowskiej ,,szambelanowie" a i niekonsekwentnie, skoro o Kazimierzu Poniatowskim, podkomorzym koronnym, mówi, jako o ,,grand-camerier" nie ,,chambellan" (str. 180), a Jana Karola Mniszcha, podkomorzego W. Ks. Litewskiego, nazywa ,,grand-camerier de Lithuanie" (str. 263); str. 79-91, 93-95 et pass. : razi swym tonem ironicznym trochę i nazbyt krytycznym ocena działalności Stanisława Leszczyńskiego w Lotaryngii i korpusu

kadetów w Lunéville, jak i ujemny sąd o Załuskim Józefie („beaucoup de zèle, peu de lumières" — str. 90), z pomniejszeniem znaczenia biblioteki Załuskich, a z przecenieniem dodatniego wpływu przybyszów-Francuzów, „Damonów", dla ruchu umysłowego w Polsce („M. Damon a peut-être fait davantage... que ...toute la bibliothèque Załuski, pour tirer la Pologne de son atonie et pour l'obliger à vivre avec son temps" — str. 102). Na ogół wszakże w swych sądach o przedstawicielach „Oświecenia" i przybyszach-Francuzach jest niezwykle bezstronny : podnosząc słusznie zasługi jednych, mówi o innych, że nieraz i Francję i „Oświecenie" reprezentowali oni z najgorszej strony, pracując nie tylko w rolnictwie, pedagogii, ale też i we wszelkiego rodzaju „parazytyzmie" (str. 353 et pass.), a takim typom, jak Duhamel, a zwłaszcza Méhée de la Touche (str. 26-7, 401-2, 532...) i bardzo wielu innych, nie szczędzi słów najostrzejszych. Str. 167 : nie wiedzieć, czy w całości słuszne jest zdanie autora, że Stanisław August ujawnił mistrzostwo dyplomatyczne, trzymając w zawieszeniu przez dwa lata pierwszy rozbiór kraju, i czy w ogóle nie przecenia roli i stanowiska Stanisława Augusta w roku 1773 (str. 358), jak i kiedy indziej, np. w roku 1764, gdy on to, „król, jeśli ufać pamiętnikom, osiągnął złagodzenie „liberum veto" przez ustalenie zasady, że sprawy finansowe załatwiane będą na sejmach figura judiciaria", t. j. większością głosów (str. 606, przypis 41 do str. 167-8). Czy istotnie opinia króla była w tym wypadku decydująca?! Str. 208 (oraz przyp. 2 na str. 613) : Trybunał Główny Litewski zasiadał bodaj nie „w wielkiej sali zamku wileńskiego", lecz w gmachu Trybunalskim koło Rynku (w dawnym pałacu Ościków); Trybunał ten aż do r. 1775, a więc i w czasach, o których autor mówi na stronie 208 i w przypisach na str 613, odbywał kadencje t. zw. litewskie w Wilnie, i ruskie — w Mińsku i Nowogródku; później — w Wilnie i Grodnie tylko, na przemian; str. 213 (przyp. 6 na str. 613) : „Bielsk dans la province de Grodno" — nieścisłe : Bielsk leży na Podlasiu, a więc od r. 1569 w Koronie, i nie miał żadnych związków administracyjnych z Grodnem, które przecie należało do Litwy; wbrew temu, co autor mówi na str. 613 w przypisie 6-ym do str. 209, posłowie inflantcy do r. 1773 reprezentowali w sejmie t. zw. Inflanty polskie z Dyneburgiem; zajęcie Inflant „szwedzkich", które w roku 1660 przestały należeć do Rzplitej, przez Rosję w r. 1721 nie miało z tą reprezentacją żadnego związku; str. 217 : autor bodaj zbędnie per longum et latum rozwodzi się nad stosunkiem Stanisława Augusta do Katarzyny w Petersburgu : przecie to w gruncie rzeczy nie należy do tematu, i można by się bez tego obejść.

Tu może właściwe będzie miejsce do zaznaczenia, że nie koniecznie do zalet książki należy *nazbyt częste* uciekanie się autora do anegdoty, do plotek kursujących, a wydobytych z pamiętników i nieraz nie sprawdzonych. Wprawdzie autor przytaczać je umie z niezwykłym talentem i w sposób często bardzo interesujący, wprawdzie nadają one opowiadaniu szczególnych ru-

mieńców życia, barwności, a też sprawiają, że wielkie dzieło profesora Fabre'a czyta się jak najbardziej miejscami zajmującą powieść — lecz, na rzadszym ich stosowaniu i częstszym opuszczeniu, naukowo-poznawcza strona nie wiele by z pewnością straciła, zaś oszczędność w rozmiarze książki niewątpliwie by sporo zyskać mogła (387, 513 et pass.). Weźmy chociażby dla przykładu plotkę, że malarka, pani Gault de Saint Germain, z domu Rajecka, uczennica David'a, była rzekomo nielegalną córką Stanisława Augusta; w rozmowie z Mazzeim, zapytany, czy tak jest istotnie, król powiedział żartem : „Jest tyleż córką moją, co Pańską" (str. 514 i przyp. 35 na str. 676). Czy *wielokrotne* przytaczania tego rodzaju anegdotycznych opowieści stoją w jakimkolwiek związku z tytułem dzieła i czy służą do wyjaśnienia zasadniczego tematu, czy też niepotrzebnie rozsadzają treść i ramy, już i tak szerokie, książki?

A oto jeszcze kilka dalszych usterek rzeczowych : str. 223 : niezrozumiałe jest zdanie o wprowadzeniu „censure publique au lieu du liberum veto"; str. 224, przyp. 49 : jest tu mowa o liście Katarzyny („Zofii") do Stanisława Augusta z r. 1760, chyba błąd, skoro Stanisław August jest już po śmierci ojca (+1762); str. 241, 245, 247, 251, 259, 269 et passim : przejrzystości wykładu tutaj i w różnych innych miejscach szkodzi pewne chronologiczne powikłanie faktów, przedstawianie spraw późniejszych przed wcześniejszymi, wracanie do tych późniejszych itd.; str. 247 : w projekcie rosyjskim Lacy'ego z r. 1745, dotyczącym rozbioru Prus ofiarowywano Polsce, jako domniemanej partnerce, oczywiście, Prusy Książęce, nie Królewskie, w zamian za zrzeczenie się zwierzchnictwa lennego nad Kurlandią; str. 395 : uważając za rzecz niemożliwą utworzenie Collegium Medicum przez Stanisława Augusta w Polsce, autor, choć obszerniej mówi o Janie Emanuelu Gilibercie z Lionu, nie wspomina nic o założonej pod jego kierunkiem, oprócz szkoły dla położnych, z inicjatywy podskarbiego Tyzenhauza, także *Akademii lekarskiej w Grodnie* (z funduszów królewskich): nie mogła wprawdzie owa Akademia rozwinąć się szerzej i po paru latach istnienia (1775-80) upadła, spełniła jednak swoje zadanie o tyle, że po przeniesieniu jej do Wilna (1781) stała się podstawą wydziału lekarskiego Wszechnicy Wileńskiej i wydała kilku wybitnych z czasem lekarzy — wymienimy tu dla przykładu Andrzeja Matusewicza (+1816), późniejszego profesora chirurgii i położnictwa w Wilnie. Str. 464 : poza tym, co autor mówi o daremnych usiłowaniach Francuza Courcelles'a, protegowanego p. Geoffrin, stworzenia monopolu tytoniowego, które nie wyszły ze stadium prób w Koronie, stwierdzić należyć, iż monopol ten na Litwie w tymże mniej więcej czasie przybrał już charakter całkowicie realny i dochód skarbowi przynoszący; str. 465: „Grand-Trésorier de Lithuanie, Tyzenhauz" — Tyzenhauz aż do śmierci (+1785) był podskarbim *nadwornym* litewskim, nie wielkim; str. 490 : autor uważa gramatykę języka polskiego *dla cudzoziemców*, wydaną przez ks. Trąbczyńskiego w roku 1778 w War-

szawie, za *pierwszą* tego rodzaju publikację („...sa grammaire polonaise à l'usage des étrangers, la première qui eût jamais paru de ce genre") : jest to o tyle niesłuszne, że pierwszą, o ile wiem, gramatykę polską z przeznaczeniem *dla cudzoziemców* pt. „Grammatica seu institutio Polonicae linguae... in usum exterorum edita..." wydał Franciszek Mesonien (Meniński) w Gdańsku w r. 1649; str. 546 : początek insurekcji w Krakowie wiąże się zazwyczaj nie z dniem 23 marca, lecz z przysięgą Kościuszki w dniu 24 marca 1794; str. 548 : z przedstawienia rzeczy autora wynikałoby błędnie, jakoby zajęcie Krakowa przez Prusaków (15 czerwca) i Wilna przez Rosjan (11 sierpnia) nastąpiło po cofnięciu się Prusaków spod Warszawy (5 września), tak wszakże nie było; str. 551 : wbrew opinii autora, Akademia Wileńska zwała się *Szkołą Główną Litewską* już od reformy, przeprowadzonej przez Poczobuta z ramienia Komisji Edukacji Narodowej (1775); po trzecim rozbiorze nastąpiła tylko zmiana określenia „Litewska" na „Wileńską"; str. 562 : trudno się zgodzić ze zdaniem autora, że „sarmatyzm" to „polonizm bez duszy" — „le sarmatisme, ce polonisme sans âme", mówi autor; str. 563 : nie wiedzieć, czy przyjąć należy bez zastrzeżeń twierdzenie, że Stanisław August był ostatnim królem Polski, lecz zarazem pierwszym obywatelem Polski odnowionej („dernier roi de la vieille Pologne, mais premier citoyen d'une Pologne rénovée").

◆

Takie są usterki i błędy, które dają się zauważyć na całym obszarze ogromnego dzieła o Stanisławie Auguście. Nie są one ani liczne ani bardziej istotne i nie zmniejszają wielkiego znaczenia i niepospolitych zalet, które wyżej omówione zostały.

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci : we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia : 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).
Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia :
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN. 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

"Hamlet" polski i angielski

Pawłowi Hostowcowi.

Prawie jednocześnie przeczytałem nowy polski przekład ,,Hamleta'' i widziałem jego ostatnie sceniczne wcielenie w londyńskim Old Vic-u. Te dwa wydarzenia wciągnęły mnie w wir głęboki i odurzający. Niniejsze uwagi odtwarzają trochę wrażeń wyniesionych z tej przygody.

II, 12, 13

Przekład Romana Brandstaettera jest na pewno jedenastym, może dwunastym, nie wykluczone że trzynastym przekładem polskim dramatu Szekspira. To wahanie co do liczby pochodzi stąd, że istnieje przekład wydany bezimiennie (w ,,Bibliotece Mrówki'', 1880) i trudno w tej chwili sprawdzić czy to nie przedruk jednego z tłumaczeń, których autorzy są znani z imienia i nazwiska.

Gorzej jest z feralną trzynastką. Pani Josephine Calina (żona wybitnego i płodnego historyka teatru prof. Allardyce Nicolla, autora książki ,,World Drama from Aeschylus to Anouilh'') w niestety całkowicie chybionym szkicu ,,Shakespeare in Poland'' notuje jeszcze jeden przekład : ,,Horodycki A.: Hamlet, tragedia c. 1800''. Wyznaję, że nie mam pojęcia o kogo i o co tu chodzi : o przekład rękopiśmienny czy drukowany? Jeśli o to drugie, byłby to jeden z dwu najstarszych przekładów, starszy od przekładu J. N. Kamińskiego (1805), starszy od przekładu Wojciecha Bogusławskiego, który ze sceny zabrzmiał wcześniej, ale w postaci książkowej ukazał się przeszło dwadzieścia lat później. W tej chwili trzeba zostawić ten znak zapytania bez odpowiedzi, licząc się z tym, że oznacza on... nieistniejącą zagadkę. Zresztą bez rozwiązywania tej zagadki można by mówić o trzynastu polskich przekładach ,,Hamleta'', gdyby uwzględnić dwa niedostępne mi tłumaczenia (Iwaszkiewicza i Tarnawskiego), które bezpośrednio wyprzedziły ostatnie tłumaczenie.

Ta cyfra obejmuje tylko przekłady całkowite. Należałoby do nich dodać przekłady fragmentów, jak tłumaczenie monologu ,,To be or not to be" przez Trembeckiego z klasycystycznej parafrazy Woltera i w duchu wyobrażeń Oświecenia, jak tłumaczenie aktu II i innych fragmentów dokonane przez Norwida, jak zapewne jeszcze inne.

Inwentaryzator polskich przekładów, nie żyjący już anglista lwowski, Władysław Tarnawski, stwierdził przez blisko czterdziestu laty, że żadnego z nich ,,nie można nazwać wzorowym". Czy ostatni spełnia to wymaganie? Nim się na to odpowie, może warto spojrzeć z lotu ptaka na historię polskiego ,,Hamleta".

HAMLET ŻYJE ,,NA KSZTAŁT WIELBŁĄDA"

Arcydramat Szekspira jest jednym z jego utworów, które najwcześniej zjawiły się na ziemi polskiej i w polskim kształcie. Wyprzedziło go nie wiele co poza Bohomolcową przeróbką ,,Komedii omyłek" na Bliźnięta" i ,,Kumoszkami z Windsoru" jeszcze bardziej nie do poznania przebranymi przez Zabłockiego za ,,Samochwała albo amanta-wilkołaka". Pierwszy przekład ,,Hamleta" wiąże się z osobą ,,ojca sceny polskiej", Wojciecha Bogusławskiego i ze Lwowem. W teatrze lwowskim, walcząc z konkurencją uprzywilejowanej przez zaborców sceny niemieckiej, wystawił Bogusławski w r. 1797 ,,Hamleta"; grał sam rolę tytułową przyswoiwszy tekst własnym trudem polszczyźnie. ,,Ta tragedia — wspominał we wstępie do wersji drukowanej z r. 1821 — sprawiła wielkie wrażenie i wielokrotnie, a zawsze z upodobaniem publiczności powtarzana była".

Był to zresztą ,,Hamlet" osobliwego nabożeństwa — przykrojony, przenicowany na wiele stron, obłaskawiony i ogładzony. Mówi o tym wymownie sama lista przerabiaczy. Najpierw słynny aktor angielski, inicjator pośmiertnego kultu Szekspira, Garrick usunął postać Fortinbrasa, dając tym świadectwo, jak mało rozumie z tego utworu, opuścił scenę cmentarną, pogrzeb Ofelii i ,,wiele innych niedorzeczności". W jego przystosowaniu ,,Hamlet" kończył się tragicznie i ten tragiczny zakrój zachował się u francuskiego tłumacza Ducis'a. Po nim niemiecki aktor i autor dramatyczny Schroeder poszedł w zmianach jeszcze dalej : zostawił Hamleta przy życiu. ,,Podług poprawy Schroedera" — jak stwierdza w podtytule — tłumaczył ,,Hamleta" Bogusławski, przerabiając go jeszcze po swojemu, ujmując to i owo, dodając co innego.

Klasyk i nieświadomy, albo tylko półświadomy prostowacz ścieżek romantyzmu, bał się jak ognia, przynajmniej w tekście drukowanym, wszelkiej dosadności, jaskrawości, ,,złego smaku". Przybrał ,,Hamleta" w szatki schludne, ale wyprane z koloru, uprasowane do kantu. Ten jego grzeczny królewicz duński niespodzianie odpowiada królowi w trzecim akcie : ,,Zaczynam

żyć na kształt wielbłąda, połykam powietrze obietnicami nadziewane; kapłonów tym nie można utuczyć". Po francusku znaczyłoby to coś masochistycznie poniżającego, po polsku mimowoli oznacza garby, które Hamletowi wyrosły od tego klasycznego przykrawania i doszywania, a wzięło się to z niezupełnie dokładnej znajomości niemczyzny. Niemieckie „Kameleon" Bogusławski zrozumiał jako „Kamel" i stąd — ten „wielbłąd".

Następny tłumacz Jan Nepomucen Kamiński jest także związany ze Lwowem. Teatroman i grafoman,autor słynnego : „wypiłem duszą duszę kałamarza", lingwisto-maniak i twórca jeszcze słynniejszej tezy o „filozoficzności języka polskiego" przełożył po raz drugi i niezależnie schroederowską parafrazę „wiekopomnego Shakespeara" i wydał w roku 1805 w Minkowicach u fantasty Marchockiego, który pozował Słowackiemu do „Króla Ladawy". Cokolwiek by się sądziło o Kamińskim, trzeba mu zapisać na dobro, że darował Hamletowi tego „wielbłąda".

HAMLET ROMANTYCZNY

Nie jest niemożliwe, jest nawet bardzo prawdopodobne, że Mickiewicz widział w Wilnie „Hamleta" Bogusławskiego. W każdym razie przeżył sam ostrą gorączkę szekspirowską i hamletyczną. Około r. 1822 pisał do przyjaciela i współfilomaty Malewskiego : „Po germanomanii nastąpiła brytanomania : cisnąłem się z dykcjonarzem w ręku przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba przez ucho od igiełki". W kilka lat później miał powiedzieć do Odyńca : „Życzyłbym tobie zacząć od przerobienia jakiejś ze sztuk wielkich mistrzów, a szczególniej Szekspira... Jestem zabity szekspirzysta".

Między tymi dwoma prywatnymi wyznaniami zjawiły się dwa wyznania publiczne w cytatach poprzedzających programowe utwory : „Romantyczność" i „Dziady" wileńskie. Obie cytaty pochodzą — z „Hamleta" :

„Zdaje się, że widzę... Gdzie?
Przed oczyma duszy mojej".

(Warto zauważyć, że ostatni tłumacz po norwidowskim : „W źrenicy mojego ducha" i kasprowiczowskim : „Przed obliczem ducha" wrócił do formuły Mickiewicza : „Przed oczyma duszy".)

„Są dziwy na niebie i na ziemi o których ani śniło się waszym filozofom".

Ale na przekład całości porwał się ktoś inny : skromny, zacny kanonik kijowski, później arcybiskup mohylewski ksiądz Ignacy Hołowiński, używający mimo woli śmiesznawego pseudonimu z grecką aluzją do swego nazwiska — „Kefaliński".

W roku 1837 umówił się z Korzeniowskim, że do spółki przełożą całego Szekspira, tłumacząc każdy dwa dramaty na rok. Bagatela!

Poczciwy księżyna zaczął od dramatu, który romantyzm wysunął na czoło poezji ale dramatu najdłuższego (prawie 4.000 wierszy) i bodaj najtrudniejszego. Utrudnił sobie jeszcze zadanie przelewając jedenastozgłoskowy biały wiersz szekspirowski w dziesięciozgłoskowy wiersz rymowany (Mickiewicz w cudownym fragmencie przekładu ,,Romea i Julii'' posługiwał się rymowanym trzynastozgłoskowcem), co przy zwięzłości angielszczyzny i hyper-zwięzłości Szekspira, zmusiło go co najmniej do podwajania każdego wiersza w przekładzie.

Była to robota mozolna, pełna potknięć, kleksów w rodzaju odezwania się królowej do Hamleta w ostatniej scenie : ,,Chustkę, na, synu!'' albo okrzyku Fortynbrasa : ,,Czy założyła śmierć tu swe jatki?''. Z bohaterskim samozaparciem Kefaliński usiłował oddawać miejsca drażliwe, choć nie zawsze wychodziło to przekładowi na zdrowie. (W ,,Romeu i Julii'' np. przełożył ,,A very good whore!'' — ,,Co za prawdziwie dobra wszetecznica'', chociaż chodziło tu o zupełnie inną ,,dobroć'').

Ten przekład wydany w roku 1840 obśmiał aż ponad miarę Słowacki. Żył sam w kręgu Szekspira, oddychał powietrzem jego dramatów. Już w prawie dziecinnym ,,Mindowem'' są pogłosy ,,Hamleta'', a młody Kossakowski z ,,Horsztyńskiego'' jest polskim Hamletem, rzuconym na tło naszych dziejów.

Zanosiło się bodaj na to, że ,,Hamleta'' przełoży Norwid. Z pobytu w Anglii i Ameryce znał język angielski dość gruntownie. Ciążył do tego dramatu, jak i do sąsiadującego z nim ,,Juliusza Cezara'', odnajdywał w nim bliskie sobie sprawy i odczucia. Do napisanego jeszcze przed wyjazdem za ocean pierwszego ,,Zarysu'' pt. ,,Rzeczywistość'' (1847), wprowadził postać Hamleta, między ludzi żywych wmieszał go jako widmo z innego świata. W r. 1855 po powrocie ze Stanów przełożył duży fragment aktu II, potem, jeszcze raz i lepiej przetłumaczył mały ustęp rozmowy Hamleta i królowej w tym akcie, a dwa inne urywki włączył do dramatu ,,Aktor''.

O tym ,,Hamlecie'' nie wie nic Tarnawski, choć gdy inwentaryzował polskie przekłady Szekspira, już się ukazał tom A. miriamowskich ,,Pism zebranych'' Norwida. Miriam przecenił jego robotę jako tłumacza. Dochowane fragmenty oczywiście noszą znamię wielkiego poety, zawierają znaleziska, odkrycia poetyckie ale też i dowolności i dziwaczenia. Przede wszystkim jest to przekład wolny, oczywiście rymowany, jak to było w zwyczaju epoki, niekiedy bardzo daleko odchodzący od tekstu oryginalnego. Hamlet norwidowski mówi :

,,Och! Pani, mnie się tu nic nie wydawa,
Ja cierpię...''

To podkreślone ,,cierpię'' brzmi romantycznie, ale nie ma go w Szekspirze.

FORTYNBRAS : „WYCZHA !" I POLONIUSZ-POLAK

W r. 1857 zjawił się „Hamlet" gadający jak imć pan Jan Chryzostom Pasek. W ten sposób przełożył całego Szekspira entuzjasta staropolszczyzny Józef Komierowski. Uważał on swój pomysł archaizowania, sarmatyzowania poety angielskiego za odkrycie, przywiązywał do swoich przekładów wielką wagę.

W rzeczywistości było to przedsięwzięcie zupełnie poronione, stwarzające efekty niezamierzonego komizmu, np. wtedy, gdy Fortynbras na widok końcowej katastrofy mówi : „Tu pokrzyk wyczha ! bije z tego stosu". W oryginale to słynne odezwanie się brzmi : „This quarry cries on havoc !" („Quarry" znaczy tyle co : łup myśliwski, ubita zwierzyna, „havoc" tyle co : spustoszenie i jest także wykrzyknikiem odpowiadającym polskiemu : bij, zabij !, bez pardonu !). Przejaskrawiając Szekspira, który nie jest poetą unikającym tonów jaskrawych, Komierowski zdobył się na wyjątkową powściągliwość wobec „wyrażeń z zakresu nierządu" (jest to jego termin): tłumaczył te wyrażenia słowami tak gruntownie „przepomnianymi w pospolitym życiu", że można by je bez obrazy powtórzyć w pensjonacie dla panienek z dobrych domów.

Mimo katastrofalnego skutku tej antykwarycznej metody znalazł się jeszcze jeden amator staropolszczyzny w przekładach Szekspira : Wojciech Dzieduszycki. Na szczęście nie tknął „Hamleta" albo też swojej próby nie ujawnił przed światem.

Jeszcze większe cudactwo stanowi przekład czy przeróbka Krystyna Ostrowskiego. Była ona r. 1870 grana w teatrze lwowskim i w postaci książkowej przypisana „Obywatelstwu Miasta Lwowa" (jest to już trzecia wersja dramatu związana z tym miastem). Ostrowski skracał, rozszerzał, a przede wszystkim upatriotycznił szekspirowskiego „Hamleta". Zdaje się z pobudki patriotycznej zrobił Poloniusza — Polakiem, jeńcem polskim, który w Danii dobił się najwyższych zaszczytów. Zrobiwszy to salto mortale musiał „poprawić" charakter Poloniusza. W tym zbożnym trudzie przyznał mu dar składania rymów przy każdej nadarzonej sposobności. „Dalipan, on wierszem gada !" — wykrzykuje król Klaudiusz, a sam Poloniusz tak się przed widzami zwierza z tej skłonności :

„Krew polska we mnie tak rozumem włada,
Że co bądź mówię, sam się wiersz układa.
Za moje grzechy Bóg mnie skarał rymem,
I jakoś zawsze myśl ulata z dymem".

W ślad za tym Ofelia jest u Ostrowskiego „biedną Polką", a jej brat Laertes mówi na ten temat z wysokiego tonu :

„Mam w sobie polską, nie szatańską duszę,
Mój ojciec Polakiem, a krew polska
Nie cierpi zdrady".

Nawet sam Hamlet ulega tej infekcji polskiej :

„Szczególny naród! Źle o nim sądziłem
Z Ofelii ojca, radbym być Polakiem...”

NA TRZY POKOLENIA

W r. 1875-1877 ukazało się pod redakcją Kraszewskiego pełne wydanie Szekspira w trzech dużych tomach, z dość podłymi ale działającymi na wyobraźnię dziecięcą sztychami. Do tego wydania wszedł „Hamlet” w ogłoszonym wcześniej przekładzie Józefa Paszkowskiego. Wraca on w dziesięciotomowym wydaniu lwowskim Biegeleisena (1895) i dwunastotomowym wydaniu Dyboskiego (1912-1913). Jest to polski arcyprzekład arcydramatu. „Hamlet”, którego czytały dwa, trzy kolejne pokolenia Polaków, którego słyszeliśmy ze sceny aż do ostatnich lat przed wojną (1938 — Węgierko) i zdaje się nawet pierwszych lat po wojnie (1947 — Wyrzykowski) to był „Hamlet” Paszkowskiego. Powstało po nim kilka innych przekładów, ale żaden go nie przewyższył i nie wyparł.

Ten tłumacz „Hamleta” przedstawia zjawisko wzruszające. Skromny, chorowity człowiek, urzędnik warszawskiego okręgu naukowego, postawił sobie za cel życia przetłumaczyć całego Szekspira. Ścigając się ze śmiercią, dokonał tego zadania. Nie był uczonym szekspirologiem i nie był wielkim poetą. Ale umiał wżyć się w oryginał, umiał mu być wierny nie w słowach, ale w myślach i obrazach, miał sporą pomysłowość i wynalazczość obrazową, potrafił indywidualizować sposób mówienia rozmaitych postaci. Dla oddania zawrotnego bogactwa mowy Szekspira, uciekał się do wyrazów gwarowych, staropolskich i obcych. Na ogół miał w tym szczęśliwą rękę.

Wspomniana na początku pani Calina odbiera mu pierwsze miejsce wśród polskich tłumaczy Szekspira. Jej sąd byłby interesujący, nawet obowiązujący, gdybyśmy mieli pewność, że jest jej własny i oparty na znajomości polszczyzny i polskich przekładów. Oddaje ona pierwszeństwo Stanisławowi Koźmianowi, który wśród nie kończących się skrupułów, drobiazgowych badań, nieustannych szlifowań, gromadzenia równoległych wersji tego czy innego ustępu, zdołał w ciągu życia przetłumaczyć tylko siedem utworów Szekspira. Nie ma wśród nich niestety „Hamleta”. Całą rewizję autorki angielskiej poddaje w wątpliwość taki drobny szczegół, że nie odróżnia ona Stanisława Koźmiana „starszego”, jak go nazywa Dyboski, anglomana, autora książki „Anglia i Polska”, szekspirologa i tłumacza Szekspira od Stanisława Koźmiana polityka, jednego z czołowych Stańczyków, dyrektora teatru krakowskiego.

Trzeba bezstronnie przyznać, że w przekładzie Paszkowskiego są przerażające słabizny :

„... te biby (!), *na zabój* (!)
W uśmiech i wzgardę tylko nas podają.
U innych ludów : beczkami nas mienią".

Zdarzają się żałosne nieporadności. Następujące dwa wiersze Szekspira Paszkowski z trudem i niedokładnie zawarł... w czterech :

„He was a man, take him, for in all
I shall not look upon his like again".

„... człowiek, powiedz,
Chociażby wszystko w tym fałszywym świecie
Było tym, czym się na pozór wydaje,
Jeszcze by drugi taki się nie znalazł".
(Dla porównania wspaniała zwięzłość Norwida :
„Mąż to był, wierzaj, skończony, mąż cały,
Równego temu nie spotkasz za chwilę".)

Trzeba także stwierdzić, że ten przekład, o małym potencjale poetyckim starzał się, wietrzał z upływem czasu. Ostatnio nie można go było puścić na scenę bez „korekty". Gdy w roku 1922 Szyfman reżyserował „Hamleta" z Brydzińskim w roli tytułowej, taką „korektę" przeprowadził Wilam Horzyca.

PRZEKŁADY FILOLOGA, POETY, LEKARZA I JESZCZE JEDNEGO FILOLOGA

Prawie jednocześnie z Paszkowskim całe, dłuższe, życie mozolił się z Szekspirem Ludwik Ulrich (albo Ulrych, jak jego nazwisko pisze Kraszewski), powstaniec listopadowy, emigrant, filolog z zawodu. Przetłumaczył i wydał pod koniec ubiegłego stulecia całego Szekspira. Jego „Hamlet" ustępuje w polocie „Hamletowi" Paszkowskiego, ale ma piękne miejsca.

Tak na początku drugiej połowy wieku, jak u jej końca otwarła się u nas przed dramatem Szekspira możliwość tłumaczenia przez wielkiego poetę. Ale zawiodła z innych powodów niż u Norwida. Kasprowicz tłumacząc „Hamleta" dopiero się na nim, jak Hołowiński-Kefaliński, uczył angielskiego i uczył Szekspira. Popełniał prymitywne gaffy, np. „I'll cross it" przetłumaczył : „ja je przeżegnam" zamiast : „ja mu znajdę drogę". Często tylko „poprawiał" Paszkowskiego ściągając także jego błędy („murdering-piece" przetłumaczył jako „kilkuramienne narzędzie mordercze" zamiast po prostu moździerz). Ubrdał sobie, że angielskie „you" można wszędzie zastąpić pol-

skim ,,wy''; stąd powstały takie cudeńka jak słowa Poloniusza do Ofelii : ,,Owe zaloty zrobią z was błaźnicę''. Ta pośpieszna, byle jak odwalona robota, ma tylko jedną zasługę, że nie łagodzi miejsc drażliwych. Kasprowicz pierwszy przełożył dosłownie słowo ,,whore''.

W cztery lata (1894) po tym niby-poetyckim przekładzie ukazał się przekład programowo prozaiczny : ,,słowo w słowo, forma gramatyczna w formę gramatyczną, zdanie w zdanie, nawet przyimek w odpowiedzi przyimek'', z oryginałem angielskim obok tego literalnego tłumaczenia. Dokonał go Władysław Matlakowski, lekarz z profesji, znakomity znawca i propagator zakopiańszczyzny.

Miriam ironicznie poddawał w wątpliwość sens takiej roboty, ale występuje on jasno, gdy się powie, że dwujęzyczny tekst jest opracowany krytycznie, szczegółowo objaśniony, że nie brakuje mu nawet specjalnego słownika zwrotów i wyrazów występujących w ,,Hamlecie''. Ale i to nie jest jeszcze wszystko. Przekład Matlakowskiego poprzedza wstęp-monstre, streszczający całą literaturę o tym utworze, roztrząsający wszystkie znane Matlakowskiemu wielojęzyczne przekłady i przynoszący próbę własnego rozwiązania zagadki ,,Hamleta''.

Tarnawski stwierdza, że jest to ,,dzieło pomnikowe'', ,,dzieło jakim nie może się pochlubić żaden z narodów, bardziej od nas oddanych kultowi angielskiego pisarza''. Rzecz zadziwiająca : właśnie tego dzieła nie ma w British Museum. Jest to jeden z braków najbardziej trudnych do pojęcia i wybaczenia. (Jeśli przez cudowny przypadek ,,Hamlet'' Matlakowskiego znajduje się gdziekolwiek w wolnym świecie, będę wdzięczny za wiadomość).

Gdy Matlakowski wydawał swoją summę hamletologiczną, dojrzewał poeta, który miał jak romantycy włączyć ten utwór w krąg swego intymnego świata poetyckiego : Wyspiański. W r. 1905 wydał komentarz, który jest w większym stopniu komentarzem do jego dzieła, niż do dzieła Szekspira. Trzy lata wcześniej w ,,Wyzwoleniu'' genialnie zastosował i twórczo rozwinął chwyt Hamleta z przedstawieniem-,,pułapką na myszy''. W Konradzie z ,,Wyzwolenia'' złączył w jedno : postać wiodącą swój ród z romantyzmu polskiego i nieszczęśliwego królewicza z duńskiego Elsynoru, jak później w ,,Achilleis'' miał połączyć herosa Homera z bohaterem Szekspira.

Okres niepodległości przyniósł tłumaczenie ,,Hamleta'' dokonanę przez anglistę warszawskiego Andrzeja Tretiaka (1922) i dwa inne, nieznane mi, Iwaszkiewicza i Tarnawskiego. Tłumaczenie Tretiaka filologicznie wierne nie przedstawia istotniejszej wartości literackiej. Tretiak nie umiał pisać, nie miał talentu poetyckiego, choć ożywiały go duże i szlachetne ambicje (tłumaczył pierwszy — ileż to lat temu? — ,,Zabójstwo w katedrze'' Eliota).

OSTATNI PRZEKŁAD

Wyszedł on spod pióra poety i to poety, który próbował swoich sił w dramacie. Ma w dorobku kilka utworów bardzo „eskapistycznych", jak „Przemysław II", dramat o Remdrandtcie, ale w sztuce o Bogusławskim i Stanisławie Auguście pt. „Król i aktor" spłacił też należny trybut prawowierności.

Badanie jakości ostatniego przekładu „Hamleta", jak w ogóle badania przekładów jest żmudne, choć może być pasjonujące dla tego kto je przeprowadza. Borowy w studium o Boyu-tłumaczu dowiódł, że można temat tego rodzaju uczynić także pasjonującym dla czytelnika. W danym przypadku zastosujemy podwójna metodę, stawiając nowe polskie wysłowienie wobec oryginału, zestawiając jego poszczególne ustępy z poprzednimi tłumaczeniami. Zacznijmy od tej drugiej metody.

Poprzednio pokazaliśmy jak potknęli się na słynnym okrzyku Fortynbras dwaj wcześni tłumacze Kefaliński i Komierowski, popadając w ordynarność lub w groteskę. Zobaczmy teraz jak ten okrzyk wobec pobojowiska w zamku elsynorskim brzmi u innych przekładaczy.

Paszkowski :

„Czy zniszczenie tron tu obrało sobie ?"

Ulrich :

„Ha, co za zniszczenie !"

Kasprowicz :

„Ten pokos woła „morderstwo" !"

Tretiak :

„Ten rząd trupów woła okropnym głosem".

Brandstaetter :

„To rzeź zwierzyny spędzonej w zasadzkę".

A teraz kilka innych przykładów; są to przeważnie ustępy, które się uskrzydliły, przeszły do mowy codziennej.

„Something is rotten in the State of Danemark".

Bogusławski :

„Jakowaś zbrodnia ukrywa się w naszym królestwie".

Komierowski :

„Tu jakieś czerwo cuchnie w państwie duńskim".

(jest to podwójna niedorzeczność : staropolszczyzna zna tylko słowo „czerewo" i oznacza ono żywe ciało lub część ciała : brzuch, nie trupa).

Paszkowski :
„Widno jest coś chorobliwego w państwie duńskim".

Kasprowicz :
„Coś się popsuło w państwie duńskim".

Tretiak :
„Zgnilizną jakąś trąci duńskie państwo".

Brandstaetter :
„O, w państwie duńskim coś psuć się zaczyna".

Okrzyk Hamleta na końcu I-go aktu, który także stał się prawie przysłowiem:

„The time is out of joint. Oh, cursed spite
That ever I was born to set it right!"

Paszkowski :
...Świat wyszedł z formy :
I mnież to trzeba wracać go do normy".

Ulrich :
„Czas wyszedł z stawów — losów klątwa zdarza,
Że się rodziłem na jego lekarza."

Kasprowicz :
„Czas się nasz spaczył, o gniewie przeklęty!
Żem ja się rodził,aby go naprawiać".

Tretiak :
„Z zawiasów wyszedł czas — o dolo podła
Coś mnie naprawiać go na świat przywiodła".

Brandstaetter :
„Z kolein wypadł świat! Fatum ponure!
Czym się urodził by go dźwignąć w górę".

A teraz początek najsłynniejszego z siedmiu monologów „Hamleta" :

„To be or not to be — that is the question :
Whether'tis nobler in the mind to suffer
The slings and arrows of outrageous fortune
Or take arms against a sea of troubles
And by opposing end them? To die, to sleep —
No more..."

Przekład w „Listach Woltera o Angielczykach" (1793):

„Stój : obrać potrzeba; a natychmiast z życia do śmierci się przenieść, lub z istności w nic się zamienić. Bogowie okrutni, i jeżeli jacy jesteście, odwagę moją oświećcie! Kurczyć się starością pod gnębiącą mnie ręką, cierpieć, lub nieszczęście moim kończyć losem? Cóż jestem? Co mnie zatrzymuje? I co jest

śmierć? Oto koniec naszego utrapienia, a moja jedyna ucieczka; oto sen po długim miły poruszeniu: zasypia się, a wszystko niknie".

Trembecki (przekład poetycki tej samej, zresztą także wierszowanej parafrazy wolterowskiej):

„Już czas nieporuszonym wybierać obliczem
Śmierć albo gorzkie życie, z czego więcej niczem.
Bóstwo! Jeżeli jesteś,oświeć moją wolą
Mam-li starzeć pod srogą schylony niedolą,
Więdnieć dłużej, lub skończyć okropne rozpaczy?
Cóż jestem? Kto mnie trzyma? I co się śmierć znaczy?
Jest to koniec ucisków, jedyne schronienie,
Po długich troskliwościach spokojne uśpienie.
Sen taki wszystko morzy..."

Bogusławski:

„Być albo nie być? Otóż jest pytanie... Jest-że szlachetniejszem dla duszy znosić ostre ciosy niesprawiedliwej fortuny, czyli stawiając się opornie mnóstwu nieszczęść wstrzymać ich nawał i skończyć one zawsze? Umrzeć — usnąć — nic więcej..."

Norwid:

„Być ,albo nie być? Oto zapytanie,
Czyli jest zacniej, skoro duch się kłoni,
Niż kiedy w pełnym złego oceanie
Złemu zaprzecza, nieszczęściu się broni??
Umrzeć? To zasnąć...

Ostrowski:

„Być albo nie być, oto jest zadanie:
Co z dwojga jest wznioślejszym, czy wytrzymać
Zawistnych losów ciosy lub zniewagi,
Czy przeciw morzu cierpień się uzbroić
I siłą je pokonać? Umrzeć — zasnąć —

Paszkowski:

Być albo nie być, to wielkie pytanie.
Jest-li w istocie szlachetniejszą rzeczą
Znosić pociski zawistnego losu
Czy też stawiwszy czoła morzu nędzy
Przez opór wybrnąć z niego? Umrzeć — zasnąć —

Kasprowicz:

„Być albo nie być! Oto jest pytanie!
I cóż jest większą szlachetnością serca,
Znosić pociski szalejących losów
Czy się uzbroić przeciw morzu nędzy
I tak przez opór z niego wybrnąć? Umrzeć —
Zasnąć — nic więcej...

Tretiak :

„Czy być, czy nie być : w tym jest treść zagadki.
Czy jest szlachetniej znosić w duszy pęta
I strzały losu gwałtownika, czy też
Broń podnieść przeciw temu morzu cierpień
I w walce skończyć cierpieć! Umrzeć — zasnąć".

Brandstaetter :

„Być albo nie być, oto jest pytanie.
Czy jest szlachetniej, aby duch nasz znosił
Pęta i strzały gwałtownego losu,
Czy za broń chwycić przeciw morzu cierpień
I zmóc je w twardej walce? Umrzeć, zasnąć —
Nic więcej...

I wreszcie odezwanie się Hamleta do Ofelii : That's a fair thought to lie between maid's legs". Bogusławski : „To jest bardzo przyjemne". Paszkowski : „To był pomysł nie lada". Kasprowicz : „Piękny to pomysł leżeć pomiędzy nogami dziewczyny". Tretiak : „Przyjemnie myśleć, jak się *tam* leżeć będzie". Brandstaetter : „Przyjemnie jest wyobrazić sobie, że się leży między nogami dziewczyny".

Z tych zestawień widać, że ostatnie brzmienie jest często najszczęśliwsze. Inna rzecz, że dzisiejszy tłumacz miał ułatwione zadanie. Matlakowski wykonał olbrzymią, czarną robotę, zwalniając następców od trudu ustalania tekstu, rozstrzygania wątpliwości filologicznych, gramatycznych, słownikowych. Że Brandstaetter korzystał z Matlakowskiego zdaje się dowodzić uporczywy i dość zrozumiały błąd idący nieprzerwanym ciągiem przez teksty wszystkich tłumaczy : „sends out arrests on Fortinbras", co mniej więcej znaczy : „wstrzymuje Fortynbrasa przez swoich posłańców (Ulrich : „dał rozkaz aresztu"; Paszkowski : „kazał przyaresztować Fortynbrasa"; Kasprowicz : „przyaresztować kazał Fortynbrasa"; Matlakowski : „wydaje kontrrozkazy"; Brandstaetter : „wydaje rozkazy".)

Pomyłki poprzedników nie wracają u ostatniego tłumacza. Brandstaetter korzysta z ich dorobku, ulepszając już zdobyte osiągnięcia. Oto przykład (słowa Hamleta z końca sceny cmentarnej): „The cat will mew and dog will have his day" (Komierowski : „Póki kot miauczy, pies się niepokoi"; Ulrich : „Kot będzie miauczał, lecz przyjdzie psa chwila"; Paszkowski pierwszy poprawnie : „Zawsze kot miauczyć będzie, a pies warczyć"; Brandstaetter : „Kot zawsze miauczy, a pies zawsze szczeka").

Oto drugi przykład (odezwanie się Hamleta do Laertesa przed pojedynkiem):

„Twa chwała zyska w zbliżeniu się do mnie,
Bo twoja biegłość przy moim nieuctwie
Będzie jak gwiazda w czarnej nocy błyszczeć".
(Paszkowski).

Moje partactwo będzie tym zwierciadłem,
W którym twa zręczność jak gwiazda wśród nocy
Jasno zabłyśnie..."

(Brandstaetter).

Popiera ten materiał zestawień ogólne wrażenie z lektury ostatniego przekładu. Jest on „czytelny" (czego nie można było nigdy powiedzieć o przekładzie Komierowskiego) i „mowny" tzn. łatwy do mówienia (co im dalej w czas, tym trudniej powiedzieć o przekładzie Paszkowskiego). Siedzi on mocno we współczesnym poczuciu językowym, popierając pogląd i spełniając żądanie Tarnawskiego : „Szekspira tłumaczyć można tylko najnowszą polszczyzną", bo tylko ona może oddać „bogactwo i giętkość" oryginału.

Ale nawet w tym ogólnym, raczej dodatnim, ujęciu ocena ostatniego przekładu jakby się rozszczepia : ma on rozpęd szekspirowski, nie ma szekspirowskiego zagęszczenia. Ta formuła wymaga być może bliższych wyjaśnień. Jeśli możemy sobie dzisiaj odtworzyć coś z tej oślepiającej tajemnicy, której na imię Szekspir, wolno nam przypuścić, że pisał łatwo, szybko, miał w sobie coś z polotu rwącej wody. Jednocześnie miał w sobie coś z kamieniarza, wyłamującego olbrzymie, fantastyczne złomy kamienne; zagęszczał materię poetycką, komplikował na wszystkie sposoby i natężał do ostateczności wyraz poetycki, co zazwyczaj przychodzi z oporem, wymaga długiego wysiłku. Można by obrazowo powiedzieć, że Szekspir był jednocześnie Słowackim i Mickiewiczem; na tym między innymi polega jego fenomenalność.

Ostatni przekład zachowuje coś z dynamiki, z polotności słowa, mniej, czasem zgoła nie wiele, z jego potężnej, monumentalnej bryłowatości, z jego wewnętrznego natężenia. Być może zaważył i tutaj wyczuwalny pośpiech, który tak szkodził przekładom Kasprowicza. Zaważył przede wszystkim temperament i kaliber poetycki tłumacza.

Nowy przekład „Hamleta" spełnia doraźne, praktyczne potrzeby, ale ciągle nie jest owym przekładem „wzorowym", doskonałym, idealnym. Jego sprawa zdaje się ciągle otwarta. W załatwieniu tej sprawy (jak i przepolszczeniu całego Szekspira) mogą i powinni wziąć udział także poeci emigracyjni, zwłaszcza ci, którzy zdobyli pogłębioną znajomość angielszczyzny i sprawdzili swoje możliwości jako tłumacze : Baliński, Broncel, Miłosz, Niemojowski, Pietrkiewicz.

HAMLET „UND KEIN ENDE"

„Hamlet" jest utworem Szekspira, który u nas najczęściej tłumaczono, o którym na świecie najwięcej pisano. Pod tym ostatnim względem tylko „Boska Komedia" i „Don Kichot" mogą z nim iść w porównanie, ale na pewno żaden inny utwór dramatyczny. Skąd się to wzięło?

Rozpętał tę lawinę albo, według określenia jednego z szekspirologów francuskich, tę ,,orgię krytyczną'' nie byle kto bo — Goethe. Zrobił to nie z nudów, ani z braku lepszego zajęcia, ale z nakazu praktycznego. W teatrze wejmarskim, którego był dyrektorem, musiał aktorowi dać wskazówki dotyczące postaci tytułowej, jej charakteru i postępowania. Tak powstała pierwsza odpowiedź na pytanie : dlaczego Hamlet zwleka z zemstą na mordercy swego ojca ?

Od tej chwili trwa dyskusja i urasta w góry zadrukowanego papieru. W katalogu British Museum bibliografia o samym ,,Hamlecie'' zajmuje 22 karty folio. W roku 1877 uczony amerykański H. H. Furness w ,,A New Variorum Edition of Shakespeare'' poświęcił ,,Hamletowi'' dwa tomy, razem 900 stron druku. Po tej pierwszej summie przeciętnie co 12 dni ukazywała się nowa praca o ,,Hamlecie''. Zestawia je ,,A. Hamlet Bibliography and Reference Guide 1877-1935'' A. A. Ravena, licząca 300 stron.

(Nota bene nie notuje ona żadnego przekładu polskiego, mimo że zestawia przekłady niemieckie, francuskie, rosyjskie, szwedzkie. W dziale ,,The Influence of ,,Hamlet'' głucho o Mickiewiczu, Słowackim i Wyspiańskim. Wśród komentarzy nie ma dzieła Matlakowskiego, choć są prace hiszpańskie, szwedzkie, węgierskie, nawet czeskie. Jedyne dwa nazwiska polskie, które dają się wytropić w tej olbrzymiej bibliografii, to Chodowiecki, jako rysownik niemieckiej inscenizacji ,,Hamleta'' i Brueckner oświadczający się po niemiecku za cudzą tezą, że imię Poloniusza może pozostawać w związku z książką Goślickiego ,,De optimo senatore'' (istnieje inna etymologia wiążąca to imię z Włochami). Nie lepiej wyglądamy w ogólnej ,,A Shakespeare Bibliography'' (1931-1937), ale to już mniej dziwne, bo robili ją dwaj Niemcy W. Ebisch i L. C. Schuecking. Nie zna ona nie tylko polskich prac Tarnowskiego, Stanisława Estreichera, Zahorskiego, Bernackiego, Tarnawskiego o Szekspirze w Polsce, ale nawet po angielsku wydanej rozprawy Ziółeckiego ,,Shakespeare in Poland, Russia nad Other Slavonic Countries''. Reprezentuje nas tam jedynie i wyłącznie życzliwy, ale chaotyczny, pełen grubych błędów i elementarnych przeoczeń szkic pani Calina ,,Shakespeare in Poland''. Studium na ten temat jest ciągle do napisania).

O co właściwie chodzi w tej nieskończonej dyskusji o charakterze Hamleta ? Z gruba biorąc, daje się ona ująć w trzy grupy. Jedni w okolicznościach zewnętrznych wskazują przyczyny zwlekania z zemstą, inni widzą je w duszy tego, który ma zemsty dokonać, jeszcze inni pojmują Hamleta jako konwencjonalną postać teatralną. Antologia Claude X. C. H. Williamsona ,,Reading on the Character of Hamlet'' (1950) zawiera przytoczenia z trzystu źródeł !

Gdy czytałem ostatni przekład polski, a na scenę londyńskiego Old Vicu wchodziła nowa inscenizacja ,,Hamleta'', ukazała się książka Bertrama Josepha pt. ,,Conscience and the

King". Zgromadził on olbrzymi materiał dokumentacyjny, mający dowieść, że dla widowni elżbietańskiej wahanie Hamleta nie miało w sobie nic zagadkowego. Było to rozdroże między sumieniem chrześcijańskim i szlacheckim honorem. To interesujące wyjaśnienie łatwo da się zmieścić w drugiej grupie komentarzy do charakteru Hamleta. Oczywiście, jak każdy hamletolog, Joseph uważa, że jego oświetlenie zamyka sprawę.

Trudno poddawać się temu złudzeniu. Trudno tym bardziej, że prócz Hamleta jest w „Hamlecie" wiele innych nie rozwiązanych zagadnień. „Ciągle — stwierdza Raven — nie ma definitywnych odpowiedzi na pytania dotyczące źródeł, tekstu, wczesnych wydań, charakterów, intrygi i ostatecznego znaczenia utworu".

Czym się to tłumaczy? Szekspir napisał „Hamleta" na kanwie cudzego dzieła i ten „pre-Hamlet" nie dochował się do naszych czasów. Doszło nas kilka tekstów drukowanych (jeden niemiecki), różniących się istotnie między sobą. Być może Szekspir opracowywał swój dramat kilku nawrotami. Co więcej, on najbardziej bezosobisty z dramatopisarzy, ukryty za swoim dziełem, jak Bóg za światem — w ten dramat włożył wiele z siebie samego. „Hamlet" znaczy jeden z najgłębszych przełomów, jakie kiedykolwiek rozegrały się w duszy ludzkiej, przełom, który znalazł wyraz poetycki o niebywałej mocy. To wszystko sprawia, że roi się w nim od zewnętrznych niekonsekwencji i sprzeczności, że jest w nim wiele zagadek, sięgających samego dna bytu.

Dlatego „Hamlet" nie ma końca.

„HAMLET" ŻYWY

Nie daje się on zdławić przez narastające zwały objaśnień i komentarzy. Żyje i wzrusza jak za życia swego twórcy. Jest marzeniem każdego aktora. Grali go Garrick, Kean, Kemble, Booth, Irving, Mounet-Sully, Kaczałow, Królikowski, Rapacki, Węgrzyn, Moissi, Kainz, Olivier, Barrault — i te największe nazwiska nie stanowią pewnie jednej setnej jednego procentu z ogólnej liczby aktorów, którzy go wcielali na scenie. Kusiły się o jego odtworzenie także aktorki, od Mrs. Siddons przez Mme Judith aż do Sary Bernhardt i naszej Stanisławy Wysockiej.

Odtwórców i widzów urzeka Hamlet niewyczerpanym bogactwem tonów duchowych, olbrzymim natężeniem dynamiki emocjonalnej, potencjałem głęboko osobistej wiedzy o świecie i człowieku. Raczej niedoskonały jako dzieło dramatyczne (znakomity poeta Eliot waży się na określenie : „most certainly an artistic failure"), jest „Hamlet" wspaniałym teatrem, bogatym aż do granic ostatecznego nasycenia, aż do rozrzutności, aż do nadmiaru.

Wydaje się oczywiste, że londyński Old Vic, wróciwszy do swojej dawnej tradycji grania wyłącznie Szekspira, zamierzyw-

szy w ciągu nadchodzących pięciu lat odtworzyć wszystkie 36 jego sztuk, zawartych w tzw. pierwszym folio, w wydaniu pośmiertnym z r. 1623 — zaczął od ,,Hamleta".

HAMLET BURTONA

Arcyrolę powierzono młodemu aktorowi Richardowi Burtonowi. Zwrócił on na siebie uwagę w ,,The Boy with a Cart" zupełnie niezwykłą szczerością i prostotą. Po tej sztuce, która mimo mody na Fry'a nie miała wielkiego powodzenia, od razu skoczył w górę : grał już w Stratfordzie, mieście rodzinnym Szekspira, jest w drodze do Hollywoodu, podobno zrzekł się tłustego engagement, aby zagrać ,,Hamleta" w Old Vicu.

Wśród wielu wątpliwości rzeczywistych i zagadnień sztucznie stwarzanych w ,,Hamlecie" długo roztrząsana była sprawa wieku jego bohatera. Jedno z wczesnych wydań mówi o 30-tu latach, inne wydania milczą na ten temat. Na podstawie analizy wszystkich możliwych szczegółów zgodzono się, że królewicz duński w dramacie Szekspira, to człowiek młody, młodzieniec w wieku 25 lat. Nim doszło do międzynarodowej zgody na ten temat, konwencja teatralna żądała Hamletów męskich, dojrzałych, dopuszczała Hamletów leciwych, tolerowała Hamletów-starców. Zdaje się, że Richard Burbage odtwórca roli na prapremierze z Szekspirem jako duchem króla — nie był pierwszej młodości. Miał około 35 lat, zadyszkę (robi do niej aluzję elegia na jego śmierć) i sporą tuszę, na co wskazywałyby słowa królowej, skierowane do Hamleta w scenie pojedynku. Amerykański partner Modrzejewskiej, Edwin Booth, zamknął swoją karierę aktorską Hamletem — liczył wtedy lat 58 i tylko dwu lat brakowało mu do śmierci.

Hamlet Burtona jest młody, młodzieńczy. Ma świeży, piękny głos, ujmujący, choć nie przesłodzony wygląd i — własne ciemne, bujne włosy. Ten ostatni szczegół nie wyda się trywialny i błahy, jeśli się przypomni, że przez stulecia trzeba było kryć łysiny Hamletów, że w drugiej połowie ubiegłego wieku Fechter, aktor francuski, grający Hamleta po angielsku w Londynie i w Nowym Jorku, wprowadził tradycję jasnych peruk, ,,a cross between golden and ginger" (jeszcze Olivier na taki kolor ubarwił swoje włosy w filmowej przeróbce ,,Hamleta").

Burton, zgodnie ze swoim temperamentem, ujął rolę lirycznie. Hamlet w jego ujęciu, to człowiek młody, jeszcze nie okrzepły, nie wystudzony wewnętrznie, na którego spadł olbrzymi ciężar, w którego ugodziła cała potworność życia. To nie intelektualista, filozof, jak chcieli Schlegel i Coleridge, to nie człowiek o przeroście refleksji, narcyz nachylony nad sobą, jak nad odbiciem w wodzie. To człowiek gnący się pod brzemieniem, miotający się w sieci, broczący żywą krwią, cierpiący.

Nie drogą chłodnej analizy, ale instynktownym jasnowidzeniem, promieniowaniem emocjonalnym, Burton zespala Ham-

leta w jedną całość, tworzy z niego postać zrozumiałą, wzruszającą, wzbudzającą głębokie współczucie. Osiąga to w sposób bezpośredni, daleki jest od kokieterii, ładności, kobiecych krygów i wdzięczków w stroju.

W scenie z Ofelią przed przedstawieniem na dworze momenty drastyczne Burton łagodzi melancholią. Podobnie jest ze scenami, w których dochodzi do głosu okrucieństwo Hamleta. Słowa po zabiciu Poloniusza : „Żegnaj głuptasie, podły wścibski sługo", Burton mówi bardziej ze smutkiem niż ze wzgardą, Całą scenę z matką w sypialni gra z wielką, przejmującą dyskrecją. „Słowa jak sztylety ranią mi uszy" — mówi tam królowa; zdają się one ranić także usta tego, kto je mówi. Nawet w scenie cmentarnej — tak urażającej smak klasyków, tak umiłowanej przez romantyków — Hamlet Burtona jest łagodny i czuły. Jego ramiona przebiega dreszcz, gdy ma wziąć czaszkę z rąk grabarza, jego twarz rozświetla tkliwość, gdy dowiaduje się, że jest to czaszka Yorricka, błazna-przyjaciela, towarzysza szczęśliwych lat dzieciństwa.

Dość paradoksalnie to ostatnie ujęcie aktorskie postaci Hamleta najściślej przystaje do pierwszej interpretacji teoretycznej — Goethego. „Szekspir chciał nam — to są jego słowa — ukazać w Hamlecie duszę obowiązaną do spełnienia wielkiego czynu, do którego nie jest zdolna... Dąb zasadzono w wazonie, przeznaczonym na wdzięczne kwiaty; korzenie się rozrastają, naczynie pęka". Być może kreacja Burtona w pewnej mierze odpowiada także temu co myślał Matlakowski, gdy mówił o „Hamlecie" jako „obrazie rozwoju duszy młodzieńczej w męską". Ale tego nie można twierdzić z pewnością bez jego książki w ręce.

RESZTA JEST NICZYM

Jeśli główna rola w inscenizacji Old Vicu pociąga, zadziwia, wzrusza, to reszta ról po prostu się nie liczy. Może należałoby zrobić wyjątek dla Ofelii, choć Grydzewski uważa, że jest to rola w ogóle nie do zagrania (słyszałem podobny pogląd od bardzo inteligentnej i kulturalnej aktorki). Partnerka Chaplina, Claire Bloom, ślicznie wygląda w scenie widowiska, ma kilka prawdziwych akcentów w scenie obłąkania. Jest to Ofelia dziewicza, na przekór domniemaniu romantyka i szekspiromana niemieckiego Tiecka, że córkę Poloniusza i królewicza łączył związek fizyczny (ta z pozoru drastyczna sprawa ma znaczenie dla ujęcia arcytrudnej roli).

Reszta grających jest na prawdę niczym. „Milczeniem" — jak mówi Hamlet. Najbardziej niepojęte jest obsadzenie roli królowej. Gra ją aktorka, która mogła by być nie matką, ale babką Hamleta. „Gertruda — twierdzi Gielgud — musi mieć około 50 lat", ale zaraz dodaje : „nowoczesny zwyczaj obsadzania tej roli młodą kobietą bardzo podnosi jej efektywność i sens całej historii". Czyli że raczej należy przyjąć, że jest to kobieta około

lat 40. W ostatnim przedstawieniu wiele rzeczy : miłosna pasja króla, pomówienie przez syna o zmysłowość — stają się niezrozumiałe. Scena w sypialni, choć zagrana przez Burtona bardzo delikatnie, jest dość trudna do zniesienia. To już drobiazg, że w takim ustawieniu osób bierze w łeb psychoanalityczna interpretacja ,,Hamleta". (Freudysta amerykański Ernest Jones wystąpił z teorią, że jego bahater jest dotknięty kompleksem Edypa, kocha matkę, nienawidzi ojca i dlatego ociąga się z zemstą na zabójcy, który go niejako wyręczył, urzeczywistnił jego podświadome pragnienia. Ten pogląd przyjął szekspirolog francuski Paul Yvon. Skłania się do niego, choć nie w tak prostackiej postaci, Eliot.)

Nie lepiej ma się rzecz z innymi rolami. Duch jest rozwrzeszczany, płaczliwie patetyczny. Klaudiusz wygląda jak morderca pospolity z powieści kryminalnej dla kucharek. Poloniusz i Laertes są poniżej przeciętności. Ozryk należy do świata operetki. Ani jednej ludzkiej twarzy.

W ostatecznym wyniku ,,Hamlet" Anno Domini 1953 jest przedstawieniem z głębokiego dziewiętnastowiecza : liczy się w nim, błyszczy urzekającym światłem tylko jeden aktor, reszta jest tłem, nie zupełnie obojętnym, ale często takim, którego chciałoby się nie widzieć.

KSZTAŁT SCENICZNY

I on także pod wielu względami tkwi daleko w przeszłości. Na szczęście wolny jest od realistycznego gadulstwa, nadmiaru zmian i szczegółów. Nie jest także pokazem pseudo-archeologii skandynawskej, pseudo-stylu ,,Wikingów", co się tutaj w Anglii zdarzyło jeszcze nie tak dawno. Ale nie są to okoliczności łagodzące zasadniczy zarzut : ,,Hamletowi" w Old Vicu brak powietrza, wielkości, monumentalności, szekspirowskiej miary.

Na tym przedstawieniu, na całym teatrze angielskim mści się nieustannie to, że Anglia wydawszy w E. G. Craigu reformatora teatru, sama nigdy nie przeszła przez okres tzw. reformy teatralnej z jej skrajnościami i jej zdobyczami. Craig (syn Ellen Terry, najsławniejszej Ofelii) grał za młodu Hamleta i całe życie zajmował się ,,Hamletem". W roku 1907 wydał tekę kwasorytów, poświęconych temu dramatowi, w r. 1930-1931 ozdobił 75 drzeworytami tekst angielski i jego nowy przekład niemiecki dokonany przez Gerharda Hauptmanna. Jest to jeden z nielicznych utworów scenicznych, który urzeczywistnił na scenie. Stało się to nie w Londynie ale — w Moskwie, w Teatrze Artystycznym Stanisławskiego. Inscenizacja moskiewska z r. 1912 po raz pierwszy wprowadziła w życie formułę Craiga : ,,one scene with changeable face" (jedna scena, jedna dekoracja, o zmieniającym się obliczu). Posługiwała się wielkimi płaszczyznami, wielkimi regularnymi bryłami kremowo-złotego koloru. Były one ,,malowane światłem". Kolor, światło, cała przestrzeń sceniczna zmieniała się równolegle z tokiem dramatu. Było to coś, co można

by nazwać teatralną muzyką. Do dziś jest to jedno z legendarnych, największych, mimo niedoskonałości bez wątpienia przełomowych widowisk teatru europejskiego.

W ostatnim ujęciu brzmiało dalekie, nikłe, zniekształcone echo tej arcyinscenizacji craigowskiej. Był to typowy przypadek, o którym mówi się obrazowo : wie że dzwonią, ale nie bardzo wie gdzie i poco? Inscenizator (i obecny dyrektor Old Vicu) Michael Benthall rozegrał całe widowisko na tle trójarkadowej fasady, która wznosi się na granicy między sceną a proscenium, wypełnia bez reszty cały otwór. Ma to taki skutek, że ruch sceniczny jest wypchnięty na przód, na obszerny „fartuch", właściwa zaś scena leży odłogiem. Odpowiada to duchowi teatru elżbietańskiego i jego architekturze, ale jest nielogiczne i nieekonomiczne z punktu widzenia dzisiejszej architektury teatralnej i dzisiejszej optyki teatralnej. Tej prawowierności zbywa zresztą na konsekwencji, bo u elżbietańczyków wielką rolę grał balkon w głębi. W wyniku tej zasadniczości i tej niekonsekwencji pewne sceny, które zyskałyby na cofnięciu w tył (np. rozmowa Hamleta z widmem, kopanie grobu i pogrzeb Ofelii) albo na uniesieniu w górę (para królewska i dwór w czasie przedstawienia na dworze) są wysunięte do przodu, rozgrywają się niemal na skraju platformy. Stają się przez to natrętnie bliskie, tracą na wyrazie.

„Changeable face" sprowadza się do nielicznych i niezbyt wymyślnych zmian tła głębnego lub owej stałej fasady. W ostatnim akcie zjawia się w jej środkowym przeziorze brama, do reszty zagracająca przestrzeń sceniczną.

Craig obnażył scenę ze wszystkiego co zbędne, aby do symbolicznej wymowy podnieść na niej to, co konieczne. Benthall słyszał o tym, ale niedokładnie. Stąd karykaturalna przesada : Klaudiusz przynosi i wynosi pod pachą krzyż przed którym się modli. Stwarza to efekt groteskowy i mimowolnie komiczny.

W ogóle pomysłowość inscenizatora jest w stanie niemowlęcym. Związek łączący Hamleta z Fortynbrasem ma istotne znaczenie dla utworu, ale Benthall wyraża go jak najbardziej prymitywnie, każąc Duńczykowi wygłaszać monolog w obecności Norwega, odwróconego tyłem do widzów. Do tej kategorii pomysłów należą okrzyki : „Hamlet ! Hamlet !" przy toaście i brutalne wtłaczanie królowi w usta pucharu z trucizną.

Ale najbardziej odstręczający jest bezład scen zbiorowych, zwłaszcza sceny ostatniej. Sięga on chyba epoki przedmeiningeńskiej; dla sceny nowoczesnej jest to epoka kamienia łupanego.

◆

Polski „Hamlet" czeka jeszcze na swój kształt w słowie. Angielski „Hamlet" czeka jeszcze na swój kształt sceniczny.

Ale Hamlet Richarda Burtona będzie chlubnie zapisany w ciągle piszącej się kronice arcydramatu.

Tymon TERLECKI

Cztery mile za piec

I.

Chodziliśmy tam i z powrotem po szpaltach gazet.
Ty szukałeś prawdy w gąszczu liter,
A znalazłeś — znak zapytania.
Ja chciałam się tylko dowiedzieć
Dokąd biegną kropki w wielokropkach.
Ale to podobno sekret, święta, urzędowa tajemnica,
Więc zostaliśmy sami,
i z niczym,
na marginesie.

II.

Szczęście spływa po mnie, jak rosa,
I tak mi rozłożyście, zielono!
Popatrz — wyciągnęłam ręce i zakwitłam.
Może chcesz odpocząć w moim cieniu?
Ja ci będę szumiała — śpiewała
O wiośnie, która zawsze powraca...
Potem pójdziesz, a ja zapłaczę
Deszczem złoto — purpurowych liści.

III.

Szłam za tobą noce i dnie,
Jak za wielkim, kolorowym półksiężycem.
Nanizałam gwiazdy na sznurek,
By ci je zawiesić na szyi.
I mierzyłam przestrzeń tęsknotą,

I mierzyłam tęsknotę biciem serca...
Nagle spadła kurtyna
I dopiero wtedy zrozumiałam,
Że półksiężyc był wycięty z papieru.
Więc zapłakałam i zgasły
Gwiazdy, nanizane na sznurek.
Ty kłaniałeś się nisko widowni,
Zbierałeś bukiety i brawa.

IV.

Wszystko jest głupio i głupio,
I ty, i ja, i pani z piórkiem na głowie.
— Czy mam ci dolać kawy?

Powiedz, ty naprawdę wierzysz w nieśmiertelność?
Że ty, i ja, i pani z piórkiem na głowie,
Zawsze, po wieki wieków...?
Czy raczej myślisz, że dusza
Roztapia się w wieczności,
Jak kostka cukru w kawie?

Wczoraj chciałem siedzieć tak, jak teraz,
Myśląc i mówiąc o niczym,
A dziś chciałbym liczyć łabędzie
Lub powyrywać kaczkom złote piórka
Lub... Nie, dziś nie chcę nic więcej,
Może tylko łyk wieczności.
— Kelner, proszę o rachunek.

Danuta BIEŃKOWSKA

Czarne strofy

Nie było Ciebie z nami
choć faryzeusze klną się, żeś siedział
wysoko za naszym stołem.

I nikt po Ciebie nie pośpieszył
choć na widok gromnicznego cienia
rozbiegli się po kresach świata
ze śladami powrozów na twarzy.

Poszli w getta Babilonu
unosząc z sobą w sakiewkach
kadzidłowe dymy i owcze skóry
by na posadzce świątyni
mogli Bogu dziękować, że nie są jako i inni.

Na wschodzie stała łuna jutra
i zagląda w beztroskę — na próżno.

Jak z pobielanych grobów wstać ma duch
od ryku trąb zapadły?

Który kładłeś ręce na oczy,
dotknij nas, byśmy przejrzeli
i laurowe ciemne pieśni
przemień w białe strofy.

Florian ŚMIEJA

Dziwne miasto

Błądziłem po dziwnym mieście,
pukałem do drzwi nieznajomych,
prosiłem weźcie mnie, weźcie,
ale nie chciały mnie domy.

Wchodziłem w czarne ulice,
pytałem latarni o drogę,
nie widzę, powtarzałem, nie widzę
i dalej już iść nie mogę.

I wzrok podnosiłem do nieba
szukając wśród gwiazd drogowskazu,
nie trzeba mi komety, nie trzeba,
dajcie mi gwiazdkę bez skazy!

Odwiedzałem ponure piwnice,
zaglądałem w każdą noc po kolei,
niech się choć waszym głodem nasycę,
pozwólcie, ale nie chcieli.

I dalej błądziłem po mieście,
pukałem do drzwi nieznajomych,
prosiłem weźcie mnie, weźcie,
o niewzruszone domy!

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ

Fotograf

Trzeciego dnia panującej za oknem mgły, Gabryś powiedział, krzywiąc się do lustra przy goleniu :

— Ja nie chcę iść dalej.

Irena wciągała w tej chwili pończochę. Zmoczyła wargami koniec palca, zamocowała śliną uciekające oczko, zapięła wysoko pończochę podwiązką, wszystko jak należy. Potem bez słowa poszła do kuchni. W taki nieprzyjemny ranek nie ma się ochoty do dyskusji. Za oknem, jeszcze przed trzema dniami rozpościerał się daleki widok na dachy i kominy. Teraz można było tylko dostrzec białą taflę. O ósmej rano widać było słońce drobne, jak mandarynka w wacie. Ale później i ono znikło. Luxemburg nadawał francuskie piosenki. Kot spał w rozrzuconym łóżku. Kominek się nie palił, żeby oszczędzić gazu.

Wiadoma rzecz o co chodzi : człowiek zbliża się pięćdziesiątki. Pozostało mu życia śmiesznie mało. Czeka go wieczność. Te lata, co kot napłakał, są zerem wobec tego co zaraz nastąpi. Zaraz, bo czas pędzi. A z nikim nie można się dogadać. Spróbuj zgubić wartość np. jednego przejazdu autobusem : ,,Coś ty robił, żeś zgubił?'' No i niech który odpowie : ,,Myślałem o wieczności''. Jeżeli nie żartem, a na poważnie tak odpowie, wszyscy orzekną : ,,Wariat, czy co!''...

Irena znowu weszła, obrzuciła wzrokiem niesprzątany pokój, spojrzała w okno : mgła. I stanęła na chwilkę z opuszczonymi rękami pośrodku dywanu. Kot śledził jej rękę uzbrojoną w ściereczkę do kurzu. Gabryś zrobił krok w bok, wyłączył Luxemburg, wrócił do lustra i powiedział co myślał :

— Ja chcę zawrócić.

— Co takiego? Wrócić, dokąd?

— Nie wrócić, tylko : zawrócić.

— Skąd?

— Z drogi.

Irena spędziła kota z pościeli i zaprzątnięta własnymi myślami, nie starała się nawet dociec sensu słów. Była niedziela. Ok-

ropny dzień w zamglonym mieście. Gotujący się czajnik i ten, w takich chwilach, dodaje więcej pary do beznadziejności, dosłownie szczypiącej w oczy. Zadzwoniono w kościele, do którego od wieków, jeżeli kto idzie to z postanowienia, ale nigdy wskutek nawoływania dzwonu.

Taki to był ranek, w którym Gabryś powziął decyzję : zawrócić. Szedł przez całe życie wprost do grobu. A on nie chce. Jeżeli to jest naprawdę ,,droga życia'' jak powiadają, w każdym razie droga, tedy może być i inna, czy nie ? Zawsze przecie bywa kilka dróg. A więc jeżeli nie zawrócić, to chociażby zboczyć ? Wszystko to są myśli w sam raz odpowiednie na czas golenia. Ale późniejsza historia zaczęła się właśnie od tego, że Gabryś utracił wprawdzie tę myśl podczas mycia się zimną wodą, ale podjął ją na nowo przy zawiązywaniu krawatu, a nawet wkładaniu kurtki. Myślał o tym, żeby ,,zawrócić'', gdy dwoma palcami zdjął z klapy marynarki białą nitkę i opuścił ją na dywan.

— Gdzie jest moja zapalniczka ? — spytał, a myślał : ,,trzeba zawrócić''.

— Pewnie tam, gdzieś ją położył.

,,Trzeba chociaż spróbować'', powtarzał w duchu.

◆

Kiedyś lat temu czterdzieści, siedział z ośmioletnim Jasiem Kubikiem nad jeziorem. Zupełnie nisko, przy samej wodzie; oczywiście boso, latem, w pełnym słońcu. Na jeziorze była wyspa : kępka olch i dzikich krzewów. Woda z tego kąta patrzenia wydawała się granatowa; niebo granatowe; trawa naturalnie zielona. Raj. Nie było innego gwaru jak tylko cichy, cichy plusk. Ach, żeby nie istniała groźba obiadu, która zawsze przerywa najpiękniejsze godziny sytego dzieciństwa ! Patrzysz, a tu przestrzeń jak życie. I oto Kubik objąwszy rękami kolana i wielkim palcem u nogi przewracając muszelkę, powiada :

— Chcesz, nauczę ciebie chodzić po wodzie.

— Ale dziś.

— Nie dziś, ale nauczę.

Gabryś spojrzał na płaszczyznę wodną, aż do odległej wyspy, na którą latały ptaki i zmrużył oczy. Ni to od blasku, ni to od wspaniałości tego postanowienia. Było też w tym spojrzeniu coś drapieżnego. Gdyby nań patrzeć z boku, mógł się wydać podobny do żbika, który jak na swoją ofiarę tak czyhał na wyspę. A z tamtej strony jeziora, het, ledwo dostrzegalne nad brzegiem zaczęły śpiewać kobiety przy praniu bielizny.

Całe lato w ten sposób zeszło tylko pod znakiem przygotowań do nauki chodzenia po wodzie. Ale nim się zaczęła, trzeba już było jechać do wstępnej klasy gimnazjalnej i od tego czasu... Ba, dalej i dalej, poprzez te wszystkie lata... Aż do tego zamglonego poranka.

Gabryś zatrzasnął drzwi wejściowe i zapiął palto dopiero na chodniku. Rozejrzał się : mgła. Nastawił kołnierz.

Pierwsza próba wypadła fatalnie. Postanowił iść odwrotnie do przewidzianej drogi życia. Na przykład nie kupić biskwitów do herbaty, nie zachodzić po gazetę, o którą prosiła Irena chcąca sprawdzić co grają w kinach. Poszedł właśnie w kierunku przeciwnym. Ale były to te same ulice, tylko że we mgle. Dwa razy skręcił w niezwykłym kierunku, raz omal nie wpadłszy pod samochód, a później natknął się na dwuch uczniaków, którzy szeptem wymieniali ze sobą jakieś tajemnice. Poczuł się zmęczony i zrobiło mu się wstyd. Nonsens był zbyt oczywisty. Nie tylko, iż nie potrafił wyzwolić się z wytkniętej drogi, ale wręcz przeciwnie : z trudem musiał ją w końcu odszukiwać, by na nią nawrócić i dotrzeć do domu. Wytarł nos i stwierdził, że na chusteczce zostały ślady sadzy. Między ledwo dostrzegalnym zarysem platanu i rogiem apteki, wyłoniła się twarz i powiedziała doń wargami z mgły : ,,Może chcesz popełnić samobójstwo? Bardzo proszę". Gabryś stanął, wsadził obydwie ręce do kieszeni i podniósłszy głowę tak, że załamał kołnierz jesionki, odparł głośno, dobitnie akcentując słowa : ,,Właśnie wręcz przeciwnie. Wręcz odwrotnie". A później poszedł na drugą stronę ulicy oglądając się ostrożnie. Tu natknął się na inną twarz, która go zapytała bardzo grzecznie o kierunek do najbliższej stacji kolejki podziemnej.

— Dokąd się pan śpieszy właściwie? — mruknął Gabryś. — Do wieczności? — Po czym sam przyspieszył kroku, żeby zdążyć na obiad.

Rezultatem tej pierwszej próby był zły humor przy stole. Kłótnia czy zapalić światło, czy nie? Zarówno on, jak Irena, nie mieli pod tym względem wyrobionego zdania, a jedynie starali się wypowiedzieć przeciwne sobie.

— Zresztą nie masz się czego irytować, że nie przyniosłem gazety. — dorzucił w końcu Gabryś. — Kto może w taką mgłę chodzić do kina.

— A co może robić?

— To co wszyscy. Zbliżać się do wieczności. — Wyszedł do drugiego pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

◆

Irena zaniepokoiła się dopiero stanem Gabrysia, gdy już dawno wiał wiatr z południowego-zachodu i z mgły nie pozostało nawet strzępu. Chodniki były mokre, świeciło blade słońce, a te rośliny, które nie tracą liści na zimę, robiły wrażenie świeżo malowanych na zielono. Wiatr targał w kuchni źle dopasowaną ramą okienną i zwiał kruszyny z zewnętrznego parapetu, wysypane tam dla wróbli. Dziewczyna jadąca na rowerze, lewą ręką mocowała się z kierownicą, a prawą przytrzymywała sukienkę, którą podmuch zadzierał jej do połowy uda. Irena odeszła od okna i postanowiła uczynić to co jej poradzono : zaprosić kilku starych znajomych Gabrysia, aby go ,,rozerwali" i możliwie naprowadzili na bardziej normalne myśli. Życie w wiel-

kim mieście doprowadza często do samotności, która przy pewnym stanie nerwów (a u wszystkich są one nadszarpnięte) staje się złym doradcą. ,,Ściągnąć go trzeba na ziemię z nieba, na ziemię ! — żartował jeden z przyjaciół, który lubił poczęstunki u znajomych. — Za nogi, za nogi ! Niech chłopak porozmawia z ludźmi. Nie można się smażyć wiecznie we własnych myślach''.

Irenę nieprzyjemnie dotknęło słowo : ,,wiecznie'', ale poszła za jego radą, żeby uprzedzić gości o psychicznym przygnębieniu, w jakie popadł Gabryś.

On sam był nawet zadowolony z większego audytorium i gdy przyszli goście rozprawiał z dużym ożywieniem. Od razu ktoś z przybyłych spróbował obrócić jego słowa w żart :

— Wiadoma rzecz, że ,,wszystko jest głupstwem wobec wieczności''... — Inni się roześmieli solidarnym chórem.

— Nie o to chodzi, że ,,wiadomo'' — odparł niezrażony Gabryś. — Chodzi nie o wiedzę, a wyobraźnię. Rzecz tkwi w tym, że wszyscy my wiemy dobrze, ale cała trudność polega na tym, że nie możemy sobie wyobrazić. Przecie wszystkie nasze zabiegi, nie w przenośni, a dosłownie nie mają żadnego sensu. Trzeba tylko sobie uprzytomnić, trzeba sobie *wyobrazić* różnicę jaka zachodzi w czasie pomiędzy naszym życiem na ziemi i wiecznością. Powiedzmy każdy z was wyobraża sobie na przykład kłopoty związane z manipulacją kupna domu...

— No, no ? — podniósł głowę otyły blondyn ,który miał aż dwa domy, a w tej chwili siedząc na łóżku, w milczeniu boksował poduszkę.

— Wyobraźmy sobie, na przykład, kogoś kto by chciał kupić dom — ciągnął Gabryś — po to jedynie żeby go posiadać tylko jeden dzień ? A przecież jeden dzień w naszym życiu, to jest szalenie długi termin w porównaniu do stosunku jaki zachodzi pomiędzy całym naszym życiem, a wiecznością. Nie ma takiej cyfry, za pomocą której...

— Ale ! Co za bzdury gadasz. Kto będzie kupował dom na jeden dzień, — odparł blondyn i boksnął poduszkę.

— Gabryś zrobił się niedowiarkiem — wtrąciła Irena, sądząc, iż w ten sposób ułatwi naprowadzenie dyskusji na właściwe tory. — ,,Czego ten brudnymi łapami miętosi świeżą nawleczkę'' — pomyślała pod adresem blondyna i ażeby oderwać go od tej zabawy, spytała : — Panu herbaty czy kawy ?

— To nie ma nic wspólnego z wiarą, czy niewiarą — podjął żywo Gabryś. — A raczej wychodzi na jedno. Kto jest przekonany, że po śmierci będzie nicość trwająca wieczność... wieczność ! No, dajcie spokój panowie, musi zdać sobie chyba sprawę, że wszystkie jego zabiegi... Ale znowuż wierzący w niebo i piekło, też wieczne... To pozwólcie, w takim razie każda czynność, mogąca chociażby mimowoli potrącać o grzech, nie wytrzymuje żadnej, ale to absolutnie żadnej najprostszej, najbardziej prymitywnej kalkulacji handlowej. To tak jakby komuś powiedzieć : ,,postój tu spokojnie przez ułamek sekundy, a dostaniesz tylko za to, miliardy dolarów''. I ten ktoś nie mógł ustać tego

ułamka sekundy, a zrobił tysiące niepotrzebnych ruchów, wiedząc, że w ten sposób nie tylko utraci miliardy, ale narazi się na grube nieprzyjemności, które go czekają w piekle! A przecież, powtarzam, nasze życie w stosunku do wieczności jest nieskończenie krótsze, niż ułamek sekundy w stosunku do miliardów. Tak, czy nie?!

— Hm — mruknął siedzący obok Ireny, czterdziestoletni młodzian i podniósł jedną brew bardzo wysoko, dając jej do zrozumienia, że z Gabrysiem jest istotnie niezbyt dobrze.

Tylko jeden z liczby sześciu zaproszonych, który żył z zapomogi rządowej, zająknął się nieśmiało w obronie tez Gabrysia:

— No cóż... Rzecz pewna, że ostatecznie wieczność... No to istotnie, jakby wychodzi, że tego...

— Ach, pan Oleś był zawsze romantykiem! — zakrzyczał go inny, chociaż Oleś był zawsze urzędnikiem kolejowym, a obecnie podawał się za skończonego prawnika.

— Oleś jest typowym „poszukiwaczem prawdy", — dorzucił drugi.

— Oleś to urodzony mesjanista.

— Tak, tak. To wszystko wynika z tego naszego wiecznego... To jest chciałem powiedzieć, przyrodzonego romantyzmu.

— Naturalnie, nasze wieczne... Nasze przelewanie krwi. Zobaczymy tylko jakąś skałę i zaraz z szablą na Samossierrę!

— Tak jak teraz w kraju, nasi najlepsi cierpią.

— Właśnie. Straszne! Okropne. Muszą brać pensje, żeby wychwalać Stalina!

— A słyszał pan teraz, ta biedna Maria Dąbrowska?

— Ach, biedactwo, biedactwo. Jaki jubileusz jej sprawiono. I może jeszcze musiała, biedactwo, przyjąć pieniądze...

— Pomyśleć tylko co za nierówną walkę oni tam toczą, co za walkę!

— Bo to proszę panów — wstał inicjator zebrania, z biszkoptem w ręku, — musimy raz wreszcie skończyć z tymi szaleństwami. Przestać bujać w obłokach heroizmu. Przestać myśleć o różnych takich wiecznościach... — Tu wolną ręką trzepnął jowialnie Gabrysia po ramieniu — a patrzeć na rzeczy realnie! — Wyciągnął obydwie ręce z zaciśniętym w kułaku biszkoptem, wskazując jak tę realność należy ująć palcami. — Ot co, — zakończył zwracając się znowu do Gabrysia.

— Słusznie, słusznie! — przytaknęli wszyscy jednogłośnie i nawet Oleś kiwnął głową, a skorzystawszy z zamieszania przysiadł się prędko na łóżko do blondyna i zapytał, czy ten może mu pożyczyć trochę.. tego...

— Fatalnie — blondyn zrobił przeczący ruch głową. — Podatki. Ani grosza teraz nie mam — i przejechał się palcem wskazującym po szyi, na znak, że go zarżnięto.

— Gabryś, trzymaj się! — wołał ktoś w tłumie, bo wszyscy powstali z miejsc.

— Gabryś!

— Co?

— Nie dawaj się wieczności!

Gdy wyszli, Irena otwarła górną połowę okna dla przewietrzenia pokoju, a Gabryś zsypywał na talerzyk rozrzucone niedopałki i popiół, żeby je wyrzucić do brudnego wiadra w kuchni.

◆

„Zawrócić", ale nie „powrócić", to była bardzo trudna definicja do wytłumaczenia. Żaden z zamieszkujących miasto jogów indyjskich, szamanów, cudotwórców, szarlatanów, hypnotyzerów, myślicieli murzyńskich, muzułmańskich i chrześcijańskich, do których Gabryś się zwracał o radę, nie bardzo nawet zdawał sobie sprawy o co jemu właściwie chodzi. Każdy myślał, że on jeszcze raz chce powtórzyć od początku młodość, co już miliony ludzi chciało przed nim. Dopiero pewien bardzo stary i bardzo mądry rabbi, rodem z Bobrujska, długo patrząc w przeciwległą za oknem ścianę wyklejoną afiszem nowego gatunku pasty do zębów, i długo marszcząc czoło, domyślił się w końcu :

— Ehe, to ja widzę ze wszystkiego, że pan potrzebujesz być po prostu nieśmiertelny? Tego nie da się zrobić.

— Zostawmy na razie nieśmiertelność na boku. Wszyscy idą od kołyski do grobu. Czy nie ma innej drogi?

— Tk, tk, tk... Nie widać.

— Objazdki jakiejś?

Rabbi pokiwał głową z dezaprobatą :

— Pan wie miasteczko Mir?

— No wiem.

— Tam była bardzo sławna na cały świat szkoła żydowska. To mnie młodego jeszcze wiózł do niej furman ze Słucka. To pod wieczór jakoś było, powiedział : „skręcimy w te objazdkie, lepiej będzie". To pan powierzy, że wparli się w takie rojsty, że ledwo wilcy nie rozerwali. — Zamilkł i po chwili orzekł : — Jaka tu może być objazdka.

Gabryś ze spuszczoną głową obserwował kurz w szparach między deskami podłogi. Nagle rabbi mruknął jakby mówił do siebie :

— Chyba jeden, fotograf...

— Kto taki?! — zdumiał się Gabryś, unosząc głowę.

— Nie ważne. Jeden taki... nu. Niech pan zajdzie do mnie jeszcze.

— Kiedy?

— Bez różnicy. Tylko nie w szabes.

Gabryś wychodząc postanowił wstąpić doń pojutrze. Ale wypadki następnych dni pokrzyżowały ten plan. Przede wszystkim zachorował kot i trzeba go było odwieźć do kliniki weterynaryjnej. Następnie Irena wymogła na Gabrysiu, żeby sam się udał do lekarza, do znanego neurologa i psychiatry.

Lekarz kazał mu trzeciego dnia zgłosić się na konsultację do swego szpitala, położonego o trzy godziny jazdy za miastem. Pociąg odchodził rano. Gabryś wrócił do domu późnym wieczorem, w nastroju raczej ożywionym.

— Coś ty robił tak długo? Już się niepokoiłam.

— Wiesz, testy! To znaczy bardzo ładna... To jest, owszem, młoda panienka i ja siedzieliśmy sobie w pokoju i przeglądali testy.

— Cały czas?

— No nie cały. No ten czas co byłem w szpitalu. Weź jeszcze drogę, czekanie.

— Nie rozumiem.

— Nie wiesz co to są? O takie, o... — Gabryś urwał kawałek papieru, nalał nań kilka kropel atramentu, a później złożył i rozpłaszczył papier, okazując fantastyczne kleksy. — I musisz opowiadać co z tych kleksów wyczytasz. No rozumiesz, takie tam różne obłoki, wielbłądy...

— Jakto, wielbłądy... A doktór?!

— A... doktór. Nie, doktora nie widziałem. Nie przyjął mnie.

— I cała konsultacja, to była ta panienka?

— Śmieszna jesteś. Widocznie tak trzeba. Ja się na tym nie znam. Zresztą to ty mnie zmusiłaś, żebym się udawał do lekarza.

Irena wzruszyła ostentacyjnie ramionami i więcej do tematu ani lekarza, ani metod nowoczesnego leczenia nie wrócili. Raz tylko, podczas kolacji, Gabryś zamyślił się i odezwał się niespodziewanie:

— Czy tybyś nie kupiła sobie też takiego szala? ...

— Jakiego znowuż szala? — spytała lodowato.

Gabryś spojrzał na nią przelotnie i raptownie ogarnęła go nowa fala zniechęcenia do drogi życia, po której kroczył. Chleb wydał mu się wilgotny, herbata źle zaparzona. Za oknem łuna od dalekich neonów świeciła fałszywie i nudnie.

Zaczęła zapadać noc.

Noc jest właściwie terminem w czasie względnym. Od zachodu do wschodu słońca, oddaje wszystkie godziny przedpółnocne na rzecz wieczoru, a godziny, w których ludzie wstają do pracy na długo przed świtem, wliczają się już do pojęcia ranka. W ten sposób noc bezporna, ograniczona została do jakichś dwustu-trzystu minut zimowych. Samochody jeszcze biegną, ale ich motorowy gwar przechodzi stopniowo w szelest, w cichy szept asfaltu, który nie obchodzi nikogo, chyba tylko centrum miasta. Poza nim śpią mewy i gołębie, śpią ludzie, tylko rzeka płynie. Czasem sowa sfrunie z heretyckiej kirki na bezlistne drzewo i krzyknie jak daleki parowóz, czasem daleki parowóz odezwie się głosem sowy w mroku. I znowu cisza. Samolot przeleci przepisowym kursem i znowu cisza. Z bardzo dużej odległości, ale to już naprawdę z daleka, dojdzie ochrypły ryk syren okrętowych. Wyglądają na to, jakby na bajecznych wzgórzach Guliwera ryczały olbrzymie krowy. A ludzie śpią w ciągu tych kilkuset, bezspornych minut. — Bo miasto, w którym mieszkał Gabryś nie posiadało nocnych fantazji. Żyło więc tak, jakby wszystko na świecie, od wieków było zawsze w zupełnym po-

rządku i nie powinno się było nigdy zmieniać : od rana do wieczora, od wieczora do rana, od kolebki do grobu.

Godzina pierwsza, godzina druga... o wpół do trzeciej w nocy zadzwonił telefon !... Trudno było określić kolejność zdarzeń : coś najpierw jakby drgnęło w pokoju i jednocześnie prawie głośny, przeraźliwy w ciszy, dzwonek telefonu przeciął powietrze jak cięcie szabli. Oboje w pierwszej chwili usiedli w pościeli, później wstrzymali dech zanim spojrzeli po sobie. Telefon dzwonił nie tak, jak dzwonią zazwyczaj telefony : bezosobowo i mechanicznie. Raczej zdawało się, że czarna skrzynka ożyła i drga złowieszczo. Nie, tak ni stąd ni zowąd nie dzwoni żaden telefon na świecie. Musiało stać się coś chyba niezwykłego.

— ...może być? — wyszeptała drżącymi wargami Irena.

Gabryś wstał, przytrzymując ręką kalesony.

— Nie podchodź !! — krzyknęła.

A przecież nie było żadnego powodu, aby się bać. Zresztą mogła być zwyczajna omyłka. Zdjął słuchawkę. Nie, to nie była omyłka. W słuchawce był czyjś oddech.

— Hallo, — odezwał się zmartwiałym szeptem Gabryś.

— Pan, zdaje mi się, pragnął obejrzeć fotografie? — Głos nie pochodził z zaświatów, ani z grobu, jak tego dlaczegoś oczekiwał w tej chwili Gabryś. Przeciwnie, był nieprzyjemnie bliski, tuż, czuło się nieomal przykry, męski oddech przepojony tytoniem.

Ani on, ani Irena nie pamiętali później co właściwie odpowiedział. Raczej coś pospolitego. Wtedy głos tuż, powiedział w słuchawce :

— Bardzo proszę. Będę czekał. — ,,Klik", szczęknęło w aparacie. Gabryś odwrócił się, ściskając w ręku słuchawkę. Irena siedziała w łóżku, w nocnej koszuli, z rozszerzonymi oczami, nagle przeniesiona do wieku pensjonarki, z opadającym warkoczem, zwyczajna, przerażona nocną zmorą dziewczynka.

— To fotograf — Gabryś szczęknął zębami z zimna i oparł wreszcie słuchawkę na widełkach.

◆

Tegoż ranka,po fatalnie przespanej nocy, o godzinie 8-ej zadzwonił znowu telefon. Tym razem była to asystentka neurologa, która przeprosiwszy za wczesną porę, zawiadamiała o wyznaczeniu nowej konsultacji Gabrysia u lekarza. Słuchawkę podniosła Irena, położyła ją ze słowem : ,,dziękuję", i — nagle wybuchnęła ! — Że ma tego wszystkiego dość ! Że życie jej zostało złamane, że jest zmęczona, że nigdy nie zaznała prawdziwej radości, że nie chce już słyszeć więcej o żadnych grobach, żadnych wiecznościach, żadnym nic ! Poza tym jeszcze wiele rzeczy, które kobiety zwykły mówić w stanie dużego zdenerwowania.

Te dwa incydenty wstrząsnęły Gabrysiem głęboko i podziałały nań dziwnie otrzeźwiająco. Zdało mu się, że osobiście również ma już wszystkiego ,,dość" i zdecydował wycofać się ze

sprawy jaką był podjął. Do starego człowieka z Bobrujska zaszedł w porze obiadowej. Za drzwiami kuchni smażyła się ryba i dochodził przykry swąd tłuszczu. Gabryś miał twarzą zmiętą po nieprzespanej nocy i na wstępie już poskarżył się na fotografa, że dzwonił w środku głuchej nocy :

— Ja wcale o to nie prosiłem. I zresztą co to za zwyczaj taki? — mruknął z irytacją.

— Pan wie, jest tyle ludzi na świecie. A po co oni żyją? Po to, żeby innym pokazać swoje zwyczaje. O co idzie kłótnia, a nawet wojna? O to samo.O zwyczaje. Jeden drugiemu chce narzucić swoje. Oto i cała polityka.

— Ale w nocy śpią wszyscy.

— Rozumiem. Zwyczajni ludzie. Ale ten fotograf to nie jest człowiek zwykły. Zresztą pan chciał być też niezwykły. To powinien jego rozumieć.

Swąd smażonej ryby ogarniał już cały pokój. Gabryś spojrzał w okno zastanawiając się, czyby nie dało się go trochę uchylić.

— Postanowiłem swój zamiar porzucić. Nie będę już szukał innej drogi.

Starzec bardzo go za tę decyzję pochwalił i wyłożył na czym polegał jego błąd : wtedy, gdy był mały, jak to opowiadał, i postanowił chodzić po wodzie, nie zrobił błędu. Bo człowiek postanawia często rzeczy niewykonalne i jest jemu z tym bardzo dobrze. Powiedzmy ,postanawia brać przykład z Pana Boga i czemu nie. Z takim postanowieniem żyje miliony ludzi. A niektórzy dobrze żyją. Tk, tk, i jeszcze jak żyją ! Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, gdy człowiek chce swoje niewykonalne postanowienie — wykonać. To jak dziś z komunizmem, pan wie? — Właśnie podobny błąd uczynił teraz Gabryś. Po co to jemu? Same z tego nieprzyjemności.

Gabryś nic nie odpowiedział, tylko przytaknął w milczeniu głową. Wtedy rabin westchnął : — Nu, ja muszę iść jeść obiad. A tu miałem dla pana adres tego fotografa. No, ale już on teraz niepotrzebny. — Na stole leżał kawałek papieru, oddarty z marginesu rannej gazety, na którym nagryzmolone było kilka słów. Gabryś sięgnął zamierzając go podrzeć, ale w tej chwili rabin wyciągnął rękę na pożegnanie. Gabryś wyciągnął swoją, miał w niej papierek z adresem i odruchowo wsadził go do kieszeni jesionki, ażeby uścisnąć podaną dłoń.

Wyszedł. Na ulicy kupił gorących kasztanów, ale przypomniał sobie smażoną rybę i nie mógł jeść. Wsiadł do autobusu, żeby wracać do domu; w drodze kontroler sprawdzał bilety. Gabryś wyjął z kieszeni bilet razem z kartką, na której był adres... Przez jakiś czas obracał kartkę w palcach, pochłonięty innymi myślami, a później od niechcenia przeczytał ją. Przeczytał po raz drugi, trzeci... nie mogąc ochłonąć ze zdumienia : Adres wskazywał jego własną ulicę i numer domu ten sam, jedynie zaopatrzony literą ,,A''. Nie przypomniał sobie, by taki kiedy-

kolwiek istniał w sąsiedztwie. Przetarł oczy : nie było wątpliwości. Nie mógł to być też żaden żart, bo swego adresu przecie nie podawał... Ale w tej chwili przypomniał sobie, że przecie numeru telefonu też nigdy nie podawał. Co to wszystko ma znaczyć?! — Gdy wysiadł z autobusu, śpiesznie poszedł sprawdzić.

Dom był. Dom taki jaki widuje się we śnie, gdy po przebudzeniu nie podobna opisać jego architektury. Może dlatego nigdy go nie zauważył na jawie? Sąsiedni dom, tuż przylegający ścianą do tego, w którym sam mieszkał. Teraz zrozumiał dlaczego głos w słuchawce telefonicznej wydał mu się słyszany z tak bliska! Gdy nacisnął dzwonek przy drzwiach frontowych, otworzył mu pan w jego wieku z uprzejmym uśmiechem na ustach. Gabryś w zakłopotaniu potarł ręce i też uśmiechnął się bezwiednie. Fotograf skinął głową, na znak, że rozumie, o co chodzi i prosił do środka. Gabryś usiadł w staroświeckim fotelu, obitym zielonym pluszem, jakie widywało się zazwyczaj w gabinetach fotograficznych przed pierwszą wojną światową. Pachniało nieprzytulnym zimnem lokalu, w którym się nie mieszka, a tylko używa za warsztat pracy. Fotograf zaproponował papierosa.

— Dlaczego właściwie... — zaczął nieśmiało Gabryś — zadzwonił pan do mnie w środku nocy?

— O, gdyby pan wiedział jak małe to posiada znaczenie wobec... — i urwał, zrobiwszy nieokreślony ruch ręką w powietrzu, wciąż z tym samym przyjaznym uśmiechem na ustach.

Gabryś wypuścił dym sobie pod nogi i pomyślał : ,,Wiem, wobec wieczności''. A głośno : — Być może. — Odchrząknął. Domyślałem się tego.

— To już bardzo dużo. To jest właściwie wszystko, na co umysł ludzki w jego obecnym rozwoju organicznym zdobyć się może : Domyślać się. Mówił mi mój przyjaciel właśnie, że się pan czegoś domyśla. To stary człowiek. Zaprzyjaźniłem się z nim w Bobrujsku, gdy otwarłem tam pierwszy zakład fotograficzny. Robiło się jeszcze na takich grubych kartonach fotografie przeznaczone do albumów rodzinnych, albo tzw. ,,gabinetowe''. Pan już nie pamięta?

— Ale pan chyba nie jest w tym wieku?

— Zmieniam go. Bywam w różnym. W naszym zawodzie nie odgrywa to większej roli. Czy nie zdarzyło się panu widzieć na fotografii młodej, tryskającej życiem osoby, której ciało zgniło na przykład już przed laty pięćdziesięciu?... No, mniejsza. Pan, zdaje się, szuka drogi? Tak?

Gabryś chciał odpowiedzieć, że właściwie już teraz zaniechał, ale kiwnął tylko głową w milczeniu.

— Chodźmy — fotograf wstał i otworzył drzwi do ciemnego korytarza. — Tu są fotografie drogi dotychczas przez pana przebytej. Możemy iść i oglądać je wszystkie. Iść wstecz. Uprzedzam, że ja jestem przyzwyczajony. Pan może będzie się wstydził, ale to robi każdy człowiek.

Weszli w ciemny korytarz, na ścianach którego jarzyły się przeraźliwie jaskrawe sceny z ubiegłego życia Gabrysia. Widocznie fotograf nie uznawał sztuki retuszu.

— Proszę, to są gesty, sytuacje, wyrazy... Ciemno panu? Nie? Dobrze. Dalej. Naturalnie, że ta scena nie jest mądra. Trzeba było... Ale to nie ważne, niech mi pan wierzy... Co? Nie warto, niech pan nie przystaje, ona przecież umarła siedemnaście lat temu... No tak, ta tu sytuacja świadczy o pewnej naiwności... — Szli krok za krokiem, ale kroków ich słychać nie było. — Ach, niech się pan nie przejmuje, nie było znowuż tak źle, mogło być gorzej. U innych, żeby pan wiedział... A to, śmieszne, prawda?

— Co za bzzzdura — syknął przez zęby Gabryś przed jedną z fotografii.

— Trochę błędnie. Przyznaję. Nie dało się naprawić. Tędy, tędy. Tak zazwyczaj bywa... No, nie zatrzymujmy się... Tu łzy et caetera... Tu drobiazgi... To, jak pan zapewne spostrzega, trochę nawet głupio. Niestety, muszę uprzedzić, że czym dalej wstecz, czym bliżej młodości, to już nie da się uniknąć... Ta tu, trochę jak z pornograficznej pocztówki... A tu...

— Jakto?! Więc to nie było, wtedy, oszukaństwem?!

— Pan jeszcze pamięta? Taki drobiazg. Nie, nie było. Proszę tędy. Ludzie zawsze przywiązują wagę do drobiazgów... Taaak, tak. Ta okoliczność trochę nieprzyjemna.. Głupstwo, zapewniam pana... Dalej, dalej. Co pan tam znowuż zobaczył? Aaa, to... No cóż... Szkoda słów.

Gabryś szedł chwiejnym krokiem, to zatrzymując się przed jakąś fotografią jak wryty, to znów odwracając twarz by innej nie oglądać. Z ust jego wyrywały się słowa bez związku, lub pojedyńcze, nieartykułowane dźwięki, w rodzaju : ,,Boże, Boże...'', albo : ,,Okropne. Potworna głupota''...

— Upokorzenia, hm, kto ich nie zaznał... Nie dobrze panu? Dobrze? To świetnie, idziemy. Niestety młode lata coraz bliżej. Będzie coraz... nie chcę ukrywać, zresztą pan sam widzi.

— A gdzież są te rzeczy, o których się mówi potocznie, że można spojrzeć na nie wstecz z radością czy dumą?

— Proszę : tu pan na przykład idzie chodnikiem, śpieszy się w ważnej sprawie, a jednak poświęca swój drogi czas by ostrożnie wyminąć bawiące się na chodniku dziecko... Pan widzi jak pan delikatnie bierze je za ramiona... A tu pan karmi zmarznięte ptaszki za oknem...

— Ja i teraz to czynię! — zawołał gorąco Gabryś.

— A tu, jak widzimy, ustępuje pan miejsca kobiecie w tramwaju...

— Ach, ale ona była ładna... — westchnął Gabryś z nutą rozczarowania w głosie.

— Cóż robić. Trudno, żeby wszystkie kobiety były brzydkie.

— Pan mnie pociesza, ale dlaczego tak fatalnie wypadają te fotografie, nawet tam gdzie ja... — zająkał się.

— Niech pan pyta, proszę.

— To znaczy chciałem spytać, dlaczego tak beznadziejnie wypadają akty, nazwijmy je wzniosłe? Na przykład patriotyzmu, bohaterstwa nawet?

— Widzę, że pan się nie zna na fotografii. To jest tylko sprawa retuszu... A bez retuszu one się anulują wzajemnie. Bo co dla jednego jest bohaterstwem, dla drugiego często zbrodnią. Dla jednego to samo jest patriotyzmem, co dla innego grabieżą, albo coś w tym rodzaju. Można zaretuszować w jedną, albo drugą stronę. Ale tu pan widzi tylko obiektywne akty.

— I u innych tak samo.

— U innych tak samo.

— To straszne...

— No, nie przesadzajmy. Dlaczego. Są przecie lasy... O, zachody słońca. Rzeka płynie. — Przechylił głowę na bok i przyglądał się chwilkę. — Nawet mi nie źle ta fotografia wypadła... Zresztą to już zaraz się kończy.

— To krótkie, — szepnął Gabryś do siebie, ale fotograf dosłyszał.

— Króciuteńkie. Dzieciństwo i, jak to mówią : ,,już po krzyku''... He, he, he ! ...Cóż tam znowu przykuło pana uwagę? A, miłe jeziorko. To samo, przy którym pan postanowił... chodzić po wodzie, he, he, he.

— Przecież to maleństwo ! A mnie się wydawało wówczas...

— No, nie znowu takie małe. Piętnaście dziesięcin starej miary. Chodźmy... A tu balonik dziecinny, wypełniony wodorem. Urwał się i poleciał. A pan płacze. — Fotograf westchnął. — Same zmartwienia.

— Nie chcę dalej ! — krzyknął raptownie Gabryś i tupnął nogą.

— A byli co szli. — Odparł niezmącony tym wyskokiem fotograf. — Szli do końca. Zdarzył się nawet jeden, który teraz zakochał się we własnej mamce. Miałaby obecnie, zaraz... Tak, osiemdziesiąt trzy lata. Ale to nie ważne. No więc widzi pan.

— Ależ ja wiecznie powtarzam...

— Pst, tylko nie ,,wiecznie'', tylko nie ,,wiecznie''.

— ...więc : ciągle powtarzam, że wcale nie chciałem powracać wstecz, do młodości,do dzieciństwa, a szukałem innej drogi, w ogóle...

— Pan dużo chce. Ja to rozumiem, ale obawiam się, że natrafimy na wiele trudności.

— A kim pan jest właściwie?

— Wracajmy, dobrze? Kim jestem? Fotografem.

— To wiem. Ale...

— To znaczy, moim szefem jest Los. Los ludzkich istnień. To brzmi banalnie, przyznaję, ale to doprawdy nie ma znaczenia. Robimy takie małe archiwum. Ja jestem tylko drobnym urzędnikiem.

Gabryś starał się nie patrzeć na mijane z powrotem fotografie. Szli teraz bardzo krótko, tak krótko, że trudno było

uwierzyć, żeby w ten sposób można było przebyć ludzkie życie. Gdy wrócili do gabinetu zapytał :

— A ja bym z samym Losem nie mógł porozmawiać ?

Fotograf uśmiechnął się pobłażliwie : — Niestety, jest on bardzo zajęty. Proszę, niech pan siada. Poza tym charakteryzuje go pewna cecha, która w języku ludzkim nosi nazwę : ...nie, nie... Zaraz, jakże to : ...nie ...nieubłagany ! O ! Wypadło mi to słówko z pamięci. Otóż wątpię, aby zechciał coś pomóc panu w jego kłopotach. Zresztą szczerze przyznam, iż nie widziałbym powodów, dla jakich miałby cokolwiek robić dla ludzi. Nie jest przecie tajemnicą, że jest przez nich znienawidzony i wymyślany nieraz od ostatnich słów. A to : ,,zły los", a to : ,,fatalny los"...

— ,,Parszywy los", — podpowiedział Gabryś.

— No sam pan słyszał. Proszę poza tym zrozumieć jego sytuację. Przecież pod kątem, powiedzmy, miliarda miliardów lat, komar, który ugryzł krowę w roku 1769 i został zabity uderzeniem jej ogona, nie znaczy wiele mniej od Napoleona Bonaparte, który urodził się w tym samym roku. To znaczy żeby dojść różnicy pomiędzy komarem i Bonaparte, trzeba by użyć mikroskopu na miarę dla pana w ogóle niewyobrażalną... Proszę mi zatem nie brać za złe, ale jak pana prywatna zachcianka w tych, nazwijmy to, warunkach... mogłaby mieć jakiekolwiek znaczenie ?

— Psia krew — mruknął Gabryś i zdusił niedopałek papierosa w popielniczce. — Więc nie ma innej drogi jak tylko do grobu ?

— A z jakiego miejsca swojej własnej drogi, którą panu pokazałem, chciałby pan zawrócić ?

— To bez różnicy. Powiedzmy z tego fotelu, na którym siedzę — trzepnął ręką po pluszowej poręczy.

— Hm... Z tego fotelu... — powtórzył jak echo fotograf. — To znaczy... — podjął ociągając się — taka droga może by nawet była, ale trochę inna niż pan sobie wyobraża... Jak pan bardzo chce, mógłbym pana sfotografować na wieczność.

— Co pan przez to rozumie ? Przecież pan i tak fotografuje każdy gest.

— Ach, to nie to samo. Tamto jest archiwum urzędowe. Pan wie co to jest wieczność ?

— A pan ?

— Ja panu coś powiem. Poza nieskończonym czasem, jest jeszcze jedna rzecz. Jest nieskończona przestrzeń. Pan sobie jej nie wyobraża ? Nie dziwię się. Otóż... to, co ja mogę zrobić — zniżył głos do szeptu i przechylił się naprzód — to zabrać pana całego, jak pan teraz jest... Niech pan uważa : Pan wejdzie w fotografię. Przestanie istnieć na ziemi. Ale za to ja tę pana fotografię przekażę ,nadam w nieskończoność... Czy pan mnie rozumie ?

Gabryś słuchał w napięciu, a popiół z papierosa, którego zapalił, opadał mu na spodnie.

— I pan pójdzie, pójdzie i pójdzie — ciągnął fotograf, czyniąc zachęcający ruch w kierunku sufitu — w nieskończoność przestworzy i czasu. I wieczność będzie trwała, a pan ciągle będzie płynął dalej i dalej, w zaświaty i nigdy pan nie będzie w grobie, bo cały w tej fotografii, wiecznie.

— No dobrze, ale co mi z tego przyjdzie, że będę leciał diabli wiedzą gdzie, między gwiazdami, czy ja wiem?

— Przepraszam pana. A dużo panu z tego przyszło, że stał pan nad urwanym sznurkiem od dziecinnego baloniku i płakał?

— Nic.

— To samo ja właśnie mówię do moich klientów : nic. Pan sobie obsypał spodnie popiołem.

Gabryś strząsnął spodnie i zamyślił się.

— Tylko — zaczął po chwili fotograf znowu szeptem i mimowoli obejrzał się nawet na boki — widzi pan to jest niezupełnie legalna sprawa... Ja tego nie mam prawa robić oficjalnie. Troszeczkę mybyśmy tu obeszli właściwy pana los...

— To dlaczego w takim razie, chce się pan dla mnie narażać?

— Pan — fotograf spuścił oczy i zaczął wygładzać frendzle przy fotelu — wystawi mi czek na...

Gabryś skamieniał. W zdumieniu rozchylił nawet wargi trwał milcząc.

— ...czek na okaziciela — dopowiedział fotograf szeptem.

— Czek?!! — zdołał wreszcie wykrztusić Gabryś. — Czek?! Przecież pan sam tłumaczył mi przez cały czas, że wszystko, wszystko jest nieważne... wobec wieczności!

— Po pierwsze ja nie mówiłem, że ,,wszystko'', tylko, że bardzo wiele rzeczy. Ale nawet jeżeli się zgodzę, że wszystko, to pan też musi się zgodzić, że na razie jeszcze jesteśmy tu, na ziemi. A tu panuje takie prawo, że każdą rzecz trzeba kupić. Bułkę, spodnie, śledzia, wieczność; właśnie : wszystko... A pan myśli, że mój szef, którego tak brzydko przezywają, chce mnie dać podwyżkę?

Nastała cisza. Na kominku cykał zegarek, zapewne nakręcany raz na wieczność.

— Hm... A z retuszem, czy bez? — spytał niespodziewanie Gabryś.

— Jak na prywatne zamówienie, mogę trochę podretuszować.

Gabryś potarł ręką czoło, a później opuścił ją i bezwiednie pomacał to miejsce marynarki, pod którą wyczuwał portfel. Później przyszło mu na myśl, co by Irena powiedziała, gdyby ostatnie oszczędności użył na taką rzecz i aż się wzdrygnął. — Ale ja, ja nie mam pieniędzy... — powiedział głośno.

— O, przykro.

Nastało znów milczenie. A potem zaszło coś takiego, co by się nie dało określić inaczej, jak nieuchwytne wrażenie, że wszystko : fotel, fotograf, zegarek na kominku, cały dom pod literą ,,A'', poczęło się zwolna gdzieś oddalać. Gabryś całym

wysiłkiem woli zmusił się do powstania, gdyż poczuł zawrót w głowie i zapytał:

— Czy pański zakład istotnie mieści się tuż koło mego domu?

Fotograf zrobił przeczący ruch głową i uśmiechnął się dyskretnie: — On był, był tylko przy pana... losie.

Gabryś zrobił kilka chwiejnych kroków w kierunku drzwi. — To w takim razie, jak mam teraz wrócić... wrócić do siebie?

— Pan weźmie trolleybus. — Fotograf uprzejmie otworzył drzwi. Było tak ciemno, że Gabryś, schodząc po schodach z trudem jedynie namacywał stopnie.

— Niech pan uważa! — zawołał od progu fotograf. — Przedostatni jest uszkodzony. Ukłony dla pani.

— Dziękuję — odparł z dołu Gabryś.

Od pierwszego rogu, przy którym paliła się latarnia, skręcił w prawo, gdzie dojrzał reflektory aut. Siadł do trolleybusu i pojechał w kierunku centrum. Była to długa i uciążliwa ta droga powrotna. Trzeba się było wiele razy przesiadać, stać w ogonku do kas, biec z innymi, przepychać się łokciami w tłumie. W ścisku, jaki panował o tej porze, oderwano mu guzik od palta.

◆

Gdy się obudził nazajutrz, było już jasno w pokoju. Z ulicy dochodził głos handlarza skupującego stare gazety. Po niebie sunęły szybkie obłoki koloru dymu, to zasłaniając, to odsłaniając słońce, a wtedy odblask jego w lustrze, padał rykoszetem na sufit. Trzeba było wstawać do pracy. Ale Gabryś jeszcze na chwilę obrócił się na wznak i podłożywszy ręce pod głowę, obserwował grę słońca na suficie. Irena siedziała w szlafroku na krześle, z jego jesionką na kolanach i szyła.

— Gdzieś poobrywał guziki wczoraj? — zapytała poprzez nitkę trzymaną w zębach. Na stoliku, wyjęta z kieszeni, leżała zmięta torebka z kasztanami, które kupił wychodząc od rabina.

— Ach, gdzieś, w tłumie.

Józef MACKIEWICZ

KONTAKTE
MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH
Bezpłatna wysyłka
Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Bluzka z błękitnych pereł

Upiorny nonsens polskich dni
Kończy się nam o zmroku...
K. I. GAŁCZYŃSKI.

Są ludzie o tak silnym magnetyzmie osobistym, o tak bogatej żywotności, że postać którą stworzyli — we własnym zwierciadle i w zwierciadle innych ludzi — przytłacza w popularnym micie ich głębokową osobowość, przytłacza nawet ich dzieło. Do tych ludzi należał Gałczyński. Zbyt duża głowa, osadzona na krępym tułowiu, smagła, cygańska twarz, palące oczy — jakże wymowny sam fizyczny kształt, jakże dopasowany do Sylena, satyra, błazna na Escorialu, włóczęgi śpiącego pod mostem. Musiała rosnąć wokół niego legenda, w którą sam się dał łowić jak w sieć. Jak rozplątać legendę i prawdę? I czy jest inna prawda, czy może przeżyć tak silną legendę, którą się przecież tworzyło własnym życiem? Wizerunek Gałczyńskiego — trubadura jaki daje Miłosz w ,,Zniewolonym Umyśle'' jest wiernym wizerunkiem legendarnej postaci. I ja też, wspominając Gałczyńskiego w recenzji ze ,,Światła Dziennego'' wpadłem w tryby legendy, tyle że jestem może życzliwszym jej wyznawcą niż Miłosz : mówiłem o potomku Villona, o Marchołcie, o leśnym echu i błędnym ogniku.

Śmierć zazwyczaj utrwala ostatecznie mit, uświęca go, balsamuje. Ale śmierć jest przecież także kresem tego ciągłego ,,tworzenia się'' człowieka, który jak Katoblepas zjada samego siebie żeby budować swą postać. Życie łudziło nas ruchem, jak na wyświetlanym filmie dawaliśmy się unieść złudnej konstrukcji. Kończy się film i możemy wyjąć taśmę życia, na zawsze już nieruchomą.

Kocham poezję Gałczyńskiego i w ciągu naszej krótkotrwałej przyjaźni byłem pod jego osobistym urokiem. Chcę dziś pisać tylko o poecie, ale właśnie w tym wypadku poeta i człowiek są ze sobą nierozłącznie związani. Rzadkie to w poezji polskiej zjawisko. Poeta polski zwykł swe wiersze traktować jako dzie-

dzinę odświętną, niemal publiczną. Na próżno chcielibyśmy się dopatrzeć w ogromnej większości polskiej poezji jakiegokolwiek klucza do wewnętrznego życia jej twórców. Nie wiemy jakie są ich rozpacze, zwątpienia, jakie miłości i żądze, nie wiemy czy są biedni czy bogaci, a już o myśl nieszlachetną nie sposób ich posądzić : w tych wierszach zwykle jest górno i chmurno, dumnie, burzliwie — co najwyżej tęskno. Poeta jest najczęściej bardem, hodowcą piękna i chętnie gaworzy z Pallas Atene.

Gałczyński jest nie polskim zjawiskiem jako poeta, ale najbardziej polskim poetą. Nikt tak nie uchwycił nurtu polskiej rzeczywistości, nikt nie potrafił tak przemienić w gorzką i miłosną poezję szarej inteligenckiej rzeczywistości Skumbrii w Tomacie, Skumbrii w Tomacie. Dziwne to życie, ,,w oberży dla bezrobotnej inteligencji, pod afiszem Ligi Morskiej i Rzecznej". W domu — ,,rozejrz się dokładnie po wszystkim : to jest czajnik, prawda jaki śmieszny? Z gwizdkiem". A na kolację — ,,dzbanuszek z konwalią. Wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z halabardą. Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą".

Jest w tym niepokój, poczucie beznadziejności : ,,nuda, bieda, myszy, deszcz i Polska". Jest wizja głębokiego społecznego schorzenia środkowo-europejskiej inteligencji, jak właśnie w wierszu ,,Inteligenci", który warto zacytować w całości.

,,Wciąż uciekamy. Z miasta do miasta.
Inteligenci.
Tęskniąca nacja. Ginąca klasa.
Zmarznięci.
Szarzy.

Z milionem rodzin. Z gramofonami.
Z kraju do kraju.
— Powiedzcie gdzie jest wasza ojczyzna?
Wciąż nas pytają.

A my nie wiemy. A my płaczemy
jak woda morska.
Pod sztuczną palmą listy piszemy
na brudnych dworcach.

Niepokój i poczucie beznadziejności. Ale nigdy bunt, nigdy protest. Na to był Gałczyński za słaby i za sentymentalny. Tyle rzeczy go pocieszało. Chociażby :

,,Moja mała bardzo lubi rosół,
Moja smagła, moja smukła.
Gdy je rosół to ja jestem wesół,
Bo to szczęście że jest rosół i bułka".

Toż to przecież — jednak w skali poezji — niemal ,,Dni Powszednie Państwa Kowalskich". Zadowolenie z losu małomieszczańskich wróbelków. I właściwie głębokie przywiązanie do tej ceraty, do inteligenckiej nędzy — do tej Polski.

Jest w poezji Gałczyńskiego nuta taniego sentymentalizmu, która zabiłaby mniejszego poetę. Jest zadatek na polski ,,prevertyzm''. Gałczyńskiemu groził los tej nocy czerwcowej z jego pieśni, której :

,,Diabeł dużo daje w podarku
Gwiazd fałszywych i gwiezdnego jarmarku''.

Przedwojenna poezja Gałczyńskiego zawarta jest właściwie pomiędzy dwoma biegunami. Z jednej strony ten sentymentalizm i gorycz na przemian w stosunku do polskiego dnia codziennego, z drugiej — ucieczka w kraj wewnętrznego mitu. Chociaż — czyż ten mit nie jest też materią dnia codziennego ? Strącony w głąb podświadomości świat architypów żyje w każdym z nas. Mit utraconego raju, mit wyspy szczęśliwej, mit idealnej miłości — w przerwach pomiędzy wewnętrznym monologiem naszej świadomości, w tych ,,próżnych chwilach'' w poczekalni dentysty, w tramwaju wypływa na powierzchnię barwny nurt ,,day-dreamu''. Dorosły, wyjałowiony i uspołeczniony człowiek żywi ten mit kinem i chowa go wstydliwie. Inaczej dziecko. Inaczej poeta. U Gałczyńskiego mit ucieczki ze społecznego życia zakwita jedynym w poezji polskiej blaskiem i bogactwem :

,,Wszędzie duszno i ciasno, lecz znam ja
pewien kraj pod nazwą Farlandia,
tam jest niebo śpiewające i palmy''.

Poeta łatwo przenosi się nad Limpopo rzekę :

,,Która płynie przez kraj daleki.
Przed moimi oczyma przechodzą stada słoni
I ludzie szmaragdowi i czerwoni''.

Czar działa najmocniej może w tych wierszach które łączą w sobie polską powszedniość i egzotyczne marzenie, w których alchemia słowa oddaje alchemię życia. Jak w ,,Nocach Anińskich'' :

,,Upiorny nonsens polskich dni
kończy się nam o zmroku,
teraz jak wielki saksofon brzmi
noc taka wielka naokół.

I srebrnym, bezkresnym wachlarzem
wachluje nas chłopiec nieduży,
szmaragdy w uszach ma,
on jest murzyn,
a my nazywamy go Nocą''.

Przedwojenne wiersze Gałczyńskiego są poetycką kondensacją szarej rzeczywistości i marzenia. Są szlagierami przemienionymi w arcydzieła. Czy dlatego poezja Gałczyńskiego była tak ogromnie popularna w Polsce że każdy mógł włączyć w nią prąd własnego życia i własnych marzeń ? Tutaj też leżała może

granica jego przedwojennej twórczości — w biernym stosunku do własnego istnienia, w unikaniu odpowiedzi na zasadnicze pytania.

Wydaje mi się pewne, że Gałczyński widział tę granicę. Nie mógł jednak nigdy (jak tylu innych) ,,udawać'' że ją przeskoczył. Był na to za autentyczny jako człowiek i jako poeta. On, który bawił się wszystkim, nie mógł bawić się ,,problemami''. Był z jednej bryły, bezkształtnej może, ale w której nie było miejsca na przegródki i na ,,poziomy''. Jest jakiś dziwny paradoks w tym, że twórczość Gałczyńskiego pogłębiła się (a raczej że Gałczyński użył swej poezji do zgłębiania swego stosunku do życia) właśnie w okresie powojennym, i pod reżimem, który za cel sobie postawił zniszczenie samej poezji. Że doszedł do tego pisząc jednocześnie peany ku czci Stalina i Moskwy (choć to porównanie stolicy Sowietów do Taorminy w której nie brakuje nawet mandarynek jest arcydziełem ironii). A jednak właśnie tak się stało. Może zagrały tu przeżycia osobiste i rozbicie życia przez wojnę? Tak by się zdawało, sądząc po jednym z najpiękniejszych ,,emigracyjnych'' wierszy — ,,Le Sappey'':

,,... a ostatnie godziny są jak most nad przepaścią,
a tyle zerwanych przęseł,
a miłość jest na moście, a przepaść pod miłością,
a księżyc jak lustro wklęskłe...

...Ale niech tam! Przez chwilę niech będzie winograd
i ten most, bo muzyczny i ta noc bo tak modra
jak bluzka z błękitnych pereł.
W Sykstynie Michał Anioł rzucił się nad otchłanią,
bluzkę rozdarł. I ujrzał śmierć!''.

Powojenna twórczość Gałczyńskiego to nadal łowy na polskiego Snarka, nadal noc czerwcowa, Królowa Jaśminowa, nadal przemienianie dorożek, nadal melodia akordeonu. Ale również powolne, stopniowe ,,rozdarcie bluzki z błękitnych pereł''. ,,Niobe'' Gałczyńskiego, napisana w r. 1951 jest może najpiękniejszym, a na pewno jednym z najgłębszych poematów w języku polskim. Za życia poety trudno było dać na emigracji, nie szkodząc mu w kraju, analizę tego poematu, który mimo ,,ketmanowego'' elementu słownej ofiary reżimowi w kilku zaledwie liniach, zawiera rozdzierający krzyk przeciw kastracji życia, przeciw wygnaniu sztuki. Wydaje mi się, że ,,Niobe'' jest w naszym pokoleniu, odpowiednikiem norwidowego ,,Fortepianu Szopena''.

Zanim ukaże się pełna analiza tego poematu, w którym nieborowska głowa Niobe urasta do symbolu sztuki, chcę zacytować tu ustęp, brzmiący rozdarciem poety (głowa Niobe została odnaleziona w XVIII wieku nad brzegami Morza Azowskiego):

,,Piszczy w sitowiu wiatr.
Marzną ręce

Czy to ta, czy to ta twoja twarz?
Powiedz prędzej!
Niobe!
Czy ty masz może tyle sióstr,
a każda ma twoją głowę?
Oj, jaki wiatr,
oj, jaki mróz
Niobe!
Niobe!

Przez piach, przez mech, przez mrok, przez torf
pod niebem wykrzywionym jak dziwoląg —
i znów przez noc, przez krakanie wron,
Niobe...

Konstanty Ildefons Gałczyński zmarł u zenitu swej twórczości i w chwili kiedy poezja jego była w Polsce jednym z rzadkich elementów odżywczych i oddychalnych.

K. A. JELEŃSKI

Do mowy polskiej

Z akcentem na przedostatniej sylabie,
co mnie zupełnie nie zachwyca —
i znowu „drz" i „grz", i „chrz",
i znowu „pszczoła" i „pszenica",

i znowu drogi mgłą owiane,
(po których chodzi pani z panem,
pan, proszę pani, wyszedł z betów) —

o, mowo polska, zakręt weź,
pianinkiem jesteś, nie organem,
klajstrem, a nie pasją politycznego pamfletu —

z tym swym akcentem z brzydkich brzydszym,
jak rzecz wiecznie niedokończona,
ty zamiast działać, ty się mizdrzysz,
zatruta składnią Cycerona;

skrzypeczko śliczna, dudko dudków,
dziecinko, się skarżąca mamie,
nieutulonych wdowo smutków,
ty muskasz rzeczy, a nie łamiesz;

ty lubisz łasić się, przymilać,
kostium przymierzać osiem razy.
A nam potrzeba monosylab
krótkich i jasnych jak rozkazy.

Nam trzeba więcej rymów męskich,
którymi będziem ćwiczyć Muzę,
nam trzeba w sedno, a nie w księżyc,
żelazem, a nie z ciepłych klusek.

Z akcentem na przedostatniej sylabie,
jak biegacz, co mu pękły ścięgna,
jak naród, co w pół drogi stanie,
taką ty jesteś, mglisto-senna.

Szczęście, że płyniesz ulicami,
nie tylko w książkach, i jak rzeka
szumisz nowymi akcentami,
gdy człowiek mówi do człowieka;

lecz literacka, z tych odpadków
historii, co spadają z wózka,
uff! jak mnie męczysz, Święta Matko,
niedosłowiańska, półfrancuska.

I choć z czerwieni płonących Warszaw
trwalszą niż Anglia flagę zszywam,
mowo polska, ja cię oskarżam:
STAŁAŚ SIĘ LEŃIWA, NIEŻYWA.

Nocny testament

Ja, Konstanty, syn Konstantego,
zwany w Hiszpanii mistrzem Ildefonsem,
będąc niespełna rozumu,
piszę testament przy świecach.

Ćmy się, zaznaczam, kręcą przy lichtarzach
i drżą i ręka mi drży;
a więc majstrowi, co lichtarze stwarzał,
zapisuję czerwcowe ćmy.

Jeśli kiedyś go rozwlecze chandra,
w wieczór będzie wśród tych ulic stąpał,
ćmy się zaczną kręcić po werandach,
gasnąć kule niebieskie na klombach,
ćmy zobaczy, twarze w złotym dymie
i przystanie i wspomni me imię.

A poetom dzisiejszym i przyszłym
zapisuję mój kaflowy piec,
w nim spalone myśli i pomysły,
czyli różne gry niewarte świec,
oraz księżyc pełny, mój kałamarz,
co mi sprzedał go wędrowny kramarz;

Jeśli tedy, kiedyś, w latach innych
jak ja dzisiaj nocą wzniosą głos,
i rozłożą swoje pergaminy,
jęczeć zaczną jak uwiecznić noc,
to ja będę w skrzypieniach piór,
w kołowaniach i w kuszeniach chmur,
bom ja nocą zaszumiał i odszumiał
i do dna jej partytury zrozumiał.

Córce mojej Kirze, tancerce,
zapisuję niebiosa siódme,
serafinów modlących się z tercyn,
szum wysoki i światła ułudne
i przyrodę, jak skrzynię sekretów,
niechaj z niej się uczy swoich baletów.

Teofilowi, gdy się w mieście zmierzchnie,
daję całą uliczkę dla szeptów,
oraz pewną bramę na Lesznie,
gdzie był kuty w żelazie Neptun,
ale uciekł, bo miał wstręt do miasta,
teraz w niebie jest spokojna gwiazda!

Wszystkim dobrym cały czar, co wezbrał
na tej ziemi, daję jak alfabet:
pory roku ze złota i srebra
i motyle i te muszki nawet,
wieczorami, wielkim rojem, przy akacjach,
w głębi zorza, z której się nie wraca.

Wierszom moim fosforyczne furie
blaskiem w wertep ciemny i zły,
a mojej Smagłej, mojej Smukłej,
mojej Pochmurnej
łzy.

K. I. GAŁCZYŃSKI

List z Wyspy

„POLONIZACJA" SYTUACJI EUROPEJSKIEJ

Książka (*) p. Samuela Sharpa jest spóźniona o 140 lat. Istotnie — jak słusznie zauważa uczony autor — Polacy mają bardzo ograniczone możliwości kształtowania swojego losu i bronienia własnymi siłami niepodległości. Lecz dziś nie ma w tym nic ani oryginalnego ani specyficznie polskiego.

W Europie XIX. wieku byliśmy pogrzebani całkowicie i bez reszty. To był wiek utalentowanych „peace-maker'ów" a Metternich był prawdziwym wirtuozem pokoju. Prawie przez pół stulecia panował pokój a entuzjaści Metternicha dodają nawet chełpliwie, że przez sto lat nie było większej wojny. Europa rządziła światem. Święte przymierza, trój-przymierza, pięcio-przymierza funkcjonowały z dużą precyzją. Metternich — podobnie jak wielu obecnie żyjących mężów stanu — był głęboko przekonany, że ludzie bardziej kochają pokój niż wolność. Był jednak bardziej konsekwentny od innych, gdyż uważał, że wolność i pokój są anty-tezami, których nie można pomieścić w jednym systemie cywilizacyjnym. Dlatego wolność gnębił bez skrupułów dla zapewnienia pokoju i „stabilizacji". Tragiczna „sprawa polska" na tle kwitnącej „stabilizacji" dziewiętnastego wieku stanowiła odosobniony dysonans. Lecz dziś „sprawa polska" nie jest izolowanym problemem, któremu poświęcić można sentymentalny poemat lub polityczny paszkwil zależnie od upodobania i talentu. Polacy stracili na oryginalności gdyż dziś „sprawa europejska" całkowicie się... spolonizowała.

Jesteśmy wprawdzie kanarkiem, który usiłuje pożreć dwa koty — jeżeli wolno użyć określenia John Wheeler-Bennett'a — ale czyż kanarek francuski jest w innej sytuacji? A co p. Sharp sądzi o kanarku włoskim, nie mówiąc o kanareczkach belgij-

(*) Poland : White Eagle on a red Field. — By Samuel L. Sharp, Cambridge : Harvard University Press. — 1953 r.

skim czy luksemburskim. Teza p. Sharpa, że Polacy nie mają żadnych możliwości formowania swego losu i są funkcją słabości czy siły Rosji i Niemiec jest całkowitym anachronizmem. Kto dziś na kontynencie europejskim ma jakąkolwiek możliwość kształtowania swojego losu i bronienia niepodległości?

Czy istnieje jakaś diametralna różnica pomiędzy ,,sprawą polską'' a ,,sprawą francuską''? Podobieństw i analogii jest znacznie więcej niż różnic. Polska jest okupowana całkowicie. Francja jest okupowana częściowo przez partię komunistyczną, która stoi pod rozkazami Kremla. Co czwarty Francuz głosujący na partię komunistyczną wyraża tym samym zgodę na statut satelicki Francji. Jeżeli napięcie międzynarodowe będzie rosło, jeżeli jedna czy druga dywizja amerykańska opuści kontynent — należy obawiać się, że nie co czwarty ale co trzeci Francuz głosować będzie na komunistów.

To co nazwałem ,,polonizacją'' sytuacji europejskiej wypływa jeszcze z innych źródeł. Do roku 1939 Europa środkowo-wschodnia była małoletnią i ubogą krewną Zachodu. Byliśmy wpatrzeni w Zachód a zwłaszcza we Francję, która wywierała przemożny wpływ na całokształt naszego życia politycznego i kulturalnego. Lecz obecnie — czego p. Sharp nie dostrzega — sytuacja uległa odwróceniu o 180 stopni. To Europa wschodnia wpływa na sytuację we Francji, a nie odwrotnie.

Są Francuzi, którzy zdają sobie sprawę z tego procesu. Młody, wybitny pisarz i socjolog francuski, Jules Monnerot, w jednym ze swych ostatnich studiów politycznych (*) podkreśla z naciskiem, że wzrost komunizmu we Francji od roku 1945 jest bezpośrednią konsekwencją okupacji Europy wschodniej przez Sowiety. P. Sharp nie dostrzega i nie rozumie, że komunizm w wschodniej Europie i komunizm w kontynentalnej zachodniej Europie podlegają prawu połączonych naczyń. Uzdrowienie Francji — tego ,,chorego człowieka Europy'' nie jest rzeczą możliwą bez rozwiązania sprawy wschodnio-europejskiej, a więc i tzw. ,,sprawy polskiej''. Jeżeli Waszyngton — jak doradza p. Sharp — uzna całą Europę wschodnią za wieczystą sferę wpływów Rosji — w takim wypadku należy przyjąć za pewnik, że komunizm we Francji będzie wzrastał i potężniał a widmo całkowitej ,,satelizacji'' Francji będzie z każdym rokiem coraz bardziej realne.

W XIX wieku, w okresie naszych powstań przeciwko caratowi, tylko Polaków wywożono na Sybir, ale poza tym, we wszystkich stolicach europejskich ,,właściwi monarchowie siedzieli na właściwych tronach'' i system europejski działał w oparciu o wiekowe tradycje. Z perspektywy Paryża czy Londynu wolnościowe dążenia Polaków można było oceniać jako ,,wewnętrzną sprawę rosyjską'' i czasem uronić nad ,,nieszczęśliwą Polską'' mniej lub więcej fałszywą łezkę. Lecz dziś nie ma carów w Moskwie ani cesarzy w Wiedniu. Nasze szanse się wyrówna-

(*) MONNEROT Jules. *La guerre en question*, Gallimard, Paryż.

ły. To nie tylko Polaków wywożą na Sybir. W obszernym kotle rosyjskim znaleźli się obok romantycznych Polaków zapobiegliwi Czesi, pracowici Niemcy, ogniści Węgrzy w sumie ponad 100 milionów Europejczyków. Pytanie, które dręczy pozostałych na wolności zachodnich Europejczyków brzmi : ,,Who is next?'' Dziś nie ma kłopotliwej ,,kwestii polskiej'' — dziś jest tylko ,,kłopotliwa kwestia europejska''. Tych dwóch zagadnień : sprawy polskiej i sprawy europejskiej nie da się dziś rozdzielić bo w obecnym układzie to jest jeden i ten sam problem. I dlatego teza p. Sharpa, że problem polski istnieje jako samodzielne, izolowane zagadnienie międzynarodowe jest absurdalnym anachronizmem. Problem europejski uległ ,,polonizacji'' i dziś dumne i potężne niegdyś państwa dzielą nasz polski los i nasze polskie obawy .I to jest nasze najsmutniejsze ,,zwycięstwo''.

P. Sharp stwierdza : ,,Istnieje nadzieja, że można ustalić korzystną pozycję do wszczęcia negocjacji z Sowietami bez wojny. Lecz negocjowanie sprowadza się niemal nieuchronnie do targów. W odniesieniu do Polski pozycja przetargowa Rosji jest nieskończenie silniejsza niż Stanów Zjednoczonych... ponieważ Polska stanowi istotną sferę zainteresowań Rosji a jest tylko przypadkowo i drugorzędnie przedmiotem zainteresowań Ameryki''.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że — jeżeli chodzi o Europę — to sferą istotnych i bezpośrednich zainteresowań Rosji jest cały kontynent a bezpośrednim celem polityki sowieckiej w stosunku do Europy jest ewakuacja wojsk amerykańskich z teatru operacyjnego.

Polityka zachodniej Europy a w szczególności Francji oparta jest na karkołomnych sprzecznościach. Z jednej strony trzeźwo myślący pisarze francuscy — jak cytowany powyżej J. Monnerot — zdają sobie sprawę z faktu, że siła komunizmu w kontynentalnej zachodniej Europie jest bezpośrednią konsekwencją ujarzmienia Europy wschodniej — z drugiej zaś strony znakomita większość Francuzów sądzi, że jakiekolwiek rozmowy (nie mówiąc o inicjatywach) zmierzające do zmiany obecnego układu w Europie wschodniej sprowokowałyby wojnę, która w 24 godzinach pogrążyłaby Francję w chaos rewolucji. I tu jesteśmy u dna problemu. Bez wycofania się Rosji z krajów podbitych nie można liczyć na odpływ komunizmu z Europy zachodniej. Rosja wycofa się z krajów podbitych tylko na skutek energicznego nacisku. A do tego typu polityki Francuzi nigdy nie przyłożą ręki. Tak wygląda europejska kwadratura koła spowodowana sowiecką okupacją Europy wschodniej.

P. Sharp niemniej uważa, że... *,,a favorable position for negotiating with the Soviet Union can be established''.*

Dla kogo ,,favorable'' ? W jakim celu Rosja miałaby obecnie negocjować ? Negocjowanie nie leży w jej interesie. Jak długo nie negocjuje traktatu pokojowego z Austrią jest uprawniona nie tylko do utrzymywania wojsk w sercu Europy, lecz również przysługuje jej prawo utrzymywania garnizonów woj-

skowych na Węgrzech i w Rumunii dla ochrony linii komunikacyjnych. Co Zachód jest w stanie zaoferować Rosji wzamian za utratę tych korzyści? Jeżeli chodzi o problem Niemiec, Zachód dysponuje tylko jedną kartą przetargową a mianowicie ewentualnym wycofaniem wojsk amerykańskich z Europy. Jest dziś rzeczą całkowicie pewną, że Rosja nie zgodzi się na wolne wybory jako wstęp do zjednoczenia Niemiec i niemniej jest rzeczą pewną, że nie zrezygnuje ze swojego podstawowego żądania tj. wycofania się wojsk amerykańskich z Europy. Rosjanie w takiej sytuacji wycofaliby się również (na Odrę i Nisę) i wówczas nie stałoby już nic na przeszkodzie by na całym kontynencie europejskim powstały zgodne z jałtańską formułą rządy... *friendly to the Soviet Union.*

Optymizm p. Sharpa jest trudny do zrozumienia. Rosja nie ma żadnego powodu wszczynać negocjacji nie tylko w sprawie Polski ale nie ma również żadnego powodu negocjować w sprawie kontynentalnej Europy.

Oryginalnością (tragiczną) Polaków był fakt, że nawet w sielankowym XIX. stuleciu nie umieli własnymi siłami obronić swej niepodległości. Lecz dziś któreż z państw kontynentalnej Europy jest zdolne własnymi siłami bronić swej niepodległości? Niepodległość dzisiejszej Francji jest w tym samym stopniu względna jak względna była niepodległość Polski w 1938 roku. Podobnie bowiem jak Polska w 1938 r. była bezsilna wobec potencjalnego agresora, który w roku 1939 stał się agresorem aktywnym — tak Francja w roku 1954 jest bezsilna wobec wschodniego potencjalnego agresora, który każdej chwili może swą przewagę zrealizować. W tej sytuacji znajduje się zresztą nie tylko Francja lecz cała kontynentalna Europa zachodnia.

◆

Wbrew temu co sądzi p. Sharp — osobiście uważam, że międzynarodowy kurs polityczny „sprawy polskiej" stoi dziś niepomiernie wyżej niż w XIX. wieku. Bo jeżeli przyjmiemy za p. Sharpem, że sytuacja Polski jest beznadziejna — to w równym stopniu beznadziejna jest sytuacja całej Europy wschodniej. Wydaje mi się również, że dziś trudno już powątpiewać w fakt bezpośredniego przyczynowego związku pomiędzy beznadziejnością sytuacji w wschodniej Europie a beznadziejnością sytuacji w kontynentalnej zachodniej Europie. Sprawę polską możemy uznać za beznadziejną tylko wówczas gdy przyjmiemy, że sprawa Europy jest stracona.

W XVIII. i XIX. wieku, kraj który wskutek swego położenia geograficznego nie był w możności obronić niepodległości armią wyposażoną w konwencjonalne bronie, padał ofiarą przemocy i pozostawała po nim tylko emigracja i taka czy inna „kwestia". Lecz dziś, gdy armia wyposażona w konwencjonalną broń nie jest gwarantem obrony — „kwestia polska" uległa umiędzynarodowieniu. Wszystkie państwa, które nie posiadają broni atomowej i odpowiednio rozbudowanego lotnictwa strate-

gicznego muszą problem swej niepodległości oceniać jako kwestię otwartą i równie beznadziejną jak ,,kwestia polska''. Dopóki bowiem nie zostanie stworzony realny system bezpieczeństwa międzynarodowego wszystkie państwa leżące między atomowymi potęgami — to jest Rosją, Anglią i Stanami Zjednoczonymi — są potencjalnym *no-man's land* i szachownicą przyszłej rozgrywki pomiędzy agresorem a ,,liberatorem''. Jeżeli system bezpieczeństwa międzynarodowego, to jest system realnej międzynarodowej kontroli atomowej nie zastąpi obecnego wyścigu zbrojeń atomowych — świat rozpadnie się na dwie lub trzy potęgi otoczone państwami satelickimi, które w wyniku ,,zimnych'' czy ,,lokalnych'' wojen zmieniać będą swojego protektora.

Jak widzimy... *The unhappy Question of Poland* przestała być dziś czymś wyjątkowym. Współczesny świat składa się bowiem z samych ,,kwestii'' — polskiej, niemieckiej, chińskiej, koreańskiej, indochińskiej, wschodnio-europejskiej, zachodnio-europejskiej itd. Wszystkie powyższe kwestie sprowadzają się do jednego wspólnego mianownika generalnej kwestii sowieckiej. I to jest owa ,,kwestia'' stulecia, na którą Stany Zjednoczone wcześniej czy później będą musiały znaleźć odpowiedź.

Polityce amerykańskiej będzie trudno znaleźć tę odpowiedź jeżeli profesorowie amerykańskich uniwersytetów — i jak pan Sharp specjaliści od zagadnień wschodnio-europejskich — podtrzymywać będą pogląd, że z Sowietami można się porozumieć ustępując im państwa i narody, które jak Polska... są zasadniczą sferą interesów Rosji a tylko przypadkowo i drugorzędnie przedmiotem zainteresowań Ameryki. Jeżeli chodzi o powyższe sformułowanie p. Sharpa będzie ono równie prawdziwe (z punktu widzenia sowieckiego) jeżeli rozszerzy się je na całą kontynentalną Europę.

Jest rzeczą zdumiewającą czytać w publikacji noszącej stempel ,,Harvard University'', że zagarnięcie przez Sowiety największego państwa w Europie wschodniej jest dla Ameryki rzeczą zgoła przypadkową i drugorzędną. I aby uniknąć wszelkich wątpliwości p. Sharp pospiesznie ostrzega Polaków w wolnym świecie, by nie identyfikowali swoich dążeń z celami polityki amerykańskiej. Polacy pragną wyparcia Sowietów z Europy — co w interpretacji p. Sharpa nie leży w interesie polityki amerykańskiej. Jedno jest pewne. Gdyby polityka amerykańska oprzeć się miała w przyszłości na tego rodzaju światłej filozofii to za kilka lat profesor Sharp będzie mógł napisać nową książkę i stwierdzić, że zajęcie przez Sowiety kontynentalnej Europy jest faktem, który dla polityki amerykańskiej posiada jedynie znaczenie przypadkowe i drugorzędne.

Nie znam przeszłości p. Sharpa, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że jego studium wypływa z personalnie negatywnego nastawienia do Polski. Lecz z punktu widzenia polityki amerykańskiej jest rzeczą całkowicie obojętną czy Polacy są sympatyczni czy nie, czy w przeszłości umieli się rządzić czy nie, czy byli antysemickimi faszystami czy nie, czy fałszowali masło,

margarynę i... wybory czy nie. Z punktu widzenia polityki amerykańskiej w tzw. ,,sprawie polskiej'' istotne są tylko dwa punkty : Polacy są zdecydowanymi wrogami komunizmu i zdecydowanymi wrogami sowieckiej Rosji. Wszystko inne jest bez znaczenia. Powyższe dwa punkty decydują o tym, że tzw. ,,sprawa polska'' musi się znaleźć w ramach każdej anty-komunistycznej polityki amerykańskiej. Na ,,sprawę polską'' nie ma miejsca tylko w ewentualnej kapitulacyjnej polityce amerykańskiej.

Profesor Sharp oddał bezcenną usługę sowieckiej propagandzie. Jego książka jest wprost z... nieba zesłanym cudownym środkiem do zwalczania zarówno radiostacji Free Europe w Monachium jak i Voice of America. Komunistyczna prasa w Polsce wykorzystuje już w pełni tę amerykańską pomoc do zwalczania audycji Free Europe. Oczywiście, by nie psuć efektu, prasa polska przemilcza dyskretnie warszawskie pochodzenie pana Sharpa i prezentuje go jako rdzennego Amerykanina i autorytet w todze harvardzkiego uniwersytetu. Dzieło p. Sharpa wejdzie do klasycznego repertuaru anty-amerykańskiej propagandy komunistycznej.

Ludzie mieszkający za ,,żelazną kurtyną'', którzy już zapomnieli o dziwach i osobliwościach demokracji, prawdopodobnie zadają sobie pytanie czy jest rzeczą konieczną by takich ,,klasyków'' wydawał uniwersytet Harvard. Ale jeżeli słuszność jest po stronie p. Sharpa to ludzie za ,,żelazną kurtyną'' zapomną nie tylko o osobliwościach demokracji ale i o tym, że harvardzki uniwersytet jest w Ameryce i ma jakiekolwiek znaczenie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Makiawel i Jałta

Książka Sharpa ma dwa aspekty. Jeden z nich — znacznie ważniejszy — to ocena szans politycznych Polski (a właściwie całej Europy) w obecnej sytuacji międzynarodowej. Drugi aspekt, to ,,racjonalizacja'' tezy głównej autora poprzez analizę historyczną polskiej przeszłości i problemu polskiego na terenie międzynarodowym, ze specjalnym uwzględnieniem stosunków polsko-amerykańskich. Trzeba wyraźnie rozróżnić te dwa aspekty aby móc właściwie ocenić znaczenie ,,White Eagle on a Red Field''. Prasa polska podeszła do tej książki emocjonalnie, koncentrując uwagę na drugim, mniej ważnym jej aspekcie. Warszawska ,,Trybuna Ludu'' przedstawia p. Sharpa jako krwawego Amerykanina, którego przodkowie wyrzynali biednych Indian, który zapewne sam znęca się nad Murzynami, i który został przez ciemną emigracyjną kabałę zachęcony do napisania

książki sprzedającej Polskę Niemcom. Prasa emigracyjna, lepiej poinformowana, wie że p. Sharp jest Polakiem, ale widzi w nim przede wszystkim ptaka który własne gniazdo kala i który Polskę chce sprzedać Rosji. Główny nacisk położono właśnie na ,,racjonalizację'', na światło w którym p. Sharp stawia naszą przeszłość — dawną i obecną. Krytycy oburzają się ,,oszczerstwami'' na Kościuszkę, ,,fałszowaniem'' polskiej historii itd. Wydaje mi się że wyrządza się tu p. Sharpowi niesprawiedliwość. Książka jego jest cięta, złośliwa, ale właściwie, jeśli chodzi o przeszłość — dość obiektywna. Ostatecznie p. Sharp nie jest pierwszym Polakiem który wziął się do odbronzowania ,,bohaterów narodowych''. Kościuszko Sharpa nie gorszy mnie bardziej niż Mickiewicz Boya czy Niemcewicz Karola Zbyszewskiego. Sharp daje zresztą dość przekonywujący — i ujmujący portret Kościuszki, i bardziej jeszcze przekonywujący — choć mniej ujmujący — wizerunek Pułaskiego. Dla każdego kto się choć trochę zajmował historią amerykańskiej wojny niepodległościowej jasne jest że rola odegrana w niej przez Polaków została bardzo przesadzona. Podobnie przesadzona została zresztą i rola Lafayette'a przez francuskich historyków, z tym że Lafayette był w dodatku kabotynem i oportunistą, postacią o wiele mniej sympatyczną od Kościuszki, któremu nawet Sharp przyznaje rzetelny idealizm. No i przecież nikt chyba ani na chwilę poważnie nie przypuszcza że stosunek Ameryki do nas jest wciąż funkcją wdzięczności za ,,dług'' zaciągnięty przed 150 laty ! O wiele groźniejsze jest twierdzenie Sharpa że Polacy łudzą się iż tego rodzaju elementy (Kościuszko, Pułaski, ,,przedmurze chrześcijaństwa'', ,,Cud nad Wisłą'', ,,natchnienie narodów'' itd.) istotnie się liczą w polityce międzynarodowej i że można je realnie zdyskontować. Byłoby fatalne gdyby Amerykanie myśleli że występujemy w stosunku do nich jako ,,moralny wierzyciel''. Pewne zdarzenia historyczne, których dany rząd może użyć w stosunku do opinii publicznej jako ,,moralne'' usprawiedliwienie jakiejś akcji są oczywiście pożyteczne — ale obfituje w nie każda historia. Ameryka może równie dobrze użyć Von Steubena w charakterze ,,moralnego'' zobowiązania w stosunku do Niemiec, jak Lafayette'a czy Kościuszkę.

Podobnie jeśli chodzi o najnowszą historię Polski. Polacy sami mają do niej zwykle krytyczny stosunek. Tylko że polski historyk identyfikuje się zazwyczaj z jakąś polską tradycją polityczną, z jakimś ,,punktem widzenia''. Zwolennicy Piłsudskiego krzywo patrzą na Komitet Narodowy i na funkcjonowanie polskiej demokracji parlamentarnej. Endecy krytykują wyprawę kijowską. Centrolew nie może chwalić Brześcia, Sławoj Składkowski chlubi się Berezą. Sharp jest Gwelfem dla wszystkich polskich Gibelinów, Gibelinem dla wszystkich polskich Gwelfów... Jego kronika co krok zaskakuje polskiego czytelnika. Oto krytyczne uwagi w stosunku do rządów przedmajowych — i już automatycznie oczekujemy pochwały dla Piłsudskiego. Tymczasem Sharp pisze o sanacji tak jak polscy demokraci. Albo his-

toria rządu emigracyjnego. Czytamy o złudzeniach rządu Arciszewskiego, o braku realizmu, o uporze. No i oczekujemy pochwały dla ,,dobrej woli'' Mikołajczyka. P. Sharp widzi jednak w Mikołajczyku naiwnego i słabego megalomana.

Nie można powiedzieć żeby Sharp pisał o Polsce z ,,sympatią''. Ale niesprawiedliwie byłoby posądzić go również o specjalną ,,antypatię''. Siłą książki Sharpa jest jej zasadniczy makiawelizm. Oczywiście nie w sensie popularnym, przebiegłego cynizmu, na który oburzają się moraliści, ale jako wyraz zasady że polityka nie ma nic wspólnego z moralnością, że pojęcia ,,dobra'' czy ,,zła'' mają w niej miejsce jedynie na poziomie powierzchownej interpretacji zdarzeń. Jest to punkt widzenia skazany na niepopularność nawet u narodów wielkich i prosperujących, które wolą dobrobyt swój przypisywać moralnym zasługom niż położeniu geograficznemu, historycznemu zbiegowi okoliczności czy bogactwom naturalnym. Cóż dopiero jeśli chodzi o niewielki i biedny naród, położony pomiędzy dwoma kolosami? Polacy są siłą rzeczy zwolennikami moralnej interpretacji historii i polityki : wydaje im się że od naturalnej słabości wyratować ich może ,,skazanie na wielkość'', że niesprawiedliwość geografii nagrodzić może sprawiedliwość Opatrzności.

Sharp stwierdza kilka razy (choć czyni to wstydliwie, na marginesie), że właściwie cokolwiek by Polacy zrobili, skazani byli zawsze na niepowodzenie. Polska urasta w tym ujęciu do przykrej roli ,,tragicznego bohatera'' europejskiej historii — niezależnie od wyboru akcji, tragiczny jej los jest z góry zakreślony. Każda droga u każdego skrzyżowania wiedzie niezmiennie do katastrofy. Wydaje się nawet że Sharp dlatego podkreśla błędy polskiej polityki (egoizm szlachty, niesprawiedliwość Polaków wobec mniejszości narodowych, inercję ekonomiczną, zakłamanie, wszystkie obciążenia zarówno polskiej elity przedrozbiorowej jak i sfery rządzącej w okresie dwudziestolecia niepodległości) aby oszczędzić sumienie widzów tej przykrej tragedii. To prawda — wydaje się insynuować Sharp — że Polska skazana była w każdym razie na rozbiory, na klęskę 1939 roku, na okupację sowiecką — ale przecież lżej jest stwierdzić jednocześnie że poniekąd sama na ten los ,,zasłużyła''.

Książka Sharpa jest misterną konstrukcją ,,pretekstów''. Historia polski jest dla niego pretekstem do naświetlenia ,,sprawy polskiej'' na płaszczyźnie międzynarodowej. Sama zaś ,,sprawa polska'' służy za pretekst do zakamuflowania koncepcji światowej polityki Stanów Zjednoczonych. P. Sharp sam wie najlepiej że nie ma dziś ,,sprawy polskiej'' — przeprowadzeniu tej tezy służy zresztą cała jego książka. Rozumowanie to przypomina zręczną sztuczkę salonowego kuglarza. Instrumenty — kapelusz Wuja Sama i pałeczka. Jest ,,sprawa polska'' — stuk, puk, nie ma ,,sprawy polskiej'' ! Wobec tego że jej nie ma — nie łudźmy Polaków że dążymy do ich wyzwolenia ! W zamieszaniu kapeluszy, chusteczek, białych królików i innych parafrenalii czytelnik amerykański może zapomni (bo nie chodzi tu

przecież o polskiego czytelnika) że żaden Polak nie myśli poważnie iż Stany Zjednoczone dążą do wyzwolenia ich kraju. Polacy wiedzą po prostu — podobnie jak wszyscy trzeźwi ludzie — że na daleką metę Stany Zjednoczone nie mogą współistnieć z Rosją Stalina czy Malenkowa i że w długim procesie zjednoczenia świata Polska bądź pozostanie pod władzą sowiecką (ale razem z całą Europą, a w późniejszym etapie — i z całą Ameryką), bądź odzyska wolność, jeśli Ameryka stanie na wysokości *leadership* narzuconego jej przez historię.

Musi o tym wiedzieć równie dobrze p. Sharp. Dlatego ciekawe (i może symptomatyczne) jest to usiłowanie wskrzeszenia koncepcji jałtańskiej. Nader charakterystycznie Sharp twierdzi, że zarówno Roosevelt jak i Churchill dobrze wiedzieli co robią w Jałcie : budowali po prostu żelazną kurtynę. ,,Zimna wojna'' w tej koncepcji nie jest niczym innym jak kultywowaniem tejże ,,żelaznej kurtyny'', jak powiedział kiedyś, na pozór paradoksalnie, Jan Ulatowski. Polityka *liberation* nie różni się od polityki *containment*, jeśli ma się ograniczać do wojny psychologicznej. Zarówno Burnham jak Borkenau jasno dowiedli że wojna psychologiczna ma wartość tylko jako przygotowanie, podbudowa do czynów, oczekiwanie na odsłonięcie się przeciwnika, na uchylenie przez niego tarczy. Nie chodzi tu o wojnę, ale raczej o umiejętność wykorzystania takich okazji jak berlińska blokada, wywołanie powstania w Albanii w chwili oderwania się Jugosławii od sowieckiego bloku, śmierć Stalina, bunty robotników we wschodnich Niemczech i w Czechosłowacji. Dotychczas nie widać żeby Ameryka stała na wysokości tego rodzaju zadań. Nawet najbardziej zajadli amerykańscy antykomuniści wolą załatwiać wyborcze porachunki.

I dlatego Sharp ma może rację twierdząc że nie należy łudzić Polaków nie opartą na niczym akcją propagandową, ciągłym gadaniem o ,,gotowości'' Ameryki, o jej ,,zdecydowaniu''. Tylko należy wyraźnie stwierdzić, że nie chodzi tu o ,,sprawę polską'', tylko o przyszłość Ameryki i świata.

K. A. JELEŃSKI

List z Jugosławii

2

Skopje : funkcjonalistyczne, corbusierowskie budynki na nowych jak z igły bulwarach, a z bulwarów widać w dole dziewczęta w podkasanych samodziałach piorące kijankami bieliznę w gliniastym Vardarze. Obok chłopi po pas w wodzie wydobywają łopatami piasek i ładują go na wozy o średniowiecznym

wyglądzie zaprzężone w kuse woły, długorogie i brodate. Dziewczęta, jak wszystkie kobiety w tym kraju mają owłosione nogi, ale za to bardzo piękne oczy. I mężczyźni i kobiety mają popsute zęby, ale to już wina braku dentystów, jak i w ogóle wszelkich lekarzy.

Ulice leżą puste w słonecznym upale, dużo kotów przemyka się od śmietnika do śmietnika, a w miarę zapuszczania się w boczne uliczki — koty stają się chudsze i bardziej parszywe. Na balkonach i białych ścianach domów złote girlandy nawleczonego na sznurki tytoniu i festony suszącego się pieprzu, grające gamą kolorów od szafranu przez pomarańcz i cynober do krwawego szkarłatu.

Tak wygląda stolica Macedonii w ciągu dnia. Gdy zapada nagła, południowa noc — miasto wybucha życiem. Ludność zjawia się w komplecie na rynku i głównej ulicy (której nazwy nie pamiętam, ale która niechybnie nazywa się ulicą Tito) i rozpoczyna się rytualny dwugodzinny spacer-deptak w gęstym tłumie : od dworca do ratusza i z powrotem. Powoli tłum rozpływa się po domach, kawiarniach i barach na wieczorną porcję piwa, ,,rakiji''-śliwowicy i muzyki.

Do późna w noc, gdy już wszystkie światła w mieście pogasną, kawiarnie świecą i grają. Płynie z nich na miasto monotonna zawodząca muzyka i śpiew gardłowy, niepokojący — melodie Wschodu urwane w połowie frazy, irytujące, lecz nie dające się odpędzić. Upał nie daje spać i przychodzą pytania.

Czy ten tłum na ulicach i w kawiarniach, te gromady urzędników i chłopów, robotników i żołnierzy — to ludzie wolni, czy stado mniej, lub więcej sterroryzowanych niewolników? Z tym pytaniem przyjechałem do Jugosławii, zdecydowany znaleźć odpowiedź. Żadne, najbardziej ,,uszczęśliwiające'' reformy nie mają znaczenia, jeśli nie dotyczą ludzi wolnych. Do Macedonii przybyłem po kilkutygodniowym już pobycie w Jugosławii. W tym kraju wiecznych rewolucjonistów, zawodowych powstańców i buntowników spodziewałem się dotrzeć do sedna zagadnienia.

Macedonia przelała w walkach o wolność w ciągu wieków ubiegłych więcej zapewne krwi, niż którykolwiek inny naród. Więcej chyba, niż Polacy, gdyż jej niewola trwała dłużej. Polacy na ogół nie mają pojęcia jak gorących przyjaciół i wielbicieli posiadają wśród Macedończyków. Mimo całego bohaterstwa i dumy narodowej — nieraz zapewne — podobnie jak Polaków, przygnębia ich wstydliwa myśl, że jednak w gruncie rzeczy są głupcami, którzy nie potrafili wymyślić rozsądniejszego i skuteczniejszego środka dla odzyskania wolności, niż karabin i śmierć najlepszych. Przykład Polski, wielkiego, cywilizowanego narodu, który także innego sposobu nie znalazł, napełnia ich otuchą : widocznie innego sposobu nie ma. Stąd podziw, sympatia i zainteresowanie Polską.

Od kilku lat, w ramach federacji jugosłowiańskiej, Macedonia czuje się niepodległą. Przedtem była zawsze kolonią — grec-

ką, lub rzymską, turecką, austriacką, czy serbską. Przed kilku laty dopiero zaczęto budować w Macedonii pierwszy uniwersytet, zaczęto stawiać mury pierwszych fabryk, pierwszych elektrowni wodnych ,napisano pierwszą gramatykę języka macedońskiego (jeśli nie liczyć prac o języku macedońskim polskiego slawisty, prof. Mieczysława Małeckiego z Krakowa, zmarłego w 1945). Dróg i kolei jeszcze budować nie zaczęto.

Wszystko trzeba zaczynać tutaj od początku, dosłownie od ABC, gdyż 70 procent ludności nie umie czytać i pisać, ale też panuje wśród ludzi duch pionierski, zapał, entuzjazm, właściwe takim okresom. Trzydziestoletni profesorowie i podsekretarze stanu mówią o swej pracy z taką samą dumą jak i robotnicy przy budowie hydroelektrowni w Mawrowie, oszołomieni nowozdobytą umiejętnością kierowania mechaniczną betoniarką. Cel jest dla wszystkich jeden : zbudować przemysł, zwiększyć produkcję i w ten sposób zapewnić ludziom... szczęście. Komunizm, czy też ta forma ustrojowa, którą się tam dziś praktykuje, bez względu na jej nazwę, uważany jest tylko za środek do osiągnięcia tego celu; w żadne teoretyzowanie nikt się nie bawi. Jeśli przemysł będzie zbudowany — szczęście powszechne zostanie zapewnione. Tak wygląda mit dnia dzisiejszego Jugosławii — wczorajszy mit Zachodu, piękna legenda, w którą wierzyli jeszcze ojcowie dzisiejszych egzystencjalistów.

Jednak te 10 czy 12 procent ludności zajętej budową przemysłu, to tylko mieszkańcy miast. Chłop nie bierze w tym, jak dotąd, udziału. W marcu 1953 otrzymał możność wyjścia z ,,zadrug'' (kołchozów) i skorzystał z tego. Z 6.798 zadrug w 1949 — pozostało w lipcu 1953 tylko 2.400, a te kołchozy, które pozostają przeorganizowują się w formy kooperatyw handlowych czy spółdzielni produkcyjnych przy zachowaniu indywidualnej własności gruntów. Ustawa wyznacza jako maksimum gospodarstwo 10-hektarowe, ale w Jugosławii nigdy nie istniały gospodarstwa większe, ani też wielka własność. Wolno też wydzierżawiać swe grunta, z tym jednak że dzierżawca — łącznie z własnym gruntem — nie może mieć więcej niż 10 ha. Nastąpił więc nawrót do warunków przedwojennych i chłop jest z tego zadowolony .Prowadzi gospodarkę prymitywną, tak zwaną ,,naturalną'', to jest produkuje tyle ile musi zjeść i zjada tyle ile wyprodukuje. Gdy przychodzi rok suszy — głoduje, tak jak to było zawsze od wieków.

Nikt i nic nie potrafi przekonać chłopa w dzisiejszych warunkach, iż należy zwiększyć produkcję. Przeciętny zbiór kukurydzy z ha daje chłopu 400-500 kg. ziarna. Gdyby okopał kukurydzę trzykrotnie, a nie tylko raz, jak to jest zwyczajem — otrzymałby 1.200 kg. z ha.

Tu i ówdzie założono państwowe ośrodki wzorowe i chłop widzi te trzykrotnie większe zbiory, ale to bynajmniej go nie zachęca : ,,po co mi tyle kukurydzy?'' pyta. Kraj bez dróg, bez komunikacji, bez wymiany wartości — jest krajem bez potrzeb, bez rosnących potrzeb.

Jeśli macedoński czy czarnogórski wieśniak zachłannie gromadzi pieniądze (w postaci złotych talarów Marii Teresy) to tylko przez parę lat — by kupić sobie żonę. Gdy ta potrzeba zostanie zaspokojona — spoczywa na laurach.

Gdy rozpoczęto budowę wspomnianej hydroelektrowni w Mawrowie, trzeba było sprowadzić robotników miejskich, a ze wsi tylko młodych chłopców. Okoliczni chłopi, mimo możliwości dużych zarobków, pracować nie chcieli, lub pracowali tak źle i powoli, że przysłany dla montażu maszyn technik, Niemiec, szalał z wściekłości : „To mają być robotnicy? Prędzejbym małpę nauczył pracować, niż tych dzikusów. Musiałem tu siedzieć trzy miesiące zamiast dwóch tygodni. I oni chcą budować fabryki!"

Nie jest to bynajmniej „wrodzone lenistwo" jak przypuszczał niemiecki majster. Dość jest spojrzeć na miniaturowe poletka, gdzie każdy zagon wydarty jest pazurami ze skały, gdzie każdy spłachetek czarnoziemu otoczony jest pracowicie murkiem z kamieni chroniących przed erozją — by zrozumieć jak nadludzkiego, cierpliwego wysiłku wymaga tu ziemia. Ludność jest pracowita, lecz pozbawiona potrzeb, praca dla „zwiększenia dochodów" wydaje się jej rzeczą bezcelową.

Gdy piszę o Macedonii — myślę o całej Jugosławii — z wyjątkiem może Słowenii i Chorwacji, jako tako uprzemysłowionych. Wszystkie zasadnicze problemy jugosłowiańskie odnaleźć można w Macedonii, zamknięte, jak w łupinie orzecha, w górskim wieńcu jej granic. To prawda, że Macedonia jest jedną z najbardziej zacofanych wśród sześciu republik federalnych. Ale czy Bośnia i Hercegowina znajdują się w lepszej sytuacji? Lub Czarnogóra? A trzy czwarte Serbii, gdzie drogi toną w błocie nie wysychającym nigdy, zaś po wiejskich ulicach-gnojówkach biegają półdzikie, czarne prosięta i nagie dzieci. Ludzie w białych samodziałach chodzą boso lub w plecionych z rzemieni opankach i gdyby nawet mieli możność kupienia sobie butów — nie mogliby w nich chodzić po swych ulicach i drogach.

◆

Tak wygląda tło, na którym rozgrywa się eksperyment gospodarczy i polityczny zwany titoizmem, eksperyment rozpoczęty przed czterema laty na oślep niemal, w chwili katastrofy, jaką był niewątpliwie dla jugosłowiańskich komunistów list-ekskomunika Kominformu. Po czterech latach wykrystalizowały się już pewne zarysy, linie wytyczne systemu, który nie przestał jednak być ciągłym szukaniem i próbowaniem nowych dróg.

Zgodnie z zasadami klasycznego marksizmu cały kapitał, to jest środki produkcji — są własnością państwa. Natomiast wbrew zasadom marksizmu — dążenie do zysku nie zostało wyklęte, przeciwnie podniesiono je do godności cnoty.

Podczas gdy marksizm uważał własność środków produkcji za źródło władzy, titoizm poszedł dalej, rozumiejąc że w gruncie rzeczy władzę polityczną daje nie formalna własność : wła-

dzę posiada ten, kto dysponuje ,,wartością dodatkową", czyli mówiąc po prostu — zyskiem. Oddając część zysku w ręce zespołów pracowniczych, pozwalając zespołom o ten zysk walczyć na rynku mniej lub więcej wolnym — titoizm z całą świadomością wyrzekł się części władzy politycznej. Dlaczego, w jakim celu?

Odpowiedź na to pytanie dają słowa Edwarda Kardelja, jednego z sześciu czy siedmiu ludzi rządzących dziś Jugosławią, który w roku 1952 napisał : ,,Tylko człowiek wolny, tylko praca osobista i nieskrępowana, tylko swobodna inicjatywa jednostki mogą spowodować pożądany skok sił wytwórczych... Aby to osiągnąć — konieczne jest usunięcie kontroli biurokratycznej w gospodarce i zagwarantowanie swobodnej gry sił ekonomicznych w połączeniu ze zdolnościami twórczymi jednostki".

Słowa te mógłby wypowiedzieć którykolwiek z wielkich klasyków liberalizmu, gdyby nie końcowa uwaga Kardelja, że wszystko to musi się odbywać przy zachowaniu społecznej własności środków produkcji.

Od trzech lat zaszły w Jugosławii reformy wskazujące, że program Kardelja nie jest tylko pustym sloganem. Jugosławia usiłuje z pełną konsekwencją zastosować klasyczne metody liberalizmu w swej gospodarce i administracji — cofając się jednak stanowczo przed wprowadzeniem również tych form politycznych, w których zawsze dotychczas rozwijał się liberalizm — to jest demokracji parlamentarnej.

Czy taki eksperyment jest w ogóle możliwy do przeprowadzenia? Czy może istnieć liberalizm bez demokracji? Wolność indywidualna, bez wolności politycznej? Sytuacja odwrotna jest do pomyślenia i posiadamy już nawet duże doświadczenie w tym kierunku. Socjalizm na Zachodzie usiłuje realizować demokrację bez liberalizmu, w każdym razie bez liberalizmu w gospodarce. W żadnym zresztą z państw na zachodzie nie ma (i bodaj nigdy nie było) pełnego liberalizmu bez ,,ale". Jak będzie wyglądał w praktyce jugosłowiański liberalizm bez demokracji parlamentarnej pozostaje na razie zagadką, której rozwiązanie przynieść mogą dopiero nadchodzące lata.

Próbowałem dyskutować o tych sprawach z politykami jugosłowiańskimi. Kiro Gligorow, jeden z kierowników gospodarki jugosłowiańskiej przyjął mnie w Centralnym Instytucie Planowania i z miejsca uprzedził, że nazwa instytucji nie powinna mnie wprowadzać w błąd.

— Nasze planowanie nie jest sztywnym ,,dirižizmem"; tutaj w tym instytucie zajmujemy się planowaniem analitycznym, a więc badaniami typu naukowego dla cyfrowego i statystycznego ustalenia naszych możliwości. O tym co się produkuje i jak — decyduje w końcu sam rynek —podaż i popyt, konkurencja przedsiębiorstw między sobą, zapas surowców i maszyn, rezerwa sił roboczych i inicjatywa jednostek.

— Z tego co Pan mówi wynika, że przedsiębiorstwo produkujące towar pożądany na rynku i zapewniający zyski — może

sobie forsować produkcję bez przeszkód tak długo... aż towaru będzie nadmiar? Czy nie tak właśnie powstają kryzysy nadprodukcji w kapitaliźmie?

— Przez długi jeszcze okres, w naszych warunkach, żadna nadprodukcja praktycznie rzecz biorąc nie grozi, choć mogą się zdarzyć potknięcia. W tej chwili na przykład w składach przemysłu konfekcyjnego leży niesprzedany stock towarów z trzech miesięcy. Moglibyśmy go zresztą wyprzedać w ciągu tygodnia obniżając cenę.

— Dlaczego więc nie obniżacie ceny?

— To nie ceny są zbyt wysokie — to zarobki są zbyt niskie, wystarczają zaledwie na zakup żywności. A na razie nie możemy przeprowadzić generalnej podwyżki zarobków tak długo dopóki produkcja rolna nie podniesie się wydatnie. Oznaczałoby to bowiem tylko inflację i nic więcej.

— Czy takie ,,potknięcia'' nadprodukcyjne, jak je pan nazwał, nie pociągają za sobą innego z niebezpieczeństw gospodarki rynkowej, to jest bezrobocia?

— We wszystkich dziedzinach panuje u nas niesłychany brak pracowników, nie mówiąc już o fachowcach. W tej chwili mamy zarejestrowanych 70 tysięcy bezrobotnych — większość to pracownicy umysłowi, którzy stracili pracę w związku z likwidacją administracji scentralizowanej. Powoli przechodzą oni do przemysłu i administracji lokalnej, czy republikańskiej.

— Jeśli państwo wyrzekło się, jak pan twierdzi, centralnego ,,diriżizmu'' to jakież ma środki by nie pozwolić na chaotyczne zjawiska rynkowe, by ograniczyć jakąś produkcję lub odwrotnie zachęcić do niej?

— To jest ogromnie proste : Interwencja przy pomocy środków czysto gospodarczych. Kredyt inwestycyjny. Stopa dyskontowa. Polityka dewizowa, podatki. Każdy cel, który w ustroju biurokratycznym osiąga się, lub usiłuje osiągnąć przez zarządzenie administracyjne, można o wiele skuteczniej osiągnąć przez jeden z wymienionych środków ekonomicznych...

Wszystkie niemal rozmowy z ekonomistami jugosłowiańskimi pozostawiają wrażenie, że rozmawia się z wiernymi uczniami Adama Smith'a, dokształconymi poza tym w pragmatystycznej szkole Devey'a. Są pełni zapału i wiary, przekonani, że metody ich są rewelacyjnie nowe. Być zresztą może, iż rzeczywiście są nowe, przynajmniej o tyle, że po raz pierwszy liberalne środki ekonomiczne są stosowane wobec kapitału znacjonalizowanego.

— Czy można mówić o wolnej konkurencji — spytałem innego z tych ekonomistów, macedońskiego podsekretarza stanu, Asena Simićijewa — gdy kapitał przemysłowy, maszyny na przykład, są własnością państwa, a więc leżą poza zasięgiem rynku towarowego. Inaczej mówiąc gdy nikt nie może kupić sobie maszyn i założyć nowej fabryki?

— Maszyn nie może kupić prywatny obywatel, ale wystarczy by ich się zebrało trzech, czy pięciu i już są spółdzielnią,

która dostanie kredyt na zakup maszyn. Albo jeszcze lepiej — zaproponują jakiemuś z już istniejących przedsiębiorstw, czy kooperatyw, że zorganizują w ramach tej instytucji nowy dział produkcyjny — kredyt dostać można wtedy łatwiej. Mam tu na biurku taką sprawę. Jedna z fabryk chce puścić w ruch nowy dział — fabrykację sztucznego lodu. I na pewno kredyt dostaną, choć już jedna taka fabryka istnieje w naszym okręgu.

— Po cóż dwie fabryki lodu, jeśli na pewno brak wielu innych zakładów produkcyjnych?

— Wychodzimy z założenia, że inicjatorzy wiedzą lepiej. Nie zakładaliby fabryki, gdyby nie mieli szans zarobku. Ich ryzyko jest większe niż kredytodawcy.

— Nie rozumiem ryzyka, jeśli nie wkładają kapitału? Co im grozi?

— Ogłoszenie bankructwa. Maszyny zostaną sprzedane innemu przedsiębiorstwu, a kierownictwo zbankrutowanego przedsięwzięcia będzie musiało zrezygnować z dyrektorskich stanowisk na długo. Żaden zespół robotniczy nie będzie chciał mieć kierowników, którzy doprowadzili już raz firmę do upadłości. Fabryka musi dawać zyski — w przeciwnym razie robotnicy uciekną, albo... usuną dyrekcję.

◆

Zysk, zysk, zysk. Oto wyraz-hasło najczęściej powtarzające się w Jugosławii.

Siedzimy przy obiedzie z dyrektorem kopalni boksytu w hotelu „Crnogora", w budującej się stolicy Czarnogórza — Titogradzie. Hotel jest nowoczesny, luksusowy, sala kolumnowa wyłożona kremowym marmurem, meble kryte błękitną skórą. Sala pusta, paru robotników pije piwo spluwając od czasu do czasu na dywany.

— Ten hotel — mówi inżynier — to jeszcze pozostałość z czasów „sowieckich". Być może za dziesięć lat, gdyby Titograd stał się centrum przemysłowym i turystycznym zacząłby dawać dochody. Na razie martwy kapitał.

Chętnie przyznałem memu rozmówcy, że ten hotel tutaj — to tak jakby nędzarz w łachmanach, któremu palce z butów wyłażą — kupił sobie ni z tego, ni z owego sztywny frakowy półkoszulek z gotową białą muszką.

— Widzi pan, gdyby dzisiaj ktoś wpadł na pomysł budowy tutaj takiego hotelu — natychmiast zostałby zamknięty..., nie, nie w więzieniu — dodał szybko widząc me zaniepokojenie — ale w domu dla obłąkanych. Taka jest różnica, gdy inwestycje ocenia się z punktu widzenia ich rentowności.

W świetle takich rozmów i obserwacji stwierdzić trzeba, że w Jugosławii istnieje dziś duża swoboda dla indywidualnej przedsiębiorczości, a to byłoby nie do osiągnięcia przy dawnym systemie policyjnym, wzorowanym na Sowietach. Ruchliwy i zdolny kierownik przedsiębiorstwa może je prowadzić bez oba-

wy, że zostaną mu narzucone dyrektywy biurokratyczne. Może organizować pracę tak jak uważa za wskazane, inwestować w tym kierunku, który uważa za korzystny, kupować surowce tam gdzie chce i potrafi, może nawet spekulować przez terminowe zakupy, czy sprzedaże. Jeśli bank państwowy nie chce mu przydzielić dewiz na jakieś tranzakcje z zagranicą, może nabyć walutę obcą w innym przedsiębiorstwie, które dysponuje jej nadmiarem w danej chwili, i wolno mu zapłacić cenę rynkową, wyższą nawet, niż kurs urzędowy. Głównym obowiązkiem kierownika jest prowadzić zakład tak, by dawał zyski netto do podziału między robotników.

Sposób podziału tych zysków ustalają robotnicy na dorocznych, lub półrocznych zebraniach. Około 35 % zabierają do własnych kieszeni (więcej nie opłaca się, gdyż na straży stoi progresywny podatek od dochodu), resztę przeznaczają na budowę domów mieszkalnych przyfabrycznych, żłobków itp. lub na jakieś ekstra inwestycje w swej fabryce. Dyrekcję, która przyjdzie na zebranie ogólne z bilansem niezadawalającym, kolektyw ma prawo usunąć i korzysta z tego prawa.

A więc dla jednostek z inicjatywą — pole działania jest otwarte. Ale tu właśnie tkwi sęk : czy ten wentyl wolności, który został w Jugosławii otwarty, nie jest przeznaczony tylko dla pewnej uprzywilejowanej grupy ? Nie, nie myślę o ,,partyjnych'' — ci trzymają się raczej wojska i administracji. Chodzi mi o managerów, dyrektorów ?

Życie codzienne zaprzecza jednak takiemu przypuszczeniu. Gdy ze znajomym Jugosłowianinem idzie się ulicami miasta i mija się policjanta — nie widzi się w towarzyszu spaceru owego nagłego wstrząsu i zmrożenia — tak charakterystycznych dla wszelkich totalizmów. Jugosłowianie, zwłaszcza Serbowie, są otwarci, wielomówni i politykują zawzięcie, na ulicy, w kawiarni, w pociągu. Gdy wypiją parę kieliszków rakiji (a przeciętny Serb zaczyna dzień od porcji śliwowicy) gotowi są powiedzieć rzeczy, które zadowolić mogą najśmielsze marzenia szpicla policji politycznej.

O tym, że reżim policyjny został skasowany upewniło mnie jednak najsilniej drobne na pozór wydarzenie w podróży z Czarnogórza do Skopje. Poznałem w pociągu młodego podoficera artylerii, który jechał na urlop zdrowotny. Na jednej ze stacji trzeba czekać na połączenie całą noc i przezornie zamówiłem sobie z góry miejsce w hotelu. Dla mego towarzysza podróży pokoju już nie było i wobec tego zaproponowałem mu, by przespał się w moim pokoju, co przyjął z wdzięcznością. Wydarzenie nie do pomyślenia w Rosji, czy którymkolwiek z państw satelickich. Cudzoziemiec i podoficer — czy to nie jest oczywista afera szpiegowska ? Prawdopodobnie zresztą fakt ten został gdzieś zanotowany w kartotekach UDB, ale takie notatki robi się nie tylko w państwach dyktatorskich. Samo przebywanie z cudzoziemcem w każdym razie nie jest karygodne.

Wiele ciekawych rzeczy opowiedział mi o Jugosławii stary filozof Omar, stróż meczetu w tureckiej dzielnicy Skopje. Wystarczy przejść most na Vardarze, by znaleźć się w jakimś fantastycznym obozowisku azjatyckich Nomadów, chaotycznym skupisku lepianek i kamiennych nor, ruin i rumowisk. W dzielnicy tej nie ma ulic, nie ma światła, elektryczności, kuchen i kominów. Gdy zapada mrok, ludzie jak co dzień, zaczynają przed swymi lepiankami rozpalać ogniska i gotować wieczerzę. Gromady nagich dzieciaków oświetlone migotliwym blaskiem ognisk, muły i osły uwiązane u narożników murów, wszystko to wzmaga wrażenie nierealności, nieprawdopodobieństwa, by coś takiego mogło istnieć w odległości dnia drogi od Monachium, Wiednia, czy Rzymu.

Na wzgórzu, wysoko nad nędzą i brudem rumowisk wznosi się meczet Mustafa Paszy. Wyrasta on jak poemat z białej, marmurowej koronki, kłamliwie subtelny i uduchowiony, pomnik obłudy i egoizmu władców. W ogrodach otaczających meczet, na kamiennej ławce przy fontannie zawsze spotkać mogłem Omara pogrążonego w modlitwie, czy drzemce. Z dala już widać było w mroku białą jego brodę i turban.

Ostatniego dnia mego pobytu w Skopje zadałem mu pytanie, czy w Jugosławii panuje obecnie wolność, i czy jego zdaniem wolność jest w ogóle potrzebna ludziom biednym i nieuczonym? Czy nie wykorzystają jej źle?

Omar, który z czasów swej służby wojskowej w armii austriackiej płynnie mówi po niemiecku, wyjaśnił mi, że wolność jest rzeczą najważniejszą, zarówno dla ludzi pojedyńczych, jak i dla całych narodów. Od chwili gdy Macedonia jest niepodległa żyje się tutaj zupełnie inaczej, nie trzeba ciągle spiskować i uciekać w góry — można pracować, żyć i chwalić Allaha. Ludziom biednym i nieuczonym wolność jest tak samo potrzebna jak wszystkim, tym bardziej, że ludzie uczeni i bogaci wcale nie są mądrzejsi od innych.

Jaka powinna być wolność? Jakie są jej granice? Tutaj Omar powołał się na praktykę istniejącą od kilku lat w Jugosławii. ,,Pięć lat temu wolności nie było. Mój zięć i jeden wnuk siedzieli w więzieniu. W każdej rodzinie bywały takie wypadki, a ludzie bali się iść spać, bo nocą przychodziła milicja. Dzisiaj już się to nie zdarza i nikt się nie boi. Rząd postanowił, że każdy może robić wszystko co zechce, oczywiście jeśli nie kradnie, ani nie zabija, ale tylko tyle ile może zrobić sam. Jeśli dla jakiegoś swego zamiaru czy postanowienia potrzebuje pomocy wielu innych ludzi, albo jeśli ten jego zamiar dotyczy losu innych ludzi — to tego mu już rząd zrobić nie pozwala. Taka jest wolność i jej granica teraz w Jugosławii, według tego co ja widzę, i myślę, że nie może być inaczej".

Mam wrażenie że diagnoza Omara jest trafna. Gdy z politykami jugosłowiańskimi dyskutuje się na ten temat, bronią oni z uporem, choć obawiam się bez przekonania, tezy, że jednak panuje u nich ,,demokracja", która polega przede wszyst-

kim na tym, że każdy może wypowiedzieć swe zdanie. Jest to nawet w dużym stopniu prawda, gdyż dzisiaj na zebraniu publicznym, jak nieraz miałem sposobność przekonać się, można wypowiedzieć bardzo nawet opozycyjną opinię i mimo to pozostać na wolności. Ale te opozycyjne wypowiedzi nie mają żadnych środków egzekutywy do swej dyspozycji, takich środków jakie daje zwykły system parlamentarny. Nawet najliczniejsze opozycyjne głosy pozostają zawsze tylko pustymi głosami, licznych być może, ale pojedyńczych ludzi, niezwiązanych w polityczną organizację.

Po trzech latach panowania nowego systemu odczuwa się wyraźnie, że Jugosłowianie sami jeszcze nie znają granic posiadanej wolności, jeszcze się wahają i mylą często liberalizm z demokracją. Oto świeży przykład : Grupa filmowców w Belgradzie zachęcona walką z biurokracją, jaka prowadzona jest z wysokim błogosławieństwem, postanowiła wyprodukować film satyryczny biczujący kastę ,,biurokratów'' — coś w rodzaju nowego ,,Rewizora'' opartego na swojskich motywach. Film wykonany został przez państwową wytwórnię i udał się nadspodziewanie. Jest podobno tak znakomity... że władze zakazały jego wyświetlania. Na razie...

Dobrym przykładem dezorientacji wobec pytania ,,co wolno''? — ze strony społeczeństwa oraz zagadnienia ,,na co można pozwolić?'' — ze strony rządu — był ilustrowany tygodnik ,,Panorama w Pątki'' — ,,PP'' wychodzący w Zagrzebiu, jako pismo zespołu niezależnych dziennikarzy. Tygodnik szedł po linii socjalistycznej, ale antyrewolucyjnej i trzeba przyznać, że komuniści jugosłowiańscy cierpieli, ale tolerowali tę herezję dość długo, aż do czerwca br. Dopiero, gdy redaktor naczelny wyjechał w sprawach wydawniczych do Niemiec i stamtąd nadesłał list do redakcji zawiadamiający, że ze względów politycznych pozostaje na emigracji — nastąpiła awantura. Do zespołu wszedł na miejsce emigranta członek partii i pismo stało się znacznie bledsze i cichsze.

Usiłują korzystać z wolności studenci wyższych uczelni. Kilka razy urządzali już strajki i bojkoty, przeciw różnym zarządzeniom władz rektorskich. Ostatnio, na wydziale matematyczno-przyrodniczym w Belgradzie studenci czwartego roku zażądali między innymi dodatkowych terminów egzaminacyjnych, gdyż przy dwóch dotychczasowych niemożliwe było zdać wszystkie przedmioty. Senat odmówił i studenci ogłosili strajk. Trzeba przyznać, że komuniści znaleźli doskonały sposób wybrnięcia z trudnej sytuacji : mianowicie komunistyczna organizacja studencka przyłączyła się do strajku i nawet objęła jego kierownictwo. Po czterech dniach Senat poszedł na ustępstwa.

Jak wygląda w praktyce korzystanie ze swobody w życiu gospodarczym i jak daleko może się posunąć — dają pewne pojęcie następujące przykłady. W przemyśle cementowym, jedna tylko spośród kilkunastu cementowni jest nowocześnie urządzona. Produkuje ona tyle cementu, ile wszystkie pozostałe razem

i trudno z nią konkurować. Wobec tego małe cementownie zawarły umowę o wspólnej polityce rynkowej, skierowaną przeciw gigantowi. W państwach kapitalistycznych nazywa się to po prostu kartelem — fabryki jugosłowiańskie nazwały to ,,zrzeszeniem'' i były niesłychanie zadowolone ze swego wynalazku. Wielka cementownia zaczęła się dusić, gdyż kartel podzielił między siebie rynek i zaczął dyktować ceny. Musiał wtrącić się rząd i rozwiązał ,,zrzeszenie''.

Tam gdzie w grę wchodzi zysk zjawiają się natychmiast wszystkie stare narowy i metody kapitalistyczne. Już dziś w fabrykach panuje tendencja zwalniania robotników starszych — na korzyść młodszych i bardziej wydajnych. To samo dotyczy kobiet. Już dziś dyrekcja ma tysiące kłopotów, chcąc skłonić kolektyw do kupienia jakiegoś urządzenia ochronnego zwiększającego bezpieczeństwo pracy. Robotnicy żałują ,,swoich'' pieniędzy na nierentowne inwestycje, zupełnie tak samo jak ,,kapitalistyczny wyzyskiwacz''. I związki zawodowe, których zadaniem jest teraz obrona członka kolektywu przed jego własnym kolektywem — mają pełne ręce roboty.

Jeśli więc samym Jugosłowianom trudno się czasem zorientować we własnej sytuacji i zrozumieć treść zachodzących przemian, to cóż dopiero mówić o cudzoziemskich obserwatorach. Pamiętam pewnego brytyjskiego dziennikarza, który zapytany o wrażenia z Jugosławii odpowiedział mi ze wzruszeniem ramion : ,,No, cóż — jeszcze jedna bałkańska dyktaturka !''.

Można i tak, ale można również i inaczej, jak mnie pouczył pewien młody inżynier z Indonezji, z którym zwiedzaliśmy razem nowe huty w Bośni. Otyły Indonezyjczyk sapał z zachwytu patrząc na wszystko oczyma pełnymi entuzjazmu. Gdy mu powiedziano, że robotnik przy budowie zarabia średnio 60 dinarów za godzinę (około 20 centów amerykańskich), pokiwał tylko głową : U nas —powiedział — robotnik zarabia tyle przez cały dzień, a Indonezja jest potencjalnie jednym z najbogatszych krajów świata. U nas produkuje się 40 % światowego zużycia kauczuku i 20 % cyny, 40 % juty i 90 % chininy, ale to wszystko nie należy do nas. Szczęśliwa Jugosławia.

Łukasz WINIARSKI

Der MONAT

MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

Uwagi i wnioski w sprawie Kolegium Wolnej Europy

Idea wyższej uczelni dla uchodźców zza żelaznej kurtyny zrodziła się w pierwszych latach po wojnie. Trzeba tu przypomnieć zarówno pierwsze próby w Niemczech (Uniwersytet UNRRA, Uniwersytet Bałtycki, Uniwersytet Ukraiński), jak i inicjatywę redakcji ,,Kultury'' podjętą przez Kongres Wolności Kultury w Berlinie i Brukseli w 1950 r. Nie chodziło o jeszcze jedną imprezę dobroczynną w stylu ,,opieki nad uchodźcami'', ale o akcję mającą ułatwić uchodźcom rozwijanie ich własnych wartości kulturalnych, które mogły być łatwo starte na proch między kamieniami młyńskimi sowietyzacji i ,,readaptacji''.

Może nie będzie przesadą powiedzieć, że koncepcja Uniwersytetu uchodźców miała być śmiałą próbą uratowania jedności kultury na naszym kontynencie. Kultura ta stanowiła wspólny dorobek narodów z obu stron żelaznej kurtyny. Wobec ustania procesu rozwojowego wspólnej kultury europejskiej zachodzi niebezpieczeństwo, polegające na tym, że typ zachodni będzie się wyodrębniać. Od roku 1945 kultura Europy Zachodniej jest rozwijana bez udziału 200 milionów Europejczyków. Trzeba to podkreślić, bo zbyt jednostronnie podkreśla się odcięcie ,,wschodu'' Europy od wpływów zachodu, zapominając, że istnieje tu korrelacja.

Badaniem rzeczywistości w krajach zakurtynowych zajmują się istniejące w dużej — może nawet nadmiernej liczbie — ośrodki, ale jak dotychczas prace ich cierpią wskutek zbytniej jednostronności. Mają być one narzędziem wojny psychologicznej. Dziwne może się wydać w ustach Polaka twierdzenie, że to jednostronne założenie w znacznej mierze udaremnia spełnienie zadań. Trzeba przede wszystkim znać prawdę — niezależnie od celu, do jakiego to poznanie ma służyć — bo wytknięcie sobie z góry określonych zadań praktycznych ogranicza i pomniejsza możliwości poznania i zrozumienia. Zadanie wyzyskania zdobytej wiedzy jest zadaniem wtórnym.

Jednostronności badań wschodnich towarzyszy ich odcinkowość. Podzielono terytoria bloku sowieckiego między rzeczoznawców i każdy bada swój odcinek. Tymczasem dziś już nawet tak wielki „odcinek" jak Związek Sowiecki nie może być przedmiotem badań samodzielnych, bo jest on częścią większego i coraz bardziej jednolitego systemu. Z jeszcze większą słusznością można to powiedzieć o każdym innym kraju Związku Sowieckiego. Specjalizacji terytorialnej w badaniach Wschodu towarzyszy brak specjalizacji rzeczowej, czego wynikiem jest spłycenie.

Każda teza, oparta na badaniach źródeł, powinna być o ile możności skonfrontowana z relacjami żywych ludzi, znających teren. Żadne „protokóły przesłuchań", dostępne dla niewielkiego grona wtajemniczonych, nie mogą tu zastąpić współpracy z tymi, którzy wciąż jeszcze w dużej liczbie przybywają z krajów ujarzmionych. Tym bardziej dotyczy to różnych propagandowo opracowanych relacji, drukowanych przez prasę, a poziomem swym dostosowanych nie do potrzeb badacza, lecz do potrzeb najmniej inteligentnych czytelników.

Na takich zasadach oparta działalność ośrodków, naukowo-badawczych jest koniecznym warunkiem skuteczności poczynań politycznych i propagandowych Zachodu. Nie można oddziaływać na kraje, których się nie zna, a wyższość Zachodu polega na tym, że nie obawia się on poznawania, nie wyznacza poznawczej działalności ciasnych ram i ograniczeń. Praca badawcza łączy się zawsze z kształceniem sił naukowych na stopniu najwyższym. Dzięki temu jej zorganizowanie równocześnie rozwiąże problem kształcenia kadr naukowych narodów ujarzmionych.

To zagadnienie wiąże się też z zagadnieniem losów młodzieży uchodźczej — ale nie powinno być z nim mieszane. Dziś widzimy te rzeczy wyraźniej niż przed trzema-czterema laty. Młodzieży, pochodzącej zza żelaznej kurtyny, która chciałaby się kształcić i miała ku temu zdolności jest bardzo dużo. Uwzględniając wszystkie dziedziny studiów i wszelkie uchodźcze grupy narodowe naukę na poziomie akademickim pobiera na Zachodzie na pewno ponad 10.000 studentów i studentek. Kształcą się w Anglii, gdzie liczba samych stypendystów polskich dochodziła do 1.700, kształcą się w Niemczech, Hiszpanii, Francji, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych, w Szwajcarii, Kanadzie, Szwecji, Belgii i jeszcze wielu innych krajach.

Zebranie tych wszystkich studentów w jednej uczelni wymagałoby olbrzymiego wysiłku finansowego i organizacyjnego. Czy byłoby pożądane? Wydaje się że nie. Uchodźcy ze środkowo-wschodniej Europy rozmieszczeni są w różnych krajach Zachodu i w różnych krajach będą musieli szukać pracy. Dlaczegóż psuć im szanse zdobycia pracy po ukończeniu studiów przez kształcenie w innym języku niż ten, w którym będą musieli pracować, nie mówiąc o trudnościach nostryfikacji dyplomów itd. Na przykład po jakie licho Polak, mający prawo pobytu

w Anglii, który w tej Anglii ukończył szkołę średnią, ma studiować medycynę we Francji?

Czy dlatego, że we Francji nie będzie mógł pracować?

Gdy mamy wskazywać naszej młodzieży kierunek studiów na obczyźnie to moglibyśmy wziąć na siebie odpowiedzialność za kształcenie wyłącznie do pracy zawodowej w Kraju wtedy tylko, gdyby nam ktoś poważny zagwarantował, że po ukończeniu przez nią studiów opadnie żelazna kurtyna. Ponieważ takiej gwarancji nie ma musimy zalecać takie postawienie sprawy studiów na emigracji, by studia te stanowiły także podstawę do uzyskania pracy zawodowej w wolnym świecie.

Byłoby oczywiście absurdem pomijanie młodych, wykształconych już na zachodzie znawców zagadnień środkowej Europy przy angażowaniu do istniejących placówek studiów czy propagandy, zajmujących się światem ujarzmionym. Skądinąd jednak nikt poważny nie będzie na takich perspektywach budował planów przyszłości, zwłaszcza ze względu na notoryczną niestałość i bezplanowość wielu prac tego rodzaju.

Pozornie dochodzimy tu do przeciwstawnych wniosków: studia „wschodnie" są niezbędne, ale na Zachodzie jakby nieprzydatne. Wykazanie tej pozornej przeciwstawności pozwoli nam dopiero szukać właściwego rozwiązania. Trzeba wychować ludzi wielostronnych, żyjących na Zachodzie i rozumiejących równocześnie i Zachód i Wschód, czyli istotę ich konfliktu.

Czyż normalnie na każdej poważnej wyższej uczelni nie istnieją katedry, lektoraty, instytuty poświęcone specjalnie różnym krajom i różnym kulturom? Czyż jakikolwiek poważny uczony może operować literaturą jednego kraju i jednym jedynym językiem? Czyż prasa fachowa wszelkich dziedzin nauki i techniki nie poświęca wiele miejsca zdobyczom innych krajów? Czy nawet technicy nie szukają w innych krajach rozwiązania zagadnień, jakie stawia przed nimi życie? Cóż dopiero humaniści!

Funkcja łączenia zdobyczy wiedzy na Zachodzie i Wschodzie ze znajomością i zrozumieniem faktów na Zachodzie i Wschodzie jest funkcją specyficzną i trudną, wymagającą szczególnych kwalifikacji i szczególnych warunków. Bez wykonania tego zadania nie może być jednak mowy o żadnym zwycięstwie „wolnego świata" nad blokiem komunistycznym. Przemyślenie koncepcji studiów wschodnich z udziałem młodzieży, pochodzącej z krajów objętych dyktaturą wschodnią, oraz wysiłek poświęcony na jej wprowadzenie w życie *powinny być proporcjonalne do ważności zadania.*

Jest oczywiście i zadanie inne, polegające po prostu na zapewnieniu możliwości studiów dla młodzieży uchodźczej. Pod tym kątem widzenia myślano o sprawie Uniwersytetu Wolnej Europy w chwili jego powoływania do życia. Jednakże szczupła ilość tych przyznawanych w Kolegium sztrasburskim stypendiów wyznacza tej inicjatywie w hierarchii tych, filantropijnych raczej poczynań, miejsce nie najpierwsze. Piszę *„raczej filantropijnych"*, gdyż każdy uchodźca wykształcony na Zachodzie,

choćby tylko zawodowo, jest pewnym dodatnim osiągnięciem i zawsze będzie miał pewne pojęcie o problemach swego kraju ojczystego, zwłaszcza gdy urządzi się mu tanim kosztem kursy wakacyjne z wykładami na tematy ogólne, dotyczące właśnie właśnie jego krajów, a nie będzie się go częstować jak dotąd, specjalistycznymi wykładami zachodnich neutralistów, którzy o Europie Środkowej wiedzą mniej od przeciętnego studenta-uchodźcy.

W praktyce wyższych studiów łączy się zwykle przygotowanie do badań naukowych z przygotowaniem do pracy zawodowej. Nie tu miejsce na rozważanie czy to jest dobre czy złe. Trzeba ograniczyć się do stwierdzenia że tak jest, i zwrócić uwagę na to, że prawie we wszystkich krajach i wszystkich dziedzinach studia wyższe dzielą się jakby na dwa etapy : w pierwszym przygotowuje się do pracy zawodowej ale i zapoznaje studenta z podstawowymi pojęciami i z metodą danej nauki. W drugiej ćwiczy w samodzielnym zastosowaniu tej metody, czyli przede wszystkim przygotowuje do pracy badawczo-naukowej. Seminaria wyższego stopnia, konferencje z profesorami czy asystentami, praca laboratoryjna i biblioteczna — to narzędzia służące temu przygotowaniu. Niektóre z tych narzędzi — jak kontakt ze studentami na seminariach, potrzebne są nie tylko studentom, ale także profesorom, zmuszają ich do ciągłego wysiłku i zapładniają ich nowymi myślami. Oczywiście nie dotyczy to tych uczelni, w których panuje szkolna atmosfera tępego przyjmowania ,,słów magistra'' za prawdę absolutną.

◆

Między koncepcją a kształtem nadanym jej w realizacji powstaje zawsze rozbieżność. Jakkolwiek myśl o powołaniu do życia Uniwersytetu Uchodźców była urzeczywistniana bez udziału tych, którzy ją wysunęli, u początku Kolegium Wolnej Europy leżała uchwala berlińska o powołaniu Uniwersytetu Uchodźczego. Ślad tego pozostał w nazwie ,,Uniwersytet Wolnej Europy'', jaka figuruje w dokumencie, spoczywającym w aktach stanu New York. Kolegium Wolnej Europy ma być ,,częścią'' tego uniwersytetu, bo trudno nazywać je uniwersytetem, ale jest niestety częścią... jedyną. Gra terminologii nie wiele zmienia istotę rzeczy, która polega na tym, że uniwersytet dla młodzieży uchodźczej *nie istnieje*. Mówić można tylko o Kolegium.

Gdy zrezygnowano z myśli tworzenia osobnej, pełnej uczelni, postanowiono bursę dla młodzieży uchodźczej umieścić przy którymś z istniejących uniwersytetów i wybrano Strassburg, jako stolicę jednoczącej się Europy w teorii, jednoczącej się Szarlemanii w praktyce. Tym samym przesądzono, że stypendyści Kolegium będą odbywać czy kończyć wyższe studia we Francji.

Francuski system uniwersytecki cechuje przede wszystkim ogromna koncentracja studiów w Paryżu. Wynika to z centralizmu, właściwego temu krajowi, a objawia się w tym, że tzw.

agregation, odpowiadającą naszej habilitacji, uzyskać można tylko w Paryżu. Została ona wyjęta z kompetencji poszczególnych wyższych uczelni i oddana komisjom centralnym, złożonym w praktyce z profesorów paryskich. Wskutek tego młodzież, która myśli o karierze naukowej, młodzież najzdolniejsza, rozpoczyna studia w Paryżu. Póki ten system będzie trwać, a nic nie zapowiada jego zmiany, uniwersytety prowincjonalne skazane będą na degradację do poziomu szkół zawodowych. Ambicją każdego profesora uczelni prowincjonalnej jest dostać się do Paryża, tak że np. około trzecia część sztrasburskich profesorów... mieszka w Paryżu. Już za czasów istnienia Kolegium z profesorów sztrasburskich dwaj przenieśli się do Paryża : Jean Fabre, historyk, jeden z paru uczonych sztrasburskich interesujących się Europą wschodnią (autor dzieła o Stanisławie Auguście Poniatowskim i luminarzach Europy) oraz znawca gospodarki niemieckiej, Pietre.

Uchodźcy, odbywający swe studia we Francji, stają przed niezwykle trudnym zagadnieniem zużytkowania swej wiedzy. Wiadomo, że po pierwsze możliwość zatrudnienia obcych obywateli we Francji jest szczególnie ograniczona, po drugie wymagania językowe w tym kraju są szczególnie wielkie. W innych krajach zdarza się, że student nie znający języka miejscowego już po roku zdaje pomyślnie egzaminy ze studiów, gdyż profesorowie pobłażliwie traktują błędy językowe, egzaminują w obcych językach lub nawet, jak to było w Anglii, używają tłumaczy. We Francji to jest nie do pomyślenia. Stąd studenci muszą najpierw poświęcić wiele czasu na uczenie się języka, a potem często przepadają przy egzaminach z języka lub też, jak o tym pisał p. Różycki, są ścinani za błędy językowe przy egzaminach z przedmiotu swych studiów. A właśnie znalezienie pracy przy której będzie się używało języka francuskiego jest dla uchodźcy szczególnie trudne.

Nie jest to jedyny paradoks sztrasburski : przeszkody prawne nie utrudniałyby znalezienia pracy zawodowej studentom naturalizowanym, ale ci właśnie są wykluczeni, moim zdaniem niesłusznie, przez Kolegium Wolnej Europy. Naturalizowani kończą przeważnie szkoły średnie francuskie. Największego kontyngentu Polaków nie naturalizowanych, a znających język francuski, dostarcza liceum w Les Ageux. Na humoreskę zakrawa już fakt, że w tym roku z uczniów tego liceum przyznano stypendium temu jedynemu, który z powodu niedostatecznych postępów w nauce... nie został dopuszczony do matury. Stypendia przyznaje się *przed* egzaminami maturalnymi !

Zagadnienie trudności językowych jest szczególnie istotne w Strassburgu, gdyż uniwersytet stawia sobie za cel nauczenie poprawnego języka francuskiego Alzatczyków, którzy jak wiadomo często mówią dialektem miejscowym. Równa miara wymagań językowych musi być, zdaniem profesorów francuskich, zachowana wobec studentów-cudzoziemców.

Mocną stroną uniwersytetu sztrasburskiego są studia chemiczne i fizyczne (Instytut Fizyki Atomowej). Natomiast studia ekonomiczne i socjologiczne są w Strassburgu właściwie niemożliwe. Teoria ekonomii wykładana jest tak jak się ją wykładało na fakultetach prawa w uniwersytetach starej daty. Student wydziału prawa uniwersytetu sztrasburskiego nie będzie znał ani nowoczesnej teorii pełnego zatrudnienia, ani szkoły neoliberalnej, ani ekonomii marksistowskiej.

Konieczność wkuwania różnych przepisów administracyjnych francuskich, kodeksu Napoleona itp. nie pozostawi czasu na pracę samodzielną dla uzupełnienia tych luk nawet studentowi wolnemu od wykładów w Kolegium i od nauki języka.

W innych działach humanistycznych podobny obraz : wykładów literatury krajów środkowej Europy, albo nie ma, albo są prowadzone w minimalnym zakresie, niedającym się porównać nawet z możliwościami studiów slawistycznych itp. w Paryżu lub Londynie. O filozofii marksistowskiej nie ma co marzyć.

Strassburg ma aż dwie uczelnie specjalne, poświęcone studiom politycznym.

Pierwsza — ,,Institut d'Etudes Politiques'' to trzyletnie studium, mające przygotować kandydatów do egzaminów konkursowych ,,Ecole Nationale d'Administration'', kształcącej urzędników administracyjnych Francji. Jak informuje prospekt, absolwenci mogą liczyć na posady na kolei, w bankach lub tp. Uchodźcy ich oczywiście nie dostaną.

Wykłady obejmują :

Na pierwszym roku geografię gospodarczą ogólną, ekonomię, historię ogólną i historię instytucji prawa publicznego, geografię wielkich przestrzeni, instytucję prawa prywatnego.

Na drugim roku : zagadnienia monetarne, prawo administracyjne, demografię, geografię Francji, kredyt bankowy, problem surowców, rachunkowość, prawo budżetowe, politykę gospodarczą, doktryny polityczne.

Na trzecim roku prawo pracy, ubezpieczenia społeczne, historię pracy, problem klas społecznych, ,,biologię społeczną'', prawo handlowe, dalszy ciąg doktryn politycznych. Jedynie wykłady o instytucjach prawa publicznego państw obcych mogą zawierać elementy szczególnie interesujące słuchacza uchodźczego, gdyż wykładowca, profesor Mouskhely, z pochodzenia Gruzin, zna Europę Wschodnią i uwzględnia ją dość szeroko.

Program robi wrażenie dość wszechstronnego, acz nieskoordynowanego, ale ilość godzin wykładów na semestr jest nieproporcjonalnie mała w stosunku do tej jego rozległości.

Drugą quasi uczelnią polityczną jest jednoroczny ,,Centre Universitaire des Hautes Etudes Européennes''. W programie pierwszego semestru na bieżący rok znajdujemy następujące wykłady :

W sekcji ekonomicznej : charakterystyka ogólna gospodarki europejskiej, typu regionów gospodarczych w Europie, główne aspekty gospodarki niemieckiej.

W sekcji politycznej i ,,instytucjonalnej'' : procedura przystąpienia do wojny w konstytucjach europejskich, pozostałości osobistej swobody w Europie, technika federalizmu, problemy Niemiec współczesnych, Wspólnota Węgla i Stali na tle prawa międzynarodowego.

Sekcja społeczna to trzy wykłady o ,,productivité'', jeden poświęcony szczególnie jej ocenie w ideologii socjalistycznej.

Sekcja ,,zagadnień cywilizacji'' to wykład profesora Goriely z Brukseli o rozwoju ewolucji poczucia narodowego w Europie, prof. Sviacc'i z Genui o tradycjach cywilizacji europejskiej i prof. L'Huillier z Dijon o ,,duchu europejskim od księcia de Ligne do Churchilla''.

Centrum zasługuje raczej na miano jakichś kursów niż uczelni. Cały program jednej sekcji bez trudu zmieściłby się w ramach krótkiego kursu wakacyjnego. Toteż centrum właściwie nie daje dyplomów, a tylko zaświadczenia o wysłuchaniu wykładów i złożeniu pracy na temat, związany z jednym z przedmiotów. Nie można uczęszczania na wykłady ,,Centre'' uważać za jakieś samodzielne studium.

Pierwszą rzeczą, która uderza w programach obu uczelni, jest brak tematyki wschodnio-europejskiej, tak samo zresztą, jak na uniwersytecie. Nic w tym dziwnego, bo specjalnością Strassburga w dziedzinie nauk politycznych są Niemcy i stosunki francusko-niemieckie. Logicznie wynika z tego zainteresowanie zagadnieniami CECA (Wspólnota Węgla i Stali) i Rady Europy.

Zdarzają się jednak rodzynki wschodnio-europejskie. Jednym z nich są np. wykłady o stalinowskim planie przekształcenia natury albo o ,,aménagement des régions arctiques''. Studenci polscy, którzy w ,,urządzaniu'' rejonów arktycznych brali czynny udział uważają ten wykład za jakieś nieporozumienie...

,,Centre'' powstać miał — wedle prospektu — z myśli, że Strassburg jest ,,najlepszym miejscem dla całkowicie obiektywnej pracy nad znalezieniem wspólnych wskazań dla całej Europy. Samo studium głębokich przyczyn, które przeszkadzają jeszcze niektórym państwom włączyć się w nowe ramy pozwoli niewątpliwie usunąć wiele trudności, wynikających z odmiennej psychologii politycznej i ujawniając bez obsłonek powody pewnych oporów pozwoli otworzyć nowe źródła otuchy''.

Powyższe słowa mogłyby skłonić do przypuszczenia, że ,,Centre'' ma jednak interesować się *całością* Europy. Ale sposób sformułowania tej myśli jest zastanawiający. Kto to ma wejść w nowe, sztrasburskie ramy? Kraje ujarzmione? W takim razie przypisywanie ich separacji ,,odmiennej psychologii'' dość mało ma wspólnego z rzeczywistością. A może i sam Związek Sowiecki? Ma on, wedle pięknych intencji sztrasburskich uczonych, będąc ośrodkiem władzy nad blisko połową świata, przezwyciężyć psychologiczne trudności i wejść w nowe ramy

Szarlemanii? Coś tak, jakby wieloryb miał wejść w ramy ostrygi, przezwyciężywszy psychologiczne trudności. Takie ujmowanie zagadnienia niezbyt dobrze świadczy o wynikach badania politycznych faktów naszego stulecia przez sztrasburskich uczonych.

◆

Jeżeli chodzi o takie najniezbędniejsze narzędzie pracy naukowej jak biblioteka to sprawa nie wygląda z naszego punktu widzenia wesoło. Biblioteka uniwersytecka jest wprawdzie bardzo bogata, ale dla studiowania współczesnej rzeczywistości za żelazną kurtyną nie zawiera prawie nic — poza książkami wydanymi po francusku. Podstawowych czasopism naukowych polskich nie ma w całym Strassburgu (ani „Nowych Dróg", ani „Ekonomisty", ani „Przeglądu Filozoficznego", ani „Twórczości"), to znaczy nie ma ich także w bibliotece Kolegium. Podobnie jest z nowymi książkami z kraju. W ogóle biblioteka Kolegium jest dobierana przypadkowo i trudno ją poważnie traktować.

Z punktu widzenia studiów wschodnio-europejskich uniwersytet sztrasburski nie daje prawie nic. Zakładając Kolegium ulegano pewnemu złudzeniu pod tym względem, nie odróżniając ducha szarlemańskiego od ducha europejskiego. A może myślano, że uzupełni studia uniwersyteckie samo Kolegium?

Taka koncepcja, nawet najlepiej wykonana, byłaby trudna do urzeczywistnienia. Drugi tor pracy (a czasem, ze względu na język, trzeci), niezwiązany ze studiami uniwersyteckimi jest czymś nielogicznym, rozrywającym czas i kierunek myślenia. Jeżeli student ekonomii na seminarium (po francusku *conférence de méthode*) wykonuje pracę z zakresu ekonomii marksistowskiej lub pracę opisową, dotyczącą jego kraju, to łączy się ona logicznie z jego studiami. Ale jeżeli studiuje biologię, nie ma pojęcia o Wawiłowie i Łysience, ani o tym co pisze Dembowski, ale za to wysłuchuje wykładów o literaturze socrealistycznej lub o ideologii neutralistycznej (oczywiście ocenianej pozytywnie) z punktu widzenia tradycyjnej polityki Wielkiej Brytanii, to trudno mu się dziwić, że zasypia.

„Tutor" — tak się nazywają opiekunowie, nauczyciele i wychowawcy grup narodowych — nie może nawet w przybliżeniu spełnić zadania zastąpienia specjalistów wielu dziedzin, kształcących młodzież na poziomie uniwersyteckim. Najlepsi tutorzy — a o polskim mówiono mi wiele komplementów — mogą uzupełnić braki elementarne, dać pewne ogólne pojęcie o zagadnieniach politycznych, ale nie wychowają specjalistów naukowych.

Zresztą prawdę powiedziawszy o takim specjalizowaniu się nie ma mowy ze względu na sam już rozkład czasu studenta Kolegium. Ten rozkład czasu wiele wyjaśnia, między innymi mizerne wyniki egzaminów.

Kolegium mieści się o 2.200 metrów od końcowego przystanku linii tramwajowej. Kto korzysta z tramwaju traci na do-

stanie się na uniwersytet blisko godzinę czasu. Takie położenie Kolegium ,,neutralizuje'' wszystkie korzyści, jakie normalnie daje studiowanie w małym mieście — to jest oszczędność na czasie przy korzystaniu z zakładów i bibliotek, położonych w różnych gmachach.

Wobec dużej odległości Kolegium od gmachów uniwersyteckich studenci korzystają z autobusów Kolegium, które przewożą ich bezpłatnie, ale tylko 4 czy 5 razy dziennie. Wobec tego, że godziny wykładów są bardzo różne zamiast straty czasu na dojazd pozostaje strata czasu na oczekiwanie autobusu lub wykładu.

Oto rozkład dnia studenta Kolegium :

Wyjazd z Kolegium : 8,40. Powrót 12,45.

Wyjazd po obiedzie 14,30. Powrót 18,30 lub 20.

Po kolacji prawie codziennie wykład w grupie narodowej od 20 do 21, względnie kursy języka. W sobotę popołudniu (16-18) konferencje ogólne dla wszystkich stypendystów.

Wolne chwile przeznaczyć należy na przygotowania do egzaminów uczelnianych lub egzaminów w Kolegium oraz — wolne żarty — na samodzielną pracę naukową, to jest przygotowanie prac lub tp. Cały dzień jest zajęty, choć studenci wciąż tracą jakiejś końcówki czasu, czekając na autobus lub na wykład po przyjeździe. Te końcówki czasu nie są do zużytkowania, bo nie warto iść do biblioteki, gdy ma się tylko godzinę czasu.

Próby samodzielnych inicjatyw, jak ,,seminarium A'' pozbawione fachowego kierownictwa i zajmujące się zbyt rozległą tematyką, czy ostatnio wprowadzony zwyczaj sporządzania wyciągów bibliograficznych z prasy to są drobne, doraźne improwizacje, raczej dowód dobrych chęci niż przejaw prowadzenia pracy.

Są jeszcze kursy wakacyjne. Nie będę powtarzał tego, co pisał o nich p. Różycki. Jego opinia wydaje mi się słuszna. Dobór prelegentów przypadkowy, równie jak dobór tematów, z jednym czy dwoma wyjątkami niezwiązanych z zagadnieniami wschodniej Europy. Poziom wykładów mocno nierówny, nieraz źródłem informacji wykładowców są broszury propagandowe rozdawane prasie brukowej w niektórych ,,Propagandaamtach'', zawierające nieprawdopodobne zupełnie bzdury. Problematyka ta sama co w wykładach uczelni politycznych Strassburga i duch ten sam. Słuchacze Kolegium odczuwają te wykłady jako ciężki przymus i gwałt, zadawany ich aspiracjom do poznania prawdy, a w najlepszym wypadku jako balast.

◆

Stawianie kropek nad ,,i'' jest już zbyteczne. Nie chcemy stwarzać fałszywego wrażenia, iż nie doceniamy wielkiej wagi samej inicjatywy. Ostatecznie każdy uchodźca, odbywający studia na Zachodzie, to zdobycz cenna.

Nade wszystko nie można zapominać o tym, że przerwanie podjętej akcji byłoby nieszczęściem znacznie większym niż wszystkie popełnione dotychczas błędy. Kto zaczął studia dzięki stypendium Wolnej Europy powinien je skończyć, choćby miejsce i kierunek tych studiów nie były właściwie wybrane.

Przerwanie wszystkiego byłoby jeszcze jednym dowodem, że wszelkie inicjatywy amerykańskie dotyczące uchodźców z Europy Wschodniej są dorywcze i niepoważne. Byłby to zatem jeszcze jeden krok w niebezpiecznej akcji fabrykowania wrogów Ameryki, która polega, jak wiadomo, na podejmowaniu i przerywaniu inicjatyw w sposób, rozkładający uchodźctwo.

Błędy popełniane w działaniu nie kompromitują nikogo, kompromituje natomiast przerywanie akcji w zasadzie słusznych i koniecznych, dlatego tylko, że zrażono się początkowymi błędami.

Możemy teraz przejść do skreślenia programu naprawy, jaki nam się nasuwa. Trzeba najpierw postawić kilka tez, które opieramy na krytyce dotychczasowych posunięć :

1) Udzielanie elementarnych wiadomości o kraju ojczystym nie może być celem Kolegium. Posiadanie tych wiadomości musi być *warunkiem udzielania stypendium*. W wypadkach wątpliwych trzeba się uciec do egzaminu.

2) Studia uniwersyteckie muszą być *logicznie połączone* z tematyką wschodnio-europejską, tematyka ta nie może być jakimś drugim, całkowicie odrębnym torem, jakąś „ścieżką obok drogi".

3) Trzeba studia środkowo-europejskie specjalizować zgodnie ze specjalizacją naukową studenta, gdyż tylko wówczas będą to naprawdę studia.

4) Trzeba dać studentowi takie przygotowanie, które mu da możliwości pracy na Zachodzie a równocześnie znajomość doktryn i faktów z jego dziedziny, w kraju wschodniej Europy z którego pochodzi, względnie w systemie komunistycznym.

5) Trzeba mu dać warsztat pracy umożliwiający osiągnięcie tych celów.

Program działania oparty na tych tezach powinien przewidywać pozostawienie stypendystom swobody odbywania pierwszego etapu studiów w kraju, w którym zamierzają pracować po ukończeniu studiów. Można najwyżej udzielać studentom rad, ale na to trzeba też ludzi orientujących się w studiach na terenie różnych krajów Europy.

Drugi etap studiów, to jest z reguły praca samodzielna dla uzyskania wyższego stopnia naukowego (np. doktoratu) powinien się odbywać na terenie Kolegium, które powinno całkowicie zmienić swój charakter, kompletując bibliotekę z prawdziwego zdarzenia i szkieletowy ale pełny zespół pracowników naukowych, mogących prowadzić seminaria na najwyższym poziomie i młodym doktorantom udzielać pomocy i rady szczególnie

z punktu widzenia poznania literatury naukowej i zagadnień krajów spoza żelaznej kurtyny. Samo Kolegium nie powinno przy tym nadawać tytułów naukowych, a jedynie być ośrodkiem ułatwiającym uzyskanie tych tytułów na tej uczelni, na której student rozpoczął naukę.

Wbrew powierzchownym sądom chodzi nie tylko o nauki polityczne, czy w ogóle humanistyczne. Chodzi również o znajomość komunistycznej psychologii i psychiatrii, biologii, genetyki, higieny, architektury, urbanistyki, geografii, geologii, itd., jednym słowem niemal wszystkich dziedzin wiedzy.

O ile wbicie w głowę np. studenta psychologii jakichś przypadkowo dobranych zagadnień gospodarczych w niczym nie ułatwi mu pracy ani na Zachodzie, ani po powrocie do kraju, o tyle danie mu obok znajomości psychologii zachodniej także wiedzy o odnośnych pracach sowieckich czy polskich spełni oba te zadania. Wydaje się to aż nadto oczywiste.

Wydaje się też, że przy takim postawieniu Kolegium, które wówczas zasługiwałoby na miano wyższej uczelni, powstanie ośrodek badań, spełniający we współdziałaniu pracowników naukowych różnych narodowości i różnych dziedzin te zadania, jakie nieudolnie spełnić próbują niezliczone i rozproszkowane sekcje i instytuty badawcze. Taki ośrodek będzie promieniować na kraje europejskie i dostarczać ich uczelniom ludzi, przygotowanych do rozwiązywania zagadnień współczesnego świata.

Wojciech ZALESKI

Ludzie z Kraju o F.E.

Opinie i wnioski, które tutaj przedstawię, będą — o ile w ten sposób można się wyrazić — średnią opinii i wniosków, pochodzących od ludzi z Kraju przybywających na Zachód.

Z ludźmi tymi często rozmawiam i zawsze poruszam sprawę audycji zachodnich.

Jakie są zatem potrzeby Kraju ?

Zanim jednak odpowiem na to pierwsze zasadnicze pytanie — postawię drugie, niemniej zasadnicze : czy w ogóle ludzie w Kraju łakną wiadomości z radia zachodniego ?

Tak : większość ludzi w Kraju słucha bezpośrednio, względnie interesuje się programami nadawanymi przez zachodnie radiostacje, choć — jak wiadomo — połączone to jest z pewnym ryzykiem. Ale nie jest to łaknięcie znane z czasów okupacji, gdy wiara w Zachód była wielka, a zaufanie głębokie, gdy z góry było wiadomo, że za rok czy za dwa Niemcy zostaną pobici.

Dzisiaj jest inaczej. Słuchacz polski przeszedł poważne przeobrażenia : stał się słuchaczem bystrzejszym, bardziej politycz-

nie i społecznie — dzięki komunizmowi (!) — uświadomionym, nie oczekuje zmian szybkich i łatwych. To nastawienie słuchacza krajowego, słuchacza przeciętnego, wyraża się często w takich słowach, jak np.: ,,Od 39-go roku mówią i mówią, ale nic nie wymówili". I istotnie, nic nie wymówili : trudno temu zaprzeczyć.

Dlatego też pewien procent ludzi w Kraju audycji zachodnich nie słucha, ,,bo i tak nic nie wymówią".

Niemniej jednak większość ludzi słucha albo interesuje się wiadomościami zachodnimi, ale słucha i interesuje się nie bez irytacji, nie bez pobłażliwości, nie bez dozy żalu, nie z zupełną wiarą i zaufaniem : ,,co i kiedy oni wymówią?"

Audycje zachodnie w języku polskim mają już jednak swoje konkretne owoce, z których nie ma powodów specjalnie do dumy; owocami tymi są niektórzy marynarze, a również i nie marynarze, którzy uciekli na Zachód, doznając jednak zaraz po otrząśnięciu się z przeżyć ,,wybierania wolności" dużego rozczarowania, gdy okazało się, iż poza obozem dla uciekinierów nic ciekawszego na Zachodzie nie ma, a widoki na przyjęcie do zamorskiego kraju imigracyjnego są bardzo odległe, zamazane i często zmuszające kandydata albo do zmiany zawodu (co np. w wypadku marynarza jest raczej trudne do przyjęcia) lub do deklasacji (co w żadnym wypadku nie jest przyjemne).

Tego rodzaju owoce zbierają wszystkie zachodnie radiostacje, ale niewątpliwie najwięcej ich zbiera radio amerykańskie, choć — jestem pewien — dyrektorom ideologicznym i programowym tego rodzaju konstatacja będzie się wydawała dziwna, gdyż oni nas zapewnią, że do ucieczek nie namawiają. Prawda : nie namawiają; ale to co mówią i jak mówią dla wielu łatwoduchów antykomunistycznie i patriotycznie nastrojonych jest wystarczające dla szukania dróg do ,,wybrania wolności".

Nie tutaj miejsce na szersze uzasadnienie tego twierdzenia, nie ulegającego wątpliwości dla wielu obserwatorów zachodnich, którzy mają możność rozmawiania z uciekinierami z Kraju.

W świetle tych konstatacji, może zupełnie nie przesadza propaganda reżimowa, gdy twierdzi, że ludzie uciekający z Kraju są ofiarami ,,szczekaczek kapitalistycznych", jak nazwał rozgłośnie zachodnie sam Bierut.

Przejdźmy teraz do szczegółowej odpowiedzi na pytanie, czego oczekuje od zachodnich audycji naród polski w Kraju; naród, znajdujący się pod presją sowieckiej dyktatury, pod wpływami sowieckiej doktryny; naród, którego przekonują, że blok sowiecki jest nie do pobicia; naród którego młodzież jest powoli przeinaczana podług bolszewickich reguł; który nie widzi celowości reagowania nawet wtedy, gdy mu do więzienia wrzucają prymasa i biskupów, a który jeszcze w jesieni 1939 r. burzył się za zdjęty ze ściany krzyż. Naród, który tylko z Zachodu oczekuje pomocy, a przy tym słabość Zachodu wydaje mu się

ogromna; naród wreszcie, który zachował odrobinę zaufania i sympatii tylko do Stanów Zjednoczonych.

Kraj pragnie, aby audycje zagraniczne w języku polskim zastąpiły mu w pełni nudne, prawie zawsze fałszywe lub tendencyjne, w duchu nie polskie, audycje rozgłośni reżimowych.

Wszyscy w Kraju, z wyjątkiem tylko reżimowej „wierchuszki" i tych, którym groziłyby po zmianie sytuacji ciężkie wyroki sądowe za przestępstwa wobec narodu polskiego dokonane za czasów ludowej demokracji, *pragną z zachodnich audycji czerpać wiarę, że naród polski nie został opuszczony, że zachodnie mocarstwa rozumieją niebezpieczeństwo sowieckie.*

Jak długo sytuacja na Zachodzie nie poprawi się, tak długo na tym zasadniczym odcinku *potrzeb Kraju* radiostacje zachodnie niewiele będą mogły zdziałać.

Ale nie na tym kończą się potrzeby Kraju. Są jeszcze inne. Audycje zagraniczne muszą poświęcić dużo miejsca historii Polski. Ale w tych lekcjach trzeba mówić śmiało i jasno także o błędach.

Odnoszę wrażenie z rozmów z ludźmi, że stosunek większości Polaków w Kraju do okresu pomiędzy dwiema wojnami jest mniej przychylny, niż to można często wyczuć z audycji zachodnich w języku polskim. Innymi słowy nie należy sądzić, że skoro w Polsce jest dzisiaj źle, to wszyscy jak jeden mąż wzdychają do 1938 roku. Tak nie jest. Nie będę tutaj wchodził w analizę tego stanu rzeczy, który — o ile mi wiadomo — jest zupełnie zrozumiały dla wielu; zresztą analiza taka zawiodłaby nas za daleko.

W każdym bądź razie programy zachodnie dla Kraju powinny mieć na uwadze krytyczny stosunek Polaków do okresu 1918-1939.

Czy Kraj potrzebuje anty-komunistycznej propagandy? Tak : ale inteligentnej, mocnej, nie otwierającej otwartych drzwi, oryginalnej i głębokiej. Kraj potrzebuje tego, gdyż propaganda reżimowa i komunistyczna odnoszą sukcesy i trzeba jej przeciwdziałać. Przytoczę kilka przykładów z najświeższych obserwacji. Ucieka na Zachód młody człowiek, który nienawidzi komunizmu, a który jednocześnie jest przekonany, że Amerykanie zrzucili probówki z bakteriami w Korei; ucieka inny, także młody (podobnie jak pierwszy ze średnim wykształceniem), który wierzy, iż przedwojenna Polska była krajem feudalnym; rozmawiam z trzecim uciekinierem, który wierzy,że Beria miał konszachty z Amerykanami; są młodzi marynarze reżimowi, którzy kupując w Antwerpii rzeczy użytkowe, uważają, iż nie wszyscy robotnicy belgijscy są w stanie je kupić, itd.

Czy *nawracanie komunistów* polskich jest wskazane i potrzebne? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zdać sobie sprawę, jakich komunistów mamy na myśli. Takich jak Bierut czy Radkiewicz? Czy też drobnicę zapisaną do PZPR? Pierwszej grupy nikt nie nawróci, podobnie jak nikt nie nawrócił Hitlera czy Himmlera. Co się tyczy zapisanej do partii „miełoczy", to

ta doskonale ,,leczy się'' w szeregach samej partii, tylko, że nikt z własnej woli nie może opuścić szpitala, w którym powrócił do zdrowia i skazany jest na udawanie chorego tak długo, dopóki ktoś z zewnątrz tego szpitala nie rozwali.

Co ma sens i jest potrzebne, to przypominanie i przestrzeganie mocne, spokojne i stanowcze tych członków partii, którzy działają na wyraźną szkodę narodu polskiego, którzy dopuszczają się zbrodni wobec Kraju.

Wyłączając zatem wspomnianą ,,wierchuszkę'', chorą chronicznie i nie nadającą się do leczenia i grupę wiernych partyjnych i reżimowych sługusów, którą audycje zachodnie, jak powiedziałem, powinny się mocno *opiekować,* zajmowanie się zapisanymi do PZPR i traktowanie ich jako oddzielnej grupy narodu polskiego, którą trzeba leczyć, nie ma głębszego uzasadnienia. Postępując bowiem w ten sposób, wychodzi się z błędnego założenia, które polega na dzieleniu ludzi w Kraju na *zdrowych* (nie zapisanych do partii) i na *chorych* (do partii zapisanych). Owszem są chorzy i zdrowi, ale nie należy sądzić, że partia skupia *chorych,* a poza nią są *zdrowi.*

Propaganda bolszewicka rozstrzygnęła tę kwestię : mówi ona mianowicie, że wszyscy są bolszewikami i wydaje się, że np. Voice of America, niestrudzenie nadający dla Rosji — ,,krugłyje sutki'' — zrozumiał to, bo, o ile mi wiadomo, nie robi specjalnych audycji dla zapisanych do WKP (b), lecz leczy wszystkich, bo tak jest słusznie.

Stąd wniosek, że audycje zachodnie nie powinny robić tego podziału, pamiętając, iż pod wpływami komunistycznej doktryny i propagandy znajduje się cały naród, szczególnie mieszkańcy miast; że samo należenie do partii nie przesądza w wielu wypadkach o realnym ustosunkowaniu się jej członków do komunizmu i Rosji Sowieckiej.

Jeżeli istnieje szczególna potrzeba położenia nacisku i akcentu w audycjach na pewną grupę ludności Kraju, grupą tą jest młodzież, nad którą wychowawcy spod znaku Kremla pracują usilnie i nie można powiedzieć że bezowocnie.

Niektórzy autorzy proponowali na łamach ,,Kultury'' położenie większego nacisku w audycjach na polską krajową elitę, wychodząc z założenia, że poprzez inteligencję krajową oddziaływanie na masy będzie skuteczniejsze. Inni dla tego samego celu zaproponowali stworzenie polskiego zachodniego ,,trzeciego programu'', który by informował szerzej i głębiej o zdobyczach Zachodu w dziedzinie ducha ludzkiego, czego programy nastawione na działanie masowe, nie są w stanie uczynić.

Propozycja ta jest logiczna, ale za mocno oparta jest na szablonowych inteligenckich przesłankach : w ,,Polsce ludowej'' nie ma bowiem warunków z okresu pozytywizmu.

To jednak nie oznacza, że stworzenie ,,trzeciego programu'' informującego o życiu kulturalnym świata zachodniego, o nowych osiągnięciach i dążeniach ducha ludzkiego nie byłoby pożyteczne. Ale, powtarzam, nie należy oczekiwać, że *oświecona*

„trzecim programem" krajowa inteligencja będzie wpływała na szerokie masy ludzi w Kraju.

Niektórzy krytykowali pewne radiostacje, że używają zamocnych słów w swych audycjach, w sensie „oni głośno — my jeszcze głośniej", rozumiejąc przez „oni" — propagandę komunistyczną polską czy sowiecką. Na podstawie moich obserwacji — muszę stwierdzić, że ludzie w Kraju chcą mocnych słów, a mniej wytwornego, eleganckiego czy pańskiego gadania, bo, o ile prawdą jest, że komuniści nauczyli masy czytać i pisać, o tyle „góra" inteligencka znacznie się obniżyła. Zresztą to sowieckie „u nas panow niet", wszyscy muszą pracować, wszyscy muszą używać języka dla wszystkich zrozumiałego tak bardzo ludzi w Kraju nie martwi.

Czy słuchacze w Kraju pragną znaleźć w audycjach zagranicznych wiadomości z życia w Kraju? Na to pytanie nie można odpowiedzieć krótko : tak lub nie.

Są informacje o Kraju, z Kraju pochodzące, których Kraj nie zna (będzie to ucieczka jakiegoś reżimowego dyplomaty lub jego zachowanie się zagranicą; eksport polski do innych krajów, w którym nie wszyscy w Polsce się orientują; itd., itd. — nie trudno o wybór tego rodzaju informacji, przy pewnej znajomości życia wewnętrznego Kraju.

Istnieje np. duże zainteresowanie Unią Europejską w sensie zjednoczenia wszystkich krajów Europy, bądź to projektowaną od czasów wojny Unią Środkowo-Europejską : innymi słowy idee unijne, dotyczące Europy, są tematem, który zaprząta umysły w Kraju.

Uważam więc, że radiostacje zachodnie powinny poświęcać należne miejsce rozwojowi idej unijnych wśród narodów europejskich i wśród politycznie aktywnych grup emigracyjnych zarówno polskich, jak i czeskich, węgierskich, ukraińskich itd. Słuchacz krajowy zupełnie dobrze orientuje się w zachodnich radiostacjach i choć, jak dotychczas, najbardziej mu odpowiadają audycje radia madryckiego, rozumie, że największą i najważniejszą instytucją radiową na Zachodzie jest Głos Wolnej Polski, którego nie miesza z Voice of America.

Kwestia funduszów, z którego GWP korzysta, nie jest przedmiotem dyskusji, jak to ma miejsce wśród polskiej emigracji, bo przecież Krajowi jest jasne, że pieniądze te mogą być tylko amerykańskie i raczej sprawia ludziom w Kraju przyjemność fakt, że są one właśnie amerykańskie, bo przecież ze strony Ameryki naród polski oczekuje pomocy i tylko Ameryka wydaje się przyjacielem pomimo wszystkich ostrych krytyk pod jej adresem.

S. N.

Metro w Warszawie

Projekt budowy metra w stolicy Polski budzi zrozumiałe zainteresowanie nie tylko wśród Warszawiaków ale też i u wszystkich Polaków; tyle się o nim mówiło i pisało przed wojną. Wizja kolei podziemnej pod Marszałkowską lub Alejami Jerozolimskimi, wywoływała dreszcz emocji i dumy — inwestycja ta traktowana była jakby patent, dyplom, podnoszący Syreni Gród do rangi „zachodniej", postępowej stolicy.

W nastroju tym pracowało i powojenne Biuro Odbudowy Stolicy. Niestety rzeczowych informacyj o postępach budowy opublikowano dotychczas bardzo mało. Można jednak, na podstawie ogłoszonego materiału, zdać sobie sprawę jak wygląda obecny projekt i w jakim jest stadium realizacji.

Linia budowana w Warszawie łączyć ma Plac Unii Lubelskej na Mokotowie z Placem Wilsona (obecnie Komuny Paryskiej) na Żoliborzu, poprzez śródmieście i Muranów. W pierwszym stadium budowy, w ramach Planu Sześcioletniego, ma być również wybudowana odnoga do Placu Teatralnego i na Pragę (Dworzec Wileński). Łącznie w pierwszym stadium projektuje się wybudowanie około 9 km trasy i 10 stacyj. Całość ma przebiegać w głębokim tunelu, na wzór metra londyńskiego i moskiewskiego. Zasilanie przewidziane jest przez trzecią szynę — jak w Moskwie i Paryżu — pod napięciem 600 voltów.

Celem uzyskania obiektywnej oceny powyższego zamierzenia praca niniejsza zawiera szkic dwóch istniejących dużych systemów komunikacyjnych — nie można bowiem wyłączyć metra i rozpatrywać jego problemów w oderwaniu od całości transportu miejskiego. Na tle Paryża i Londynu projekt Warszawy winien ukazać się we właściwej proporcji, a zamierzony wysiłek być należycie oceniony.

Porównam więc przede wszystkim wielkości trzech miast i zapotrzebowanie ich mieszkańców na usługi komunikacyjne. Wyniknie stąd szereg wniosków, na mocy których, analizując zagadnienie codziennego transportu mieszkańców Warszawy, należy — moim zdaniem — raczej czerpać z doświadczeń Paryża, a nie Londynu.

Powierzchniowo cała Warszawa, od Bielan do Służewca nieomal, mieści się w kole o promieniu 5 kilometrów. Paryż przerasta nieco koło 10-kilometrowe, a Londyn zbliża się do

30-tu. Ponieważ chodzi o powierzchnię, więc obowiązują kwadraty promieni i z pewnym zaokrągleniem otrzymujemy stosunek 1:5:27. Paryż mający 450 kilometrów kwadratowych jest pięć razy większy od Warszawy z jej 80 kilometrami. Powierzchnia Londynu przewyższa Warszawę 27 razy.

W chwili obecnej na 2.100 km. kwadratowych Londynu mieszka około 10 milionów mieszkańców. Są oni obsługiwani przez środki komunikacyjne przedsiębiorstwa ,,London Trans-

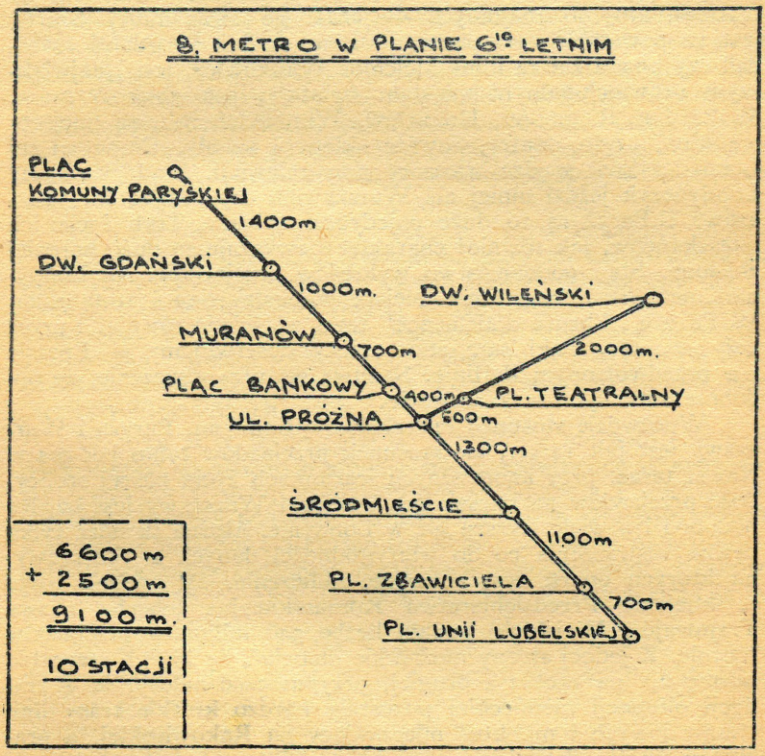

port'' (nie pokrywa się to z danymi dla tak zwanych ,,Greater London Area'', ,,London Metropolitan Police Area'' itd. które są nieistotne dla niniejszych rozważań).

W Paryżu ,,La Régie Autonome des Transports Parisiens'' — przedsiębiorstwo odpowiadające dość ściśle ,,London Transport'' — przewozi 2.700.000 mieszkańców. Warszawa ma obecnie około 700.000 mieszkańców. Daje to stosunek ludności jak 1:4:14 i obrazuje stosunkowe przeludnienie nawet obecnej Warszawy.

14:1 jest to stosunek, w tym wypadku, zupełnie innego rzędu. 4:1 jest dużo bardziej współmierny. Rozwój ludnościowy Pa-

ryża jest obecnie silnie hamowany, Warszawa rośnie jak na drożdżach. Po pewnym czasie możemy dojść do 3:1 czy nawet 2:1; wówczas istniejące i projektowane rozwiązanie Paryża mogłyby być rozpatrywane jako mające zastosowanie w Warszawie.

W każdym mieście jego mieszkańcy jeżdżą : do pracy, do szkoły, po zakupy, dla przyjemności. W Londynie pierwsza kategoria stanowi przeważającą część przejazdów. Ku rozpaczy zarządu ,,London Transport'' dla przyjemności — a więc do teatrów, kin, do znajomych — jeździ się coraz mniej. Szereg jest tu powodów : po pierwsze, Londyn, jak to gdzieś twierdził czy powtarzał za kimś Melchior Wańkowicz, jest ,,największym prowincjonalnym miastem świata''; jest zbiorem gmin. W każdym Richmond, Hounslow, Wimbledon itd., są miejscowe kina, często teatry, zawsze sklepy i szkoły. Coraz więcej Londyńczyków spędza wieczory przy telewizji. Stąd przeciętny Londyńczyk jeździ mniej niż Warszawiak czy Paryżanin. Warszawa i Paryż są to duże pojedyńcze miasta. Tryb życia ich mieszkańców, jak również charakter i zwyczaje są dużo bardziej zbliżone. Stąd podobieństwo wykresów przejazdów. W Londynie ,,peak rush hour'' ma miejsce pomiędzy 9-tą i 10-tą *rano*. W Paryżu ,,l'heure d'affluence'' trwa właściwie również i przez cały *wieczór*. Taki sam stan rzeczy obserwujemy w Rzymie i w przedwojennym Berlinie. Nasuwa się przypuszczenie, że podobnie musi być i w Warszawie.

Wprawdzie stosunek mieszkańców Londynu, Paryża i Warszawy jest jak 14:4:1, ale stosunek przejazdów tylko jak 9:4:1. Nawet teraz, przy anormalnych warunkach życia naszej stolicy, ilość przejazdów na mieszkańca Paryża i Warszawy jest bardzo podobna i o wiele wyższa niż w Londynie. Można tu mieć tylko pewne zastrzeżenia co do wiarygodności danych z Warszawy, na których oparte jest powyższe obliczenie. W grudniu 1952 r. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne (obecna nazwa Tramwajów Miejskich) podało liczbę 546 milionów przejazdów rocznie. Z jednej strony można się obawiać, że M.P.K. wyrabia normę np. na 150%; z drugiej, przypuszczać należy, że w tradycji okupacji niemieckiej pozostały bardzo krótkie trasy linii tramwajowych i np. ktoś mieszkający na Rakowieckiej, a pracujący na Grochowskiej, musi, jadąc do pracy, przesiadać się kilkakrotnie.

Z tym zastrzeżeniem, rząd wielkości przejazdów w Paryżu i Warszawie jest ten sam; jeździ się podobnie często i podobnie dużo. Ale w jak odmiennych warunkach !

Wyposażenie trzech stolic w tabor komunikacyjny jest następujące :

	Autobusy	*Trolejbusy*	*Wagony metra*
Londyn	10.000	1.700	3.800
Paryż	2.200		3.000
Warszawa ..	200	75	500 (wagonów tramwaj)

Trudno jest porównać bezpośrednio wydajność poszczególnych środków transportu; jeśli obliczyć mechanicznie jednostki posiadane (wagon, autobus, trolejbus), to jednostka taka wypada na 520 mieszkańców w Paryżu, 600 w Londynie i blisko 900 w Warszawie. Porównanie to jest jednak niewspółmiernie korzystne dla Warszawy : metro jest o wiele bardziej wydajne od tramwaju, czy autobusu. Z punktu widzenia pasażera, Londyńczyk obsługiwany jest mniej więcej trzy razy, a Paryżanin dwa razy lepiej niż Warszawiak. Jest to stan zupełnie rozpaczliwy, a ilustruje go najlepiej znane zdjęcie przedstawiające stare tramwaje warszawskie dosłownie oblepione ze wszystkich stron pasażerami.

We wrześniu 1939 r. sieć tramwajów miejskich była dobrze rozbudowanym systemem, gęsta w śródmieściu, z długimi odgałęzieniami na dalekie przedmieścia : Pelcowizna, Grochów, Służewiec, Wilanów, Okęcie posiadały szybkie i bezpośrednie połączenia z centrum.

Sieć pokrywała potrzeby stolicy, przekraczającej milion mieszkańców, a duża ilość szerokich, prostych ulic umożliwiała gęsty ruch tramwajów bez stwarzania specjalnych zatorów dla innych pojazdów, których zresztą, w porównaniu z Paryżem czy Londynem, było bardzo mało. Najbardziej zatłoczona była Marszałkowska i wąska gardziel do szybko rozwijającego się Żoliborza — o tym też odcinku myślano przede wszystkim przy pierwszych projektach metra.

W roku 1945 tramwajów w Warszawie nie było; do 1949 odbudowano w znacznym stopniu sieć przedwojenną pozostawiając tylko pustą plamę zrujnowanego śródmieścia i wprowadzając na niektórych trudnych trasach, w miejsce raczej sztywnych tramwajów bardziej elastyczne trolejbusy. Zamiana niewątpliwie bardzo korzystna zwłaszcza na trasach : Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Aleje Ujazdowskie i na stromym zjeździe od Placu 3-ch Krzyży.

W planie 6-letnim sieć tramwajowa ma być doprowadzona do przedmieść, do których docierała przed 1939 rokiem. W śródmieściu pozostaną natomiast jedynie linie łączące Służew z Bielanami poprzez Mokotów, Śródmieście, plac Krasińskich i Żoliborz (N—S) i dwie linie poprzeczne : w Alejach Jerozolimskich (Grochów—Ochota) i na nowej trasie W—Z (Targówek—Wola). Jest to linia prawie całkowicie nowa i na wielu odcinkach swej trasy posiada osobne od jezdni torowisko dla szyn tramwajowych — rozwiązanie idealne, dające względnie małym kosztem wszystkie atrybuty metra na powierzchni.

Tabor tramwajowy obecnie jeżdżący po Warszawie jest w dużej części przedwojenny; kursują również małe nowe wagony, nieznanego mi pochodzenia. Trolejbusy pochodzą przede wszystkim z Rosji i częściowo z Niemieckiej Republiki Demokratycznej — te ostatnie mogą kursować z przyczepkami. Autobusy są prawie wyłącznie rosyjskimi kopiami włoskich Fiatów.

Tak, w bardzo pobieżnym opisie, wyglądają obecnie środki transportowe Warszawy na tle stolic zachodnich. Wrażenie biedy, rozpaczliwej, krzyczącej biedy wysuwa się na czoło. Wyraża się ona w bardzo niskim stanie ilościowym (i technicznym) taboru i co za tym idzie w nieprawdopodobnym zupełnie jego przeciążeniu. Wagon tramwajowy lub autobus przewozi rocznie 700.000 osób — dwa razy więcej niż większy wagon *metra* paryskiego i cztery razy więcej niż jeszcze większy wagon *metra* londyńskiego.

Lektura krajowej prasy komunikacyjnej jest ciągłym potwierdzeniem ubóstwa Warszawy. I tak w ciągu 1952 r. przybyły stolicy trzy nowe tramwaje z Chorzowa — spodziewano się przybycia dalszych 27 wozów w ciągu 1953 r. Miało też przybyć 50 autobusów.

Propagandowe wydawnictwo przeznaczone wyłącznie na zagranicę (B. Bierut, 6 *years plan in Poland*) zapowiada nabycie w ciągu sześciu lat 300 dalszych autobusów, 150 trolejbusów i kilkudziesięciu tramwajów. Obliczając według cen londyńskich autobusy powinny kosztować poniżej 2 milionów funtów, trolejbusy około miliona, więc, ponieważ tramwaje już prawie są, cały koszt sześcioletniego wysiłku dla zapewnienia Warszawie komunikacji naziemnej, obsługującej obecnie 100%, a po uruchomieniu metra około 70% całego ruchu, nie przekroczy 3 do 4 milionów funtów. Kilometr metra, oszczędnie licząc, w podatnym do szybkiego wiercenia gruncie londyńskim, wynosi co najmniej milion funtów. Zamierzone metro warszawskie ma więc być inwestycją trzykrotnie finansowo większą od planu rozwoju komunikacji naziemnej, długość projektowanej trasy wynosić ma bowiem w 1956 r. dziesięć kilometrów.

Zaznaczyłem już, że charakter Warszawy (zwłaszcza tej przedwojennej !) i Paryża są dość zbliżone, przynajmniej jeśli chodzi o zagadnienie komunikacji miejskiej. Przed szczegółowym rozważaniem realizowanego obecnie projektu metra Warszawy dobrze jest więc rzucić okiem na rozwój i doświadczenie Metropolitain w Paryżu. Na tym tle, przez porównanie, plan warszawski ukaże się jaśniej i we właściwej skali.

Pierwszą linię metra, Nr 1, Porte Maillot - Porte de Vincennes, zbudowano w Paryżu w 1900 roku. Linia ta biegnie po północnym brzegu Sekwany — zauważmy, że w Paryżu „Praga" jest na południu — przez cały Paryż : Etoile - Concorde - Châtelet - Bastille - Nation. Linię pionową, łączącą północ z południem (Nr 4), wybudowano w pierwszym dziesiątku obecnego stulecia. Stopniowo doszli Paryżanie do sieci nam znanej. Liczy ona blisko 170 kilometrów długości; jest to mniej więcej jedna trzecia długości sieci londyńskiej (440 km.). Ilość stacji w obu sieciach jest praktycznie taka sama : Londyn 278 i Paryż 270. Wynika stąd, że w Paryżu stacja jest przeciętnie co pół kilometra — jest więc to właściwie tramwaj, tylko biegnący pod ziemią i zostawiający jezdnię wolną dla innych pojazdów. W Lon-

dynie stacje wypadają przeciętnie co półtora kilometra i rodzaj ruchu zbliża się do kolejowego.

Czy metro opłaca się?

Na pytanie to teoretyk-ekonomista odpowie że tak, jeśli zyski wynikające z ulepszonej komunikacji przewyższają koszty konstrukcji i eksploatacji. Zyski te mogą istnieć tam, gdzie środki komunikacyjne na powierzchni ulic są niewystarczające, a nie można ich powiększyć, bo nie ma ku temu fizycznych możliwości : istniejąca sieć ulic nie jest w stanie przepuścić większej ilości pojazdów.

Marc Langevin, dyrektor ,,La Régie Autonome des Transports Parisiens", w bardzo wszechstronnej analizie rozwiązań komunikacyjnych wszystkich większych miast na świecie, stwierdza że ,,...w miastach poniżej jednego miliona mieszkańców zagęszczenie ruchu nie usprawiedliwia na ogół budowy metra lub kołowych dróg podziemnych... Miasta, które to uczyniły mają wielkie trudności z uczynieniem ich opłacalnymi."

Langevin twierdzi dalej, że w miastach o ludności około jednego miliona, tramwaje tworzą skuteczny kościec systemu komunikacyjnego z ewentualnym tunelem lub wiaduktem w punktach największego zgęszczenia ruchu i *oddzielnym torowiskiem,* gdzie tylko jest to możliwe (San Francisco, Lyon, Genewa, Lille).

Wydaje się, że nowe, szerokie ulice Warszawy, z jednej strony mają bardzo zwiększoną przepustowość, a z drugiej często umożliwiają zbudowanie osobnego torowiska dla linii tramwajowych.

Jeśli tabor jest przepełniony, to nie dlatego, że nie można więcej wozów przepuścić przez ulice, ale dlatego, że wśród powszechnej biedy, w kraju nie stać na zakup większej ilości wagonów.

Panowie Krajewski i Podwiński pisząc na ten temat w Nr 7 ,,Gospodarki Planowej" wyrażają nadzieję, że *może* ,,bezpośredni koszt przewozu pasażera metrem i tramwajem będzie dla metra niższy". Stwierdzają oni jednak wyraźnie, że ,,przy zestawieniu kosztów całkowitych, włącznie z pełnymi odpisami administracyjnymi, różnica ta ulegnie redukcji na niekorzyść metra. *Może* sytuacja ta poprawi się po uruchomieniu pełnego krzyżowego układu linii", a więc po roku 1965. Autorzy przewidując więc z góry deficyt przedsiębiorstwa pocieszają się jednak, że metro ,,służyć będzie interesom mas pracujących Warszawy i gospodarce stolicy, nie zaś względom zysku kapitalistów".

Obawiać się więc należy poważnie, że przewidywania nierentowności przedsiębiorstwa są słuszne.

Z drugiej strony, jeśli już decydować się na budowę metra w Warszawie, to przyjęta trasa wydaje się na początek jedynie racjonalną : przechodzi ona przez linię ciężkości największego ruchu Warszawy, pod ulicami, gdzie zatory tramwajów tworzyły się przed wojną i gdzie mogą powtórzyć się w przyszłości.

Linia z Mokotowa na Żolibórz przypomina poza tym pierwszą linię w Paryżu, która od pierwszej chwili była i jest rentowna, przynajmniej w porównaniu z innymi liniami.

Żadna z późniejszych linii nie przekroczyła natężeniem ruchu, a więc rentownością, obecnej linii Pont de Neuilly - Château de Vincennes, aczkolwiek przedłużenie od Porte Maillot i od Porte de Vincennes niewątpliwie obniżyły jednostkowe wykorzystanie taboru.

Obawiać się więc należy, że z punktu widzenia opłacalności, metro warszawskie będzie u szczytu powodzenia w roku 1957, gdy jedyna linia z ewentualnym odgałęzieniem na Pragę nie będzie jeszcze obciążona żadnymi przedłużeniami i dalszymi odgałęzieniami.

Wydaje mi się, że wobec ogromu innych pilnych, podstawowych potrzeb stolicy i jej równoczesnej biedy, wobec wielkości nakładów koniecznych do budowy metra — suma od 10 do 12 milionów funtów jest cyfrą zupełnie astronomiczną na polskie stosunki, oraz wobec takich czynników jak wielkość Warszawy, duża przelotność jej szerokich i prostych ulic, niewykorzystania stosunkowo tanich możliwości powiększenia taborów autobusów i tramwajów — uzasadnienie budowy metra w obecnej Warszawie jest wątpliwe, a rozpoczęcie budowy już teraz — co najmniej przedwczesne.

Skoro jednak postanowiono do budowy przystąpić należy zastanowić się czy wytyczony kierunek pierwszej linii, przyjęte zasady konstrukcji i proponowanej eksploatacji odpowiadają przyjętym obecnie na zachodzie normom technicznym, urbanistycznym i ekonomicznym.

1. *Kierunek linii :* w każdym mieście, które może swobodnie rozrastać się, linie metra winny przechodzić w kierunkach największego ruchu łącząc przeciwległe krańce miasta (Londyn, Paryż). Często dodaje się następnie linie okólne (Paryż, Moskwa). Kierunek proponowanej linii w Warszawie, jak już zaznaczono powyżej, wydaje się słuszny.

2. *Odległość pomiędzy stacjami* jest ważna z trzech powodów :

a) jest rzeczą kosztowną budować i eksploatować stacje bardzo blisko siebie położone;

b) odległość pomiędzy stacjami ma decydujący wpływ na szybkość handlową i dlatego przesądza w znacznym stopniu o charakterze metra.

Warszawa z uwagi na swe podobieństwo do Paryża winna mieć raczej gęste stacje : pasażer na Świętokrzyskiej jadący na plac Zbawiciela nie będzie szedł do stacji „Śródmieście"; wsiądzie w tramwaj lub autobus. Szybkość handlowa (paryska) 25 km. na godzinę wydaje się zupełnie wystarczająca dla Warszawy. Czas przejazdu z placu Unii do Placu Wilsona wynosi wówczas poniżej 20 minut.

c) Wreszcie odległość pomiędzy stacjami nie może być za duża, aby nie przeciążać pasażerami jednej stacji. Śródmieście wydaje się być zbyt daleko zarówno od Placu Zbawiciela jak i od ulicy Próżnej.

Panuje obecnie przekonanie, że stacje winny mieć wejście z obu swych końców — ma to szereg zalet : lepsze (równiejsze) obciążenie pociągów, skrócenie czasu ich postoju, a więc wyższa szybkość handlowa. Wszystkie stacje metra w Sztokholmie, otwartego niedawno, są dwustronne, mają dwa wejścia. Nie mam danych, czy tak są projektowane stacje warszawskie.

Z punktu widzenia pasażera stacja leżąca głęboko pod ziemią jest bardzo niepożądana. Poza tym jest rzeczą kosztowną zawiezienie go na dół i wyciągnięcie z powrotem na górę. Wreszcie na krótkie odległości ludziom zdecydowanie nie chce się schodzić głęboko pod ziemię.

3. *Głębokie tunele* (tube) robi się z następujących powodów :

a) Celem ominięcia podziemnego uzbrojenia miejskiego (kanalizacja, ścieki, kable) i głębokich fundamentów. W Warszawie zaczęliśmy prawie wszystko od początku, więc nie wydaje się, aby był to wzgląd zasadniczy; proponowana trasa nie przechodzi nigdzie pod wielkimi gmachami.

b) Gdy szerokość ulic nie pozwala na prowadzenie pod nimi tunelu. Ulice warszawskie są teraz bardzo szerokie — trasa idzie pod nimi lub pod szeregiem parków, ogrodów i terenów niezabudowanych.

c) Rodzaj gruntu. Podłoże Londynu, nieobsypująca się glina, nadaje się doskonale do wiercenia ,,tube''. Paryż i Warszawa leżą na piaskach i mokradłach, z dużą ilością podskórnej wody (np. ul. Żórawia, Nalewki). Konstrukcja ,,tube'' wymagałaby zapewne ciągłego odwadniania gruntu, zamrażania ziemi chlorkiem wapnia (tak jak w Moskwie), utrzymywania stale pomp w ruchu itd.

d) Za minimalny promień zakrętów tunelu przyjmuje się obecnie 200 m. Nie można więc budować płytkich tuneli pod gwałtownie zakręcającymi ulicami. W Warszawie proponowana trasa tworzy prawie prostą linię z łukami o promieniu blisko 1.000 m. do Pl. Bankowego, Muranowa i dworca Gdańskiego.

e) Unikanie zbyt stromych spadków i podniesień powierzchni ziemi. Warszawa jest raczej płaska i nie wydaje się, aby ten wzgląd miał specjalne znaczenie.

Wadą tunelu płytkiego może być konieczność zamykania odcinków ulic, jeśli czyniony jest wykop zakrywany następnie nawierzchnią jezdni (tak jak District Line w Londynie). Bardzo często można kopać jednak sposobem górniczym, tak jak Metropolitain w Paryżu lub tunel linii średnicowej w Warszawie bez naruszania powierzchni jezdni.

Analiza powyższa zdawałaby się przesądzać sprawę : jeśli metro w Warszawie ma być budowane to oczywiście w płytkim tunelu, wzorem Paryża. Co skłoniło konstruktorów do zdecydowania się na imitację londyńskiego ,,tube'', systemu nienadającego się dla Warszawy pod żadnym względem? Na pytanie to najlepiej odpowie historia projektu, którą dla całości obrazu rozpoczynam od samego początku, to jest od roku 1927.

W roku tym Zarząd Miejski m. st. Warszawy powołał komisję do spraw Budowy Kolei Podziemnej, która wykonała wstępne badania dwóch tras ,,A'' — Plac Unii Lubelskiej - Muranów i ,,B'' — Wola - Praga.

W 1929 r. powstał przy Biurze Budowy Dyrekcji Tramwajów Miejskich, Referat Kolei Podziemnej, który opracował wstępny projekt lini A i B, łącznej długości 14 km. mający być fragmentem planu sieci Kolei Szybkiej Miejskiej. Na lewym brzegu Wisły przewidywano łącznie 31 km. linii w tunelu *płytkim*, a na Pradze 15 km. na wiadukcie. Przyszedł wielki kryzys i o realizacji tego projektu zaczęto mówić dopiero w 1938 r.

Po wojnie, w pracowni komunikacyjnej Biura Odbudowy Stolicy (B.O.S.) poczęto rozpracowywać projekt o wiele bardziej ambitny, przeznaczając Szybkim Kolejom Miejskim dużo większą rolę niż gdziekolwiek na świecie. Przyjęto, że SKM stanowić będzie ,,integralną część i logiczną konsekwencję opracowywanego przez B.O.S. planu zabudowy i wyposażenia terenów obejmującego nie tylko dawny obszar stolicy, ale i przyległe obszary podmiejskie połączone z Warszawą w jeden Warszawski Zespół Miejski''.

W latach 1945-1946 B.O.S. opracował plan perspektywiczny na pełny okres urbanizacji Warszawskiego Zespołu Miejskiego tj. do 1980 r.

Projekt ten uległ wielu modyfikacjom. W 1948 powstało specjalne Biuro Projektów SKM, które następnie włączono do Centralnego Biura Projektów Architektonicznych i Budowlanych. Konkretnie rozpatrywano oczywiście tylko centralny odcinek budowy, Mokotów - Żolibórz, *w tunelu płytkim*. Ostatecznie we wrześniu 1949 r. projekt rozpatrzyła Komisja Rzeczoznawców Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy, a w październiku zaaprobował go Komitet Wykonawczy N.R.O.W.

Projekt przeszedł wreszcie przez Biuro Polityczne KC PZPR. Podpisał się pod nim Bierut i w marcu 1950 plan budowy został włączony do planu sześcioletniego.

Na tymże posiedzeniu pod przewodnictwem Bieruta postanowiono jednak ,,poddać projekt ekspertyzie rzeczoznawców radzieckich''.

Po dwóch miesiącach pobytu w Warszawie, Rosjanie, jak podaje ,,Gospodarka Planowa'', ,,wydali o projekcie przychylne pisemne orzeczenie zalecając jednak szereg zmian zarówno w samym układzie linii metra jak i w sposobie elektryfikacji i eksploatacji''.

Zmieniony został nieco przez Rosjan ogólny plan całości budowy; nie ma to jednak większego praktycznego znaczenia, gdyż odcinek środkowy i pierwszy w realizacji pozostał ten sam, a pozostałe odnogi i przedłużenia to kwestia lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Zasadniczą natomiast zmianą, nakazaną przez ,,ekspertów radzieckich'' jest porzucenie polskiej koncepcji tunelu płytkiego i rozpoczęcie głębokich wierceń. Za przykładem Moskwy grozi Warszawie londyński ,,tube'', schowany pod ziemią od 20 do 50 m. ,,Gospodarka Planowa'' nabywa to ,,przyjęciem bardziej ambitnego projektu''. Ta narzucona przez okupanta ,,ambicja'' podniesie koszt budowy przynajmniej o 1/3, a może o połowę; uniemożliwi racjonalną eksploatację krótkich odcinków, przedłuży znacznie czas podróży w śródmieściu.

W ostatecznym wyniku uczyni to, moim zdaniem, inwestycję chybioną, nie pasującą ani do struktury i wielkości miasta, ani do charakteru ruchu; skaże metro na chroniczny deficyt wieszając kulę u nogi każdego zarządu miejskiego. Inwestycja rzędu 12 milionów funtów angielskich mogłaby zapewnić Warszawie chyba najlepszą naziemną komunikację miejską na świecie.

Po 23 latach rozwoju, rodzimy polski projekt został po dwóch miesiącach odrzucony przez ,,ekspertów radzieckich''.

Widzę tylko jeden powód decyzji ,,ekspertów radzieckich''. Metro moskiewskie zapoczątkowane zostało przez Anglików z ,,London Transport'' w 1932 roku. Wybudowali oni tam do 1938 r. 27 km. ,,tube'' z 22 stacjami, po czym, jak to często bywa, wszelki słuch o nich zaginął. Obecnie Moskwa ma 60 km. linii z 30 stacjami a więc b. rzadko rozstawionymi. (Nb. wiele z nich, sądząc z fotografij, przypomina raczej muzea czy wystawy rzeźb, a nie handlowe centra komunikacyjne.) Kilka linij średnicowych łączy linia obwodowa.

Obawiać się należy że Rosjanie, wypróbowany przez siebie i jedynie im znany system budowy, narzucają obecnie wszędzie, nie dopuszczając do realizacji obcych im konstrukcji. Potwierdzają te obawy dane, otwartego kilka miesięcy temu, metra w Budapeszcie. Eksploatowana tam jest na razie pierwsza linia wzdłuż Dunaju; w konstrukcji jest połączenie Budy z Pesztem, po czym wybudowana ma być linia okólna. Głęboki tunel, 13 stóp 6 cali jest identyczny z moskiewskim czy londyńskim. Budapeszt staje się więc wiernym odbiciem Moskwy i obawiać się należy, że Warszawie grozi ten sam los.

Tunel głęboki jest doskonałym schronem przeciwlotniczym — tu może kryć się druga odpowiedź na zagadkę decyzji głębokiego rycia pod Warszawą.

Wiadomości o postępie budowy w prasie krajowej są bardzo skąpe. W marcu 1952 r. wicepremier Jędrychowski przemawiając na otwarciu nowych odcinków elektryfikacji węzła Warszawskiego Warszawa-Błonie i Warszawa-Tłuszcz powiedział między innymi, że ,,w planie 6-letnim przewidziana jest dalsza

elektryfikacja węzła warszawskiego, zapoczątkowanie katowickiego, oraz linii Warszawa-Katowice. W Warszawie buduje się metro".

Nr 8 „Transportu" z sierpnia ub. roku przyniósł wiadomość, że 30 czerwca załoga szybu Nr 5 Przedsiębiorstwa Budowy Szybów złożyła zwycięski meldunek, że „szyb Nr 5 osiągnął przewidzianą głębokość na 30 dni przed wyznaczonym w harmonogramie terminem". Zwycięska załoga wysłała telegram do obywatela Bolesława Bieruta — Pierwszego Budowniczego Polski Ludowej.

Numery „Transportu" zawierały krótkie wzmianki o pracach przygotowawczych i o „zbiórce łomu na budowę metra". Wreszcie ostatnio między wierszami wyczytać można, że trudności omawiane w niniejszej pracy wystąpiły już w pełni i zahamowały lub zgoła zatrzymały tok robót. Rosyjskie maszyny wiertnicze nie mogą poradzić sobie z ciężką warszawską gliną; chlorek wapnia, skuteczny przy zamrażaniu podłoża Moskwy nie jest odpowiedni do bardziej wilgotnej gleby w Warszawie.

Projektowana odnoga do dworca wileńskiego, przez nigdzie nie sprecyzowany jeszcze most — już w pierwszym okresie budowy — jest również dodatkiem sowieckim. Można się w nim dopatrywać pewnego znaczenia strategicznego, aczkolwiek linie metra nie mają być łączone z systemem P.K.P., a tunel 13"6' nie pozwala na przejazd taboru kolejowego.

Na długość projektowanej linii 10 stacyj to stanowczo za mało — szczególnie odosobnione jest Śródmieście. Nie wiem dlaczego zdecydowano się na stację przy ul. Próżnej, a nie np. przy ul. Królewskiej. Z drugiej strony zgęszczenie pomiędzy Próżną, Placem Bankowym i Teatralnym — jest zupełnie absurdalne jak na linie w tunelach głębokich — odpowiadałoby jednak normalnym odległościom w tunelach płytkich.

Z uzyskanych wiadomości wydaje się wynikać, że jak dotąd budowa metra jeszcze jest bardzo mało zaawansowana (październik 1953), a prace wykonawcze w toku mają raczej charakter przygotowawczy.

Roman KRZYCZKOWSKI

BIBLIOGRAFIA

1. *Transport i Spedycja* — miesięcznik, Warszawa, 1951-1953.; 2. *Transport* — miesięcznik, Warszawa, 1951-1953; 3. *Gospodarka Planowa* — miesięcznik, Warszawa, 1951-1953; 4. B. Bierut — *Six years plan in Poland*, Warszawa, 1952; 5. *The Survey of London Traffic* — L. T. E., Londyn, 1952; 6. *London Transport Executive* — sprawozdania roczne, Londyn, 1948-1952; 7. D. H. Coombs and G. J. Wilson — *The Trend of Development in the Design and Equipment of Underground Railways*, Londyn, 1953; 8. *Modern Transport* — miesięcznik, Londyn, 1950-1953; 9. *Les Transports Urbains* — M. Langevin, Paryż, 1951; 10. *Le Metropolitain* — praca zbiorowa, Paryż, 1950; 11. *Le Chemin de Fer Metropolitain de Paris*, album, Paryż, 1931.

Palestra warszawska

Sięgając dzisiaj pamięcią wstecz do okresu okupacji niemieckiej w Polsce (1939-1945), pragnąłbym uwypuklić niektóre ciekawsze fragmenty akcji oporu, prowadzonej spontanicznie lub organizacyjnie przez wszystkie klasy, stany i zawody społeczeństwa. Adwokatura, jako część składowa tzw. warstwy inteligenckiej, miała już i dawniej swoje chlubne karty w dziejach walki o wolność i niepodległość Narodu. Nie chcę i nie mógłbym powiedzieć, że adwokaci przodowali w konspiracji, bo statystyka, gdyby była taka odpowiednio prowadzona, wykazałyby na pewno równomierny udział niemal wszystkich, ale tak się jednak złożyło, że w pierwszym okresie okupacji, już w 1940 r., właśnie członkowie adwokatury, objęci zostali straszliwą hekatombą.

Związani ściśle z aspiracjami i nastrojami opinii publicznej, adwokaci polscy wspólnie z sędziami i prokuratorami stanęli gromadnie do pracy w podziemiu. Olbrzymi odsetek ogólnej liczby adwokatów zginął w egzekucjach, więzieniach i obozach koncentracyjnych. Uderzenie w adwokaturę było planowane i uzasadnione. Chodziło o zniszczenie zawodu, którego przedstawiciele posiadali z natury instynkt i poczucie niezależności. Po dojściu do władzy Hitlera, pierwsze represje ze strony Gestapo skierowane były w adwokatów niemieckich, jako tych, którzy wespół z opozycyjnymi politykami stanowili ośrodki niezawisłości i myśli wolnościowej.

Jak to powiedział przekonywująco adw. Jarosz w swym przemówieniu na akademii żałobnej odbytej w Warszawie 24 listopada 1946 r. ku czci adwokatów-ofiar okupacji (cytuję za „Demokratycznym Przeglądem Prawniczym", Nr 11-12/1946 r.), „adwokat w oczach Niemca był żywym protestem przeciwko wszelakiej zbrodni i bezprawiu. Z faktu iż działalność adwokata

---

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

polega na obronie pokrzywdzonych potrzebujących pomocy, na walce o prawo i praworządność — wprowadzili Niemcy zbrodniczy nakaz wytępienia adwokatury. Słowo : adwokat ! — brzmiało nienawistnie w uszach każdego Niemca ! Jeśli inteligent Polak nie miał racji bytu w kraju, którego ludność miała być sprowadzona do rzędu najmitów i sług dumnego ,,Herrenvolku'' — to tym bardziej adwokat, jako element niepożądany i niebezpieczny winien był zginąć ! — I przetrzebiono gruntownie adwokaturę, zwłaszcza w Warszawie''. I dalej trafne spostrzeżenie, że ,,wprawdzie adwokatura polska nie zajmowała stanowiska tak wybitnego w społeczeństwie, jak to było udziałem adwokatury francuskiej, belgijskiej lub czeskiej — niemniej jednak walor jej w życiu społecznym był wielki !''

W okresie okupacji niemieckiej wielu adwokatów piastowało wysokie i odpowiedzialne stanowiska w konspiracji, a więc czy to w Delegaturze Rządu, czy w Armii Krajowej czy też w różnych organizacjach podziemia. Że wspomnę tylko nazwiska śp.: Leona Nowodworskiego, Kazimierza Ujazdowskiego, Kazimierza Tarkowskiego, Czesława Jankowskiego, Zofii Szulcowej, Stanisława Święcickiego, Jerzego Czerwińskiego, Aleksandra Dębskiego, a z żyjących : Stefana Korbońskiego, Stanisława Kauzika, Zbigniewa Stypułkowskiego, oraz tylu, tylu innych, o których, jako znajdujących się w zasięgu Bezpieki, bez ich upoważnienia lepiej nie wspominać.

Ogółem straty wojenne adwokatury wyniosły ponad 30% liczby adwokatów ze stanu z 1 września 1939 r. (dokładnie lista adwokatów, którzy padli, zginęli lub zmarli w czasie okupacji, liczy 742 osoby).

Szkic niniejszy nie jest historią udziału adwokatury w walkach narodowych. Jest jedynie próbą opisu pewnego fragmentu z dziejów okupacyjnej rzeczywistości tzw. Generalnej Gubernii.

◆

Tak się złożyło, że sprawa żydowska zaciążyła na ustosunkowaniu się okupanta do adwokatury i na pierwszych zarządzeniach okupacyjnych, aczkolwiek pierwsze ofiary aresztów padły nie spośród adwokatów-Żydów, ale, mówiąc językiem nazistów, u ,,aryjczyków''.

Zanim sprawa żydowska uregulowana została generalnie, niemieccy starostowie (Kreisshauptmani) w wielu wypadkach już dość wcześnie, w październiku lub w listopadzie 1939 r. powydawali zarządzenia zakazujące ,,niearyjczykom'' nie tylko prowadzenia obron przed sądami, ale w ogóle wchodzenia do budynków sądowych. Zarządzenia te zresztą były w związku z konsekwentną polityką okupanta w zakresie usunięcia Żydów, ze wszystkich wolnych zawodów.

W Warszawie (podobnie było w Krakowie), mianowano komisarzy rad adwokackich czyli komisarycznych dziekanów. Na terenie okręgu sądu apelacyjnego w Warszawie, komisarzem ta-

kim został adwokat warszawski dr E. von Wendorff, Volksdeutsch, który zresztą wykazywał przed wojną oficjalnie w papierach narodowość niemiecką. Od chwili wejścia Niemców do Warszawy pracował on czas jakiś na początku okupacji ,,honorowo'' w Gestapo. W ten sposób unicestwiono za jednym zamachem samorząd adwokacki.

Do pomocy komisarzowi i do załatwiania bieżących agend, powołał Wendorff według swego uznania komisaryczną radę adwokacką (zwaną popularnie Beiratem), złożoną przeważnie z członków dotychczasowych Naczelnej i Okręgowej Rad Adwokackich. Działalność tej rady, usiłującej mimo nacisku ze strony okupanta zachować resztki samorządu adwokackiego, była niezmiernie trudna. Przede wszystkim, sam fakt zasiadania w organie powołanym przez okupanta, budził początkowo zastrzeżenia i wątpliwości. Zostały one jednak później całkowicie rozproszone. Utarło się bowiem z biegiem czasu przekonanie, że z korzyścią dla Kraju postępują ci ,co z zachowaniem godności Polaka i obywatela pracują w polskich urzędach, choć z niemieckiej nominacji, i działalnością swoją dążą do ulżenia doli współrodaków.

W krótkim czasie po objęciu urzędowania, Wendorff specjalnym zarządzeniem powykreślał nie-aryjczyków z listy adwokackiej, odbierając im prawo praktyki z dniem 1 stycznia 1940 r.

Wkrótce (w styczniu 1940 r.) rozpoczęły się dzieje słynnego incydentu z opinią komisarycznej rady na temat sprawy żydowskiej. Pierwszy naczelnik wydziału sprawiedliwości w urzędzie dystryktu (gubernii) warszawskiego dr Brehm, do kompetencji którego należały sprawy adwokackie, zlecił dr Wendorffowi wysondowanie opinii rady w sprawie udziału Żydów w adwokaturze. Wendorff źle zrozumiał to polecenie, myśląc, że chodzi o ,,zajęcie stanowiska'' przez radę. Na specjalnie zwołanym posiedzeniu rady, Wendorff urzędowo zapytał zebranych o opinię w sprawie usunięcia Żydów z adwokatury. Zastrzegł się, że na tę opinię nie chce i nie ma zamiaru wpływać, że nie krępując przekonań zebranych, pozostawia im całkowicie wolną rękę w wypowiedzeniu swego poglądu na całe zagadnienie. Aczkolwiek Wendorff nie używał przy tym żadnego nacisku, należy przypuszczać, że liczył się on z faktem, iż w gronie rady przeważali członkowie Związku Adwokatów Polskich, znanego ze swego nieprzyjaznego Żydom programu, a to w związku ze znacznym odsetkiem adwokatów pochodzenia żydowskiego (w niektórych okręgach apelacyjnych ponad 70%, w Warszawie ponad 40%).

Opinia została wydana (był to luty 1940 r.) o wyniku dla Wendorffa na pewno nieprzewidzianym. Zredagowane w dwóch wariantach, szeroko i gruntownie na piśmie umotywowane referaty, wyrażały tezę, że skoro władze niemieckie są organem okupanta, nie są one władne w rozumieniu konwencji haskiej z 1907 r. zmieniać zasadniczych ustaw Państwa Polskiego, ani też wprowadzać postanowień prawnych (jak w danym wypadku zarządzeń antyżydowskich), które by były sprzeczne z obo-

wiązującymi w Polsce ustawami (1). Teza ta została przyjęta przez wszystkich (z wyjątkiem jednego) członków rady.

Jak się później dowiedziały o szczegółach sprawy nasze czynniki podziemne, odważna ta opinia przyjęta została przez szefostwo dystryktu z wyraźną dezaprobatą. Wystąpienie adwokatów warszawskich uznano za demonstrację polityczną. Dygnitarze dystryktu wpadli we wściekłość, grożąc autorom ,,bezczelnej" tezy aresztowaniem i osadzeniem w Dachau. Groźba ta nie została wykonana. Do jej sparaliżowania przyznawali się Wendorff, Brehm i Gollert (o nim niżej). Wendorff opowiadał, że bronił opiniodawców przed użyciem przez Sicherheitsdienst drastycznych środków, motywując obronę tym, że sam prosił członków rady o szczerość. Trudno jest dociec rzeczywistego przebiegu sprawy. Wiadomo tylko, że Wendorff tłumaczył się przed Brehmem, że dobierał do swej rady adwokatów wybitnych, solidnych, a znanych raczej ze swych przekonań prawicowych. Jednak nie zdołał udobruchać Brehma, który pienił się, nie tyle ze względu na sam fakt nieszczęsnej opinii, ile ze względu na wytworzoną sytuację. Nie wykluczone, że sam się obawiał pociągnięcia go do odpowiedzialności za to, że przyznał radzie adwokackiej podbitego narodu w ogóle prawo do ,,zajmowania stanowiska" w takiej sprawie.

Z całej tej kabały musieli oczywiście Niemcy jakoś wybrnąć. Po naradzie ustalono, że referent dla spraw adwokatury w Abteilung Justiz dystryktu dr Gollert (adwokat ze Szczecina) uda się do szefa Gestapo (był nim podówczas Misinger). Tam zapadły następujące decyzje : 1) rozwiązać komisaryczną radę adwokacką i skreślić jej członków — autorów ,,buntowniczej opinii" z listy adwokatów, 2) przeprowadzić plebiscyt (ankietę) w sprawie żydowskiej w adwokaturze wśród wszystkich członków Izby Adwokackiej Warszawskiej.

W ten sposób jedyną karą (wówczas uważane to było jeszcze za uderzenie dość dotkliwe z punktu widzenia materialnej sytuacji adwokatów), jaką wymierzono, było niedopuszczenie członków rady, którzy wypowiedzieli swą opinię na zasadzie prawa międzynarodowego, do wykonywania adwokatury. Przy zarządzonej weryfikacji wszystkich ,,aryjskich" członków warszawskiej okręgowej izby adwokackiej, autorów opinii nie wpisano na nową listę. Utracili oni prawo do legalnego wykonywania praktyki (z wyjątkiem jednego, który, jak podaliśmy, był innego zdania).

Wydanie przez członków rady tak zasadniczej, a jednocześnie odważnej opinii, i to przez ludzi, których nie można było w większości wypadków posądzić o filosemickie tendencje, nie było powodowane ani tromtadracją, ani lekkomyślnością jej

1) Art. 43 ,,Przepisów w sprawie praw i zwyczajów wojny lądowej" (Aneks do konwencji podpisanej w Hadze w 1907 r.) przyjętych przez Polskę oraz przez Niemcy, nakłada na okupanta wyraźny obowiązek szanowania praw krajowych, obowiązujących na terytorium okupowanym.

autorów, którzy zdawali sobie doskonale sprawę z ewentualnych skutków swego kroku (wiem o tym dobrze, bom wielokrotnie rozmawiał z nimi na ten temat). Wystąpienie adwokatów warszawskich zirytowało nie tylko gubernatora Fischera w ,,Palais Brühl'', ale i wielkorządcę Franka na Wawelu (2). Mogło ono mieć dla autorów skutki o wiele poważniejsze niż odebranie prawa praktyki, jednak uważali oni, że na nich, jako na czołowych przedstawicielach korporacji, ciążył obowiązek podkreślenia w tych warunkach zasadniczego stanowiska. A trzeba tu podkreślić, że do grona tego należeli luminarze palestry warszawskiej z Bolesławem Bielawskim, Janem Nowodworskim, Leonem Nowodworskim, a z młodszego pokolenia — Michałem Skoczyńskim i Jerzym Czerwińskim na czele.

Tak zakończył się pierwszy etap ,,porządkowania'' przez okupanta w dziedzinie adwokatury spraw wewnętrzno-polskich i naginania tych spraw według zasad ,,ideologii'' hitlerowskiej.

Sam Wendorff nie wyszedł bez szwanku z całej tej sprawy. Zniechęcił się do niego Brehm, który zresztą Wendorffa od samego początku wyraźnie nie lubił, uważając go za karierowicza. W końcu Wendorff został usunięty ze stanowiska komisarza dla spraw adwokatury z zachowaniem wszelkich pozorów zewnętrznych, jak udzielenie podziękowania za owocną pracę itp. Zajął się on wówczas intensywnym prowadzeniem swej kancelarii adwokackiej, cieszącej się ze względu na warunki okupacyjne dużym powodzeniem.

◆

Starym zwyczajem i według tradycji pruskiej, okupant głosił zasadę opierania swej władzy w Polsce na sile (siła przed prawem) i na fakcie zwycięstwa oręża niemieckiego, które stanowić miało o prawie. Aczkolwiek wydawać by się to mogło dziwne, urzędnikom niemieckim w Pałacu Brühla zależało jednak na uzyskaniu poparcia dla swej polityki części przynajmniej społeczeństwa polskiego. Moment ten musimy brać pod uwagę przy poszukiwaniu genezy plebiscytu zarządzonego, jak widzieliśmy wyżej, przez wydział sprawiedliwości dystryktu warszawskiego.

Sprawę plebiscytu (ankiety) połączono z weryfikacją wszystkich adwokatów oraz z układaniem nowej listy. Praktycznie odbywało się to w ten sposób, że każdy adwokat-kandydat na listę zgłaszał się (było to w maju lub czerwcu 1940 r.) wzywany na określoną godzinę do Pałacu Brühla (siedziby gubernatorstwa) i tam osobiście dostawał z rąk referenta dla spraw adwokackich

2) Oficjalna teza niemiecka stała już od października 1939 r. na stanowisku, że wojna z Polską została zakończona, że Państwo Polskie nie istnieje i że przeto reguły prawa międzynarodowego nie mają zastosowania przy likwidacji resztek państwowości polskiej i tworzenia nowego porządku w poszczególnych częściach polskiego terytorium.

dr Gollerta legitymację (ceremonia odbywała się pojedyńczo), po czym Gollert zapytywał po niemiecku lub po francusku (na wszelki wypadek znajdował się zwykle na boku tłumacz) o stosunek danego adwokata do kwestii żydowskiej. Pytania te zresztą występowały w różnych wariantach, najczęstszym było obcesowe zdanie — czy jest za wykluczeniem czy dopuszczeniem Żydów do adwokatury. Dr Gollert mając przed sobą listę imienną adwokatów, umieszczał na niej przy każdym nazwisku w zależności od odpowiedzi odpowiednie znaki, które, jak później ujawniono, miały nieść niektórym kandydatom złowrogie przeznaczenie.

Tutaj muszę sięgnąć pamięcią do mych wspomnień osobistych. Byłem jednym z tych kandydatów, którzy jak wszyscy inni, przechodzili przez gabinet Gollerta z dwuminutową z nim rozmową o wątpliwej przyjemności. Będąc umieszczony raczej pod koniec alfabetycznej listy, składałem wizytę w Pałacu Brühla po paru lub kilku dniach od rozpoczęcia całej procedury, miałem więc możność poinformowania się od wcześniejszych co do alfabetu kolegów o sposobie przeprowadzania ,,ankiety''. Radziłem się oczywiście z kolegami. Prowadziło się wówczas długie a wszechstronne dyskusje w pokojach adwokackich, w kuluarach sądu, jakie winny być nasze odpowiedzi. Były różne, jak to zawsze bywa w gronie ,,inteligentów'', opinie, w końcu, o ile wiem, żadnego jednolitego tekstu odpowiedzi nie ustalono. Muszę tu powiedzieć, że nie wszyscy zdawali sobie wówczas sprawę z perfidii i bezwzględności wroga. Chociaż była to już połowa 1940 r. ,a więc po masakrze wawerskiej (grudzień 1939 r.), po pierwszych na większą skalę zorganizowanych łapankach na wiosnę 1940 r., jednak nie dotarło do świadomości ogółu zrozumienie potęgi i bezwzględności terroru hitlerowskiego. W tym czasie miałem konferencję zawodową z jednym z najwybitniejszych luminarzy palestry starszego pokolenia (i współautorem opinii lutowej), z którym przy okazji omówiłem sprawę ,,plebiscytu'' i naszych odpowiedzi. Opinia mecenasa X wypadła kategorycznie i niedwuznacznie. Jesteśmy w niewoli — mówił — i nie wolno nam być tak nierozsądnymi, by zdając się na lojalność wroga, dyskutować z nim o naszych poglądach politycznych. Gdy zauważyłem na to ze swej strony, że jednak w opinii lutowej członkowe rady ujawnili tak zasadnicze stanowisko, mecenas X odpowiedział mi, że jedna taka manifestacja ze strony kierownictwa wystarcza i że nie ma sensu narażanie życia *wszystkich* warszawskich adwokatów przez masową demonstrację. Po naradzie uzgodniłem z mecenasem X treść formułki do wypowiedzenia w dystrykcie. Przyznam się jednak, że rozstając się z nim miałem pewne wątpliwości.

Na drugi dzień, po namyśle, opinia mec. X wydała mi się przekonywująca, wobec czego, idąc za jego radą, postanowiłem u Gollerta oświadczyć, że ,,wstrzymuję się od wypowiadania mej opinii'', starając się przy tym agitować wśród spotykanych kolegów za taką formułką. Niestety, wielu kolegów wdało się

z Gollertem w zasadnicze ,,na poziomie'' prowadzone dyskusje, które doprowadziły, jak to poniżej opiszę, do katastrofalnych rezultatów — do tragicznej hekatomby kwiatu palestry warszawskiej, do wyniszczenia najwartościowszych jednostek.

Wynik ankiety dawał podstawę Gollertowi do podziału zapytywanych adwokatów na trzy grupy : 1) Adwokaci, którzy wdając się w dyskusję z Gollertem wypowiedzieli się w tej czy innej formie za dopuszczeniem Żydów, podnosząc przy tym takie momenty, jak treść polskiego ustawodawstwa przedwojennego wraz z argumentem konwencji haskiej, lub inne przeszkody natury prawnej. Odpowiedzi takich było około 80-ciu. (Według innej wersji liczba ta dochodziła do setki.) Trudno byłoby mi teraz przeprowadzić analizę socjalną składu tej grupy, mogę tylko powiedzieć, że na ogół należeli do niej równomiernie przedstawiciele starszego, średniego i młodego pokolenia adwokackiego.

2) Adwokaci, którzy nie wdając się w żadne dyskusje merytoryczne, wstrzymali się od wypowiedzi swego zdania(liczba tych wynosiła około dziewięciu).

3) Do ostatniej grupy zaliczeni zostali adwokaci, których odpowiedzi nie dały Gollertowi oczywistej i jawnej podstawy do zaliczenia ich do niezadowalających. Byli wśród nich tacy, którzy jedynie krótko i bez żadnych komentarzy podali swoją przynależność do stronnictw lub ruchów ,,narodowych'', lub członkostwo Związku Adwokatów Polskich, stojącego, jak wiadomo, na stanowisku tzw. ,,odpolszczenia'' adwokatury i obrony jej przed ,,zalewem'' żydowskim. Starając się zrozumieć intencje tych kolegów, sam w sumieniu swoim nie mógłbym uznać, by zawsze odpowiedź taka, kładąca nacisk na przedwojenną przynależność, miała wymowę antysemicką i oznaczała poniżanie się przed wrogiem. Były ponadto w tej grupie nieliczne krótkie odpowiedzi : ,,byłem przed wojną antysemitą'' oraz jeszcze mniej liczne wypowiedzenia się za wykluczeniem Żydów z adwokatury. Nie byli oni w rzeczywistości tego zdania, a po prostu bali się terroru.

Do trzeciej grupy zaliczono w ten sposób całą resztę. Należy w tym miejscu podkreślić, że nie wszyscy z trzeciej grupy zachowywali się poniżej godności Polaka i obywatela, albowiem znakomita większość tej grupy dawała odpowiedzi wymijające. Wielu z tej grupy było potem czynnych w ruchu oporu, wielu było aresztowanych, wielu straconych lub zamęczonych po obozach, tak że ich wcześniejsze deklaracje wcale nie określiły ich stosunku do okupanta. Cyfr dokładnych obecnie nie pamiętam, ale jeżeli przyjąć, że ogólna ilość weryfikowanych adwokatów wynosiła około 450, należy przyjąć, że trzecia grupa liczyła około 350-370 osób.

O wyniku ankiety została powiadomiona al. Szucha (Gestapo), czego rezultatem było aresztowanie 10, 11 i 12 lipca 1940 r. i osadzenie na Pawiaku pierwszej grupy, tzn. owych 80 adwokatów. We wrześniu zostali oni wywiezieni do Oświęcimia (Kon-

zentrations-Lager Auschwitz). Niewielu z nich powróciło. Większość wyginęła w 1940, 1941 lub nawet w latach późniejszych.

Jak dowiedziałem się już o wiele później, w aktach sprawy w Abteilung Justiz w dystrykcie, znajdowała się odręczna notatka dr Gollerta, iż przekazując nazwiska do Gestapo, Wydział Sprawiedliwości nie wiedział o mającym nastąpić aresztowaniu. Ile w tym prawdy — nie wiadomo.

Wydawało się niekonsekwentne, że nie aresztowano w swoim czasie członków rady adwokackiej, pośrednich sprawców plebiscytu. Nie ma żadnych dowodów, by wierzyć Gollertowi, iż aresztowań zaniechano na skutek jego o to prośby. Wątpliwe, czy jego prośba by pomogła, jeszcze bardziej wątpliwe, czy to w ogóle zrobił. Należałoby przyjąć raczej za prawdopodobną wersję, że członków rady nie aresztowano, bo uważano ich za szczególnie niebezpiecznych i sądzono, że więcej korzyści będzie z ich stałej i starannej inwigilacji, która rzeczywiście miała miejsce.

Kiedy rozważam teraz z perspektywy lat trzynastu opisywane wyżej wydarzenia, kiedy kontroluję trafność posunięć kolegów z adwokatury i mego postępowania, coraz więcej nabieram przekonania o słuszności rady udzielonej mi przez mecenasa X. Nie tylko ze względów osobistych, żem uniknął dzięki jego sugestiom represyj, jakie spotkały pierwszą grupę kolegów. Szkoda mi, i to jest najważniejsze, tych kolegów, którzy z pobudek jak najwyższej szlachetności, wierności dla sprawy i lojalności wobec uciemiężonych Żydów, zadeklarowali jasno wobec wroga swe nieustępliwe stanowisko. Czy liczyli oni na elementarną uczciwość tego wroga? Czy sądzili, że nie spotka ich nic złego, gdy szczerze ujawnią swe zapatrywania wobec urzędnika okupanckiego na skutek uprzejmego pytania z jego strony? Czy nie przewidzieli w pytaniu tym podstępu i zasadzki? Czy nie znali trafnego powiedzenia, że nie rozmawia się o polityce z fryzjerem przy goleniu, skoro fryzjer trzyma w ręku brzytwę? Czy nie uważali, że należało się przyczaić, a uderzyć mocno dopiero po wybraniu pozycji bardziej sprzyjającej do walki, lub po zapewnieniu sobie względnej chociażby równości w zakresie środków walki i posiadanego arsenału broni. Nasuwa się pytanie, czy Mickiewicz w Konradzie Wallenrodzie uchwycił choć częściowo naszego ducha narodowego, bo doświadczenia z lat okupacji niemieckiej dowodzą jak daleko jesteśmy, my Polacy, od wallenrodyzmu. Wiemy raczej, że wypadki przejścia na stronę wroga dla celów ideowych i dla wyższej sprawy, były niezmiernie rzadkie. Renegacja, volksdeutschostwo i innego rodzaju zdrada, miała swe źródło u nas w przeciętnej ludzkiej podłości, czasami, choć rzadziej, w karierowiczostwie, a przeważnie dla szukania doraźnych zysków materialnych. Daremno by szukać w tym gronie zdrajców, okazów w rodzaju dr Fuchsa, u którego w związku z wykryciem afery przekazywania Moskwie tajemnic bomby atomowej, doszukano się pono rozdwojenia jaźni na

podobieństwo bohatera powieści i znanego filmu — dr Jekylla-Mr Hyda.

◆

Wśród adwokatów zaaresztowanych po ankiecie, znajdował się Jerzy Czarkowski, jeden z wybitniejszych z grona młodego pokolenia i jednocześnie znany polityk kierunku narodowo-radykalnego (po uwolnieniu go z niemieckiego obozu koncentracyjnego w 1945 — piastował jakiś czas prezesurę Zjednoczenia Polskiego w Niemczech). Na ,,interview'' z Gollertem podjął on zasadniczą dyskusję na temat sprawy żydowskiej. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna, w której przywódca ONR-u w dyskusji z hitlerowcami staje w obronie Żydów. Czy mógł on przypuszczać, że ten odruch nie tylko odwagi ale i determinacji, nie tylko patriotyzmu ale i ludzkiej szlachetności, będzie go kosztować pięć lat Oświęcimia? Czy cierpiąc fizycznie i duchowo na niekończących się apelach ,,koncentraka'', zdawał sobie sprawę, że wpadł w tę otchłań na skutek niecodziennego porywu serca i umysłu, dokonanego w fatalnej godzinie wizyty w gabinecie urzędnika okupacyjnego?

Nie chciałbym używać tutaj słów przesadnych, ale sprawa Jerzego Czarkowskiego wydaje mi się w owych okolicznościach doprawdy niezwykła, nawet na warunki wojenne, stwarzające, jak wiadomo, całkiem niespotykane kiedy indziej sytuacje. Z racji swych przekonań przedwojennych, nie powinien on, zdawałoby się, łączyć się z programem prożydowskim. O sympatie filosemickie wówczas trudno by go posądzić. Jako zimny a trzeźwy polityk, mógłby w świetle swych przekonań widzieć w rugowaniu Żydów ze społeczeństwa polskiego przez Niemców — pożyteczną choć brudną robotę, wykonywaną cudzymi rękami. A jednak w chwili krytycznej potrafił on, wbrew zdawałoby się przekonaniom przedwojennym, rozróżnić istotę polskich i ludzkich rzeczy od naleciałości antysemickich. A na pewno obok Jerzego Czarkowskiego wśród fatalnej osiemdziesiątki byli i inni tak samo myślący i czujący, choć nieczuli na pokusy chwili. Jego sprawa urasta do potęgi symbolu. Znamy zresztą inne fakty analogiczne, jak wspaniałe zachowanie się wobec Żydów Jana Mosdorfa w Oświęcimiu lub tak liczne przypadki ratowania Żydów przez Polaków, ukrywanie ich, z narażaniem życia i egzystencji swych najbliższych, nigdy jednak czyjeś zachowanie względem Żydów nie znalazło się w tak jaskrawym rozdźwięku z przedwojennym postępowaniem i przekonaniami, jak w przypadku Czarkowskiego i Mosdorfa, obu wybitnych przywódców ruchu ,,antysemickiego'' doby przedwrześniowej.

◆

Po opinii lutowej i po ,,ankiecie'', władze Generalnej Gubernii zaczęły uważać polską adwokaturę za element szczególnie niebezpieczny pod względem politycznym. Gestapo, które od początku widziało w polskiej inteligencji (so genannte polnische

Intelligenz'' — jak mawiał Frank) nieprzejednanego wroga okupantów, odnosiło się z dużą podejrzliwością do każdej znajdującej się w zasięgu niemieckiej służby bezpieczeństwa sprawy, w którą bezpośrednio lub pośrednio był zamieszany adwokat. Stąd tak znaczna liczba ofiar terroru hitlerowskiego w tym zawodzie. Nie miano również zaufania do tych Polaków-adwokatów, będących członkami rady adwokackiej z nominacji. Każdy protokół z posiedzenia rady wymagał zatwierdzenia przez wydział sprawiedliwości dystryktu.

W okresie pracy konspiracyjnej miałem w ręku sprawozdanie z 2-letniej działalności wydziału sprawiedliwości dystryktu warszawskiego, za lata 1942-1943, w którym szeroko i gruntownie, z iście niemiecką dokładnością, scharakteryzowano postawę warszawskiej adwokatury, podnosząc niebezpieczne dla Niemców tendencje członków korporacji adwokackiej w ruchu oporu.

Czyż tego rodzaju świadectwo wystawione przez wroga, nie ma szczególnej wartości?

Wacław SZYSZKOWSKI

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE
Największa na emigracji

KSIĘGARNIA POLSKA **ORBIS** **38, Knightsbridge, S.W.1. LONDON, Gt. Britain**

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie, współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

Nonsens treści i formy

Sprawiedliwość jest wprost proporcjonalna do siły; najsłabsi zawsze są najbardziej niesprawiedliwi. Stopień niesprawiedliwości zależy od stopnia zagrożenia. Malarzy XIV i XV wieku nazywaliśmy ,,prymitywnymi'', gdy zagrażali walczącym o uznanie naturalistycznym kryteriom wartości. W miarę jak blakł autorytet tych kryteriów, zaczęliśmy się wstydzić tej wzgardliwej nazwy. Dziś już nie trzeba rehabilitować prymitywów — żyjemy w pełni ich kultu. Wciąż jednak jeszcze trzeba usuwać nieporozumienia, które odziedziczyliśmy nie tylko zresztą po naturaliźmie.

PŁODNY ABSURD

Wartości estetyczne są wartościami formalnymi. Pamiętając o tym, stajemy się wrażliwi na formę, to znaczy na grę zmysłowych elementów dzieła : plam barwnych i mas w obrazie, dźwięków i rytmów w muzyce i poezji. Można zapamiętać się w tej postawie do tego stopnia, że treść staje się obojętna, a w końcu niezrozumiała. Ale im bardziej skupiamy się na formie, tym mniej rozumiemy jej znaczenie i tym płytsza staje się nasza kontemplacja. Wreszcie zaczynają nam wystarczać wartości czysto dekoracyjne, a nasze kryteria ubożeją : ,,przyjemne'' i ,,przykre'' stają się jedynymi uchwytnymi ocenami. Pytanie : dla czego przyjemne albo przykre? drażni nas, bo daremnie szukamy na nie odpowiedzi. Jeżeli nie możemy jej uniknąć, zadowalamy się filozoficznymi czy poetycznymi ogólnikami, które mogą znaczyć wszystko albo nic. Ale te ogólniki są hołdem formisty, złożonym treści, jak obłuda jest hołdem, składanym przez grzech cnocie.

Coś bardzo podobnego zdarza się ,,treściowcom''. Treściowcy oceniają wartości formalne dzieła sztuki jako środek ,,ewokacji'' przedmiotu : jeżeli ,,ewokacja'' się udała, forma jest dobra, jeżeli nie — zła. Żądając, by rzecz przedstawiona była jak

najbardziej ,,obecna'', nie mogą jednak uniknąć dodatkowego kryterium : czy rzecz warta jest ewokacji, czy jej znaczenie usprawiedliwia jej przedstawienie. Trzymając się konsekwentnie kryteriów treściowych, dochodzi się w końcu do osądzenia całej niemal historii sztuki jako komedii pomyłek, bo artyści prawie zawsze interesowali się przedmiotami mniej lub więcej błahymi. Oczywiście, konsekwencję tę rzadko się wyciąga : jest to zwykle moment, gdy treściowiec rezygnuje ze swoich kryteriów treściowych i zaczyna przyznawać trochę racji kryteriom formalnym.

Słowem : skupiając się na formie, rehabilituje się w końcu treść, by nie utonąć w perspektywach formy i nie zatracić jej smaku, a skupiając się na treści, z tych samych powodów rehabilituje się formę. Pedagogicznie, wszelkie doktrynerstwo jest więc użyteczne, jeżeli jest uczciwe : prowadząc do absurdu, zmusza do wzniesienia się na wyższy poziom refleksji i nadaje sądom większą elastyczność. Ale skoro kryteria treściowe i formalne porówni prowadzą do absurdu, myśl systematyczna powinna wyjść poza nie, i to nie w drodze kapitulacji czy kompromisu, ale wyższej syntezy. Czy taka synteza jest możliwa ?

KONSTYTUOWANIE RZECZYWISTOŚCI

Naprzód więc trzeba powiedzieć, że treść czyli rzeczy i związki przedstawione są tak samo przedmiotem operacji formalnych, jak formy czysto zmysłowe czy — jeśli kto woli — środki techniczne. Innymi słowy, ograniczając się do jakości zmysłowych, nie ,,rezygnujemy z treści'', tylko... zubożamy formę ! Krajobraz nie jest wcale ,,pretekstem dla kompozycji kolorystycznej'', ale jest także krajobrazem — i to w tym samym stopniu, co kompozycją kolorystyczną. Ale znów — ograniczając się do treści, nie ,,sprowadzamy formy do techniki'', tylko... zubożamy treść. Deformacja nie jest wcale ,,narzędziem ekspresji'', ale elementem nowej rzeczywistości, często zasadniczym, *sine qua non*. Można ,,namalować Poussina jeszcze raz według natury'', ale to już nie będzie Poussin, tylko Cézanne. Bo forma pochodzi z tych samych źródeł co treść.

Nieporozumienie tkwi w fałszywym pojęciu rzeczywistości, którą uważamy za daną, istniejącą niezależnie od procesu poznania. Ale rzeczywistość dana i gotowa jest konwenansem praktycznym, niezmiernie ubogim. Jej konwencjonalność ujawnia się w każdej próbie uzgodnienia wizji rzeczywistości. Gdy tylko próbujemy powiedzieć, co o rzeczywistości wiemy i myślimy, natychmiast zaczyna się dyskusja. Jeżeli takie uzgodnienie ma znaczenie praktyczne, jeżeli jest np. potrzebne do współdziałania, zazwyczaj zadowalamy się w końcu obrazem rzeczywistości przybliżonym i tylko w głównych punktach określonym. Jeżeli dyskusja nie ma charakteru praktycznego, zaczynamy interesować się przyczynami rozbieżności poglądów na rzeczywistość i brniemy w typologię psychologiczną czy filozoficzną, która pozwala

nam utrzymać poglądy niesprowadzalne a nawet wyłączające się nawzajem. W końcu wiemy coś dokładniejszego o sobie, o swojej umysłowości, ale ,,rzeczywistość'' staje się tylko tym bardziej nieokreślona, a nawet zagadkowa.

Przyczyna nieporozumienia tkwi w tym, że rzeczywistość jako coś pewnego i obiektywnego nie istnieje. Nawet naszą najbardziej konwencjonalną rzeczywistość, tę na przykład, którą tak sumarycznie traktują dziennikarze, powieściopisarze i prawnicy — ktoś musi ukonstytuować. Ten proces konstytuowania rzeczywistości jest nie skończony. Każdy artykuł wstępny, każda mowa obrończa konstytuuje ją na nowo. Zmiany są zwykle ledwo dostrzegalne, ale wystarczy zajrzeć do starego rocznika gazety, by zobaczyć, że dokonują się one bez przerwy. Te różnice zamknęliśmy w terminie ,,epoka'' odbierając im w ten sposób ich charakter głęboko niepokojący. Gdyby rzeczywistość była niezmienna, to jest gdyby istniała, różnic tych nie byłoby.

Co wiemy i myślimy o świecie — oto rzeczywistość. Wystarczy, żebyśmy zobaczyli w świecie jakąś jedną nową rzecz — np. perspektywę linearną (w XV wieku), a powstaje nowa ,,rzeczywistość'', już niesubiektywna i zależna od osobistego widzimisię, ale obiektywna w tym sensie, że sprawdzalna dla innych. Artyści zaczynają tworzyć ,,cały nowy świat''. Niebawem wszyscy żyją w tym świecie i zapominają, że żyli dawniej w innym. Bertrand Russell widzi źródło wszystkich naszych nieszczęść w odkryciu, że człowieka można namówić do wszystkiego. W istocie, nasza rzeczywistość, tak różna od rzeczywistości sprzed 50-ciu lat, została ukształtowana przez reklamę i propagandę. Człowiek już nie jako narzędzie, ale jako przedmiot celowego działania — oto nowość i oryginalność naszych czasów.

Kultura w świecie ludzkim, jak życie w świecie astronomicznym, jest czymś co nieustannie się kończy i na nowo zaczyna. Ludzkość istnieje dla tego, że w pewnych punktach materii utrzymuje się od milionów lat temperatura 37 stopni C. Kultura istnieje dla tego, że trwa nieustannie proces ,,konstytuowania'' rzeczywistości. Kultury ludowe nie są w ścisłym tego słowa znaczeniu kulturami, bo w nich proces ten się nie odbywa : w kulturze ludowej podaje się z pokolenia w pokolenie dawno ustaloną ,,konstytucję'' rzeczywistości. Kultura ludowa reprodukuje środowisko naturalne, które jest ściśle ograniczone swoim zasięgiem, kultura *tout court* reprodukuje środowisko o wiele szersze, bo jest próbą przezwyciężenia warunków naturalnych.

Człowiek ucieka od rzeczywistości, bo się w niej dusi i pragnie włączyć ten fragment świata w rzeczywistość obejmującą więcej, niż wszystko co już zostało ukonstytuowane. Tak powstają nowe prądy myśli, nowe kierunki artystyczne, czasem nowe kultury. Rzeczywistość jest nie wyczerpana i zagadkowa i istnieje tylko w tym stopniu, w jakim potrafimy ją ukonstytuować — oto dla czego spór treściowców i formistów jest fikcyjny.

KONKLUZJA

Kryteria czysto treściowe i kryteria czysto formalne zubożają prawdę o sztuce, która jest czystym aktem konstytuowania rzeczywistości. Malarz nie tylko porządkuje kolory na płaszczyźnie, ustala też co wie i co myśli o tej zagadce, jaką jest świat. Ale to nie wszystko. Konstytuując rzeczywistość, konstytuuje siebie. Malarz tworzy swą osobowość malując. Równocześnie stawia postulaty swemu środowisku. Jeżeli potrafi się narzucić — zmienia to środowisko, które może objąć całą ludzkość. Artysta nie tworzy nigdy nic absolutnie nowego, zwykle rekapituluje. To samo dzieje się w życiu organicznym, a także społecznym. Stare stoi obok nowego, ale na nowym miejscu. Ukonstytuowała się nowa rzeczywistość, i to nie rzeczywistość, którą wystarczy ,,odtworzyć'': odtwarzanie jest idiosynkrazją naśladowców. Konstytuując się, rzeczywistość powstaje jak Feniks z popiołów. Nie jest to też ,,nowa wizja'', do której dostosowano ,,nowe środki''. Między wizją a środkami istnieje zależność wzajemna — często nowa wizja wyłania się z nowych środków.

Każdy prawdziwy artysta tworzy treść i formę tym samym pociągnięciem pędzla, każdy prawdziwy miłośnik sztuki obejmuje treść i formę jednym spojrzeniem. Treść i forma nie są dwiema warstwami dzieła sztuki, bo treść ma formę, a forma — treść, ale dwoma aspektami tego samego procesu : aktu konstytuowania rzeczywistości. Rzeczywistość umarła — niech żyje rzeczywistość — oto okrzyk, który rozlega się przy narodzinach każdego nowego dzieła sztuki. Kopia natomiast jest nagrobkiem.

Jan ULATOWSKI

Rzymianie nie zdobywali Everestu...

This was the noblest Roman of them all;
. . . . . .
His life was gentle, and the elements
So mix'd in him that Nature might stand up
And say to all the world, „This was a man!"

Szekspir szedł za Plutarchem i możemy mu wierzyć, że te lub podobne słowa powiedział — albo mógł powiedzieć — Marek Antoniusz nad zwłokami Brutusa. Taki — w Rzymie pogańskim — był hołd, oddany śmiertelnemu wrogowi, którego armię rozbito i sprawę pogrzebano. Przed dwoma tysiącami lat

Brutus mógł być czynnym politykiem i mężem stanu pozostając szlachetnym człowiekiem; mógł zgładzić przyjaciela, gdy ten sprzeniewierzył się ideałowi wolnego republikańskiego życia, a mimo to pozostać czysty. Zarówno on, jak wielu jemu podobnych, działało w świecie, w którym polityka nie stała jeszcze poza granicami honoru, gdzie nawet politycznego zabójstwa dokonywano w ramach systemu norm etycznych swojego czasu; w świecie nie przeczuwającym Machiavellego, Marxa ani Stalina, ale znającym styl ludzkiej wielkości.

Te refleksje powstały we mnie, gdy myślałem o dwóch nowych filmach, których tematykę dzielą tysiąclecia, ale łączy charakter wątków, a przynajmniej tła. Bo zarówno dokonana przez J. Mankiewicza filmowa adaptacja szekspirowskiego *Juliusza Cezara* jak *The Man Between* Carola Reeda są w pewnym sensie politycznymi ,,dreszczowcami''. W to zamyślenie nad człowiekiem na tle polityki wkradło się dziwaczne i niepokojące pytanie, które nasunął mi trzeci, w tym samym czasie pokazany w Londynie film: *The Conquest of Everest*. Oto ono : czemu starożytni — jeśli wierzyć milczeniu przekazów historycznych — choć tak aktywni w dziedzinie ćwiczeń cielesnych — nie rozwinęli bezinteresownego i ,,abstrakcyjnego'' sportu, jakim jest wspinaczka wysokogórska? Ale na razie zostawmy na boku ten problem, czy kaprys dociekliwości i przejdźmy do krytyki filmowej, próbę odpowiedzi rezerwując na zakończenie.

◆

Dobrze się stało, że reżyserię *Juliusza Cezara* wytwórnia Metro Goldwyn Mayer (która ma na sumieniu niemało grzechów z dziedziny spłycania i fałszowania rzymskiej starożytności) powierzyła tym razem Józefowi L. Mankiewiczowi. Zastosowane przez niego (wspólnie z dyrektorem produkcji Johnem Housemanem) metody realizacyjne świadczą chlubnie o inteligencji i zmyśle artystycznym tego wybitnego reżysera. Przede wszystkim, w kontraście do kosztownej i płytkiej widowiskowości Cecila B. de Milla, postanowił Mankiewicz skoncentrować się na tekście literackim, a nie na bogatej wystawie. Poszedł wiernie za utworem Szekspira usuwając z niego tylko nieliczne partie i tylko kilka trzeciorzędnych postaci. Nie rezygnując z ruchomości kamery, ani z inteligentnych filmowych zbliżeń, ze statystów i z szerokich plenerów — nie dodał reżyser od siebie ani jednego słowa dialogu i nawet w kolejności scen pozostał wierny Szekspirowi. Od siebie dał świetną reżyserię i przejętą od Eisensteina umiejętność operowania charakterystycznymi postaciami drugo- i trzecioplanowymi, przy których pomocy — drogą krótkich, wyrazistych zbliżeń — potrafił wydobyć atmosferę napiętego współuczestnictwa tłumów (obywateli, czy żołnierzy) w centralnym dramacie walki senatorów z cezarem, a potem z jego następcami.

Metoda inscenizacyjna Mankiewicza niewiele różni się od metody Lawrence Oliviera, znanej z jego filmowego *Hamleta*

i *Henryka V-go*. To „niewiele" wynika z odmiennego charakteru tych dzieł Szekspira. Gdy w *Hamlecie* główny nacisk spoczywa na postaci tytułowej, *Juliusz Cezar* jest dramatem ludzi i światopoglądów. Dlatego Olivier mógł sobie pozwolić na „filmowy komentarz *Hamleta*" (tak nazwał swą realizację), zaś Mankiewicz dążył do zespołowej gry aktorów i grę taką w pełni osiągnął zachowując indywidualizację postaci, wynikającej z odrębności ich charakterów. Jeśli idzie o podobieństwo, to widzę je w pietyźmie dla tekstu i w umiarze, cechującym dodatki filmowe, rozszerzające obie sztuki. Sceny batalistyczne traktowane są w *Juliuszu Cezarze* równie celowo i ascetycznie jak w *Henryku V-tym* Oliviera.

W doborze aktorów realizatorzy *Juliusza Cezara* wykazali tyleż rozwagi, co chwalebnej śmiałości .Gdy w rolach Kasjusza i Brutusa pokazano wytrawne lwy szekspirowskiego teatru — sir Johna Gielguda i Jamesa Masona, który swą karierę zaczynał w Irlandii piękną kreacją teatralną Brutusa — Markiem Antoniuszem postanowiono uczynić dynamicznego aktora amerykańskiego pochodzenia polskiego, Marlona Brando, który w rolach szekspirowskich nie był znany, a swą młodą sławę aktorską zawdzięczał głównie roli Kowalskiego w sztuce i filmie *A Streetcar Named Desire* oraz jednej z głównych ról w filmie *The Men* i roli tytułowej w pięknym filmie *„Viva Zapata!* Warto dodać, że Mankiewicz, obawiając się, iż polski akcent Brando (Brandysa?) w roli Kowalskiego jest niezbywalnym dziedzictwem polskim tego aktora, przed kontraktem nagrał część jego roli Marka Antoniusza na taśmę i dopiero w ten sposób upewnił się w błędności tego mniemania (uporczywie głoszonego przez pewien odłam prasy angielskiej i amerykańskiej) i przekonał kogo należy o celowości zaangażowania Marlona Brando.

Ostateczny rezultat potwierdził trafność tej decyzji. W zespole tak różnolitym — bo przecież anglo-amerykańskim i filmowo-teatralnym — Marlon Brando okazał się siłą znakomitą.

◆

The Man Between, którego tytuł na polski można przełożyć jedynie omówieniem *Człowiek na ziemi niczyjej*, przenosi nas ze starożytnego Rzymu do dzisiejszego Berlina. Po wyjściu z kina pozostaje w pamięci na długo — może na zawsze? — obraz człowieka, leżącego na śniegu pomiędzy barierami granicznymi sowieckiej i brytyjskiej części miasta. Ten człowiek żyje jeszcze, widzimy go w poprzecznym perspektywicznym skrócie; jest ranny, podnosi rękę w stronę brytyjskiej bariery — w stronę wolności; jednak straże komunistyczne są blisko, strzelają celnie — następna kula dosięgnie go śmiertelnie : jeszcze jeden, już beznadziejny rzut wyciągniętej dłoni, jeszcze jeden grymas umęczonej twarzy, zaraz niknącej w śniegu, w ciszy, w bezruchu śmierci.

Tym człowiekiem jest prawnik niemiecki, były żołnierz, który przeżył całe piekło wojny, by spodleć do tego stopnia, że uczynił sobie wcale lukratywny zawód z porywania dla władz sowieckich swych własnych rodaków, zamieszkałych w zachodnim Berlinie. Ten człowiek (w filmie, o ironio, gra go J. Mason, który wcielał Brutusa) upadł tak nisko, że nie waha się szantażować swej byłej żony, która, przeświadczona o śmierci zaginionego męża, poślubiła brytyjskiego majora, stojącego na czele organizacji pomocy dla uchodźców zza żelaznej kurtyny. Film nie pokazuje Rosjan — właściwych sprawców dramatu, w który — jako ofiara porywacza, a później przyczyna jego wątpliwego odrodzenia moralnego i niewątpliwej zmiany frontu — wplątana jest młoda i bezbrzeżnie głupia Angielka (Claire Bloom), szwagierka owej Niemki, eks-żony głównego bohatera (Hildegarde Neff). Ale nad całym dziełem unosi się ciężka atmosfera terroru, ciągłego zagrożenia osobistej wolności i życia, nieustannego szpiegowania, szantażu. Pokazano obławy i pościgi, które dla Rosjan przeprowadzają niemieccy komuniści — jeden z nich, szef bandy (chyba przypadkowo tylko podobny do Churchilla), zapada w pamięć jako uosobienie podłości i ohydy. I małości zarazem. Bo wszystko, co dzieje się w filmie, jest nie tylko zbrodnicze : jest także nikczemne nikczemnością nieludzką — małą w każdym ze sprawców, a jednocześnie satanicznie potworną, bo obejmującą miliony ludzi. Oto obraz naszego czasu, oto cena — maleńka część ceny — zimnej wojny, ohydnego ,,pokoju''! Jakże daelko odeszliśmy od pogańskiego Rzymu !

Wracając do filmu Carola Reeda trzeba powiedzieć, że daleko mu do potęgi i prostoty Szekspira w ujęciu Mankiewicza. Choć wspólnie z Grahamem Greenem potrafił stworzyć dzieło piękne, a zarazem proste — *Third Man'a*. Reed jest wirtuozem języka filmowego, a nawet — przynajmniej w ramach kinematografii anglosaskiej — bywa odkrywcą nowych idiomów tego języka. Ta reżyserska fascynacja czystą formą filmową mogłaby inny temat podnieść z poziomu przeciętności, czy banału do rangi dzieła sztuki, ale zaszkodziła berlińskiemu dramatowi ludzi sterroryzowanych. Na wyrafinowanym podaniu straciła bardzo ludzka historia. Fabule filmu, opowiedzianej w nieco zawiły sposób, brak tej siły i prawdy, jaką miał *Trzeci człowiek*, niektórym ludziom w Reedowskim Berlinie nie dostaje psychologicznego wykończenia. Niektóre sceny i osoby zdają się zapowiadać jakiś rozwój akcji, a potem zapadają w nicość. Ten nadmiar ekspresji da się wytłómaczyć jedynie chęcią popisania się bogactwem inwencji inscenizacyjnej reżysera lub poszukiwaniem nowych akordów filmowych przez zakochanego w swym medium artystę.

Sprawiedliwość każe nam przyznać, że Reed znajduje — choć w danym razie kosztem dzieła — te świeże formy. Tak więc w sposób niezwykły w ,,dreszczowcach'' wstrzymuje tempo akcji i każe aktorom rozprawiać o przeszłości. Mówi milczeniem i nieruchomym obrazem : pozostawione na śniegu, pozwijane

w ósemki ślady kół roweru małoletniego szpiega są np. dla widza — i dla wtajemniczonych bohaterów dramatu — piętnami grozy, czającej się na ulicach Berlina, elementem nastroju, wyrażonym w sposób artystyczny i nowy w tym gatunku filmowym. Wiadomo, że Pudowkin pierwszy zastosował nieruchomość postaci jako środek zwiększenia napięcia dramatycznego filmu. Ale wydaje się, że Reed idzie dalej i w sposób ciekawy wzbogaca konwencję filmu sensacyjnego. Z tych względów *The Man Between* jest ucztą dla specjalistów i wykształconych miłośników, a jednocześnie atrakcyjnym *thrillerem* dla przeciętnego widza, któremu — mimo swych braków — opowiadá więcej o współczesności od kilogramów gazet i tuzinów kronik filmowych.

◆

Słynny alpinista George Mallory, zapytany, dlaczego wspina się na niedostępny szczyt, odpowiedział : *Because it's there* — ponieważ tutaj stoi. Ta odpowiedź stała się klasyczną dewizą wszystkich alpinistów — ludzi silnych, a jednak bezinteresownych, dla których nie potrzeba innej zachęty oprócz wielkości i trudności zadania. Ta prosta dewiza przewija się w komentarzu znakomitego filmu brytyjskiego produkcji Countryman Films — kolorowego obrazu dokumentalnego pt. *The Conquest of Everest,* opisującego zwycięską wyprawę ekipy płk. Johna Hunta na szczyt Dachu Świata.

Przypomnijmy pokrótce fakty. Tegoroczna wyprawa była ósmą z rzędu ekspedycją brytyjską, zorganizowaną — jak i poprzednie — przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne i Klub Alpejski. Członkowie wyprawy płk. Hunta*) zebrali się w dniu 8 marca br. w stolicy Nepalu Katmandu. Znalazło się wśród nich trzynastu Brytyjczyków — dwóch oficerów, student, dwóch nauczycieli, dwóch naukowców, dwóch lekarzy, agent biura podróży, statystyk, operator filmowy i pszczelarz z Nowej Zelandii — i jeden obywatel Nepalu, przewodnik z plemienia himalajskiego Szerpów, uczestnik 11-tu ataków na Everest. 10 marca wyprawa ruszyła w górę, a już w dniu 26 marca, po przeniesieniu przez 350 tragarzy nepalskich pięciuset skrzyń ekwipunku, założono obóz wyjściowy pod stolicą Szerpów Manche Bazar, na płaskowyżu, przy klasztorze buddyjskim Thyangboche. Z tej bazy forsowano lodowce.

Według szczegółowo opracowanego planu, realizowanego zespołowo przez członków ekspedycji i 35-ciu zaangażowanych na miejscu Szerpów — zakładano następnie coraz wyżej obozy przejściowe, do których przenoszono niezbędny ekwipunek, a w szczególności butle z tlenem do aparatów do oddychania na wielkich wysokościach. Dnia 29 maja, po nieudanej próbie

(*) Gen. Sir John Hunt, *Victoire sur l'Everest*, Amiot-Dumont, Paris, 1953.

zdobycia szczytu przez fizyka atomowego Toma Bourdillon i lekarza z Liverpoolu Charlesa Evansa, z przejściowego obozu Nr 9 wyruszyli na szczyt wyznaczeni przez Hunta : pszczelarz Edmund Hillary i Szerp Tensing Norkay. Bardzo wolno, walcząc o każdą stopę wzwyż, ominęli oni nie uwidoczniony na mapie grzebień, który zatrzymał ich poprzedników i przedarłszy się 40 stóp w górę wąskim kominem skalnym, o godzinie 11,30 stanęli na szczycie. Uścisnąwszy sobie dłonie, dokonali zdjęć fotograficznych przytwierdzonych do ciupagi Tensinga flag — Brytyjskiej, Nepalu i Narodów Zjednoczonych — i po piętnastu minutach, zupełnie wyczerpani, zeszli do obozu Nr 7. W parę godzin potem z głównej bazy poszła do oczekującej na koronację królowej Elżbiety zakodowana depesza : ,,Ciężka śnieżyca. Ekspedycja musiała opuścić bazę numer dwadzieścia dziewięć..." Depesza — po rozszyfrowaniu — brzmiała : Hillary i Tensing osiągnęli szczyt 29 maja". Był to, jak wiadomo, prezent koronacyjny dla królowej Elżbiety, która następnie obdarzyła szlachectwem Johna Hunta i Edmunda Hillarego. Tensing, jako obywatel Nepalu, otrzymał najwyższy order swego kraju, a później złożył wizytę królowej Elżbiecie w Londynie i był tam honorowany jako znakomitość.

O tych to wydarzeniach opowiada barwnie i ze szlachetnym patosem film *The Conquest of Everest*, nakręcony na miejscu przez operatora Toma Stobarda, a na najwyższych etapach przez nauczyciela i korespondenta ,,Timesa" George'a Lowe. Z wyjątkiem muzyki (która, moim zdaniem, zbyt hałaśliwie podkreśla najtrudniejsze — i tak dość porywające podejścia) i pewnych fragmentów nagranego już w Anglii komentarza — wszystko w tym filmie jest doskonałe, piękne i ciekawe. Żaden opis nie jest w stanie oddać majestatu olbrzymiej góry, dominującej potężną białą bryłą nad całym krajobrazem, broniącej każdego kroku ludziom-mrówkom, pnącym się po ruchomych lodach, rąbiącym schody dla następców, zatykającym na trasie kolorowe chorągiewki rozpoznawcze i przerzucającym mosty nad szczelinami wśród skał i lodowców. Trzeba zobaczyć ten film, by pojąć nieludzki trud płuc, zatruwanych niepostrzeżenie rozrzedzonym powietrzem, obezwładniającą słabość mięśni, które muszą wspinać się wzwyż i bezsenność długich nocy wędrowców, którzy na ostatnich etapach nawet spać mogą tylko w maskach tlenowych; nieodstępne zimno, kąsające ciało mimo najlepszej odzieży; zdradliwy brak apetytu i bezbrzeżne zobojętnienie.

Film o zdobyciu Everestu jest nie tylko pomnikiem filmowej dokumentacji, operującej celnie środkami artystycznego kunsztu (zdjęcia i montaż). *The Conquest of Everest* oświetla najlepsze cechy brytyjskiego charakteru narodowego. Film pokazuje w sposób najbardziej przekonywujący, że sukces wyprawy był wynikiem trzech czynników : znakomitego planowania, zespołowej pracy wszystkich członków ekspedycji (oczywiście z tragarzami-Szerpami włącznie) i jednakowej zręczności oraz determinacji Szerpa Tensinga Norkay'a i Nowozelandczyka Edmunda

Hillarego. Ani Hillary, ani Tensing nie wdarliby się na szczyt, gdyby nie wielomiesięczne przygotowania i planowanie. Cały ekwipunek wyprawy — od aparatów tlenowych aż do pudełek na zapałki (bodaj, że włącznie z kolorystyką specjalnych ubrań w przewidywaniu barwnych zdjęć filmowych) — był starannie przemyślany, mozolnie wykonany i wypróbowany w zakładach naukowych i wojskowych w Anglii. Ekspedycja była planowana jak trudny wypad komandosów. Zespół pracował równo, ofiarnie i fachowo pod sprężystym kierownictwem Hunta. Film oddaje sprawiedliwość każdemu i to jest nie najmniejszy powód do chluby dla operatorów i realizatorów, do których listy trzeba dodać kpt. J. B. L. Noela, autora włączonych do filmu zdjęć z wypraw w latach 1922 i 1924.

◆

Because it's there... Bezinteresowność trudu i narażenia życia przez ludzi silnych. A więc wielkość?

Tak, zatoczywszy łuk od pogańskiego Rzymu, od wielkiego Brutusa i wielkiego Cezara, poprzez nikczemność i małość dzisiejszego Berlina, dochodzimy znów do ludzkiej wielkości. Bo zdobywcy Everestu noszą w sobie cechy autentycznych wielkości. Każdy z nich — analfabeta Tensing, pszczelarz Hillary i wszyscy ich towarzysze — narażali życie i trudzili się bezinteresownie — po prostu dlatego (świadomie, czy podświadomie), aby utwierdzić swą dumę człowieczeństwa.

Ale jeśli tę wielkość rozpatrywać w kategoriach ogólnych, w kategoriach wieków, filozofii i światopoglądów — to wydaje mi się, że jest to wielkość schizofreniczna. Próbuję — na mój własny użytek — odpowiedzieć na początkowe pytanie. Rzymianin nie potrzebował zdobywać Everestu (i nigdy nie przyszłoby mu to do głowy), bo swą siłę i wielkość mógł manifestować w codziennym życiu w płaszczyźnie politycznej. Ale dziś nie ma miejsca na Brutusów i Cezarów. Można by zaryzykować twierdzenie, że dziś wielki mąż stanu — nie licząc bardzo rzadkich wyjątków — nie może być do gruntu szlachetnym, a więc w pełni wielkim człowiekiem. Dlatego — tak mi się wydaje — współczesna schizofreniczna ludzkość, ratując swoją godność, wymyśliła sport wysokogórski : bezinteresowne zdobywanie szczytów przez ludzi silnych, ambitnych a zarazem szlachetnych.

KRYTYK

Kronika angielska

LAUR KRYTYCZNY

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie uważając krytykę za szczególnie ważną dla twórczości pisarskiej ustanowił nagrodę 25 funtów za najlepszą (w czasie od końca 1953 do jesieni 1954) pracę (działalność) krytyczną w zakresie polskiej twórczości pięknej na obczyźnie.

Tak brzmi tekst oficjalnego komunikatu. Inicjatywa jest słuszna i chwalebna. Zobaczymy jednak jak będzie stosowana w praktyce. Czy ,,laur krytyczny'' przyznany zostanie jednemu z członków londyńskiego klubu wzajemnej adoracji zgrupowanemu wokół ,,Wiadomości'', czy też uwieńczy czoło ,,outsider'a''.

Problem niewątpliwie jest ciernisty. Wydanie książki polskiej na emigracji jest niemal heroicznym osiągnięciem. Autor, wydawca, księgarz, nabywca — jednym słowem wszyscy oczekują nagrody, pochwały, zachęty, uznania.

Młodzi piszą po angielsku albo w ogóle nic nie piszą. Znakomita większość ,,nowości'' wychodzi spod piór starych zawodowych pisarzy. Jakże ciężko jest zdobyć się krytykowi na odwagę i stwierdzić, że ,,firmowi'' pisarze dają obecnie (na ogół) rzeczy znacznie mniej wartościowe niż dawniej. ,,Pani Sapowska'', ,,Leśnik'', ,,Tatry'', ,,Sprawa Józefa Mosta'', ,,Błogosławiona Wina'' — nie są ,,reprezentatywne'' dla nazwisk literackich odnośnych autorów. To są dzieła albo wyraźnie poniżej poziomu danego pisarza (,,Pani Sapowska'', ,,Tatry''), albo pozycje, które choć stanowią poważne osiągnięcie pisarskie nie wytrzymują porównania z dawniejszymi utworami danego autora (,,Sprawa Józefa Mosta'' w zestawieniu z ,,Krauzowie i inni''). Herminia Naglerowa to niewątpliwie doskonali Krauzowie a nie Józef Most.

Krytyka literacka ma trudne a często niemiłe zadanie do spełnienia przed którym jednak nie może się ugiąć. Danej społeczności ludzkiej nie przynosi hańby jeżeli w pewnym okresie wydaje słabe książki. Jest natomiast rzeczą kulturalnie hańbiącą i niemoralną słabe książki promować na znakomitości tylko dlatego, że ukazały się ,,w trudnych warunkach emigracyjnych'' względnie, ponieważ autorem jest starszy, miły pan, który kiedyś pisał dobrze książki a krytyk pamięta go jeszcze z dobrych czasów w Warszawie. Nie mieć dobrej literatury jest nieszczęściem — ale mierną literaturę nazywać dobrą literaturą jest przejawem upadku. Dlatego twierdzę, że finalna odpowiedzialność spoczywa na krytykach a nie na pisarzach.

Związek Pisarzy powinien również poczuwać się do obowiązku moralnego (i praktycznego) mecenatu w stosunku do młodszych pisarzy, którzy znaleźli się poza ramami londyńskiego klubu ,,adoracyjnego''. Poza Londynem kończy się ,,wielka emigracja'' z Grydzewskim, Terleckim, Strońskim — z ,,Wiadomościami'' co sobotę i z Zygmuntem Nowakowskim co czwartek. Pisarzy rozsianych po świecie gnębią wątpliwości i troski. Czy są potrzebni, czy ktoś o nich jeszcze pamięta, czy warto pisać i czy ktoś jeszcze polską książkę wyda ? Dotyczy to przede wszystkim młodszych (nie młodych bo takich nie ma) których ,,Wiadomości'' nie zabalsamowały za życia i nie zaliczyły w poczet wielkości, których nie ima się ani ząb czasu ani krytyka. Ci, których odźwierny polskiego panteonu (Dr M. Grydzewski) zakotwiczył za życia w ,,przystani nieśmiertelnej sławy'' mogą zawsze liczyć na jakąś antologię, jakieś przedśmiertne ,,zbiorowe wydanie'' i pośmiertne ,,dzieła wybrane''. I oczywiście mogą liczyć na nagrodę gdyby się jeszcze taka znalazła, której dotąd nie zainkasowali. Ale pisarze nie zabalsamowani muszą pracować na chleb często z dala od większych ognisk kulturalnych przy całkowitej obojętności emigracyjnego parnasu.

Straszewicz dał jedną z najlepszych powieści jakie napisano na emigracji. Może są jeszcze inni ,,Straszewicze''? Co się na przykład dzieje z Bobkowskim albo z Parnickim ? Ten ostatni ma podobno gotową książkę — czy Związek Pisarzy wie coś na ten temat ?

Niedawno, tu w Londynie, rozmawiałem z zasłużonym polskim księgarzem. Mówiąc o swych zamierzeniach wydawniczych wspomniał, że projektuje wydanie powieści (już nie przedwojennej lecz przedhistorycznej) znanego pisarza przebywającego na emigracji. Czyż nie lepiej byłoby wydać nową książkę Bobkowskiego czy Parnickiego ?

Czy Związek Pisarzy nie powinien współpracować z księgarzami polskimi ? Każdy księgarz ma swojego rzeczoznawcę literackiego ale krytyk ten ocenia tylko przedłożony manuskrypt i nic poza tym. Związek Pisarzy jako cech ludzi pióra powinien zbierać szczegółowe dane by móc poinformować każdego księgarza jakie książki pisarzy polskich są gotowe do druku. Powinien jednym słowem być aktywnym i rzutkim agentem literackim, który by służył swoim członkom (i nie członkom) pośrednictwem, radą i informacją.

Ale obawiam się, że to są zbyt wielkie wymagania...

GRUPY PUBLICYSTYCZNE

W biuletynie austriackiego instytutu dla badań zagadnień politycznogospodarczych (Oesterreichisches Forschungsinstitut für Wirtschaft und Politik) ukazał się artykuł Doc. Dr Gotthold Rhode'go z Herder Institut w Marburgu pt. ,,Die polnische politische Emigration".

Szkic opracowany jest z naukową pedanterią cechującą to poważne wydawnictwo a nawet pisownia polskich nazwisk podana jest bezbłędnie z uwzględnieniem akcentów jak np. ,,ń" w nazwisku premiera generała Odzierzyńskiego.

Interesujące są uwagi autora dotyczące tzw. ,,grup publicystycznych" na emigracji.

,,Niezależnie od ugrupowań politycznych — pisze Dr Rhode — istnieją dwie ponadpartyjne grupy publicystyczne, a mianowicie zespół redakcyjny dobrze redagowanego londyńskiego ,,Dziennika Polskiego" i grono współpracowników paryskiego miesięcznika .,Kultura", która bezwątpienia jest najlepszym publicystycznym organem emigracji. Obydwa powyższe zespoły publicystyczne odrzucają grupę mikołajczykowską i z dużą ironią komentują niekończące się spory między Rządem a Radą Polityczną. Podczas gdy ,,Dziennik Polski" jest wyraźnie nacjonalistyczny i w stosunku do niemczyzny w dużej mierze nieprzejednany ,,Kultura" rozpatruje położenie znacznie trzeźwiej i zastanawia się poważnie nad przyszłym nowym ładem w Europie".

Dr Rhode (którego omawiany szkic świadczy o gruntownej znajomości przedmiotu) — partyjnym wydawnictwom emigracyjnym nie poświęcił najmniejszej wzmianki. Według jego oceny tylko ,,grupy publicystyczne" ,,Kultury" i ,,Dziennika Polskiego" wywierają wpływ tej miary, że należy je uznać za samodzielne ośrodki myśli politycznej o pewnym znaczeniu i zasięgu.

Powyższa ocena jest interesująca bo choć obie cytowane powyżej grupy publicystyczne dość poważnie różnią się między sobą to jednak zarzuty stawiane przez tzw. koła polityczne ,,Kulturze" i ,,Dziennikowi" są podobne. A mianowicie, że zarówno ,,Dziennik" jak i ,,Kultura" są wydawnictwami ponadpartyjnymi i rezerwują sobie prawo do własnego sądu.

Jest rzeczą charakterystyczną dla obrazu naszej emigracji, że żaden z ruchów partyjno-politycznych nie umiał stworzyć dobrego pisma. Niedawno zamknięte paryskie ,,Słowo Polskie" było dosłownie parodią pisma codziennego — rządowy ,,Orzeł Biały" miewa świetne artykuły ale redagowany jest śmiertelnie nudno i bez nerwu. Reszta partyjnych wydawnictw to są przeważnie ,,biuletyny", które trudno nazwać pismami.

Na rynek wydawniczy na emigracji ani rząd ani partie nie mają żadnego wpływu. Stwarza to możliwość wydawania pism niezależnych, których nie można poddać ani pośredniej ani bezpośredniej cenzurze. Z bardzo nielicznymi wyjątkami prasa emigracyjna nigdy nie nadużywała tej całkowitej wolności słowa z jakiej korzysta na Zachodzie. Przeciwnie — w mojej

opinii dyskrecja i pobłażliwość z jaką prasa emigracyjna traktuje pewne drażliwe sprawy posunięta jest często zbyt daleko — tym bardziej, że w braku jakiejkolwiek reprezentacji pochodzącej z wyborów — wolna prasa jest jedyną demokratyczną instytucją jaką posiadamy.

PRZEKŁADY

Maria Danilewiczowa w artykule pt. ,,Dwanaście najlepszych powieści angielskich'' (,,Wiadomości'', Nr 398) przytacza za ,,Index Translationum'' ciekawe dane cyfrowe dotyczące przekładów na język polski.

Przed wojną znajdowaliśmy się w pierwszej piątce państw, które ogłaszały najwięcej przekładów. I tak np. w roku 1938 ukazało się w Polsce 640 przekładów. W tym samym roku w Anglii ukazało się zaledwie 340 przekładów.

W ,,Polsce ludowej'' polityka przekładowa uległa całkowitej reorientacji. Przekłady z literatur zachodnich a w szczególności z literatur anglosaskich znikły niemal zupełnie z półek księgarskich ustępując miejsca zalewowi przekładów z języka rosyjskiego. W roku 1951 na jedną książkę przełożoną z angielskiego przypadało dziesięć przekładów z rosyjskiego. Przed 1939 r. stosunek ten wyrażał się proporcją 6:1 na korzyść przekładów z języka angielskiego.

Tak oto w Polsce przeprowadza się na wielką skalę ,,od-zachodnienie'' czytelnictwa co oczywiście pociągnie za sobą poważne konsekwencje i przemiany w klimacie kulturalnym.

Wydaje się dziesiątki i setki tysięcy dolarów na różnego typu ,,roboty na Kraj''. Nie wszystkie pożądane i celowe. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że gdyby któraś z potężniejszych instytucji jak Free Europe, Kongres Wolności Kultury czy Fundacja Forda — sfinansowała bibliotekę przekładów cennych dzieł literatur zachodnich to pieniądze wydane na ten cel byłyby zużyte w sposób dosłowny (a nie tylko w przenośni) na obronę kultury zachodniej. Trzeba się bowiem liczyć z faktem, że jeżeli Polska zostanie kiedyś uwolniona ,,od-zachodnienie'' jej bibliotek będzie całkowite i byłoby rzeczą wielkiej wagi móc wówczas zaopatrzyć czytelnie w przekłady z literatur zachodnich względnie przystąpić natychmiast do druku przekładów przygotowanych na emigracji. Zorganizowanie tego rodzaju biblioteki przekładów w oparciu o dobrze przemyślany plan, choć nie jest inicjatywą, której realizacja wymagałaby dziesiątków tysięcy dolarów — przekracza jednak finansowe możliwości instytucji emigracyjnych.

Free Europe wydaje setki tysięcy dolarów na przekonywanie Polaków w Kraju, że komunizm jest złem. Byłoby niemniej celowe gdyby poświęcono kilka tysięcy dolarów na to by pozytywne i cenne wartości kulturalne Zachodu udostępnić ludziom po tamtej stronie ,,żelaznej kurtyny''. Gdyby na przykład opracowano obszerną antologię współczesnej literatury amerykańskiej i przełożono ją na język polski (oraz inne języki wschodnio-europejskie) to dzieło takie mogłoby być dziś w fragmentach radiofonizowane a po uwolnieniu rozprowadzone po czytelniach i bibliotekach w Polsce pełniłoby najszlachetniejszą propagandę Stanów Zjednoczonych.

Wadą tego projektu jest jego oczywistość. Projekty słuszne i oczywiście pożyteczne jest zwykle najtrudniej zrealizować.

POLSZCZYZNA SAKRALNA

Teksty orędzi rządu i Prezydenta pisane są w stylu ,,pseudo-romantycznym'', który całkowicie odbiega od literackiej i mówionej polszczyzny używanej przez współczesne pokolenie Polaków. Swobodne pisanie w poetyckiej

prozie sprzed stulecia nie jest rzeczą tak prostą jak wydaje się to naszym dygnitarzom a imitowanie owego przebrzmiałego stylu jest nieznośnym manieryzmem.

Dlaczego w orędziach musimy powrócić „na ojczyzny łono", dlaczego „miłość i tęsknota to dwie prządki naszego żywota na obczyźnie", dlaczego „krwią z krwi i kością z kości przodków naszych, których prochy itd., itd."

Kością z kości może stanąć w gardle tego rodzaju makaroniczna frazeologia. Powyższe przykłady zaczerpnięte są z dwóch ostatnich oficjalnych orędzi.

Powyższą sprawę można rozwiązać dwojako. Jeżeli rząd i Prezydent uważają, że trzeba utrzymać ten napuszony styl to w takim razie redagowanie orędzi powinno się powierzyć zawodowym pisarzom. Zygmunt Nowakowski potrafiłby napisać orędzie, które byłoby wzniosłe, uroczyste, gęsto przetykane cytatami z wieszczów ale byłoby na poziomie i w zgodzie z gramatyką polską. To wcale nie jest rzecz łatwa. Jeżeli orędzie ma być dobrze zrobione musi być wystylizowane z wielkim poczuciem smaku i kultury.

Drugie rozwiązanie — to zerwanie z tym antypatycznym szablonem. Dlaczego rząd czy Prezydent zwracając się do Polaków w Kraju i na emigracji nie mogą przemawiać w normalnej, współczesnej polszczyźnie ?

W czasie ośmiu lat służby w wojsku wysłuchałem setek rozmaitych okolicznościowych rozkazów odczytywanych przed frontem. Działy się istotnie rzeczy wielkie i niezwyczajne. Rozkazy jednak były pompatyczne i długie i z tego potopu frazesów nie utkwiło mi w pamięci ani jedno zdanie.

Rozkaz Nelsona przed bitwą pod Trafalgar składał się tylko z jednego prostego zdania w którym wódz zamknął wszystko. Rozkaz ten do dziś pamięta każdy Anglik.

Sztuka pisania orędzi, przemówień w Radzie Narodowej czy rozkazów podlega temu samemu kardynalnemu prawidłu co dzieło literackie : trzeba mieć naprawdę coś do powiedzenia.

LONDYŃCZYK

Wystawa rękopisów i druków

Polski Ośrodek Badań w Londynie (Polish Research Centre) urządził w grudniu bardzo ciekawą wystawę części własnych rękopisów i druków polskich z XVI do XIX wieku. Starannie i fachowo opracowany katalog wystawy obejmuje 163 pozycje, wśród których znalazły się bardzo cenne obiekty. Z autografów królów polskich pokazano dwa dokumenty z podpisem Zygmunta III (kontrakty z dowódcą floty królewskiej Johnem Moor i z dowódcą oddziałów cudzoziemskich Arturem Aston), list Władysława IV do kardynała Aldobrandini z roku 1634, dwa listy Augusta II, przywilej Augusta III oraz po jednym liście Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta. Wśród druków polskich z XVI wieku największe wrażenie robi pierwsze wydanie dzieła Kopernika *De Revolutionibus Orbium Coelestium* (w bardzo dobrym stanie) i Marcina Kromera *De Origine et Rebus Gestis Polonorum libri XXX*. Wystawione dzieło Wawrzyńca Goślickiego *O dobrym senatorze* (w języku łacińskim, z roku 1568) było przełożone na język angielski i wywarło pewien wpływ na Szekspira, który po zapoznaniu się z tą książką stworzył postać Poloniusza. Sprawa ta jest obecnie przedmiotem badań dr Teslara, który przygotowuje odpowiednie opracowanie nau-

kowe. Na czele druków z wieku XVII figurował na wystawie biały kruk : *Constitutio*, obejmujący statuty polskie od roku 1550 do 1649 w opracowaniu Andrzeja Piotrowczyka (wydane w Krakowie w latach 1616-1649). Ten obszerny zbiór ustaw sejmowych był później przedrukowany jako tom II *Voluminae Legum*. Dalej mieliśmy możność obejrzeć prześliczny, malutki katechizm protestancki, wydany w Gdańsku w roku 1622 (*Enchiridion*) „z Niemieckiego języka na Polski pilnie i wiernie przełożony przez Hieronyma Maleckiego Plebana Leckiego". Jest to tomik pięknie oprawny w drzewo orzechowe, ilustrowany prześlicznymi drzeworytami (jeden z nich przedstawia „Gniew" — Kaina zabijającego Abla olbrzymią pałą). Bardzo cenną pozycją jest śliczne wydanie dzieła historycznego historyka nadwornego Stefana Batorego Heidensteina Reinholda (Frankfurt nad Menem, 1672). Pokazano także łaciński tekst *Wojny Chocimskiej* Jakuba Sobieskiego (Gdańsk, 1646), liryki łacińskie Macieja Kazimierza Sarbiewskiego (Antwerpia, 1630) i wiele innych, cennych pozycji.

Bardzo bogaty i interesujący dział stanowią anglo-polonica z wieków XVII, XVIII i XIX, wśród których zwraca uwagę duża ilość dzieł angielskich o Sobieskim. Najciekawsza w tym dziale jest sekcja, dotycząca lat 1830-1870, zawierająca bogate materiały do dziejów polskich emigracji, mogące się stać przedmiotem niejednej pracy doktorskiej. Niestety Polski Ośrodek Badań nie posiada żadnych materiałów, dotyczących niezmiernie ciekawej organizacji emigrantów z lat 30-stych ubiegłego stulecia — znanej i opisywanej obecnie w Polsce — demokratycznej *Gromady Grudziąż*.

Wystawa Polish Research Centre wywarła na mnie bardzo duże wrażenie. Jest ona dowodem, że przynajmniej jedna instytucja polska w Anglii nie zmarnowała wojennego okresu prosperity i wiedziała, co zrobić z posiadanymi wówczas funduszami. W rezultacie P.R. Centre posiada obecnie szereg cennych unikatów, bo trzeba pamiętać, że duża część poloniców British Museum padła ofiarą wojny. W ogóle trzeba stwierdzić, że Polski Ośrodek Badań z powodzeniem realizuje swą szlachetną ambicję, aby stać się — obok Biblioteki Polskiej w Paryżu — drugim stałym centrum nauki polskiej w wolnym świecie.

Zasługa przygotowania wystawy przypada popularnej wśród naukowców polskich w Londynie, niezmordowanej i ofiarnej bibliotekarce Centrum, p. Róży Matłachowskiej. Bardzo dobry kształt plastyczny nadał jej inż. arch. Bogdanowicz.

Nie zabrakło na wystawie akcentu tragicznej aktualności. Był nim *List Arcybiskupów i Biskupów Polskich do generała adiutanta królewskiego Lamberta, Namiestnika w Królestwie Polskim w sprawie prześladowania Kościoła Katolickiego z roku 1861*. Treść tego dokumentu bardzo przypomina słynne już *Non Possumus* Episkopatu polskiego z maja 1953 roku.

J. J.

Wystawy paryskie

„Un siècle d'art français" — sto lat sztuki francuskiej — to tytuł wystawy, która odbywa się w Petit Palais. Oglądając ją wspominałem z utęsknieniem wystawę z Sao Paulo, na której — jak pamiętają zapewne czytelnicy z poprzedniego numeru „Kultury" — było tylko sześćdziesiąt obrazów. Wystawa, o której teraz mowa, zawiera bowiem blisko tysiąc rzeźb i obrazów

— to już nie wystawa, to całe muzeum, a omawianie muzeów przekracza niewątpliwie granice skromnej recenzji. Zresztą nawet jak na muzeum sale są ogromnie przeładowane, obrazy porozmieszczane jak najfatalniej, a przy niezbyt jasnym świetle zimowym (któremu nie sprzyja na dobitek panująca obecnie w Paryżu mgła) połowy obrazów po prostu nie widać, a oglądanie reszty jest niezmiernie męczące. Wydaje się jak gdyby organizatorzy z góry zrezygnowali z tego, by ktoś coś na wystawie zobaczył a tym bardziej przeżył, aby choć zastanowił się nad czymś, wystarczy że był, że sprawdził obecność dzieła w katalogu, że stwierdził, że to i owo jest charakterystyczne dla epoki. Także tych, którzy mają być odbiorcami sztuki wyklucza się od razu spośród żyjących. Mamy tu do czynienia tylko z ,,Kunstbetriebem''. Poza tym obok rzeczy dobrych rzuca się w oczy przede wszystkim olbrzymia ilość drugorzędnych naśladowców, nic więc dziwnego, iż z wystawy wychodzi się z uczuciem ulgi, że istnieje jeszcze jakieś inne malarstwo, nie tylko to z ostatnich stu lat. Zapewne lwią część winy ponoszą tu organizatorzy, ale nie tylko oni. Najbardziej przygnębiająco działają impresjoniści i post-impresjoniści. Nie mogę sobie wyobrazić, że za sto lat ktoś będzie mógł jeszcze oglądać Bonnard'a, ale gdy się zobaczy to co było przedtem, to trudno dziwić się impresjonistom. (Oczywiście nie mam tu na myśli Boudin'a i Jongkinda w jednej z pierwszych sal, zresztą Jongkind uchodzi za preimprosjonistę).

Około roku 1900 do jednego z dworów wschodnio-galicyjskich zachodził nieraz nieokreślonego wieku człowieczek, półbiedak, pół-błazen, któremu zapewne dzięki temu wiele uchodziło bezkarnie. W każdym razie był on bardzo uczciwy i szczerze religijni. Ówcześni panicze lubili go prowokować, być może nie bez myśli o ,,epatowaniu'' dam, a szczególnym powodzeniem cieszyła się następująca konwersacja : ,,Miśku, gdzie ty był?'' Na co ów odpowiadał leniwie, ,,śpiewając'' z galicyjska : ,,U Dupa'' (rodzaj męski pozbawiał widocznie to słowo wszystkiego co mogło gorszyć ówczesne towarzystwo). Rozmowa ciągnęła się dalej : ,,No i co on ci powiedział?'' ,,Żeby ja poszedł szukać innych Dupów''. Rozbawiony panicz pytał dalej : ,,A ty co na to, Miśku?'' ,,A ja wzioł taj tu przyszedł''. To zuchwalstwo wywoływało ogólną radość. Owa konwersacja przypomniała mi się, gdy przechodziłem przez sale wystawy, a zwłaszcza gdy doszedłem do jednej z nich, gdzie oprócz obrazów na ścianach cały sufit jest jeszcze pokryty olbrzymiej wielkości ciałami i częściami ciała, wśród których tylna część ciała zajmuje niewątpliwie honorowe miejsce. Ciekaw jestem co by powiedział na to ów Miśko, a także co by powiedzieli właściwi twórcy naszego malarstwa : autorzy średniowiecznych witraży i obrazów. ,,Kult ciała'', w sensie bynajmniej nie greckim, zdaje się być jednym z aspektów malarstwa XIX. i XX. wieku (choć sięga niestety dalej wstecz). Mam nadzieję, że nikt z czytelników nie weźmie tego za purytańskie zrzędzenie. Kobiety

Toulouse-Lautreca, ubrane aż po kostki, są stokroć bardziej podniecające niż wszystkie golizny Renoir'a, a muszę się przyznać do nieuleczalnej wprost słabości : odpychają mnie gwałtownie ci wszyscy malarze, którzy musieli mieć koniecznie za modelkę jakiś ,,porządny kawałek'', że użyję wyrażenia, które przywodzi na myśl rzeźników raczej niż malarzy (gwoli sprawiedliwości muszę zresztą dodać, że wystawa zawiera całą serię bardzo delikatnych akwarel Renoir'a, w stylu bynajmniej nie ,,rzeźnickim''). Zastanawiam się jakie wrażenie może wynieść z wystawy czternastoletni chłopiec, którego widziałem na sali. Obawiam się, że dojdzie do wniosku, że ci ,,dorośli'' i ,,sławni'' to jakieś wielkie świnie i że zrobi się z niego właśnie zacięty purytanin.

Zaletą wystawy jest sporo rzeczy nieoczekiwanych. Obok zapomnianego dziś Ozenfanta (Remparts de Sisteron i drugie mniej ciekawe płótno, martwa natura) mamy poprzedników genre'u Toulouse-Lautrec'a (Constantin Guy). Mamy też nieoczekiwanego prekursora Chagalla w osobie Odilon Redon'a i wreszcie cztery wielce zabawne Cézanne'y przedstawiające alegorycznie Wiosnę, Lato, Zimę i Jesień, a pochodzące z lat 1859-1862.

◆

Wystawa grupy współczesnych malarzy cejlońskich (razem ośmiu) mieści się w sąsiedniej sali tegoż muzeum, ale na szczęście zacząłem właśnie od niej. Ma ona tę zaletę, że zawiera tylko sześćdziesiąt dwa dzieła, w tym szereg rysunków. Młodzi malarze cejlońscy — najstarszy ma lat 50, najmłodszy 23 — należą do pierwszej generacji, która zerwała z dziewiętnastowiecznym akademizmem z drugiej ręki (bo imitowanym u Anglików) i nawiązała do tradycji cejlońskiej, której nie ma się co wstydzić, jako że ma za sobą dwa tysiące lat. Nie obeszło się oczywiście znów bez imitowania (i niekiedy znów z drugiej ręki) różnych współczesnych kierunków europejskich.

Oglądałem tę wystawę tak jak przeciętny Anglik czy Francuz ogląda chyba wystawę polską. Nic prawie o tym kraju nie wie, najwyżej potrafi usytuować go z grubsza w pewnym kręgu kulturalnym i chciałby właśnie z jego malarstwa dowiedzieć się czegoś głębszego o charakterze kulturalnym kraju, by użyć nieco niemodnego wyrażenia : o duszy jego cywilizacji. Nikt nie szuka oczywiście w polskim malarstwie jeszcze jednego francuskiego impresjonisty, ani obrazów ,,równie dobrych jak Picasso'', bo w tym samym stylu. Stąd być może niepowodzenia zagranicą niektórych naszych malarzy, których uważaliśmy za ,,równie dobrych jak Francuzi'', a powodzenie wystawy polskiej sztuki ludowej, która była może i lepsza jak Francuzi, a w każdym razie ma nieco inną genealogię duchową .

Niewątpliwie na wszystkich wystawiających malarzach cejlońskich, czy byli kiedy w Europie czy nie, są widoczne wpływy bądź to Légera i Picassa, bądź Chagalla, bądź Braque'a,

bądź wszystkich ich naraz. Ale mają ci wszyscy malarze cejlońscy coś wspólnego, czego nie da się wywieść z wpływów europejskich. Można by tu z lekką przesadą zaadaptować znaną formułkę o sztuce ,,międzynarodowej co do formy, a narodowej co do treści''. Ale skoro zastanowimy się, to powiemy : europejska (w dużej mierze) co do formy, bo nie trzeba być na tyle zarozumiałym, by nasz partykularyzm europejski nazywać międzynarodowym, a co do treści przynależna do czegoś, co przekracza granice partykularyzmu cejlońskiego — do odrębnego świata kultury buddyjskiej, jako że Cejlon zachował najstarsze z istniejących tekstów buddyjskich i posiada klasztory kierujące się do dziś tą starą regułą. A miały one i mają duży wpływ na kulturę Cejlonu. ,,Narodową'' tylko o tyle, że teksty te, chociaż uniwersalne, różnią się co do języka oraz co do środka ciężkości religijnej od zachowanych na kontynencie indyjskim lub w Chinach.

Zresztą i jeśli chodzi o formę, to kolor malarzy cejlońskich jest bardzo oryginalny, gwałtowny i przypomina niewątpliwie znane freski z Ajanta w Indiach (których kopie można obejrzeć w Muzeum Guimet). Freski cejlońskie datują się zresztą z tej samej epoki co Ajanta i tradycja malarstwa ściennego trwała tam nieprzerwanie aż do początku dziewiętnastego wieku. Niektórzy malarze wzorowali się nawiasem mówiąc świadomie na freskach lokalnych. Taki na przykład obraz *Notatki do nowej mitologii* (1943), którego autorem jest *Justin Daraniyagala,* przypomina zewnętrznie Légera, ale nie ma nic z jego brutalności, jest bardzo taktowny i — by użyć modnego obecnie zwrotu — liryczny. Równie pełne taktu i uroku są dwa rysunki tego malarza : *Kobieta* i *Drzewa.* W rysunkach Cejlończycy wydają się w ogóle mniej skrępowani wpływem europejskim i wyżej wspomniane *Drzewa* dają wgląd w ,,psychikę'' pejzażu cejlońskiego (,,Psychika'' nie jest tylko frazesem, w Indiach wierzy się powszechnie, że drzewa mają dusze). Nie wiem jakiej religii są wystawiający malarze, są być może wśród nich i chrześcijanie, bo *R. Gabriel* wystawia dwa *Złożenia do grobu,* zresztą nieprzekonywające. Ale by móc omówić inne obrazy oparte na tematach niewątpliwie mitologicznych potrzebna byłaby oczywiście bliższa znajomość mitologii cejlońskiej. Po wystawie malarstwa meksykańskiego, którą widzieliśmy przed przeszło rokiem w Paryżu, wystawa cejlońska dajenam ciekawy przykład syntezy tradycji kulturalnej miejscowej i wpływu europejskiego.

Jan TOROSIEWICZ

Poeta i historia

W 1945 roku przeczytałem z zachwytem wiersze Miłosza zebrane w *Ocaleniu*. Nie znałem poezji Miłosza przed wojną. Była to dla mnie rewelacja. W recenzji, którą napisałem wówczas dla ,,Salamandry'' (miesięcznika 1 Dywizji Pancernej, który wbrew symbolice nazwy nie wyszedł cało z ognia bitwy) pisałem jak bardzo Miłosz-poeta związany jest z kulturą, z historią, z Europą. Dla Miłosza kultura nie jest, jak dla wielu innych poetów, składem poetyckich rekwizytów, z którego czerpie się nazwy, pojęcia, imiona o pewnym napięciu magicznym, aby je użyć w kontekście osobistej mitologii. W genealogii poetów Miłosz należy do gałęzi która wydała Claudela, T. S. Eliota, Ezrę Pounda, do gałęzi wyrastającej z pnia historii, a nie — jak Rimbaud, Rilke czy Apollinaire — z głębin ludzkiego istnienia. Miłosz identyfikuje się z historią, wydaje się czasem że życie rodzaju ludzkiego jest dla niego bardziej realne niż życie osobiste. Okaże się zresztą później jak bardzo obce mu jest deterministyczne podejście do tego zbiorowego życia jakim jest historia. Do jakiego stopnia właśnie ten proces identyfikacji nakazuje mu widzieć w historii życie dramatyczne, pulsujące wolnym wyborem, ciężarne nadzieją, to znów przeczuciem katastrofy.

W *Ocaleniu* były już oznaki tego procesu psychicznego,, spowodowanego hipnozą determinizmu historycznego, z którego tak przejmująco zdał sprawę Miłosz w *Zniewolonym Umyśle*. Poecie dano już do ręki uniwersalny klucz ,,diamatu'', nauczono go już pozornie logicznych odpowiedzi, które ma dać Edyp na pytanie Sfinksa. Miłosz wiedział (choć może nie całkiem świadomie), że ma się pożegnać z kulturą, ze sztuką i z historią. Dlatego może tak przejmująco brzmiał jego wiersz ,,Pożegnanie z Szekspirem''. W wierszu tym Miłosz żegnał się z rekwizytami poezji szekspirowskiej, z gwiezdną nocą Werony, z Julią i z Malvogliem. Ale może dlatego że w dziedzinie sztuki dzieło Szekspira nierozłączalnie związane jest z życiem, wydało się że Miłosz żegna się nie tylko z Szekspirem a z życiem samym. Pożegnanie jest jednak też formą stosunku, a nawet stosunku nie-

raz rozdzierającego żywego. I dlatego Miłosz, pozornie żegnając świat duńskich zamków, włoskich pałaców, wysp bajecznych i letniej nocy — żył swoim wierszem w tym świecie ze wzmożoną intensywnością. I to skłoniło mnie do napisania osiem lat temu w recenzji z *Ocalenia*, że Miłosz może w Polsce żyć i pisać, dopóki ,,żegnanie'' historii i kultury będzie programowo wskazane czy dopuszczone. Dopóki będzie można z melancholijnym westchnieniem stwierdzić że czas zerwać z przeszłością i zwrócić się ku ,,nowej epoce'' (w westchnieniu tym zachowując z przeszłością ożywczy kontakt). Ale takie pożegnanie nie może trwać wiecznie. Nawet na scenie opery stojące naprzeciw siebie chóry, śpiewające przez połowę aktu ,,Adieu, Adieu'', lub ,,...bo czas już iść, bo iść już czaaas'', wreszcie rozstają się, kończy się pożegnanie. Kiedy ta chwila nastąpi — pisałem — Miłosz będzie musiał zamilknąć, lub opuścić Polskę. Było to oczywiście intuicyjne uproszczenie problemu.

Jak wygląda dziś pozycja Miłosza, po wydaniu zbioru *Światło Dzienne?* To co najsilniej uderza w tym tomie, to fakt że Miłosz może włączyć do zbioru wydanego na wygnaniu wszystkie wiersze napisane i ogłoszone w Polsce. Uderza odwaga człowieka który śmiał napisać i opublikować w *Twórczości* w roku 1948 taki wiersz jak ,,Traktat Moralny''. Warto zacytować ostatnie jego strofy, przejmujące ostrością wizji, bezkompromisowym pesymizmem, stanowiące niesłychane wyzwanie rzucone reżimowi :

Na dziś nie daję ci nadziei
Nie czekaj darmo treuga Dei,
Bo z życia które tobie dano
Magiczną nie uciekniesz bramą.
Idźmy w pokoju, ludzie prości.
Przed nami jest
— ,,Jądro ciemności''.

Odwagę tę, siłę tej postawy trzeba tym mocniej podkreślić, że Miłosz w *Zniewolonym Umyśle* daje nam przenikliwą analizę ,,kapitulacji'' intelektualistów wobec ,,Nowej Wiary''. Samemu odważnie walczyć — ale umieć zrozumieć tych którzy nie walczyli — oto postawa dość wyjątkowa.

W prasie emigracyjnej obrzucono Miłosza błotem. Byli przemytnicy, byli i obecni dwójkarze, a nawet niestety autentyczni przedstawiciele polskiej kultury dali upust w artykułach charakterystycznie upstrzonych słownictwem zapożyczonym z Ochrany i NKWD jakiemuś obłędnemu zaślepieniu. Wśród stosu oszczerstw, zniekształceń, szantażowych chwytów i nonsensów powtarza się uporczywie pytanie : ,,dlaczego Miłosz wybrał wygnanie?'' *Światło Dzienne* daje na to pytanie odpowiedź jasną i ostateczną — Miłosz nie zrywał z reżimem tak długo jak długo miał możność walczyć z nim otwarcie swoim wierszem. Przełom dokonany w Polsce w dziedzinie ,,polityki literackiej'' w latach

1948-1949 był tego rodzaju że Miłosz nie mógł już mieć nadziei na publikowanie swoich wierszy nawet przy stosowaniu „Ketmanu". Gałczyński — ostatni w Kraju autentyczny poeta — mógł pisać pod każdym reżimem. Wiersz jego jest naturalny i bezpośredni jak śpiew ptaka (czy raczej jak bek leśnego kozła). Aluzja historyczna jest u Gałczyńskiego przypadkowa, odpowiada jedynie jego wewnętrznej mitologii. W poezji Gałczyńskiego wydaje bal Salomon — ale równie dobrze może go wydać Stalin czy Bierut. Gałczyński jest obrońcą absurdu (tego poetyckiego tlenu i azotu). Może on chwalić PZPR, plany pięcioletnie, przeklinać Amerykanów, prawić bzdury o wojnie bakteriologicznej — to tylko zewnętrzna szata jego wierszy. Pod tą czapką niewidką siedzi rogaty, przekorny diabeł, koźli faun roześmiany od ucha do ucha, sprośny Marchołt urżnięty polską wódką. Wiersz Gałczyńskiego jest niezmiernie ważny dla życia w dzisiejszej Polsce. Mami jak błędny ognik, huka jak echo po lesie, ma w sobie krew i spermę i przeczy, każdym słowem przeczy higienicznej, abstrakcyjnej, kaznodziejskiej nudzie, którą jak nową zarazę niesie ze sobą świat komunistyczny. Ale Gałczyński jest potomkiem Villona i może spokojnie nabierać, naciągać, „kajać się" — jak wielu artystów pierwszej miary pozostał dzieckiem i nic nie może zdegradować jego natury, która pozostaje dumna, wolna i nietknięta przez uczynki. Gałczyński byłby wolniejszy w obozie koncentracyjnym niż Miłosz w anarchistycznej utopii. Bo Miłosz nie jest poetą wolnym. Ciąży na nim jak kamień grzech pierworodny poczucia odpowiedzialności nie tylko wobec własnej natury, ale wobec ładu społecznego, wobec ludzi, wobec „historii".

W epoce jedności cywilizacyjnej, w jednym z tych „złotych wieków" ludzkości związanej wspólną wiarą w celowość bytu, Miłosz byłby zapewne szczęśliwszy jako twórca. Zatopiłby się wówczas w świat który jest mu najbliższy, w organiczne misterium przyrody. Najczystsza poezja Miłosza tkwi w naturalnej genezie, w intuicji tworzenia się form, w odczuciu żywotnych soków materii. Jest to poeta narodzin. Poeta — czy człowiek —

„Pierwszy raz widzi światło.
Świat jest jaskrawym światłem.
Nie wie że krzyczą
Jaskrawe ptaki.
Ich serca biją szybko
Pod ogromnymi liśćmi.
Nie wie że ptaki żyją
W innym czasie niż człowiek.
Nie wie że drzewo żyje
W innym czasie niż ptaki
I będzie szło powoli
Do góry szarą kolumną
Myślące korzeniami
O srebrze podziemnych królestw".

Ten organiczny świat Miłosza żyje poza historią. Poeta może go ogarnąć wizją jednoczesną, jakby przekrój geologiczny na którym widnieją pokłady różnych epok. Życie ziemi, życie wszystkich przeszłych i przyszłych zwierząt, życie oceanu, w którym :

„...delfin wygląda z fali
Twarzą czarnego chłopca
I w płynnych miastach pustyni
Pasą się lewiatany".

Niestety mało takich wierszy daje nam Miłosz. Poczucie odpowiedzialności, historia, krążąca w jego żyłach jak krew, zmusza go do wzięcia udziału w dyskusji, której może najważniejszą stawką jest samo istnienie poezji :

„Niestety, kraina pozorna
Kaktusowego cienia
Włochata gwiazda wieczorna
Imitatorka milczenia,
Niestety świerszcze przebrane
Z muszlą na lasce pątników..."

„Niestety..." To słowo, jak w *Ocaleniu*, nadal rozbrzmiewa echem w poezji Miłosza.

„O Terpsychore, Euterpe,
Ja przecież tak was kochałem !
Na wietrze niezdarnych cierpień
Kolibra dom budowałem".

I wobec wezwania historii, wydaje się Miłoszowi że kraina jego poezji jest fikcją :

„Niestety, wiatr pióra porwał,
Gaśnie kraina pozorna".

Zajmując głos w dyskusji, zanurzając się w aktualność, przyjmując paraliżującą nieraz odpowiedzialność człowieka wobec epoki, Miłosz wie, że broni samej możności tworzenia. Oto czego żąda od poety mędrzec nowej Republiki, z której poezja będzie wygnana tak jak z Republiki Platona :

„My krzywdy twojej tu nie chcemy,
Pierś otworzymy bezboleśnie,
Węgiel gorący z niej wyjmiemy.

Żyć będziesz od cierpienia wolny.
Poczytność damy ci i sławę.
Niech wiersz twój, zamiast toczyć wojny,
Kształcącą ludziom da zabawę".

I Miłosz wie że :

„Stanie się tak. I popiół szary
Zakryje strony jego pisma.
Choć będą śniły się koszmary
Nikt do nich głośno się nie przyzna".

Walcząc w obronie poezji i życia, musi Miłosz zanalizować przeciwnika, zrozumieć jego postawę i osądzić ją — zrozumieć swą własną postawę, osądzić siebie samego. Stąd tyle wierszy w *Świetle Dziennym* będących właściwie esejami w formie poetyckiej. Do nich należy „Traktat Moralny" z kapitalną analizą schizofrenii współczesnego człowieka, która ze specjalną siłą występuje u teoretyków komunizmu :

„Ja tutaj tylko ci przypomnę,
Że diabeł, jak z lektury wiem,
Jest séparé de lui-même.

Unikaj tych co w swoim gronie
Pograwszy w polityczne konie,
Gdy na kominku ogień trzaska,
Wołają : lud, a szepczą : miazga,
Wołają : naród, szepczą : gie.
Myślę że robią bardzo źle,
Bo upajają się pozorem.
Sami są tylko meteorem
I lata ich czekają długie,
Gdy ich obracać będą pługiem,
I dużo wody minie w Wiśle,
Nim o nich znowu ktoś gdzieś piśnie".

Albo „Portret z połowy XX wieku" :

„Przyrównuje siebie do Rzymianina, w którym kult Mitry zmie-
[szał się z kultem Jezusa.
Dawne wiary w nim nie wygasły. Czasem myśli że jest we wła-
[dzy demonów,
Gromi przeszłość, bojąc się że kiedy ją zgromi, nie będzie miał
gdzie złożyć głowy.
Najchętniej gra w karty i szachy, żeby własnych nie zdradzać
[tajemnic".

Wiersze te, przy całej inteligencji i wnikliwości, wydają się należeć raczej do sfery czynu niż do sfery poezji. Zresztą czyż pomieszanie tych dwóch sfer nie jest właśnie dylematem twórcy który przyjął na siebie odpowiedzialność wobec epoki? Wszystko co Miłosz mówi w tych wierszach można właściwie powiedzieć prozą, chociaż może satyra, pamflet — nie na próżno *Światło Dzienne* otwiera inwokacja do Swifta — z natury rzeczy należą do prozy wierszowanej.

Czyżby Miłosz w obronie poezji zaniechał poezji samej? Nie — dlatego że dla autentycznego poety jakim jest Miłosz poezja jest jak oddech. Nawet w wierszach ,,programowych'' znajdziemy błyskawiczne intuicje, obrazy które uwieczniają płynny nurt rzeczywistości :

,,W dalekim,wielkim mieście gdzie nocami straszy
Sine światło kamiennych tuneli i cień
Ostrą piersią rzucają nagie manekiny...''

Albo :

,,Oto godzina kiedy z lokomotyw
Wysuwa się ręka maszynisty z kubkiem kawy,
Kiedy we fioletowych kaplicach Amoco i Esso
Zasypiają strażnicy benzynowego obrządku,
Z głową na łokciu, pod tarczą zegarów''.

Wydaje się czasem że Miłosz zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakim jest dla jego poezji ,,zaangażowanie'' w dyskusję która może być zasadnicza, w której ważą się losy cywilizacji, ale która jest przecież dyskusją powierzchowną wobec problemów właściwych poezji — czyli po prostu wobec magii słów.

Uciekając od nękających go problemów, od społecznego sumienia, widzi on ratunek w świecie konkretnych spraw i rzeczy :

,,Oto świat twój na ostrzu miecza :
Zrywa się wiatr, na trawie wznieca
Uschniętych liści małe wiry,
Gołębie się nad daszek wzbiły,
Zaszczekał pies, przebiegło dziecko,
Ktoś komuś daje znak chusteczką.
Oto twój świat. On jest na szali''.

Ten urok ,,konkretności'' widać już w cyklu ,,Świat'', zawierającym wiersze w których świadoma naiwność wizji nigdy nie razi ,,or-ot-owością'', nigdy nie przechodzi w banał. ,,Przypowieść o Maku'' z tego cyklu jest jednym z najpiękniejszych polskich wierszy metafizycznych.

W *Prise du Pouvoir*, nagrodzonej powieści Miłosza, kluczowym może ustępem jest list australijskiego lotnika, w którym wieczór spędzony w niewoli we Włoszech, liściasta altana, zmysłowa miłość do kobiety, owinięte w słomę ,,fiasco'' wina urastają do symbolu samego życia. Wobec starcia dwóch cywilizacji, wśród zgliszcz murów i ludzi, wśród bohaterskich zrywów które niczemu nie służą ostaje się może tylko to jedno — letni wieczór, ciepłe ramię kobiece.

Nie ma nic ważniejszego dla sztuki jak konkretna wizja życia (nie chodzi tu o ostrość soczewki, czy realistyczne spojrzenie — konkretny jest Lautréamont i Jarry, tak jak konkretny jest Proust czy Henry Miller). Może zwolna budząca się świadomość

artystycznej bezpłodności na którą skazane jest każde podejście abstrakcyjne do życia sprawia, że coraz więcej pisarzy stawia tę właśnie ,,konkretność'' na piedestale. Ale wizja konkretna dana jest naturalnie — albo jej nie ma. Na nic się nie zda nawoływanie do niej — w ten sposób można tylko stworzyć jeszcze jedną abstrakcję — abstrakcję ,,konkretności''. Miłosz ma w sobie tę zdolność konkretnej wizji — lecz grozi mu zawsze dualizm. spowodowany tendencją do abstrakcyjnego myślenia.

Pisząc w latach powojennych Miłosz, z wrodzonym mu poczuciem społecznej odpowiedzialności, nie mógł zadowolnić się tłumaczeniem Szekspira, co może by mu dało więcej jako poecie. Musiał walczyć — i wiele zawartych w *Świetle Dziennym* wierszy daje świadectwo tej walki, która mogła być bardziej owocna niż cokolwiek co leży w granicach naszych możliwości na emigracji. Niestety walkę tę przerwała cenzura i zaciskające się kleszcze dyktatury. Niestety — dla literatury w Polsce. Gdyż Miłosz w atmosferze wolnej nie będzie się już może czuł zmuszony do zajmowania głosu w dyskusji aktualnej, będzie mógł nawrócić do swego poetyckiego świata — jedynego w którym go nikt nie zastąpi. Zapowiedź dojrzewania nowej miłoszowej poezji, a zarazem spojrzenie na ubiegłe lata zawierają te piękne strofy o Mittelbergheim :

,,Oczy mam jeszcze zamknięte. Nie goń mnie
Ogniu, potęgo, siło, bo za wcześnie.
Przeżyłem wiele lat i jak w tym śnie
Czułem że sięgam ruchomej granicy
Za którą się spełnia barwa i dźwięk
I połączone są rzeczy tej ziemi.
Ust mi przemocą jeszcze nie otwieraj,
Pozwól mi ufać, wierzyć że dosięgnę
Daj mi przystanąć w Mittelbergheim''.

K. A. JELEŃSKI

Bieg do Fragala

W roku 1949 było we Włoszech 1.700.000 bezrobotnych, w tym większość najemników rolnych; 4.000.000 akrów ziemi, należących do wielkich właścicieli leżało odłogiem; obszarnicy ci, stanowiąc zaledwie 8 promille ogólnej liczby właścicieli gospodarstw rolnych, władali 22 % całego obszaru ziemi uprawnej we Włoszech; w Kalabrii ludzie mieszkali w jaskiniach i w kurnych chałupach po 12 osób na izbę (lub grotę), a owce obszarników miały się lepiej od bezrolnych i małorolnych chłopów; obszarnik Cerado Scafarella, właściciel 10.000 ha ziemi pod Potenza, oświadczył cynicznie dziennikarzom o sobie i sobie po-

dobnych : ,,Nie obchodzi nas produkcja rolna, my inkasujemy renty dzierżawne. Faktem jest, że chłopi są zacofani. Gdybyśmy wybudowali im czyste i dobre domy, to zaraz by je zapaskudzili''; inny obszarnik, 23-letni książę Alessandro Carlo (itd., itd. — wielu imion) Torlonia zaskarżył swego rządcę Pierino Amori o brak 222 owiec, które ubyły podczas wojny ze stada, liczącego 2.000 sztuk; książę objeżdżał jeepami swe nieuprawne dobra na czele prywatnych, zbrojnych zbirów pilnując, by żaden chłop nie ważył się zaorać pola lub zasadzić figi (dzierżawy we Włoszech są zawierane na trzy lata — dzierżawcy nie wolno nic budować ani plantować drzew); dopiero gdy rządca Amori (który w sądzie bronił się, że 222 owce pochłonęła wojna) postrzelił księcia w czerwcu 1949 roku przed kościołem St. Girolamo w Rzymie (gdzie Torlonia z rodziną modlił się pod figurą), grupa posłów Chrześcijańskiej Demokracji zgłosiła wniosek o wywłaszczenie jego majątków — za słusznym odszkodowaniem.

W roku 1949 upłynęło trzy lata od uchwalenia ustawy, zezwalającej bezrolnym na zajmowanie nieuprawnej ziemi latyfundystów za zezwoleniem lokalnych komisji; ale komisje te działały z pośpiechem żółwi, albo nic nie robiły, a ludzie marli z głodu; w roku 1949 (dopiero!) De Gasperi przeprowadził ustawę o wywłaszczeniu (za słusznym odszkodowaniem) 1.600.000 akrów ziemi, należącej do 8.000 majątków; do roku 1953 wykupiono od obszarników i rozparcelowano (nie za darmo, lecz na dogodnych warunkach) 400.000 akrów ziemi; dopiero przed tygodniem obejrzałem w kinie kronikę filmową, pokazującą nędzarzy kalabryjskich, przenoszących się z jaskiń do pobudowanych przez Amerykanów domów.

W roku 1949, po podpisaniu przez Włochy Paktu Atlantyckiego (zwalczanego zaciekle przez komunistów) zaczęły z Ameryki napływać wielkie sumy na podniesienie gospodarki narodowej i poziomu życia ludności. Np. na sto osiedli dla kilkunastu tysięcy bezrolnych i bezrobotnych rodzin przeznaczyły Stany Zjednoczone 240 milionów dolarów; rząd włoski dokładał, co mógł.

Rok 1949 we Włoszech jest rokiem odpływu komunizmu i wielkiej aktywności organizacji katolickich i najlepszych przedstawicieli kleru; liczba członków włoskiej parti komunistycznej spada w ciągu sześciu miesięcy z 2.500.000 do 2 milionów; jednocześnie dzielny szef Akcji Katolickiej, Luigi Gedda, zakłada Wolną Federację Pracy i wstępnym bojem, w ciągu paru miesięcy zdobywa pierwszy milion członków (w porównaniu z 4 milionami czerwonej, opanowanej przez komunistów i fellow-travellerów Nenniego Włoskiej Federacji Pracy); wśród księży, których poziom moralny we Włoszech jest — jak wiadomo — niski, pojawiają się dziesiątki ludzi światłych i mądrych, rozumiejących że komunizmu nie zwalczy się zmotoryzowaną policją ministra Scelby — *Celere*, lecz słusznymi reformami społecznymi i likwidacją nędzy; jeden z najpiękniejszych prototypów przysłowiowego już dziś Don Camilla, jowialny arcybiskup Giacomo Lercaro, po wyrwaniu komunistom Rawenny, w roku 1949 zdoby-

wa dla społecznie radykalnego katolicyzmu Bolonię (do roku 1947 zaledwie proboszcz wiejski, w styczniu br. otrzymał Lercaro kapelusz kardynalski); rektor uniwersytetu Pro Deo O. Felix Morlion (dominikanin, świetny teoretyk i znawca filmu) wyzywa na publiczną dysputę Togliattiego i przeprowadza tezę, że zwalczając nędzę nie trzeba prześladować religii; jezuita Riccardo Lombardi objeżdża w roku 1949 Półwysep ze swą Krucjatą Miłości wołając : ,,Możni tego świata, władze kościelne i cywilne muszą coś robić dla tych, którzy nie mogą czekać, bo głód szarpie ich wnętrzności''.

Rok 1949 jest we Włoszech rokiem walki o nieuprawianą ziemię latyfundystów i o poprawę bytu najemników. W maju 400.000 robotników rolnych w dolinie Padu wygrywa wielki strajk o umowy zbiorowe; komuniści biorą udział w tym ruchu i żerują na nim; tu i ówdzie terroryzują robotników; w starciu z policją w Molinella pod Bolonią pada zabita robotnica, a 27 antykomunistycznych robotników odwożą do szpitala po walce z komunistami; w początku grudnia tysiące najemników rolnych w Kalabrii i na Sycylii rusza w wielki marsz zawłaszczania zaniedbanych ugorów wielkich posiadaczy; w różnych miejscowościach dochodzi do starć z broniącymi magnatów karabinierami; w dolinie Fragala pod Melissą karabinierzy rzucają się na trzystu bezrolnych, usiłujących zaorać nieuprawianą od wieków ziemię markiza Anzelmo Berlingieri; rezultat : trzech zabitych nędzarzy, 2 karabinierów ciężko rannych. De Gasperi przybywa do Kalabrii i pozwala bezrolnym zatrzymać zajętą ziemię nie szczędząc gorzkich słów pod adresem obszarników.

Wszystkie te — oczywiście niepełne — informacje (zaczerpnięte *wyłącznie* z antykomunistycznych źródeł amerykańskich) są potrzebne, by wczuć się w atmosferę powieści Juliana Stryjkowskiego pt. *Bieg do Fragala* (*) i sprawiedliwie ocenić prawdziwość jej realiów. Jest to bowiem utwór socrealistyczny, który opowiada o walce o ziemię w Kalabrii kulminując w opisie starcia z policją w dolinie Fragala. Główny bohater powieści, Salvatore Lo Meo, jest jednym z trzech zabitych w tej masakrze bezrolnych mieszkańców małej wioski Rocca di Zolfo — jednym z trzystu nędzarzy, którzy pewnego mglistego poranka w grudniu 1949 roku rzeczywiście usiłowali zaorać i zasiać drobną część nieuprawianych od niepamiętnych czasów gruntów markiza Berlingieri, figurującego w powieści Stryjkowskiego pod własnym nazwiskiem, lecz z tytułem barona.

Salvatore przybył do rodzinnej Kalabrii z Australii, gdzie przez kilka lat pracował — jako jeniec wojenny — u zamożnego farmera. Na kartkach swej powieści, wyróżnionej w roku ubiegłym pierwszą nagrodę państwową, przerobionej na sztukę teatralną i obecnie filmowanej, Stryjkowski opowiada o powolnym ,,doj-

(*) Julian Stryjkowski, *Bieg do Fragala*, Czytelnik, Warszawa, 1951, str. 358, obwoluta i ilustracje Renato Guttuso, okładka J. S. Miklaszewski.

rzewaniu do komunizmu" swojego bohatera. Salvatore nigdy nie był głodny w Australii, przyjrzał się nowoczesnej gospodarce indywidualnej i powróciwszy do kraju pragnie jedynie pracować z nadzieją na własny kawałek ziemi. Do komunistów, którzy w Rocca di Zolfo posiadają silną organizację partyjną, odnosi się nieufnie, z początku prawie wrogo. Z czasem zrywa nawet z rodzonym bratem — działaczem komunistycznym w sąsiednim miasteczku Crotone — zwłaszcza, że Gianni żyje z córką miejscowego ,,kułaka", o której Salvatore marzył od dawna. Wytrwale i samotnie szuka Toto Lo Meo pracy, tygodniami wysiaduje na ,,rynku niewolników" w Crotone, gdzie robotnicy rolni czekają na łaskawych pracodawców jedząc ,,komunistyczny chleb", ofiarowany przez robotników sąsiedniej fabryki Montecattini. Wszystko na próżno : nie ma pracy, nie ma własnego chleba, nie ma nadziei. Wyczerpawszy wszystkie możliwości, wyjeżdża Salvatore do Neapolu i dopiero tam, pobity przez policję, rozpędzającą komunistów demonstrujących przeciw Paktowi Atlantyckiemu — staje się komunistą. Po odsiedzeniu kary, zrozumiawszy, że jego samotna walka o pracę była błędem, gdyż tylko komuniści wspólnym wysiłkiem mogą zdobyć ziemię — wraca Salvatore do Rocca di Zolfo w momencie okupowania przez bezrolnych sąsiedniej doliny Fragala i tu ginie od skrytobójczej kuli proboszcza księdza Don Luigi, który sprowadził karabinierów.

Na tym schemacie fabularnym, wzbogaconym udatnie, choć miejscami zbyt drobiazgowo, wątkami pobocznymi — zbudował Stryjkowski swą sugestywną i bardzo dobrze napisaną powieść. Znając widocznie niebezpieczeństwo nudy, jaka zabiła mnóstwo utworów socrealistycznych ,których bohaterami byli nieposzlakowani komuniści, wolał Stryjkowski swego Salvatora pokazać jako bezpartyjnego, który waha się i błądzi, aby dopiero wraz ze śmiercią znaleźć ,,właściwą" drogę. Ale jest w powieści i bohater pozytywny. Jest nim oczywiście lokalna sekcja włoskiej partii komunistycznej, działająca przez swoich sekretarzy i członków. Na jej dobro zapisuje autor wszystkie wysiłki i osiągnięcia nędzarzy w walce o ziemię. Jej sekretarze i działacze — brat Salvatora Gianni, Armando, Silvio, bardzo żywy ,,maleńki Matteo" i wielu innych — to wszystko ludzie ofiarni, nieposzlakowani i dobrzy politycy. W walce klasowej, która wypełnia całą powieść, drugą stronę reprezentują czarne charaktery : zbrodniczy i głupi syn ,,kułaka" — ksiądz Don Luigi Filipello, sierżant karabinierów, nieprawdopodobna szuja — krwiożerczy Prezzo, prowokator, rzecz jasna sklepikarz — Lelio i głupkowaty niedorostek, wynajęty przez proboszcza łamistrajk — Concetto. Bogatą galerię czarnych i białych charakterów uzupełniają — niekiedy bardzo udane — postacie drugoplanowe : ,,średniacy" i ,,średniaczki", skąpe i gardzące bezrolnymi ,,kułaczki" oraz żony komunistów i komunistki. Licząc się ze swoistą pobożnością włoskich chłopów (we Włoszech działaczy komunistycznych — przynajmniej do niedawna — w niedzielę najłatwiej

można było złapać na mszy w kościele parafialnym) — Stryjkowski nie poskąpił swej komunistycznej gminie nieoficjalnego ,,pasterza". Jest nim zasuspendowany za dzikie ,,małżeństwo" ks. Don Domenico — ojca czworga dzieci, człowiek zacny i sprawiedliwy ,którego komuniści wzywają do konających. W chwilach wolnych od narad partyjnych i od kłopotów rodzinnych, czy politycznych demonstracji Don Domenico — za milczącą zgodą fanatycznego, ale i leniwego Don Luigi — wyręcza miejscowego kościelnego w dzwonieniu na Anioł Pański.

Mimo licznych uproszczeń i wulgaryzacji, mimo monomaniackiego operowania walką klasową — powieść Stryjkowskiego jest dziełem sztuki. Jest nim nie z powodu, ale właśnie wbrew zastosowanej przez autora recepcie socrealistycznej. Jej zalety wynikają z autentycznego talentu, a wady z formułek i fałszywych kanonów, które autor przyjął za swoje.

Zalety — to przede wszystkim integralność dzieła w ramach poprawnej i harmonijnej kompozycji trójdzielnej, zamykającej dramat Salvatora i walkę zbiorowości o ziemię w trzech częściach-etapach rozwojowych : gnuśne wahania, szukanie drogi (a ze strony zbiorowości przygotowanie do akcji) i wreszcie działanie; to dobry, miejscami piękny język dzieła; to nastrojowe obrazowanie, wznoszące się niekiedy na wyżyny autentycznej poezji.

Język Stryjkowskiego wywodzi się z jego dziennikarstwa. Należy pamiętać, że *Bieg do Fragala* jest debiutem współredaktora rzymskiego oddziału Polskiej Agencji Prasowej, który w ciągu trzech lat pobytu we Włoszech zdołał dobrze poznać kraj i ludzi — na tyle w każdym razie, że jego powieść, natychmiast przełożona i wydana po włosku, znalazła duże uznanie w kołach lewicowej krytyki włoskiej (rząd włoski złożył inny dowód respektu : wysiedlił autora z kraju zaraz po ukazaniu się książki). Stryjkowski operuje krótkimi zdaniami, pisze rzeczowo, precyzyjnie, potrafi dostosować budowę zdań i cały rytm swej prozy do przedstawianej treści. Umiejętnie dozuje tempo od graniczącej z monotonią powolności części pierwszej, poprzez językową tężyznę poszukiwań i przygotowań części drugiej aż do szybkiego, nerwowego, jakby zadyszanego końcowego biegu Salvatora do Fragala.

Nastrój i obraz to bardzo silne strony powieści Stryjkowskiego. Mam tu na myśli obraz w szerszym znaczeniu, nie zaś opisy przyrody, których autor świadomie unika, jak i opisów ludzi, czy przedmiotów. Nastrój wydobył autor przede wszystkim umiejętnymi powtórzeniami, rzadkimi, ale celnymi porównaniami (np. ,,kotlina mgliła w dole jak micha z parującym mlekiem"), równie skąpymi, ale świetnymi metaforami (,,dwa miliony najemników włożyło ręce do kieszeni"), bardzo umiejętnym użyciem ludowych idiomów i wreszcie pięknym, po prostu olśniewającym zastosowaniem czegoś w rodzaju chóru greckiego — improwizowanych na poczekaniu przyśpiewek kobiet wiejskich.

Wśród udatnych środków artystycznych Stryjkowskiego nie

brak i symbolizmów, których pisarze socrealistyczni na ogół boją się używać.

Do zalet powieści należy szerokie uwzględnienie ubocznych, niezwiązanych z walką klasową, a bardzo charakterystycznych dla folkloru włoskiego scen i okoliczności. Na przykład opis uczty u wójta Rocca di Zolfo — niepotrzebny z punktu widzenia komunisty — należy do najlepszych partii książki i zapada w pamięć jak żywa rzeźba. W ogóle sceny zbiorowe nakreślił Stryjkowski z niebywałym mistrzostwem. Ich zwartość, lapidarność, miejscami dramatyczność nie są zapowiedziami zdolnego debiutanta, lecz pełnymi osiągnięciami dojrzałego artysty.

Wydaje mi się, że wszystkie wady *Biegu do Fragala* — a więc niedostateczny rysunek psychologiczny Salvatora i wielu postaci, w tym wszystkich czarnych charakterów, uderzająca bladość anemicznych, jakby ze strachem pisanych wątków liryczno-erotycznych, a przede wszystkim kłamliwość dużej części „warstwy przedmiotów przedstawionych" (termin prof. R. Ingardena) — wynikają z gorliwości w stosowaniu metody socrealistycznej.

Kłamliwość *Biegu do Fragala* jest szczególnie jadowita, gdyż polega głównie na przemilczeniach, do których upoważnia formułka socrealizmu : „przedstawić rzeczywistość w jej typowym, dialektycznym rozwoju". Nie wykluczam, że we Włoszech mógł się znaleźć jakiś półobłąkany ksiądz w rodzaju opisanego w powieści Don Luigi, który zza uchylonej okiennicy strzela do głodnego nędzarza, a przedtem wypędza kobietę, pragnącą dzbanka wody z księżowskiej studni. Nie jest zupełnie niemożliwe, że żył w Kalabrii jakiś sierżant policji tak nikczemny i głupi jak Prezzo. Ale jeśli pokazuje się tylko takich ludzi z obozu wrogiego, jeśli bohaterem pozytywnym czyni się zasuspendowanego kapłana, a partii komunistycznej przypisuje się *wyłączną* zasługę walki o ziemię dla bezrolnych lekceważąc historyczny przebieg wydarzeń — to nie jest to ani „typizacja", ani „pokazanie dialektyki życia", lecz zwykłe kłamstwo.

Jestem przeświadczony, że nie podobna stworzyć dzieła sztuki pisarskiej, jeśli nie zawiera ono jakiejś istotnej prawdy. Dlatego nie powstała dotąd ani jedna artystyczna powieść socrealistyczna opisująca triumfujący i rządzący komunizm. Dlatego nieliczne dobre powieści socrealistyczne z reguły opisują komunistów walczących i prześladowanych. *Bieg do Fragala* — mimo dużego talentu autora — nie byłby dziełem sztuki, gdyby nie zawierał obok oburzających kłamstw — dużego ładunku prawdy : prawdy o bezprzykładnej, wołającej o pomstę do nieba nędzy chłopa włoskiego, o ohydnym egoiźmie wielkich posiadaczy i o głupocie i niedołęstwie rządzących. A także tej smutnej prawdy, że włoscy komuniści — choć nie ze szczerych intencji, a jedynie dla celów taktycznych — poważnie przyczynili się do poprawy losu najbiedniejszych w tym kraju.

Janusz JASIEŃCZYK

Młodzi poeci

Nigdy nie miałem szczególnego zaufania do harcerstwa, choć przez pewien czas byłem harcerzem, składałem egzaminy z wiązania węzłów i nosiłem krzyż. I wówczas jednak na dnie czaił się sprzeciw wobec upupiania, wobec jakichś krótkich majtek intelektualnych, za krótkich nawet dla chłopców w naszym wieku. Przyszedłszy do szkoły z głuchej wsi, gdzie rzeka i drzewa wypełniały się tłumem urojonych postaci, byłem przestraszony tym nowym życiem w gromadzie a szczególnie w gromadzie harcerskiej z jej programową ,,ochoczością''. Wyczuwałem jednak że jest w tym zjawisku coś bardzo poważnego. Oczywiście. W miarę jak rósł ze mną wiek dwudziesty, coraz więcej spraw stawało się harcerstwem, aż wreszcie z bólu, z obrzydzenia do krótko-majtkowania, nawet artretycy umysłowi obłożeni flanelą zaczęli nabierać uroku.

Mówię to z okazji przeczytania pięciu tomików wierszy młodych polskich poetów (*). Gdyby w Polsce istniały dwa kręgi literatury : ,,oficjalno-popularny'' i ,,elitarny'', można by było te książki zaliczyć do pierwszego licząc się z tym że istotny wpływ (drogą literackiej osmozy) będzie miało tylko to, co powie się w tym drugim kręgu. Tak jednak nie jest. Krąg ,,elitarny'' co prawda nie zniknął — rzadko zdarzało się w znanej nam historii żeby znikał całkowicie, choć nabierał w różnych okresach różnego charakteru. Teraz ma on charakter ściślej niż kiedykolwiek laboratoryjny, warsztatowy, to znaczy jego dziedziną są prawie wyłącznie przekłady. Bogata instrumentacja, cały arsenał środków wypracowanych przez pokolenia piszących, są do dyspozycji tłumaczy Puszkina, Szekspira czy innych wielkich poetów. Natomiast świat w poezji współczesnej, zwłaszcza młodych, uładzony, umyty, ochoczy, jest opiewany przy użyciu ubogich instrumentów; pośmiertny triumf Konopnickiej (bynajmniej nie Trembeckiego i nie Mickiewicza). Jak i dlaczego tak się dzieje, nie ma potrzeby pisać. Natomiast można się oddawać temu bezinteresownemu zdumieniu, które drąży powoli otaczający nas świat, jak woda drąży kamień.

Przede wszystkim pytanie : czy element parodii, harcerskiej chwackości jest w ogóle nie do uniknięcia tam gdzie proponuje się społeczne ,,rozwiązania całkowite''? Nie można sobie wyobrazić większego, bardziej budzącego grozę dystansu, niż ten

(*) Arnold Słucki, *Poranek*, Iskry, Warszawa, 1953; Franciszek Fenikowski, *Oddycham morzem*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1952; Tadeusz Nowak, *Uczę się mówić*, Czytelnik, Warszawa, 1953; Andrzej Mandalian, *Słowa na codzień*, Czytelnik, Warszawa, 1953; Henryk Gaworski, *Rytm serca*, Czytelnik, Warszawa, 1953.

jaki pojawia się pomiędzy fermentem od którego się wszystko to zaczęło, fermentem znaczonym przez nazwiska Marksa, a pewnie i (nie śmiejcie się) Nietzschego, a rezultatem w postaci tej poezji świetlicowej. Jest to jak straszliwe walki na średniowiecznej Sorbonie pomiędzy realistami i nominalistami, przetłumaczone przez misjonarzy na język pojęć dostępnych murzyńskim społeczeństwom totemistycznym. Jestem jak najdalszy od inteligenckiego wymądrzania się, w każdym razie wiem, że nie tędy droga. Ale żyjemy ciągle w świecie który nie został przez nas opanowany i nazwany, który domaga się, krzyczy, ukazuje się nam jako ogrom niezmierzony nowych problemów, przebywamy przecież na ruinie pojęć i obrazów, której nikt za nas nie uporządkuje. To chciałbym powiedzieć tym młodym poetom, gdybym mógł się z nimi komunikować, zresztą nie odniosłoby to skutku z powodów silniejszych niż ludzka wola. Ktoś w Warszawie wykrzyknął do mnie w 1949 roku chcąc żebym wreszcie zrozumiał: ,,Ależ to wszystko robi się nie dla nas,*a dla nich*". Dla nich — to jest dla mas, dla tych którzy nie mogą sobie pozwolić na wyrafinowany smak, którym trzeba dać buty, nauczyć czytać i zaopatrzyć w poezję łatwych do zapamiętania sloganów. Drobna trudność, to jak określić owo ,,my"? Młodzi poeci tu recenzowani też na pewno określają siebie jako ,,my", pewni że ich powołaniem jest realizować hasło ,,abêtissez-vous" w imię służby masie. Ale ubiacy Dzikowski i Gach z powieści Straszewicza też chyba zaliczają siebie do jakichś ,,my", że niby oni mają tę masę kształtować — i tak dalej. Każdy wreszcie występuje jako ,,my" dbając o to żeby przedstawić się głupszym niż jest naprawdę. Taki jest jeden z działających mechanizmów i zero zostaje z prawdziwej łączności człowieka z człowiekiem, co ostatecznie było marzeniem ludzi duszących się w zamkniętych celach dziewiętnastego wieku.

Dalsze pytanie : Dionys Mascolo w swojej paradoksalnej książce (*) ocenia w komuniźmie ,,humor historyczny". Humor ten polega jego zdaniem na *podcinaniu* u korzeni pewnych pojęć i następnie posługiwaniu się nimi ponieważ już nie są poważne, już nie są groźne, dni ich są już policzone, a mogą być chwilowo użyteczne taktycznie. Mascolo jest typowym zachodnim intelektualistą i szuka rozumowego wytłumaczenia pewnych objawów błazeństwa i wygłupiania się właściwych realizacji nowego systemu. Zastosowawszy to do poezji świetlicowej, otrzymujemy ciekawe wnioski. Gdyż zarówno autor takich wierszy jak jego czytelnik wiedzą że np. ulubiony temat : wolna, potężna, niepodległa Polska odmieniana na wszystkie przypadki należy do sfery ,,historycznego humoru" i że wcale nie o to chodzi. Stąd stosunek do takiej literatury jest naznaczony milczącą zgodą na konwencję — literatura zmienia się w potrzebną, społecznie uznaną ,,lipę". Prowadzę do pytania : w jakim stop-

(*) Dionis Mascolo, *Le Communisme*, Gallimard, Paryż, 1953, str. 565 frs. 1.200.

niu u młodego pokolenia znika świadomość że poezja świetlicowych sloganów jest podcięta u korzenia, w jakim traktują ją poważnie? Że uchodzi za jedyną jaka jest możliwa (znika pamięć innej instrumentacji w zastosowaniu do tematów współczesnych) jest prawie pewne. Jednak w głębi zostaje (choćby dzięki tej skromnej dozie marksizmu jaka w umysły przenika) przekonanie że wszystko co się pisze jest trochę na niby, krótkie majtki gniotą i uciskają — ale równocześnie krótkie majtki stają się, w opinii tych młodych, cechą życia w społeczeństwie ludzkim w ogóle. Kto dziwi się łatwości z jaką młodzi, uciekający z demokracji ludowych, gotowi są głosić wszystko czegokolwiek od nich żądają ich nowi mocodawcy — powinien się nad tym zastanowić. ,,Humor historyczny'' — czy, w załamaniu subiektywnym, po prostu cynizm (bo pełniejsza świadomość ,,humoru'' jest dostępna tylko bardzo wysoko postawionym ,,my'') jest już czymś równie naturalnym jak powietrze i opór skrupułów moralnych znika.

Nie łatwo jest jednak znaleźć punkt z którego można te wiersze krytykować, bo całkowicie bezprzedmiotowe byłoby porównywać je z wierszami wybitnych autorów, pracujących ,,starą metodą''. Studium porównawcze musiałoby wziąć dwie całości : z jednej strony poezję oficjalną, od święta, drukowaną na pierwszych stronach gazet codziennych w Polsce przed 1939 r., z drugiej strony te utwory i wykazać jakim szczepieniom uległo stare drzewo, które wydaje takie owoce. To byłoby zresztą dość zawiłe studium, sięgające do podstaw naszej wiedzy o poezji (bo im materiał jest bardziej ,,anty-poetycki'' tym bardziej prowokuje).

Sprawa jest poważna, bo innej młodej poezji polskiej prawie nie ma. Jakiś naród istnieje tak długo, jak długo istnieje jego literatura, co więcej, jest taki jak jego literatura. Nic mi nie jest wiadome o różnych receptach politycznych ,,zbawiania Polski'', wiem tylko, że zupełnie na innym planie odbywa się walka o istnienie tego narodu niż to sądzą liczni zwolennicy fikcji. To zostanie kiedyś zrozumiane. Tymczasem odczuwam te tomy wierszy jako osobistą porażkę, porażkę mego państwa, któremu starałem się jak umiem służyć : państwa polskiej literatury. Jest to zwężenie jego granic, podczas gdy np. nowe przekłady Szekspira wydawane w Polsce takim zwężeniem granic nie są.

Kpiny z młodych autorów świetlicowych nie prowadzą do niczego i nie mam zamiaru być osobą co ,,siedzi i ma za złe''. Tym co kpią, można powtórzyć za Gogolem : ,,Z kogo się śmiejecie? Z siebie się śmiejecie''. Bo wiersze te, choć politycznie kpiarzom wrogie, realizują ich własny ideał : poezji dźwięcznej, wpadającej w ucho, ładnie rymowanej, nie zawierającej żadnych trudnych do przyswojenia obrazów i myśli, a więc takiej którą się pogardza (bo kto poważny zajmuje się podobnymi dziecińśtwami?) ale która ,,dobrze robi'' na pierwszej stronie gazety. Ostrożnie z kpinami kiedy oto podsuwane jest zwierciadło pokazujące wszystko czym człowiek nie został, choć mógłby, czego za-

niechał, czego się wyrzekł, zmieniając, czegokolwiek się tknie, w parodię i w parade-marsz. Te same żelazne kule wiszą u nóg i kpiarza i poety z ZMP i choć się nienawidzą, choć przysięgają że wsadzą sobie wzajem bagnet w serce przy pierwszej okazji, powinni się właściwie kochać. Ciągnie ich w dół balast nawyków,w dół, w zatopione obszary historii która jest tylko prehistorią, z tym balastem u nóg tańczą topielczy taniec, naturalnie oberka.

Otwieram na chybił trafił tom Walta Whitmana i przepisuję, tłumacząc na prędce :

Olśniewający, olbrzymi, zabiłby mnie wschód słońca,
Gdybym i teraz i zawsze nie wysyłał z siebie wschodu słońca.

Mój głos tam sięga gdzie nie sięgną oczy.
Zwinięciem języka obejmuje światy i obszary światów.

Mowa jest bliźniaczą siostrą mojej wizji — niezdolna jest zmierzyć siebie.
Wyzwanie mi rzuca, wzywać nie przestaje.
„Walt — powiada — czy nie masz w sobie dosyć — na co czekasz ?"

Czy nie znasz, mowo, pączków zwiniętych pod tobą,
W mroku dojrzewających, okrytych przez szron ?
To ku nim bije codzień mój profetyczny wrzask.

Jestem głębiej niż przyczyny, zważyć je wreszcie mi dano.
Moją wiedzą są części mego ciała — dorównuję znaczeniu rzeczy :
Szczęściu — ktokolwiek mnie słyszy, niech wyrusza i goni je zaraz.

Słowo i pismo nie utwierdzają mnie.
Noszę w sobie pełnię dowodu i wszystko w mojej twarzy.
Sam spokój moich ust niweczy zdanie sceptyka.

Chłopcy, pomyślcie przez chwilę czego spodziewali się po człowieku wielcy brodacze dziewiętnastego stulecia.

Czesław MIŁOSZ

Chleb i kamień

W swej ostatniej książce *), która jest zbiorem prelekcji radiowych (tzw. Reith Lectures) profesor Toynbee rozwija tezę z którą po raz pierwszy wystąpił w szkicu ogłoszonym w 1948 r. pt. „The Unification of the World and the change in historical perspective".

W myśl tej tezy cywilizacja zachodnia pod koniec 17 wieku weszła w fazę po-chrześcijańską i straciła swój pierwotny wyraz

*) Arnold J. TOYNBEE, *Le monde et l'Occident*, str. 186, wyd. Desclée de Brouwer, Paryż, 1953.

i sens. Równocześnie na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci techniczna cywilizacja zachodnia objęła swym zasięgiem cały świat.

„Nasza zachodnia technologia" — pisze Toynbee — „oderwana od zachodniego chrześcijaństwa została przyjęta nie tylko przez Chiny i Japonię lecz również przez Rosję i inne kraje, które w przeszłości odrzucały naszą cywilizację, gdy była integralną, niepodzielną całością obejmującą chrześcijaństwo".

A oto drugi cytat, który stanowi punkt kulminacyjny omawianej książki :

„Byliśmy zadowoleni z siebie, gdy Japończycy i Chińczycy, którzy odrzucili zachodnią cywilizację w jej religijnym wydaniu — przyjęli tę cywilizację w wydaniu zsekularyzowanym, świeckim z technologią w miejsce religii. Lecz doczekaliśmy chwili, gdy ów proces w obu krajach przyniósł nam zawód. W Japonii zrodził katastrofalny w skutkach militaryzm — w Chinach niemniej katastrofalne przekupstwo. Ofiarowując Chińczykom i Japończykom zsekularyzowane wydanie naszej cywilizacji daliśmy tym narodom kamień zamiast chleba. Rosjanie ofiarowując im zarówno komunizm jak i technologię — dają im chleb. Jeżeli tak wam się podoba, możecie ów chleb nazwać twardym i czarnym, lecz niemniej to jest jadalna substancja, która zawiera w sobie ziarno duchowego pokarmu bez którego człowiek nie może żyć".

Poza obrębem świata anglosaskiego istnieje niewątpliwie głód idei. Tego głodu duchowego, podobnie jak głodu fizycznego Zachód nie umiał zaspokoić. Wyższość imperializmu sowieckiego nad dawnym imperializmem zachodnim polega na tym, że imperializm sowiecki jest typu polityczno-ideowego. Armie sowieckie nie okupują tylko zawsze „wyzwalają" i niosą zapowiedź „szczęśliwszego życia" dla uciśnionych i wyzyskiwanych.

Co innego jest jednak stwierdzić, że poza obrębem świata anglosaskiego istnieje głód idei, który wykorzystuje dla swych celów imperializm sowiecki —a co innego jest głosić pogląd, że komunizm jest chlebem duchowym a cywilizacja zachodnia (w jej obecnej formie) kamieniem.

Toynbee wychodzi z założenia, że skoro nasza cywilizacja „rozwiedziona" i „odseparowana" od Chrześcijaństwa jest kamieniem — to jej antyteza (komunizm) musi być drogą reakcji — chlebem. Tak nie jest. W gruncie rzeczy komunizm zachodnie zmaterializowanie podniósł do rangi totalnej doktryny a zachodni indyferentyzm wywyższył do rangi dogmatycznego ateizmu. Toynbee tego wszystkiego nie widzi i wierzy, że dając idee daje się chleb. Lepiej jednak nie dawać ani idei ani religii jeżeli się ma dawać ideę złą a religię fałszywą. Nie każda bowiem idea i nie każda religia są chlebem dla ducha.

Wydaje mi się, że jeżeli chodzi o teorię Toynbeego, która doprowadziła go do takich nieoczekiwanych wniosków — błąd leży w samym założeniu. Toynbee całą naszą cywilizację wywodzi z chrześcijaństwa. To jest prawdą w odniesieniu do wszystkich aspektów cywilizacji zachodniej z wyjątkiem technologii.

W moim przekonaniu nie można w ogóle mówić o rozwodzie chrześcijaństwa z technologią, ponieważ zachodnia technologia z chrześcijaństwem nie ma nic wspólnego. Technika współczesna jest w pewnym sensie kontynuacją cywilizacji grecko-rzymskiej. (Ojcem współczesnej medycyny jest Hipokrates a nie Łazarz i twierdzenie Pitagorasa leży u podstaw wielu dzisiejszych technicznych osiągnięć a nie pisma Starego czy Nowego Testamentu). Wierzący chrześcijanin może boleć nad tym, że w ostatnich dwu stuleciach zmalał wpływ chrześcijaństwa (co nie jest równoznaczne z upadkiem religijności) — niemniej jednak trzeba stwierdzić, że na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci dokonał się olbrzymi postęp i to nie tylko w sferze techniki. Zniesienie niewolnictwa, demokracja, tolerancja religijna, wspaniały rozwój nauk humanistycznych, literatury i sztuki to wszystko dokonało się w ,,po-chrześcijańskiej'' fazie naszej cywilizacji. Pod wieloma względami dziś wyraz zachodniej cywilizacji jest w swej istocie niepomiernie bardziej chrześcijański niż w epokach wcześniejszych, kiedy chrześcijaństwo nie tylko było wyznawane ale i panowało.

Teoria rozwodu chrześcijaństwa i technologii jest całkowicie nieprzekonywująca.

Jest rzeczą godną pożałowania, że tęsknota religijna tak typowa i charakterystyczna dla współczesnej epoki — manifestuje się w omawianej książce Toynbeego w sposób sprzeczny z zasadami naszej cywilizacji, która odrzucając kamień materialistycznej dokryny komunizmu czerpie duchowy chleb z chrześcijaństwa.

Jul. MIER.

Notatki wydawnicze

Od dawna już Akademia Goncourt nie przyznała swej nagrody pisarzowi mającemu naprawdę coś do powiedzenia i mówiącemu to w sposób, który się wydaje jedynie możliwy — czyli po prostu pisarzowi autentycznemu. Takim pisarzem jest niewątpliwie *Pierre Gascar* nagrodzony w pierwszych dniach grudnia za rok 1953. Tym razem nagroda ,,Dziesięciu'' — pięćdziesiąta z kolei — przypadła dwum książkom *Gascara*, obu wydanym w 1953 roku : *Les Bêtes* (Gallimard) i *Le Temps des Morts* (Gallimard). Pierwsza z nich omawiana była w ,,Notatkach Wydawniczych'' ,,Kultury'' (Nr 10/72). Gascar dał w niej wizję (o niezwykłej poetyckiej intuicji) komunikacji pomiędzy światem ludzi i światem zwierząt.

Le Temps des Morts jest powieścią, w której komunikacja odgrywa również dużą rolę. Ale jest to komunikacja pomiędzy dwoma światami ludzkimi — światem żywych i światem umarłych. Nie w sensie spirytualistycznym — w powieści Gascara nie ma śladu metafizyki. Raczej jako odpowiedź żywych ludzi na otaczającą ich zewsząd śmierć.

U podłoża tej książki jest element autobiograficzny. Autor, francuski jeniec wojenny w czasie ostatniej wojny, po kilku próbach ucieczki zostaje przewieziony do karnego obozu jeńców pod Brodami.

A więc Małopolska Wschodnia w roku 1942. Karny obóz oznacza zmarłych. Potrzebny jest cmentarz. Gascar, wraz z kilkoma kolegami zostaje grabarzem. Ale ta śmierć „cmentarna", wśród alejek żwirowych (jeńcy francuscy chcą „po ludzku" chować swych zmarłych) jest jeszcze śmiercią cywilizowaną. Poza drutami obozu, w lesie z którego jeńcy biorą drzewo, na drogach — wszędzie panuje śmierć „inna". Śmierć Żydów — kobiet, mężczyzn, dzieci, starców, mordowanych przez Niemców. Trupy krwawe, nie ułożone rzędem. Obok obozu — tor kolejowy i ciągłe konwoje nowych ofiar — ludzi wiezionych na śmierć gazową. W dzień i w nocy słychać jęki, krzyki.

Śmierć staje się naturalna jak deszcz, jak błoto na tych jesiennych ukraińskich drogach. Śmierć staje się elementem — stanem w którym się żyje. Jeńcy i pilnujący ich niemieccy żołnierze (którzy sami są ofiarami, a nie wspólnikami zbrodni), czują się bezradni. A jednak na tych grobach, na tych cmentarnych alejkach wciąż odradza się nadzieja. Będzie to przyjaźń, koleżeństwo, miłość. Miłość w której nic się nie dzieje, która może nie jest nawet miłością, ale ratunkiem akcentu ludzkiego : pomiędzy pastorem Ernstem, mimowolnym katem i Żydówką Lidią; pomiędzy autorem i Polką Marią.

Opowiadanie proste, bez śladu patosu, bez nienawiści, bez oburzenia. Ale słowo ma w nim siłę materializacji i czujemy w każdej linii grudy tłustej ziemi z grobów, połączonych z innymi grobami jakąś niewidzialną siecią.

◆

François Fejtö, którego „Histoire des Démocraties Populaires" omawialiśmy w „Kulturze" daje nam teraz pasjonującą monografię historyczną. *Un Habsbourg Révolutionnaire, Joseph II* (Plon, Paris, 1953) rzuca nowe światło na jedną z najciekawszych — i najbardziej aktualnych — postaci 18-go wieku. Ze wszystkich „despotów oświeconych", Józef II był zapewne najbardziej świadomy swojej roli. Angielski historyk Taylor powiedział, że był on „Konwencją w jednej osobie". Za młodu niemrawy i nieśmiały, zrozumiał on jednak doskonale czym grozi Austrii wzrost potęgi Prus i Rosji i postanowił ocalić monarchię reformami administracyjnymi i społecznymi zakrojonymi na wielką skalę. Śmiało zaatakował najpotężniejsze „vested interests" — arystokrację feodalną i kler. Był jednym z pierwszych twórców etatyzmu w Europie środkowej : przywiązanie do dynastii i patriotyzmy lokalne chciał zastąpić lojalnością do państwa.

Maria Teresa była szczerze liberalna — jej dobroć i moralność zapowiadają naiwną „postępowość" 19-go wieku. Ciekawy jest ustęp książki Fejtö dotyczący pierwszego rozbioru Polski. Znamy ironiczne powiedzenie Fryderyka II : „Marie-Thérèse pleura, mais elle signa" — historycy polscy całkiem naturalnie uważają te łzy za łzy krokodyle. Tymczasem udział w rozbiorze był rzeczywistą tragedią Marii Teresy. Pisze ona do syna : „Nie rozumiem dlaczego kiedy dwóch rzezimieszków — korzystając z przewagi sił — rzuca się na niewinny naród, trzeci sąsiad ma iść w ich ślady i popełniać tę samą niesprawiedliwość. Nie uznaję tego. Władca nie ma innych praw moralnych od prywatnego człowieka. Wielkość i potęga państwa nie będą się liczyły tam, gdzie się kiedyś stawimy na Sąd Ostateczny". Ale zarówno jej lotaryński małżonek, jak chytry Kaunitz, i jak syn — następca tronu (przyszły Józef II) nalegają, błagają, grożą : jeśli Austria nie zajmie Galicji, wkroczą tam Rosjanie. Maria Teresa ustępuje, podpisze akt rozbiorowy. Ale w komunikacie oficjalnym nie chce się za nic zgodzić na słowo „légitime" : „to kłamstwo, popełniliśmy zbrodnię i niesprawiedliwość". Dopiero brutalna interwencja syna znów wydrze jej zgodę. „Ten nieszczęsny roz-

biór Polski skróci moje życie co najmniej o dziesięć lat" — skarży się wreszcie cesarzowa w liście do młodszego syna Ferdynanda. Co za różnica pomiędzy tym żalem, a tonem pamiętników Churchilla czy notatek Hopkinsa z Jałty !

Po liberalnej Marii Teresie, polityka Józefa II wydawała się reakcyjna, choć w istocie swej była postępowa i rewolucyjna. Przez cały czas swego panowania cesarz był wrogiem Konstytucji — ale przeczuwał on że na terenie habsburskiej monarchii nie ma klasy średniej i że zachodnie idee konstytucyjne wykorzystane byłyby przez szlachtę i arystokrację do ubrania własnych przywilejów w nowe formy. Polityka Józefa II wywołała opozycję wielkich i małych feodałów, Kościoła i spowodowała reakcje nacjonalistyczne. Była to — zdaniem Fejtö — najwcześniejsza zapowiedź w środkowej Europie problemów z którymi w naszych czasach zetknął się Hitler i komuniści.

Fejtö jest marksistą — opuścił partię komunistyczną i wybrał wygnanie w chwili procesu Rajka — i stąd widoczna jest jego sympatia do tego cesarza „rewolucyjnego" i antyliberalnego zarazem. Ale widzi on w polityce Józefa II nie tylko dobre strony — uwłaszczenie chłopów, tolerancje religijną — ale również wady mające aktualny posmak : „Józef II czynił dobro w zły sposób, nieludzko, zimno i sucho".

Teza historyczna książki Fejtö jest kontrowersyjna, ale niewątpliwie pobudza do myślenia. Główna jej myśl rzucona była już przez Fejtö w „Histoire des Démocraties Populaires". Twierdzi on że w braku klasy średniej, Europa środkowo-wschodnia była historycznie niedojrzała do przejęcia idei rewolucji francuskiej. Że miejscowy liberalizm był niczym innym jak odnowieniem szlacheckiej tradycji i że dlatego postęp mógł w Europie środkowo-wschodniej iść tylko z góry — za pośrednictwem centralnego etatyzmu.

Autor daje nam również szkic charakteru Józefa II. Pod pancerzem cesarstwa krył się człowiek nieśmiały, niezdolny do nawiązania osobistych stosunków, nieszczęśliwie zakochany we własnej żonie, a po jej wczesnym zgonie opłakujący ją w samotności, znajdując pewną pociechę tylko w muzyce Mozarta.

◆

André Gide mówi gdzieś w swoim „Dzienniku", że człowiek zajęty życiem nie znajdzie nigdy czasu na pisanie. W ciekawej serii radiowych wywiadów „Qui êtes-vous", której część ogłosił niedawno francuski „Express", Julien Benda powiedział : „Une main calleuse ne pourra jamais écrire". Przeciw temu monopolowi „klerków" (a nie trzeba zapominać, że Benda sympatyzuje dziś z komunizmem) występuje Michel Ragon w swej *Histoire de la Littérature Ouvrière*" (Masses et Militants — Les Editions Ouvrières, Paris, 1953). Od średniowiecza aż po utworzoną w latach tysiąc dziewięćset trzydziestych szkołę „pisarzy proletariackich" z Henry Poulaille, Charles Plisnier, Marc Bernard itd. — Ragon analizuje wszystkich francuskich pisarzy-chłopów i pisarzy-robotników. Ileż mogliby się z tej literatury nauczyć teoretycy i praktycy socjalistycznego realizmu !

◆

W „Paris Insolite" autentyczny włóczęga Jean-Paul Clébert dał obraz Paryża clochard'ów, od strony świtów w Halles, nocy spędzanych pod mostem, tajemniczych koterii w szałasach na podmiejskich „terrains vagues". Druga jego książka, *La Vie Sauvage* (Editions Denoël, Paris, 1953), to włóczęga po drogach Francji, noclegi po fermach na sianie, po nadmorskich grotach, miesiąc z Cyganami, miesiąc w więzieniu. Uderza podobieństwo tej książki do „Gil Blas", do awanturniczych powieści 18-go wieku, do niektó-

rych partii pamiętników Casanovy. Omijając jak ogień cywilizację, cofając się na widok szyn tramwajowych, Clébert umiał odkryć jakiś rezerwat przygody i wolności.

◆

Znany krytyk muzyczny Pierre Souvtchinsky wydał pierwszy tom zbiorowego dzieła *Musique Russe* (Presses Universitaires de France, Paris, 1953). Najciekawsze są dwa ostatnie szkice — o Strawińskim. W drugim tomie omawiany będzie Prokofiew (przez Francis Poulenc) i Szostakowicz.

◆

L'Homme et l'Etat, ostatnia książka Jacques Maritain (Presses Universitaires de France, Paris, 1953) daje syntezę wysiłku który autor podjął w ciągu ćwierć wieku aby przedstawić współczesnym ,,konkretny ideał historyczny" nowej demokracji, ufundowanej na zasadach chrześcijańskiej tradycji. O Maritain powiedziano że uratował on tomizm z historycznego zapomnienia. Istotnie, znać na każdej stronie tej książki wpływ filozofa z Akwinu, którego nauka jest dla Maritaina zawsze żywa. Stara się on stosować tomizm do wszystkich współczesnych zagadnień, nadając mu nową aktualność.

◆

Six Heures à Perdre (Plon, Paris, 1953), ostatnia powieść Robert Brasillach łączy żywą, niemal kryminalną intrygę ze świetnym wizerunkiem Paryża z ostatnich lat okupacji. Postać bohaterki, wątłej dziewczyny, która w czasie wojny, kiedy tylu ludzi zabijano ,,anonimowo" ma siłę zabić człowieka, który na to zasługuje, ma wyjątkowy urok.

◆

,,Nie ma umysłów europejskich których by nie pogodziła symfonia Beethovena". To końcowe zdanie z książki Georges Bonneville'a, *Y a-t-il une culture européenne ?* (Editions du Conquistador, Paris, 1953) daje jakby błyskawiczny skrót dobrych intencji i beznadziejnej naiwności obrońców tradycyjnego humanizmu w dziewiętnastowiecznym sosie. Poprawność i powierzchowność tej książki jest zatrważająca.

Nic dziwnego że *Bourgeoisies en Appel*, zbiór szkiców Robert Boudet (1953) ukazał się u tego samego wydawcy. Nie można dziś czytać bez zażenowania tego rodzaju kazań tłumaczących potomkom ,,tysiąca rodzin", że winni sprostać wspaniałym tradycjom francuskiej burżuazji okazując więcej inicjatywy przemysłowej i więcej grzeczności dla ,,ludu".

◆

Jaka jest natura zła ? Czy istnieje zło ,,wrodzone", spotęgowane indywidualnie, ,,grzech pierworodny"? Na zasadzie jakiej tajemnicy zło może potęgować pewną formę piękna ludzkiej osobowości ? Co jest ,,wolnością" a co ,,niewolą" dla człowieka o ,,złych instynktach"? Oto pytania które stawia piękna powieść Jacques Perry, ,,*Le Mouton Noir* (Julliard, Paris 1953). Ta kronika miłości i czułości ojca, wrażliwego i poczciwego humanizującego artysty dla syna który jest uosobieniem uroku — ale podpalaczem, gwałcicielem, potencjonalnym mordercą jest również kroniką bankructwa ,,wychowania".

(j)

Przegląd miesięczników

W październiku ukazał się pierwszy numer *Encounter* (Panton House, 25, Haymarket, London S.W.1), miesięcznika poświęconego literaturze, sztuce i polityce, wydawanego w Londynie przez Kongres Wolności Kultury. Redaktorami „Encounter" są : poeta angielski Stephen Spender i publicysta amerykański Irving Kristol. W artykule wstępnym redaktorzy stwierdzają że pierwszy numer *Encounter* ukazuje się jakby na zgliszczach niedoszłej apokalipsy :

„Czyżby istotnie powiał wiew świeżego powietrza poprzez mgłę, którą przywykliśmy uważać za naszą zwykłą atmosferę ? Czyżby rzeczywiście apokalipsa, której oczekiwaliśmy nie doszła do skutku — pseudo-apokalipsa pseudo-proroków ? Czy nie czas przypomnieć sobie, że historia nie dąży do żadnego określonego celu, a ma tyle celów ile źródeł ?

„Trzej ludzie zmarli — Mussolini, Hitler i Stalin, z nimi zaś zniknęła cała mitologia epoki. Ostatniej z bajek które utrzymały się przy życiu zadały kłam wczorajsze wypadki w Niemczech Wschodnich i Czechosłowacji, gdzie prawdziwi robotnicy fabryczni otwarcie wypowiedzieli się przeciw hipotetycznemu Proletariatowi i czynem tym dokonali tego czego nie mogło osiągnąć tysiąc subtelnych argumentów : zniszczenie wiary marksizmu-leninizmu. Może nareszcie słowa odzyskają swoją wagę i nie będziemy wciąż narażeni na obmierzłe sofizmy na mocy których despotyzm pozował na wyższą formę wolności, morderstwo zaś na najwyższy humanizm.

Problemy pozostają te same oczywiście. Ciemna strona księżyca nie będzie już może brana za wschodzące słońce, ale pozostaje równie ciemna. I wiele jest cieni wśród nas. Może teraz dopiero będziemy mieli sposobność zmierzenia się z tymi problemami, które ukrywa się zwykle pod nazwą „kryzysu naszych czasów", w ich konkretnej i realnej formie. Miejsce człowieka i sztuki w cywilizacji przemysłowej, pogodzenie równości z wolnością, miejsce narodowej dumy w świecie w którym narodowość jest oczywistym anachronizmem, niedopuszczalność głodu i upodlenia w świecie który posiada środki na ich usunięcie — te problemy przeżyją wywołane przez nie fałszywe rozwiązania".

◆

W grudniowym numerze *Preuves* ukazał się — wybity na pierwsze miejsce — wybór tekstów Witolda Gombrowicza, w przekładzie francuskim autora, poprzedzony wstępem K. A. Jeleńskiego. Na ośmiu stronach *Preuves* (równych 16 stronom „*Kultury*") mamy kolejno „Wizytę w Poselstwie" z „Trans-Atlantyku" i dwa ustępy z „Ferdydurke" : rozważania Gombrowicza o formie i sztuce, oraz opowieść o „Filidorze Dzieckiem Podszytym". *Preuves* zamieszcza również reprodukcję portretu Gombrowicza przez Zygmunta Grocholskiego.

◆

Od czasu triumfu fotografii nastąpił ostateczny rozwód pomiędzy artystą i dziennikiem, a przez to samo pomiędzy artystą i wydarzeniem aktualnym. A przecież nic tak nie może oddać ducha epoki jak rysunek : wystarczy wspomnieć Callot, Goyę, Daumier. Dlatego należy entuzjastycznie powitać inicjatywę Feliksa Topolskiego, który widząc że rysunek dla gazety należy do bezpowrotnej przeszłości, stworzył gazetę dla rysunku : *Topolski's Chronicle* (14, Hanover Terrace, London N. W. 1.). Oto cel tej jedynej

dziś kroniki rysunkowej, słowami jej autora : „...w przekonaniu że udaje mi się chwytać na gorąco duch i formę naszych czasów, wydaje mi się że ciągła panorama, zebrana i zachowana w ciągu długich lat, będzie dokumentem jedynym w swoim rodzaju. Zawartość nie będzie podlegać żadnym regułom i będzie przechodzić od serii numerów poświęconych jednemu „tematowi" do pojedyńczych numerów na różne tematy, z odcinkami rysunkowymi, słowną dekoracją i doświadczeniami obieżyświata"...

◆

Dowcipna *Parisienne*, po numerze specjalnym poświęconym domom publicznym, ogłasza w listopadowym numerze zabawny artykuł o alkoholiźmie w literaturze. Warto podkreślić pokrewne poczucie humoru i wyczucie aktualności w „Wiadomościach".

◆

W *Nouvelle Revue Française* toczy się ciekawa dyskusja na temat powieści pomiędzy Montherlantem i rumuńskim pisarzem E. M. Cioranem.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

Hundra miljoner fangar. Oesteeuropa under kommunistisk regim. Pod redakcją : L. Hamori i N. Żaba, z przedmową Eyvinda Johnsona. Str. 175. (Nakładem „Natur och Kultur", Stockholm, 1953).

THORWALD (Jürgen). *Wlassow contre Staline*. Pp. 279. (Ed. André Bonne, Paris, 1953, frs. 580).

HAHN (Assi). *Du ciel aux enfers*. Pp. 250. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 600).

L'impérialisme soviétique ne change jamais. Pp. 23. (Ed. B.E.I.P.I., Paris 1953).

ILNYTZKY (R.). *Russian world ambitions and world peace*. Foreword by F. Stewart. Pp. 58. (Ed. Scottish League for European Freedom, Edinburg, 1953, price 2/-).

REGLER (Gustav). *Terre bénie, terre maudite*. Le Méxique à l'ombre des siècles. Pp. 237. (Ed. du Rocher, Paris, 1953, frs. 570).

CHURCHILL (Winston). *Mémoires sur la deuxième guerre mondiale*. Tome VI. *Triomphe et tragédie*. 1-re partie : *Victoire*. Pp. 420. (Ed. Plon, Paris, 1953).

ROY (Claude). *Clefs pour la Chine*. Pp. 353. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 750).

WILLOUGHBY (Charles A.). *La conspiration de Shanghai*. Pp. 303. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 600).

TURKUS (Burton B.) et FEDER (Sid.). *Société anonyme pour assassinats*. Pp. 443 (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 750).

HISTORIA

CLOUGH (Shepard B.). *Histoire économique des Etats-Unis depuis la guerre de sécession* (1865-1952). Pp. 197. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs. 800).

MACKIEWICZ Stanisław. *Stanisław August*. Str. 257. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1953, Cena 12 sh. 6 d.).

FEJTÖ (François). *Un Habsbourg révolutionnaire Joseph II*. Pp. 356. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 780).

LITERATURA

ROBBE-GRILLET (Alain). *Les gommes*. Pp. 258. (Les Editions de Minuit, Paris, 1953, frs. 570).

YOLLES (P. P.). *Ciernie*. Str. 350. (Wyd. Mark P. Yolles, Elizabethtown, N.-Y., The Pittsburgher Polish Daily Publ., Co., Pittsburgh Pa., USA., 1953. Cena dol. 3,50).

GIBEAU (Yves). *Les gros sous*. Pp. 313. (Ed. Calman-Lévy, Paris, 1953).

PLIEVIER (Theodor). *Moscou*. Pp. 314. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 575).

ROY (Jules). *La bataille dans la rizière*. Pp. 365. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 590).

BOSQUET (Alain). *Ni singe ni Dieu*. Pp. 188. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1953, frs. 450).

NIMIER (Roger). *Histoire d'un amour*. Pp. 278. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 450).

CZAPLENKO (W.). *Ludi w Tienietach*. Powieść satyryczna. T. I-szy str. 127, T. II-i str. 132. (Wyd. Iwan Tiktor, Winnipeg, 1951).

POEZJE

NORWID (Cyprian K.). *Vade mecum*. Str. 140. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1953).

BUJNOWSKI (Józef). *Rysy na pustce*. Poezje. Str. 24. (Wyd. Polskie Two Literackie, Londyn, 1953).

RADZYMIŃSKA (Józefa). *Fraszki*. Str. 37. (Nakładem Autora, Buenos Aires, 1953).

RÓŻNE

ZBRUCZ (Jan). *Czy byłem szpiegiem?* Str. 177. (Nakładem Redakcji „Ludu", Curitiba, Brazylia, 1953).

FELSZTYN (Tadeusz). *Świat w oczach współczesnej nauki*. Str. 262. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, 1953. Cena 15 sh.).

LAPIERRE (J.-W.). *Le pouvoir politique*. Pp. 108. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs. 240).

SCIZE (Pierre). *La Tribu prophétique*. Pp. 167. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1953).

MERLEAU-PONTY (Maurice). *Eloge de la philosophie*. Pp. 91. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 175).

HAŁAJCZUK (B. dr). Nacja poniewolena ale dierżawna. Str. 97. (Wyd. „Suczasna Ukraina, Monachium 1953, T. II „Mała Politiczna Biblioteka".

OSTROWSKI (Victor). *Safari en el Continente Negro*. Str. 241. z 96 fotografiami w tekście. (Wyd. Editorial Albatros, Buenos Aires, 1953).

DEVOTUS DISCIPULUS. *Ks. M.I. Morawski, T.J. jako filozof (1845-1901)*. Str. 47. (Wyd. Katolicki Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1953).

SĄDEK (N.). *Kamienicznik*. Komedia w jednym akcie. Str. 16. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", Londyn, 1953).

MOUNI SADHU. *In days of great peace at the Feet of Sri Ramana Maharsi*. Diary leaves from India. Str. 283. (Wyd. Ramnarayan Press, Gandhinagar, Bangalore, India, 1952).

HAZELETT (C. W.). *Practical answers to inflation unemployement, taxation and political leadership*. Str. 243. (Wyd. Incentivist Publications, Greenwich, Conn. USA).

STAHL (Z.). *System Dmowskiego wczoraj i dziś*. Str. 87. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1953).

DMOWSKI (R.). *Myśli nowoczesnego Polaka*. Str. 122. Wydanie siódme — wg. wydania czwartego ze słowem wstępnym T. Bieleckiego. (Nakł. Koła Młodych, Stronnictwa Narodowego, Londyn, 1953).

MARITAIN (Jacques). *L'homme et l'état*. Préface de B. Mirkine-Guetzévitch et Marcel Prélot. Pp. 204. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs 720.).

GRANDE'COMBE (Félix de). *Tu viens en Espagne*. Pp. 240. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs. 600).

W związku z zbliżającą się rocznicą ukazania się Polski na arenie dziejowej

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

przystępuje do wydania monumentalnego dzieła pt.:

Tysiąc lat kultury polskiej

WIELKA HISTORIA NARODU I PAŃSTWA

od czasów najdawniejszych do chwili bieżącej,

przedstawiona przez
jednego z największych polskich uczonych

Prof. Uniw. Dr. Aleksandra Brücknera.

1.200 stron druku w formacie 21×27 cm.
(podzielonych na 2 tomy)

z 500 ilustracjami w tekście

I NA ODDZIELNYCH PLANSZACH

Olbrzymie to dzieło przedstawia w barwnym opisie całe dzieje Polski, wszystkie prądy społeczne, polityczne i religijne; życie codzienne szlachty, mieszczaństwa i chłopów, rozwój kościoła, miast i wsi polskiej oraz cały dorobek w dziedzinie budownictwa, sztuki, literatury i muzyki, ukazując całą Polskę jaką była i jest we wszystkich swoich przejawach.

Ilustracje zebrane z muzeów, bibliotek i archiwów krajowych oraz zagranicznych, w większości po raz pierwszy reprodukowane, składają się na wielki atlas unaoczniający w doskonale wykonanych rycinach całość życia i kultury polskiej. Celem ułatwienia nabycia tego dzieła wszystkim, wydawnictwo ukazywać się będzie zeszytami. Całość obejmie **20 zeszytów** i ukaże się w ciągu roku od chwili rozpoczęcia wydawnictwa. Cena każdego zeszytu wynosi 500 fr., 10 sh., 1,50 dol. Cena powyższa obowiązuje do dnia 1. IV. 1954 po czym będzie znacznie podwyższona. Abonament należy zgłaszać za 2, 4 lub 6 zeszytów. Ze względu na to, że wysokość nakładu jest ograniczona, prosimy o wczesne zgłaszanie prenumeraty pod adresem :

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Boulevard Saint-Germain, PARIS 6e

względnie do wszystkich Przedstawicieli
„Podręcznej Encyklopedii Powszechnej".

Pielę „Ziele"

Dwa już lata upływają od czasu ukazania się w Nowym Jorku dużej powieści Melchiora Wańkowicza pt. *Ziele na kraterze*. Od strony literackiej książkę tę szeroko omówił Michał Sambor („O Wańkowiczu i jego nowej książce", *Kultura*, Nr 2/52-3/53, 1952, str. 171-180) składając należny hołd jej wartościom pisarskim. Z kolei, znacznie już krócej, pisał o *Zielu* Juliusz Mieroszewski („Wańkowicz i „Ziele", *Kultura*, Nr 4/54, 1952, str. 150-2). Obszerny artykuł pod wiele mówiącym tytułem „ „Ziele na kraterze" — książka serdeczna" poświęcił *Zielu* W. Tarnawski (*Dodatek Tygodniowy „Ostatnich Wiadomości"*, Mannheim, 7.VI.1953, str. 1-2). Recenzje w *Dzienniku Polskim* i w *Wiadomościach* (innych nie znam) robiły wrażenie bardzo niedostatecznych. *Ziele* jako dzieło literackie miało szerokie echa.

Recenzje literackie zwykle zatrącają o język pisarza. Odpowiednich wzmianek tu nie omawiam. Chciałbym tylko podjąć sprawę sprzeciwu Sambora z okazji użycia rzeczownika *światopogląd*. Owóż w kołach językoznawczych twór ten, niewątpliwie wzorowany na niemieckim *Weltanschauung*, ma znacznie więcej zwolenników niż przeciwników. Zajrzyjmy do recenzji prof. Nitscha z pracy D. Gromskiej pt. *Pogląd na świat czy światopogląd* (*Język Polski*, 1950, str. 93). Z recenzji tej dowiemy się, że Łoś „był wyrazowi niechętny, ale nie uważał go za zasadniczo źle zbudowany", podczas gdy Rozwadowski traktował *światopogląd* pobłażliwie. Od siebie Nitsch pisze : „*Światopogląd* nie jest zasadniczym dziwadłem, a jest niewątpliwie poręczniejszy. A skoro używa go bodaj większość filozofów, m.in. wszyscy tomiści, a też pisarze artystyczni jak Dąbrowska, Nałkowska, Kruczkowski..., skoro figuruje bez zastrzeżeń w SW (tj. Słowniku warszawskim) i w Słowniku ortoepicznym Szobera, to go z tej pozycji już nic nie wyruguje". Dodajmy, że jedynym dziś przeciwnikiem *światopoglądu* w kołach językoznawczych jest Słoński, który w swoim *Słowniku polskich błędów językowych* (r. 1947) zaleca używanie *poglądu na świat*. Kto odrzuca *światopogląd*, powinien konsekwentnie odrzucać i przymiotnik *światopoglądowy*, złe jest bowiem co się ze zła, choćby dobrze,

poczęło. Ale przeciwnicy *światopoglądu* konsekwencją nie grzeszą, „czego przykładem prof. Tatarkiewicz : ten staranny językowo autor pisze stale *pogląd na świat*, a przecie i on musi napisać o „aspiracjach *światopoglądowych*" " (recenzja Nitscha). Sambor nazywa *światopogląd* potworkiem, co oczywiście czynić wolno, ale nie można Wańkowiczowi robić zarzutu z tego, że tego „potworka" używa.

Artykuł niniejszy poświęcony jest językowi *Ziela*. Ale dość ścisła więź zdaje się łączyć językową stronę tego utworu z jego stroną literacką. Mianowicie zbytniemu rozrostowi treściowemu, zbytniej rozbujałości towarzyszy zbytek nowosłowia. Tak np. rozdział *Uniwersyteckie wspominki* (str. 222-231) nie jest chyba w ogóle potrzebny. Tak jak nie wydaje się potrzebna masa nowotworów czy też masa rarytasów słownikowych, których normalny czytelnik nie rozumie i które nierzadko są wręcz wadliwej roboty. Z cudzoziemcem uczącym się polskiego czytałem przepiękny *List do Krysi* (str. 402-408). To, że co chwila gardło ściskał mi skurcz, wynika zapewne z moich typowo polskich niedostatków światopoglądowych i politycznych, więc na to machnijmy ręką. Ale to, że wzruszenie ogarniało również i owego cudzoziemca, było już tylko zasługą wielkiej sztuki autora. Owóż *List do Krysi* cechuje najwyższa w *Zielu* prostota słowa, niemal całkowita nieobecność dziwactwa językowego. *List do Krysi*, wobec którego *Treny* są tylko artystyczną robotą, będzie szarpał sercami — nie popadam w przesadę — długie, długie wieki. A o całości ustali się prawdopodobnie werdykt przyszłych *virorum togatorum*, że jest to ogród wprawdzie bardzo, wprawdzie żywiołowo bujny, ale — pożyczmy małopolszczyzny od Wacława Potockiego — „nie plewiony". Artykuł niniejszy poświęcony jest „przeplewieniu" *Ziela*. Ukazuje jego liczne blaski i jego liczne cienie, nie wszystkie oczywiście, bo na to należałoby zużyć aż zbyt wiele czasu, aż zbyt wiele papieru *).

Obyczajem nudnym gramatykarskim rzecz nasza rozpocznie się od oceny pisowni. Z góry zaznaczmy, że materia to drażliwa. I że rodacy to już takie bestie, że zalecać im spać z... tomikiem przepisów ortograficznych — trud bezowocny, wołanie na puszczy. Owóż autor należy do pisarzy, których stosunek do pisowni, zespołu przepisów i ustaleń przyjętych przez odpowiednie organa społeczne, a więc obowiązujących nas wszystkich, jest dość lekceważący. Na str. 1-3 *Ziela* znajduję aż 9 usterek pisowniowych, co jest *troppo ma non allegro*. Zbadanie wszystkich 413 stron *Ziela* ujawniłoby pewnie takich uchybień aż 1239. Jedna z tych usterek, *ciepłym*, mające reprezentować narzędnik liczby pojedynczej od *rzeczownika ciepło* (!) powtarza się na str. 64 : „Poczułem, że piękna nie na leży (korekta !) przeżywać; że *pięknym* należy żyć". Autor, że dzwonią słyszał, ale kościół pomylił.

*) Cytaty podaję nie zmieniając pisowni autora ani na jotę. Liczba oznacza stronę.

Złym grzechem wańkowiczowskim jest niebywała pisownia *„trzcionka"* : „nalepka wydawcy, formy graficznej, *trzcionek"* (126) — słowo pochodzi od średniowiecznego *cztę, czyść*, „czytać", z *trzciną* nie ma nic wspólnego. Złym grzechem drugim jest *gembulka* : *„do gembulek"* (92) — choćby nawet Wańkowicz miał nieortograficznego *em* bronić lekkim słowa charakterem, nie przyznamy mu racji, tak jak nie przyznamy, że pisownia lekkiego *„weftę"*, *„w eftę"* jest dobra („Pół kręci się w tę — trzeba dreptać w tę stronę przesuwając się do przodu, a pół *weftę"*, 44; „Było więc w tę albo *w eftę"*, 315) — powinno być *wew tę*, por. *zza* skał. Tylko przypadek *„Pućka* pohukuje w pobliżu" (58) mógłby Wańkowicz obrócić przeciw członkom Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności słusznie mówiąc : w waszych przepisach nic o tym słowie nie ma, a Słownik warszawski dając dialektyczne *pućka* obok literackiego *pójdźka* pozostawia mi pełną swobodę wyboru. Ale za te większe i za te mniejsze usterki należy się autorowi spora ilość dni w czyśćcu, na studiowaniu przepisów ortograficznych z r. 1936 spędzonych (obok, jako rodzaj wzoru do naśladowania, niech sobie rozłoży numery londyńskiego *Times'a* — mimo iż pisownia angielska, społeczny luksus, jest kilkakrotnie od polskiej trudniejsza, korektorzy i pisarze dają sobie z nią radę *znakomicie* i redaktor, jeżeli znajdzie się w czyśćcu obok Wańkowicza albo nawet w piekle, to z innych przyczyn).

Teraz morfologia i słowotwórstwo wańkowiczowskie, od rzeczowników rozpoczęte. Odmiana rzeczownika jest w *Zielu* oczywiście w całkowitym porządku — mucha nie siądzie, gdzież więc mnie siadać. Co się tyczy rodzaju rzeczownika, jedną można zgłosić uzasadnioną obiekcję — używa autor żeńskiej *małży* : „Te lakierowane futerały, kiedy katastrofa dziejowa dusze ściśnie, popękają, posypią się jak tynk, odsłaniając bezbronną larwiastą *małżę* w tej słabej skorupie" (137). Z małżami mamy — większość, nie zoologowie — jedno tylko krótkie w życiu spotkanie : wbijając w nasze łepetyny kurs zoologii na ławie szkolnej (Boże, jak to dawno !). Stąd między rodakami pewne rodzajowe wahanie, ale — sprawdziłem w Penrhosie — zdecydowana większość woli męskiego *małża*, więc *małża* właśnie wolelibyśmy i w *Zielu* widzieć. *Ta kruża, ta kruż*, czy *ten kruż* — bardziej to kłopotliwe już pytanie, wywodzimy się bowiem z epoki kieliszka i tylko poeci na suche niby przepijają się w sonetach i Bóg-wieczym jeszcze z tego staroświeckiego naczynia. Wańkowiczowi, z poetami skumanemu, podoba się *ta kruża* („falern lejący się *z kruż"*, 31, „zda się ci czymś nierealnym, jakąś *krużą* sączącą pasma modlitwy do nieba", 128). Niech i tak mu będzie, ale np. Brueckner w *Słowniku etymologicznym* i Słownik warszawski mają tylko *ten kruż*, znany Kochanowskiemu i Wyspiańskiemu. Problem *smyczy* jest już nieco inny niż problem *małża* i *krużu*, bo nie o rodzaj tu chodzi, ale o deklinację. Wańkowicz używa postaci *ta smycza* : „wzięty *na smyczę*, ciągnął prowadzącą jak na potężnym żaglu" (99) — owóż i *Poradnik gramatyczny* Gaert-

nera i Passendorfera (wyd. II z r. 1950) i *Słownik poprawnej polszczyzny* Szobera (wyd. z r. 1948) oraz rzecz już przytaczana Słońskiego opowiadają się za formą *ta smycz*.

Nie te drobiazgi jednak, lecz nowosłowie jest wańkowiczowskiego rzeczownika sprawą najbardziej interesującą i do niej z miejsca przechodzimy.

Przede wszystkim zastrzec się należy, że nie zawsze da się z całą pewnością ustalić, iż dany rzeczownik stworzył właśnie autor czy też ktoś z jego bliskich *pierwszy* — na to ani Słownik warszawski, ani własne wiadomości często nie wystarczają. Wszak ktoś inny mógł już przed Wańkowiczem użyć udatnego, ciepło-kpiącego *kuchniologa* nie powierzając tego tworu pismu, drukowi. Dlatego przy ocenie niniejszych uwag trzeba zawsze stosować przysłowiową szczyptę soli. Ale *ad rem*, do rzeczy. Owóż wańkowiczowskie nowotwory rzeczownikowe rodzą się w fali uczucia. Fala ta niesie takie wspaniałe zdrobniałości jak np. *dzierżawczyna* (uczepił się *dzierżawczyny*", 5), tj. *dzierżawka* dalej zdrobniona (por. *książka*, niegdyś *diminutivum*, i *książczyna*), *kindżątko* („Mama z pobłażaniem obserwująca to wzdymanie się małych *kindżątek* na przygody, wspominała jak przed kilku laty w tejże Antwerpii na też tematy kolonialne wzdymało starego Kinga", 234) — tylko pedant domagałby się tu *kinżątka* powołując się na *niebożątko;* co się tyczy *kolebusi* („dumną opoką, z której szły dzień w dzień te wspaniałe podboje było głębokie łóżeczko, *kolebusia*, obciągnięta kretonem", 1), jest to może nie wańkowiczowska robota, lecz ludowa, od *Danusi* i *Halusi* tkliwy sufiks biorąca; *przypowiaduszka* („z krainy wzruszeń i *przypowiaduszek*, z których uleciał wszelaki uchwytny sens", 22) bierze się może skądś z terytorialnej rozchwiei dawnego Wielkiego Księstwa (w Penrhosie ułowiłem ostatnio ciekawą *przypowiadastkę*, której *-astka* odczepiona od *powiastki*). Na fali uczucia wypływają i zgrubienia-*augmentativa*, takie jak np. pozbawiona przyrostka *-k- podfruwaja* („poprowadziła *podfruwaje* do Muzeum Oceanicznego", 252), której nawet z przyrostkiem w Słowniku warszawskim nie uświeci; jeden „legitymistyczny" twór z przyrostkiem *-dło* : *leniuszydło* (258) i trzy dość dowolne, których jednak ze względu na ważkowatą ulotność i ekspresywny charakter surowo sądzić nie należy : *poznawadło*, *przyklejadło* i *przyszywadło* („Takie *przyszywadła* rodzinne, *przyklejadła* z kurortów, *poznawadła* z przedziałów kolejowych", 113), por. m.in. *przyszywana ciocia*. Również uczucie rodzi wiele wyrazów charakterystycznych takich jak : *brekeks* („kiedyś przyjdzie i spłynie fala, w której będzie pełno słów jak „aspekt", „wyżywać się", „kompleks", „podświadomość" i inny inteligencki *brekeks*", 38), *dzikoludztwo* („Dom, długoletnim doświadczeniem bogaty, przeobrażał się *na* to *dzikoludztwo* tak, że nie poznałbyś, że to ten sam Domeczek", 116), *konnojazda* („*Z* tych *konnojazd*", 153), *kuchniolog* („dręczył King Bogu ducha winnego Królika, tak znakomitego *kuchniologa*, że na wycieczce kajakowej położyła na patelni kawałek mięsa wielkości

orzecha, będąc przekonana, że mięso tak samo rośnie, jak baba w piecu", 130), *maleńtas* („Domownicy, otoczywszy kolebkę *maleńtasa*, którego znaleźli w wyśmienitym humorze, kiwali głowami", 5), *myszowisko* — zbiorowisko małych myszy („Mama bezradna stanęła *w* tym *myszowisku*", 20), *niedotrup* (o spitym nieledwie do nieprzytomności : „począł z obdarowaną służebnicą dygować *niedotrupa* za drzwi", 119) *pyton* (o córkach dręczących ojca pytaniami : „Po każdej takiej odpowiedzi, *„pytony"* patrzą na Mamę", 39 — przypomina to *okularnika* jako „człeka w okularach"), *siądźka* (pewną część ciała oznaczający nowotwór dziecinny : „Odtąd zawsze każda koszulka, która nie sięgała dalej, jak do połowy *„siądźki"*, nazywała się jedwabna", 29), *skowronkożerca* („powołanie się *na* francuskich *skowronkożerców* jak i na Włochów, zapychających *ucellini* mogłoby nie uchronić od zarzutu kantów", 130), *szczyp*-uszczypnięcie („będziesz mogła dać naj-najmocniejszego *szczypa"*, 36) i *wstrętus* (od przymiotnika *wstręt-n-y* z odrzuceniem przyrostka *-n-* — podobne odrzucenie przyrostków stwierdzamy w tworach *garb-us*, od *garb-at-y*, *gniew-us*, od *gniew-n-y*, jeśli nie biorą się z *garbu*, *gniewu*, w tworach *mor-us*, od *mor-ow-y*, i *oberw-us*, od *oberwan-y* : „Mały *wstrętus* zasypia w cieniu tej wstrętnej przerażającej rzeczy spłakany i bez krzyżyka", 28). Spotykamy również nowe użycia wyrazów już znanych jak np. *niedonosek*, w Słowniku warszawskim tylko „nie donoszone dziecko" : „z nagła postanowieniami stają się *niedonoski* projektów", 123. Albo rzeczowniki ledwie znane jak np. *prowincjusz* : „Tę gumkę dobrze było zwłaszcza stosować *wobec prowincjuszów"*, 92. Rzadko tylko nowotwory rodzą się z potrzeby, którą by można nazwać „intelektualną" : *inseparablka*, najprawdopodobniej spolszczona francuska *inséparable*, jakaś australijska papuga nie rozstająca się nigdy z drugą („No więc teraz wyfrunęły z maminych rąk na tych rowerach jak te *inseparablki"*, 235) lub *przerywnik*, bodaj znak oznaczający przerwę w pisaniu („Uśmiechnąłem się *do* wywodzonych dziecinną ręką i kolorowym ołówkiem inicjałów i *przerywników"*, 203), acz może ten ostatni termin traktować należy jako twór treściowo chaotyczny, przez falę uczuciową raczej niż realną potrzebę do ważkowatego życia powołany.

Wymienione tu twory rzeczownikowe są tworami udatnymi, dobrymi, acz nie zawsze potrzebnymi (*konnojazda!*). Udatność, dobroć nie jest oczywiście rękojmią żywotności. Przykładem tworu złego jest przymiotnik *radziecki*, który ostatnio rozprzestrzeniono w Polsce i podniesiono do rzędu sztandaru — zło więc może być żywotniejsze niż dobroć. Ale nawet z tej dobrej rzeczownikowej roboty nic nigdy najprawdopodobniej poza karty *Ziela* nie wyjrzy. Ba, przeobfitość nowosłowia jest dla *Ziela* niekiedy nawet raczej ciężarem. Twory wręcz złe stanowią tym większy ciężar dla *Ziela*. Wymieńmy ich kilka : dwa twory od teoretycznego imiesłowu przeszłego na *-ł-* — *nawiałek*, jak gdyby „człowiek nawiany przez wichr dziejowy" (o oficerze niemieckim w zburzonej popowstaniowej Warszawie : „Cóż ją broni *wobec*

tego *nawiałka*, który znaczy tak mało i jego pistoletu, który może znaczyć tak dużo", 386) i *odrastałek*, „podrastająca córka" („ „starego trupa" było dosyć, aby rodzice uradzili, że warto *odrastałki* ukobiecić i podbaronić", 166) — twory te zbudowane są według wzorca polszczyźnie nieznanego (por. W. Doroszewski, „Monografie słowotwórcze", *Prace Filologiczne*, XIII, str. 7-58); śmierdząca *międzyczasem* (*z Zwischenzeitów*) *międzyepoka*, „epoka przejściowa" („Coś widać emanowało z tych starych portretów i z tych ludzi startych w pierwszym ruszeniu *międzyepoki*", 5); *przedziwactwo* („wypęczniliśmy się pod dwór drewniany, rozłożysty, naklapły w tej oazie zielonej jak narośl, jak część *przedziwactw*, które ze swego łona wypiera ziemia", 168) — twór wątpliwej wartości; *elektryciarz*, „pracownik Miejskich Zakładów Elektrycznych" („*elektryciarze*, którzy na złość zarządzeniom niemieckim przeprowadzili jeszcze jedno połączenie", 349) najprawdopodobniej jest tworem nie wańkowiczowskim, lecz ludowym, warszawskim — od niewykształconej *elektryki* lepszy byłby „*elektryczarz*", może jest to jednak wewnętrzne ściągnięcie jakiegoś „*elektrycznościarza*".

Z kolei zajmiemy się wańkowiczowskim przymiotnikiem. Tu najważniejszą cechą wyróżniającą jest obfitość przymiotników z przyrostkiem *-ow-*, tworzonych od *osobowych* rzeczowników męskich i żeńskich. Pień tym nowotworom dają w pierwszym rzędzie rzeczowniki żeńskie (dziesięć) : *ciocia Mania* („brat *ciociomaniowy*", 41), *ciotka* („poleciała do strasznie *rigide* mopsów *ciotkowych*", 89), *córka* („Tymczasem kiedy neseser tatowy był istnym składem wszystkiego, co można sobie wyobrazić, to nie zdarzało się, żeby z *córkowego* wyłoniło się co innego jak piżamka, pantofle i pasta do zębów", 176), *Frania* („W ostatniej chwili pogoń *franiowa* dopadła", 43) *Krystyna* („Poczęli wytrząsać *krystynowe* zapasy", 353), *Malwinka* (imię kotki, więc rzeczownik bardzo bliski osobowym — „Była to więc inna szkoła kochania, niż *Malwinkowa*", 99), *mama* („wydybał tajemnicę *mamowej* młodości", 110 — por. również wariant : „Posłyszało się gramolenie *ciotko-mamowe*", 76), panna *Michasia* („blade oblicze panny *michasiowe*", 46), *służąca* („Kawalerowie *służącowi*, przystrojeni w zabójcze muszki i rozdziałki, przemykali się do apartamentów „basementu" ",113) i *Tili* (imię jednej z córek — „do *tilowej* „pałtii" ", 49). Męskie pnie są tylko trzy : *King* (imię słonia z sienkiewiczowskiego „W pustyni i w puszczy", nadane Wańkowiczowi przez córki — „Mama z weschnieniem patrzała na te *Kingowe* praktyki", 110 — por. także wariant : „Były to nieszkodliwe stworzenia, pasające się w przestrzeniach *pozakingowych*", 113), *Królik* (imionisko pani Wańkowiczowej — „obok willi *królikowego* stryja", 114), *i Tata* („*Tatowe* biuro podróży", 17 — por. także wariant : „zasiadł *mamo-ciotko-tatowy* sąd polowy", 48). Charakter rodzajowy dwóch innych pni nie jest jasny : *dudy*, nazwa staroświeckiego instrumentu muzycznego przerzucona na córki, występuje tylko w liczbie mnogiej i z tego względu jest w zasadzie bezrodzajowa, co się zresztą

uzewnętrznia w dopełniaczu liczby mnogiej, który może być *dud* albo *dudów* („Pohukadła *dudowe* wsiąkały wszędzie jak kurz", 113); rzeczownik *dzieci* trudno uznać za nijaki tak jak *dziecko*, gdyż historycznie rzeczy biorąc jest to rzeczownik tego typu co i np. żeńskie *nici* („Goście bowiem bywali : tatowi, mamowi, *dzieciowi* i służącowi", 113).

Owych piętnaście tworów na *-ow-* — to przeważnie przymiotniki dzierżawcze (*tatowy* = „należący do taty"), rzadko tylko wychodzące poza ten charakter. Z zestawienia z przytoczonymi w *Zielu* listami Tili, gdzie twory na *-ow-* również gęsto występują (por. str. 300 : „I nie zmienię swojej tęsknoty do Was, do dawnych form życia, *mamowej*, kojącej miękkości, *Kingowej* niezbędności w każdej ważnej chwili, *Krystynowej* kanciastej potrzebności bycia blisko" — albo str. 276 : „Patrzała przez chwilę pobłażliwie, *starszosiostrowo*", który to przykład niech da również obraz nie dzierżawczego użycia), wynika, iż maniera tworzenia przeważnie dzierżawczych przymiotników na *-ow-* była manierą całego wańkowiczowskiego Domeczku. Na co tylko rzec można „wolnoć, Tomeczku, w swoim Domeczku", bo gdzieżby gramatykarz mógł się wtrącać do złotej wolności zamkniętych czterech ścian. Ale sprawa przybrała nieco inną postać z chwilą, gdy autor zdecydował się ściśle prywatną manierę wydobyć na światło publiczne dając jej obfity wyraz w książce wydanej ostatecznie również i dla ponurej nacji gramatykarzy. Wtrącam więc i swoje biedne trzy grosze. Przymiotniki *dzierżawcze* na *-ow-* wolno tworzyć jedynie od rzeczowników męskich i to męskich nie tylko z rodzaju, lecz i z odmiany. To jest grosz pierwszy. Według tej reguły *Kingowy* jest w porządku, ale *mamowy*, czy *tatowy* (*tata* odmienia się jak *mama*) — nie. Może być *maminy* (którego Wańkowicz bynajmniej i chwała Bogu nie unika, por. np. „do biblioteki, potem do *maminego*, potem do dziecinnego pokoju", 34), *taciny* (*tacinego* drobny ślad daje Słownik warszawski). A oto grosz drugi : nawet w ramach pni z rodzaju i z odmiany męskich przymiotniki dzierżawcze na *-ow-* są w dzisiejszym języku inteligenckim kategorią obumarłą (jedynie użycie *-ow-* jako przyrostka „żoninego", por. *pan Wittlin : pani Wittlin-ow-a*, jest żywe, ale, po pierwsze, twór taki nie jest zawsze obowiązujący, można bo powiedzieć *pani Wittlin*, po drugie zaś, funkcja „żonina" nie jest jednoznaczna z dzierżawczą i właściwie *-ow-* „żonine" jest po prostu odpowiednikiem angielskiego *Mrs.* czy francuskiego *Madame*) — Wańkowicz daje jej sztuczny zastrzyk, galwanizuje trupa. Grosz trzeci, *tertius, non datur* (że się też zapędziłem z tymi groszami), więc, aby sprawę zakończyć, zaproponuję pewnego rodzaju krakowski targ. *Ziele* jest książką dokumentacyjną. Dokumentacja nie może całkowicie pomijać jakiejś maniery językowej, choćby nawet była to maniera wykolejona. Dlatego umiarkowanej ilości *mamowych* i *tatowych* tworów pisarzowi bym nie wytykał. Ale *Ziele* jest książką dla wszystkich. Dlatego przeobfitość tych cudactw wydaje mi się rzeczą złą — np. na jednej str. 113 mamy ich aż

dziesięć, dużo za dużo, dużo za dużo. Teraz już tylko całej sprawy uzupełnienie. Obok tworów na *-ow-* od rzeczowników osobowych autor używa również pewnej liczby neologizmów tego samego typu od rzeczowników nieżywotnych : *Łazienki* („po... *łazienkowych* budkach z wodą sodową", 44 — park był nie *łazienkowy*, lecz *łazienkowski*), *sukienka* („puszczała dosyć lekko te *sukienkowe* sprawy", 43) i *Zachęta* („po arrasach zamkowych, Grunwaldach *zachętowych*", 44) — te mniej rażą, gdyż od rzeczowników żeńskich *nieżywotnych* coraz częściej powstają przymiotniki, inne zresztą niż ściśle dzierżawcze. Nawet te *sukienkowe* sprawy chyba wręcz wszystkim rodakom do gustu przypadną, acz — *o tempora, o amores !* — inne z nimi i głębsze niż autor znaczenie sprząc by radzi (Wańkowicz ma na myśli tylko to, że córki-dzieci zbyt często drą sukienki przy zabawie)... Jedynym nowotworem omawianego typu od pnia innego rodzaju jest przymiotnik *autowy* („Tak jak przychodziła zmieniać opatrunek przy jakimś *autowym* czy kajakowym skaleczeniu", 313), bo *kajakowy* istnieje. Przewaga pni żeńskich w tym nowosłowiu jest chyba jednak odzwierciedleniem wielkiego znaczenia fraucymeru w Domeczku, ale to już uwaga na stronie.

Taką jak *ciotkowy* swawolą językową jest przymiotnik *ciotkowski* : „wyrok *ciotkowski* i mamowa nieubłagalność podcięły „szoferowi dyplowanemu (korekta !) i „z czerwonym prawem jazdy" skrzydła", 312. Przyrostek *-owsk-* przerzadko tylko tworzy przymiotniki od rzeczowników żeńskich i tworu *ciotkowski* użyłbym tylko o ciotce podłej jak żmija, żeby ją nim przydeptać...

Inne nowotwory przymiotnikowe nie są już zbyt częste. Doskonały jest żartobliwy *pitewny*, wzorowany na *bitewnym* : „Był to dzień srogi, kawalerski i *pitewny*", 116. Znośny jest nieco staroświecki *dalekoszlaczny* : „Czasem, płynąc już późną porą Wisłą, wyłapywało się z wody dowiosłowujących ostatkiem sił *dalekoszlacznych* turystów", 146) oraz *obdraponogi* (uproszczenie teoretycznego *„obdrapanonogiego"* — chodziło o uniknięcie dwóch *no* po sobie następujących) : „starsi panowie wtajemniczali *obdraponogich* Tatarów w coraz nowe sporty", 107. Wątpliwej wartości jest *rdzawisty* (*„Rdzawiste* wody Szczary", 139), boć przyrostek *-ist-* nigdy bodaj nie rozszerza przymiotników zbudowanych sufiksem *-aw-* (*„ciepław-ist-y"* czy *„krw-aw-ist-y"* wołałby o pomstę do nieba i z pewnością wołania by wysłuchano). Dziwi nieprawe użycie *nieprawnego* : „Dzieci *nieprawnych* omal nie było", 6 — powinno być *nieprawych*. Niegramatyczne jest stopniowanie przymiotnika z sufiksem *-utk-*, ale „Królik, był to *najcichutszy* akademik" (314) ma tyle czaru, że cisnąć gramatyką o ścianę. Już tylko szczyptę-szczypteńkę czaru ma „Bo cóż znaczy świat, choćby *najkolorowszy*" (165), ale na *najsłodziejszego* („mówi *najsłodziejszym* głosem", 121) już się za żadne skarby nie nabiorę — mdłe to jak lukrecja nie-Borgia — od tego najwyższego stopnia zęby bolą gramatykarza w najwyższym stopniu. Skąd się wzięło „pod auspicjami *jawnogrze-*

szącej żony" (164), diabeł jeden wie — dlaczego nie *jawnogrzesznej* czy ostatecznie *jawnie grzeszącej?*

Czas już teraz na wańkowiczowskie czasowniki. Uprzednio omówiłem (złośliwe) odosobowe nowotwory na *-ow-* wysuwając ideę krakowskiego targu (którą oby — życzenie skromnego prowincjusza — podjęli nasi ,,londyniarze", bo inaczej kark skręcą). Owóż, jeśli się nie mylę, taki krakowski targ przeprowadził ze sobą autor w zakresie pewnej czasownikowej maniery Domeczku. Nie od Domeczku zacznę jednak, ale od teatru krakowskiego. Była — jak mi mówią — w Krakowie pewna piękna aktoreczka, z którą tradycja wiąże odpowiedź młodziana : ,,Nie, nie żyję z nią — raz tylko sobie *żywnąłem* i to wszystko". Nieprawidłowe *żywnąć* znalazło następców w *Zielu*. Ale tylko trzech, nie ma więc *mamowego-tatowego* przeciążenia, co może jest zasługą autora. Nowo utworzone dokonane postaci ograniczają się jedynie do czasowników *płakać, podziwiać* i znaczeniowo przeobróconego wileńskiego *tropić się* (,,tracić rezon" według Słownika warszawskiego) : ,,w tym miejscu *płaknął* krótko" (119), ,,Pewno tam Królik *,,płaknął sobie"* " (221), ,,Jest rozczarowany, że King *podziwnął* tak krótko" (96, tj. tylko krótko wyraził swój podziw), ,,sęk był w tym jak prędko *się ,,tropną"* (tj. połapią się)" (30), ,,Dudy *się tropnęły*, że jest w tym jakiś kingowy kawał" (115). Grzech tak rzadki ma swój urok.

Z nowotworów znakomite jest *pokolońskować*, ,,polać wodą kolońską" : ,,Mama, *pokolońskuj* — zaanonsowała chora, wchodzącemu Królikowi", 250. Niezłe — *zagłupić*, ,,ogłupić do szczętu" : ,,Dajże spokój, widzisz, że są bliskie płaczu. Zupełnie je *zagłupisz"*, 40. Ale *uwyraziścić się* i *wyewolucjonizować* są niebywałą marnotą. *Uwyraziścić się* szwankuje słowotwórczo, gdyż przymiotniki z przyrostkiem *-ist-* normalnie nie tworzą czasowników. Ponadto znaczenie jest arcydziwne : w toku przedwojennych manifestacji w Paryżu ,,zaraz już *się uwyraziściły* przekupki, krzyczące : ,,nie jesteśmy idiotki — nie damy synów do wojska" " (252). ,,Posiedzenie kooperatywy" *wyewolucjonizowało* nie od razu" (114) — dlaczego nie *wyewoluowało* czy *rozwinęło się?* Na *(z)rewolucjonizować*, por. *zrewolucjonizowane* tłumy, nie można się powoływać, bo przechodnie. *Nadzielić* (,,resztkę o tyle dużą, że złożoną z trzech ,,maximum" — które fikcyjnie były na inne rodzeństwo, *nadzielone* już uprzednio z majątku ojcowskiego", 57) jest rusycyzmem bez żadnej tradycji w dobrej polszczyźnie. (Linde notuje *rutenizm* dawny *nadzielić*, który — sądząc z dwóch podanych przezeń cytat — nigdy nie wszedł na rdzennie polskie ziemie i którego *rusycyzm* nie kontynuuje).

Inne czasowniki Wańkowicza nie są już jego roboty — są to twory regionalne lub używane w literackiej polszczyźnie bardzo rzadko, które Wańkowicz tylko podejmuje i przemyca. Warto podać tu rejestrzyk tej rzadzizny : wątpliwe *kocołować* (,,Obecnie, skoro świat pobrnął na lewo, to imć Adolf coraz bardziej *kocołował* na prawo", 69, ,,Kiedyśmy wreszcie *dokocołowali*,

ku podwieczorowi było", 168), znakomite *kulgać* („*Kulgało* grubym Kingiem a *kulgało*", 45) dla lewicy uszczypliwe, bo *prawicować* nie ma, *lewicować* („Kabaret zbierał się co tydzień, czytano swoje utwory, deklamowano, *lewicowano*", 167), zbędne *nabliżać się* („ludzie *nabliżający się* do dziecinnego życia nie są klasami, zawodami, warstwami, tylko samodzielnymi każda sobie duszami", 133), możliwe *nazwyczaić* („karmi wróble, które *nazwyczaiła* przylatywać na parapet", 406), zawadiackie *odszupasować* („zadatek na trampa został *odszupasowany* z powrotem", 43), niezłe *przyskrzybnąć* (w zmienionym znaczeniu, bo np. Słownik warszawski objaśnia słowami „przyciąć, ścisnąć, przygnieść dwiema zwierającymi się połowami czego, między dwoma zaciskającymi się przedmiotami" : „Przecież kiedyś matka ją *przyskrzybła* na przeglądaniu się w lusterku", 24), koniarskie *truchtować* („Sancho-Pansa, *truchtujący* w ślady Don Kichota", 36), nie dla wszystkich jasne *zabuksować się* („Zajeżdżając do cioci Mani znowuż Kacperek *zabuksował się* w nieprawdopodobnym błocie chełmskim", 149), handlarskie *zaskładować* („Tata siedział *zaskładowany* na Cyprze", 36), itd. itd.

Imiesłowy są tworem odczasownikowym. Mimo iż uwzględnienie sporej ilości słów „slangowych" uważałbym za rzecz dobrą (por. np. „Królik wszczął niebywały *raban*", 140), trudno mi się pogodzić z mało sympatycznym karciarskim *przegranym* — z normalnych *przegranych* (imiesłów bierny o znaczeniu biernym) pieniędzy „slang" zmajstrował *przegraną* (imiesłów o znaczeniu czynnym) osobę. Wańkowicz tego karciarza chętnie przygarnia : „Spłata zakładu odbywa się lojalnie i za zezwoleniem strony *przegranej*" (37), „Ostatecznie *przegrany* w sześćdziesiąt sześć miał zostać „Wielkim Ćwokiem Sześćdziesięciosześciowym" " (279). Ale muszę lojalnie przyznać, że ten *przegrany* (i *wygrany*) ma pełną aprobatę Słownika warszawskiego i Szobera. Tylko redakcja *Języka Polskiego* pisze o nim niecałkowicie łaskawie : „ów *przegrany*, mimo Krasickiego, uchodzić może jedynie w języku do pewnego stopnia „zawodowym" (karty itp.); w języku ogólnym, w dialekcie kulturalnym stanowczo jeszcze razi" (str. 30, r. 1932). „Mimo Krasickiego", bo redakcja *Języka* znalazła *przegranego* w znaczeniu „osoby, która przegrała sprawę w sądzie" już w jednej z satyr biskupa warmińskiego, obrzydliwego karciarza — rzecz jest dość dawna. Z lekka kwestionować można *skapitulowanego* : „*Skapitulowany* Rymwid leżał w jedynym jako tako ogrzanym pokoju" (70). Znacznie bardziej razi „jak ta roślinka *zbyta* choćby kwiateczka" (128), które oczywiście mogłoby być dobre w poezji.

Czasowniki z przedrostkiem *na-* i z *się*, właściwie pewna ich grupa, oznaczają czynność doprowadzoną do stopnia sytości, pełni, por. *całować* i *nacałować się*. Należy być jednak ostrożnym w tworzeniu imiesłowów biernych od czasowników należących do tej specjalnej grupy. Wańkowicz ostrożności nie zachowuje i trafiają się u niego np. imiesłowy oznaczające przedmiot czynności : „Tego dnia, zasypiając *nacałowana, naoglądana,*

nakrzyżykowana (? — St. W.) i *napieszczona* Tili wyznała Mamie" (29), „*Nienacałowana* moja", (292), „Jakimże kolosem przytłaczających długów ciążyły *nażarte* u pana Płatka dziesięć złotych" (145 — nieporadnej składni nie poruszam). Niekiedy podobny imiesłów oznacza podmiot czynności : „znajdowała je w parobczańskiej chałupie, *naćpane* skrydli" (65). Są to licencje, których może lepiej unikać.

Porzućmy już przegląd poszczególnych części mowy i zajmijmy się kwestią normalnie nie używanych słów pochodzenia obcego. Są one u Wańkowicza dość częste, zbyt nawet częste, znacznie jednak rzadsze niż wszelkie złośliwe i dobrotliwe nowotwory. Wańkowicz wmyca w tok zdania sporo tych błyskotek-świecidełek, pozór wielkiego świata. Są to przeważnie słowa wzięte z francuszczyzny lub łaciny : *abundancja* („obiecywała sobie *abundancję* mięsa", 285), *allokucja* („*z allokucji* zrozumiały, że Tata będzie bajdurzył", 208), *bazować* („Wykład o „z piekła rodem Katarzynie" i Targowicy był *bazowany* na jego książce", 199), *deziluzja* („*deziluzja* kobiecego serca", 156), *eksklamacja* („wysłuchiwała *eksklamacji* światopoglądowych", 303), *elože* („A Plutarcha wolę, niż wypisy szkolne *z elożami* panów Przytyprztyckiego i Iksińskiego", 131), *ewokować* („Czy może *ewokuje* „siłaczkę" albo Judyma, czy też odskoczy od trosk społecznych i po ludzku, po kobiecemu pochyli się nad Ewą Pobratyńską", 206 — zła tu jest postać dokonana), *imaginować* („aktor mężczyzna w spadającym na nos meloniku miała *imaginować* czarny charakter, gnębiący Kinga w jego sprawach zawodowych", 104), *introdukcja* („Łamanie się opłatkiem poprzedziła *introdukcja*", 297), *limit* („Chytrze dzwonił na samej granicy *limitu* czasu", 33), *mediować* („ — Dzieci wstydźcie się, Regina, nie irytuj się — *mediuje* Smrodek Dydaktyczny", 66), *portatywny* („czy nie mogłabyś napisać o coś *portatywniejszego*", 177), *proklamować* („wtedy jeszcze byliście *proklamowani* jako „bandyci A.K." ",404), *promenować* („Dzieci *promenowały* na tratwach aksalotle" — korekta ! — 19, „To też King z ciekawością pochylał się nad tymi uroczyście *promenowanymi* słowami", 38), *serwować* („*serwują* dania z epoki Louis XV", 211) itd. itd. Rzymskiego świętopietrza nie wypominam, bo drobne i płacenia warte, ale to cudzobiesie, to rozmiłowanie się w błyskotkach i świecidełkach kosztuje nas aż zbyt dużo w nie dotrzymywanych przymierzach. *Ausflug* jest bodaj jedynym (bardzo) zbytecznym germanizmem : „Imć Adolf coś się przeznawał na tych praktykach, niegodnych dobrze urodzonych Rymwidzianek i *ausflugi* do Jodańc coraz ograniczał", 70). Zastrzec się należy przeciw szeregowi anglicyzmów : „spalił Mamy ukochane *ramblery*" (105) — dlaczego nie *pnące* czy też *pnące (się) róże ? Ramblery* były w przedwojennej Polsce znane tylko bardzo szczupłej garsteczce ludzi parających się artystycznym ogrodnictwem i mało kto to słowo rozumie. I „londynizm" *basement* jest zbędny („przemykali się do apartamentów *basementu*", 113), tym bardziej, że użyty jest o odpowiedniej części przedwojennego do-

meczku na Żoliborzu. Tu jednak trzeba coś dodać. Francuska z pochodzenia *suterena/suteryna* tak mocno sprzęgła się z nędzą, stęchem, brudem, chłodem, głodem i smrodem, że wszyscy odczuwamy potrzebę jakiejś ponowy w życiu i języku. Osobiście wolałbym nagiąć do suteryn stary i piękny wyraz *podziemie,* ale *basement* szerzy się między rodakami w Wielkiej Brytanii jak ogień (właściciele domów podnoszą tym słowem czynsz, lokatorzy swoją pozycję wśród znajomych).

Czytelniku, nie pytaj *quousque tandem...* Już tylko drobiażdżków kilka z różnych wańkowiczowskiego języka dziedzin po krótce wyłożę. Na początek rusycyzm już prawie stuletni, który słusznie gromią warszawianie Słoński i Szober, *jak raz,* „akurat, dokładnie, w sam raz" (por. ros. *kak raz*). Wańkowicz go przytulił, przyhołubił : „zostają wprowadzeni do przyległego pokoju, gdzie siedzi dwóch innych kolegów ze starszych klas, którzy *jak raz* w ostatnich dniach mieli ciągle jakieś preteksty, żeby rozmawiać a to ze mną, a to z Wackiem" (192), „siadł w pociąg i wycelował *jak raz* przybycie na dworzec warszawski w chwili, kiedy odchodził pociąg z kobietą i kobietkami do Gdańska" (218) — tu sam Apuchtin się kłania i *towariszczi*-sokoły, mordy w kapturach i kapturowe mordy. Z kolei drobiażdżek składniowy, filuterny : „nad Mamą zawisła *groza* zakupienia kozy, *którą* połączonymi siłami Mamy i Krystyny odwrócono" (285) — wolałbym ustrzec się od nieeleganckiego podejrzenia, że obie panie odwracały... kozę. Niezbyt lubię niezdarne konstrukcje i dlatego *„Dla opanowania* tego pokoju przebyć dopiero trzeba było całe epoki poprzez rozróżnianie poszczególnych sprzętów" (1) zastąpiłbym prostszym *aby opanować.*

Ale już kończmy... Ogólnikowo tylko zauważając, że jeżeli polszczyzna autora, często jędrna, znakomita, barwna, żywiołowa, burzliwa i piękna, nierzadko wywołuje takie czy inne zastrzeżenia, litewszczyzna jest z reguły pod psem : wszystkie wtręty litewskie zawierają większe lub mniejsze błędy i Perkun, gniewny, ciska, łomoce piorunami.

Z natury rzeczy artykuł mój zawiera więcej bodaj nagany niż zachwytu. Z czego nie należy wyciągać niesprawiedliwych wniosków. Wańkowicz jest pisarzem z krwi i kości. Tylko trochę zbyt często ponosi go ku zbytkowi nowosłowia, własnego i obcego, ku nonszalancji czy wręcz niechlujstwu językowemu. A szkoda. Książka zawiera w sobie sporą dozę piękna. Jest żywa. Kończy się dwugłosem, tragicznym, rzewnym listem do Krysi poległej w powstaniu warszawskim, *po którym* następuje list od Tili rodzącej w Stanach córeczkę. Umarłym pamięć najtkliwsza. Ale życie idzie dalej, ciągle naprzód. Nic nas nie zgnębi, nie zbije z drogi. Droga długa, trudna, daleka. Cokolwiek nas ma spotkać, my idziemy naprzód...

Stanisław WESTFAL

Że Polacy nie gęsi...

W artykule, który niedawno ukazał się na łamach *Kultury* omawiana jest sprawa czystości języka polskiego. Bardzo słusznie. Pod obstrzał dostają się radiostacje nadające po polsku dla słuchaczy w Kraju. Autor domaga się ,,czystej, pięknej, nieskażonej reżimowym żargonem polszczyzny''. Wyrzeka się ,,brzydkich anglicyzmów''. Pisze on, że ponieważ język polski jest w Kraju zagrożony zarówno żargonem bolszewickim jak i postępami rusyfikacji, absolutna, bezwzględna, nieposzlakowana czystość i poprawność języka jest pierwszym obowiązkiem każdej nadającej po polsku stacji.

Zagadnienie to należałoby jednak ująć na szerszej nieco płaszczyźnie. Ta czystość i poprawność jest nie tylko obowiązkiem tych, którzy mówią do Kraju, ale i tych, którzy piszą i tych, którzy są odpowiedzialni za wydrukowanie tego co napisano, bez względu na to czy dla Kraju, czy dla emigracji. Żargon zaś nie koniecznie musi być reżimowy czy bolszewicki. Nie domagam się absolutnej, bezwzględnej poprawności języka, gdyż nie wiem co by to mogło znaczyć. Chciałbym, by mnie nie posądzano o sprzeciwianie się naturalnemu rozwojowi języka. Wielokrotnie zachodzi potrzeba wynalezienia nowych słów, nadania nowych znaczeń starym, użycia słowa w niecodzienny sposób dla wywołania artystycznego efektu itd. itd. Nie kłócę się ani o słowo ,,bimber'' choć brzmi brzydko, ani o ,,rozpylacz'' w akowskim znaczeniu. Nie uważam języka za klasę zamkniętą i strupieszałą, nie jestem, przynajmniej pod tym względem, bałwochwalcą. Protestować jednak chcę przed użytkowaniem różnych cudzoziemskich dziwolągów i nowotworów bez potrzeby, bez *żadnego* usprawiedliwienia. Szczególnie zaś, gdy dzieje się to na łamach *Kultury*. Nie chcąc wywalać drzwi do lasu, nie będę wyjaśniał, dlaczego to aż ,,szczególnie''. Czystość języka powinna być przynajmniej warunkiem publikacji w *Kulturze*. Apel ten skierowany jest raczej do przelotnych autorów prac nadsyłanych redakcji *Kultury* niż do stałego jej zespołu, który unika niechlujstwa i łatwizn — emigracyjnego żargonu.

O ile analiza znaczeń jakiegoś nowotwora i istniejącego w powszechnym użytku wyrazu polskiego (zdaję sobie sprawę, że może to być wyraz pochodzenia obcego) nie wykazuje różnicy w znaczeniu, emocjonalnym tonie, o ile nie przywodzi on na myśl żadnych innych skojarzeń niż to, że autor prawdopodobnie mieszka na Earls Court'cie, co więcej, o ile wyraz taki brzmi obrzydliwie, a wyjęty ze zdania (pace Wittgenstein i logiko-pozytywiści) staje się wręcz niezrozumiały, nowotwór taki nie powinien być użyty.

Po cóż bowiem wprowadzać takie zwroty jak ,,bazuje się na...'' gdy mowa o ,,opinii opartej na...''? Czym wytłumaczyć ,,względna prosperity'' bez cudzysłowu, gdzie określenie rodzaju wymagało słownika *łacińskiego*! ? Zapytajmy się Polaka, który nie zna ani łaciny, ani angielskiego, co to jest ,,polska rezystencja'' i jakby się zabrał do jej zwiększenia. Czy naprawdę konieczne jest użycie tego obrzydliwego germanizmu ,,zglajchszaltować'' ? Mamy czasownik ,,wspominać'' i różne słowa pochodne o wielorakich odcieniach — wspominki, wspominkarstwo itd. ,,Reminiscencja'' nie wykazuje tej giętkości. Autor domagający się ,,wymowy bez cienia obcych naleciałości'' daje nam ,,spikierkę'' na oznaczenie działalności prawdopodobnie ,,spikiera''. Czyżby w Polsce nie było radia przed wojną ? ,,News'y'' jako przymiotnik przestaje być angielsko-polską hybrą i zostaje językowym Volksdeutschem — ,,newsowy''. ,,Animozję'' obudziłby we mnie taki np.

początek do mych wywodów : „W artykule, który niedawno opublikowano na szpaltach *Kultury* agitowany jest inter alias problemat czystości języka polskiego". Nikt tak nie pisze ? Aż roi się od zdań podobnego typu w innym jeszcze artykule, gdzie autor „gwarantuje, stabilizuje, unifikuje, realizuje, reguluje, eliminuje, inkorporuje". Rząd brytyjski w artykule tym „konsultuje" rząd polski, sprawy otrzymują „solucje", sugestie nie mają „ekwiwalentu", a już w czysto angielskim wyrażeniu siedzi ordynarny byk. I choć raz przynajmniej użył on „przedmiotu sporu" bliższym serca wydawał mu się być „obiekt konfliktu". Kolega mój, którego pamięć sięga dalej w przedwojenne czasy niż moja, zapewnia mnie, że zwrot „urzędowanie trwało w permanencji" był używany, nawet często. Nie czyni go to ani trochę łatwiejszym.

Nie warto przedłużać tej listy. Warto jednak zwrócić uwagę, że te niekulturalne kwiatki zebrane zostały z trzech zeszytów tylko. Przykro mi, że to właśnie *Kultura*, która może być przykładem wielu innym pismom dostała się pod pręgierz. I nie chodzi mi o to, by komuś gdzieś wbić szpilkę, ale o to, by skądinąd doskonałe prace nie raziły makaronizmami, by więcej było staranności, a mniej afektacji w ich przygotowaniu.

Tadeusz GIERYMSKI

« Libres Propos »

REVUE MENSUELLE

a publié des textes de :

Georges ALTMAN — Jacques F. BLIN — François BONDY — Manuel BRIDIER — Michel COLLINET — Michel DEBRE — Jacques DOMINATI, Pierre DUMAS — Jacques ENOCK — Pierre FATAUD — Pierre FELCE — Auguste GALLOIS — Georges GAUDIOT — Claude GUIBLIN — Gérard JAQUET — Jean KOSEK — André LAFOND — André MALRAUX — François MAURIAC — Robert MARGERIT — Louis MERCIER — Robert MOSSE — Roger MUS — Simone MUNIER — Hugues PANASSIE — Aimé PATRI — Georges PASCAL — Pierre RESTANY, Louis VALLON, Colette VERGNOLLE.

LIBRES PROPOS, 13 bis, rue de Poissy, Paris-5e
Prix du numéro : ..... 50 frs
Abonnement, 1 an : ..... 500 frs
étudiants : ..... 400 frs
C.C.P. Paris 8.596.33

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1953

Spis autorów

(A), A. M. ANDRZEJEWSKI Bogumił, (AV). — BARTOSZ A., BARZUN Jacques, BĄCZKOWSKI Włodzimierz, BEO, BERGER Arthur, BERLIŃCZYK, BIEŃKOWSKA Danuta, BOHUSZ-SZYSZKO Z., BRONCEL Zdzisław, BUJNOWSKI Józef, BURMEISTER A., BURNHAM James, — CAHOON Herbert, CHRUŚCIEL Tadeusz, COLIN Jean, CZ. J., CZAPLICKI Jerzy, CZAPSKI Józef, CZUCHNOWSKI Marian. — DANILEWICZOWA Maria, DEUTSCH Babette, DITTMAR Jerzy, DROBNIAK T., DUTKOWSKI Jan St., DZIEWANOWSKI J., DZIEWANOWSKI M. K. — FELDHUZEN Maciej, FELSZTYN Tadeusz, FERRATER-MORA José, FISCHLOWITZ Stanisław. — GAMM A. dr., GIERYMSKI Tadeusz, GILDER Rosamond, GINWITT S., GOMBROWICZ Witold, GÓRSKI Krzysztof T., GRABOWSKI Zbigniew, GRUSZKA S. — HAGELSTANGE Rudolf, HERTZ Aleksander, HOLCMAN Jan, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz. — (J), JAKOBSON Roman, JANTA Aleksander, JASIEŃCZYK Janusz, JASPERS Karl, JELEŃSKI K. A., JEŚMAN Czesław, J. P., J. U. — KAEMPFFERT Waldemar, KAJ, KAWAŁKOWSKI Aleksander, KNIGHT Arthur, KONASZEWICZ Bohdan, KORBOŃSKI Stefan, KOSTRZYŃSKI Witold, KROGH Maria, KRYTYK, KRZYWICKI Jerzy. — L., LAERTES, LEDNICKI Wacław, LESZCZA Jan, LONDYŃCZYK. — ŁOBODOWSKI Józef. — M., MACKIEWICZ Józef, MAJEWSKI Józef Z., MARLEWSKI Józef, MAZURKIEWICZ W., MERTON Thomas, MICHAŁOWSKI-SKARBEK, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, M. K., MUHLSTEIN Anatol. — (N), NAGÓRSKI Zygmunt, jr., NAGÓRSKI Zygmunt, sr., NOWAK Jan, NOWAKOWSKI Tadeusz, NOWARA Mieczysław. — OLECHOWSKI Jan, OLIPRA Franciszek, OSMECKI-IRANEK Kazimierz, OSTROWSKI F. — PANKOWSKI Marian, PASZKOWSKI Lech, PAWLIKOWSKI Michał K., PESZKOW-

SKI Zdzisław, PISZCZEK Karol, POWERS I. F., PR. J., PRĄDZYŃSKI Jerzy, PRETWIC Józef, P. S. — RELIDZYŃSKI J., RODITI Edouard, RODMAN Selden, ROETHKE Theodore, ROSOL T., ROSTWOROWSKI Jerzy, RÓŻYCKI Zbigniew, RUDZKI Adam. — SAMBOR Michał, SANDELEWSKI W., SCHOENFELD Henryk, SERECH Jurij, SOKOLNICKI Michał, SOLAK P. J., STERMIŃSKI Zygmunt, STEVENS Wallace, STRASZEWICZ Czesław, STRZETELSKI Stanisław, SWIANIEWICZ Stanisław, SZCZEPANOWSKI Stanisław W., SZYSZMAN Szymon. — ŚMIEJA Florian. — TARNAWSKI Wit, TCHÓRZEWSKI Tadeusz, TERLECKI Tymon, TESLAR Józef, TOROSIEWICZ Jan, TRILLING Lionel, TROFIMCZYK Wiktor, TYMOWICZ W. — ULATOWSKI Jan, URSYN Józef. — V, VINCENZ Andrzej, VINCENZ Stanisław. — WAŃKOWICZ Melchior, WEINTRAUB Wiktor, WERSYN E., WESTFAL Stanisław, WHITE Morton, WIERZBICKI Mirosław, WIERZYŃSKI Kazimierz, WILLIAMS William Carlos, WINCZAKIEWICZ Jan, WINIARSKI Łukasz, WITTLIN Józef, WŁODARKIEWICZ Józef W., WOJTUN Bronisław S., WOLFE Bertram D., WÓJCIK Stanisław, WRECIONA Ewhen, WSZELAKI Jan. — ZALESKI Wojciech, ZAREMBA J., ZARZEWSKI Stanisław, ZAWADOWSKI dr., ZBYSZEWSKI Karol, ZWIĄZEK ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH R. P. — ŻAGIELL E., ŻEROMSKA Olga.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Józef Stalin* (4/66).
— *Kreml na nowym etapie* (6/68).
— *Nowa ofensywa* (5/67).
— *Nowa Turcja* (10/72).
— *Zachód i komunizm* (2/64-3/65).
BEO: *Kronika ukraińska* (2/64-3/65, 5/67).
BERLIŃCZYK: *Kronika niemiecka* (1/63, 4/66).
BURNHAM James: *Polityka wyzwolenia* (2/64-3/65), przeł. Jan Ulatowski.
FISCHLOWITZ Stanisław: *Kronika brazylijska* (5/67).
GÓRSKI Krzysztof T.: *Krytyka i postulaty* (12/74).
HOSTOWIEC Paweł: *Istotne i nieistotne aspekty wyborów niemieckich* (11/73).
JASIEŃCZYK Janusz: *Agitować czy propagować?* (10/72).
KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Wojna psychologiczna* (4/66).
KONASZEWICZ Bohdan: *Niemcy obserwują Europę Wschodnią* (12/74).
KOSTRZYŃSKI Witold: *Niemcy Wschodnie* (10/72).
LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/63, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 10/72, 11/73, 12/74).

MARLEWSKI Józef: *Wybory w Niemczech* (10/72).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *„Deadlock"* — List z Wyspy (1/63).
— *Inżynieria dusz* (11/73).
— *„Marksiści", którzy nie wiedzą, że są „marksistami"* — List z Wyspy (9/71).
— *Neutraliści i neurotycy* — List z Wyspy (6/68).
— *Oblicze emigracji* (4/66).
— *Pytanie brzmi — jak?* ((5/67).
MIŁOSZ Czesław: *Dwa procesy* (1/63).
NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *W odpowiedzi* (2/64-3/65).
PRETWIC Józef: *Radio i radioci* (9/71).
PRĄDZYŃSKI Jerzy: *List z Niemiec* (2/64-3/65, 4/66).
SOKOLNICKI Michał: *Niemcy po Wielkiej Przegranej* (11/73).
SWIANIEWICZ Stanisław: *Wschód i Zachód w rozwoju gospodarczym* (2/64-3/65).
ULATOWSKI Jan: *A co z duszą?* (1/63).
— (tłumacz) ob. Burnham (2/64-3/65).
WOLFE Bertram D.: *Agonia sowieckiej historiografii* (1/63).
WSZELAKI Jan: *O wschodni „Plan Schumana"* (6/68).
ZARZEWSKI Stanisław: *Fetysze i fikcje emigracji* (9/71).
ŻAGIELL E.: *Kronika australijska* (5/67).

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki, i inne

BARZUN Jacques: *Romans Ameryki z praktycznością* (7/69-8/70), przeł. J. U.
BERGER Arthur: *Muzyka Aarona Cooplanda* (7/69-8/70), przeł. K. A. Jeleński i A. Szałowski.
CAHOON Herbert: *Periodyki amerykańskie* (7/69-8/70), przełożył J. U.
DEUTSCH Babette: *Nowa poezja amerykańska* (7/69-8/70), przeł. J. M.
FERRATER-MORA José: *Dwa znakomite dzieła* (5/67).
GILDER Rosamond: *Współczesny teatr amerykański* (7/69-8/70), przeł. J. M.
GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (4/66, 9/71, 11/73, 12/74).
— *Sienkiewicz* (6/68).
HERTZ Aleksander: *Czy Amerykanin wraca do domu?* (5/67).
HOLCMAN Jan: *„Fałszywe i złośliwe tony"* (6/68),
JAKOBSON Roman: *Polska literatura średniowieczna a Czesi* (6/68).
JELEŃSKI K. A.: *Abstrakcja i nieprzedmiotowość* (1/63).
— *Notatki o żałobie* (5/67).
— i Szałowski A. (tłumacze): ob. Berger (7/69-8/70).

J. M.: (tłumacz) ob. Deutsch i Gilder (7/69-8/70).
J. U.: (tłumacz) ob. Barzun, Cahoon, Kaempffert, Knight i Rodman (7/69-8/70).
KAEMPFFERT Waldemar: *Energia atomowa w czasach pokojowych* (7/69-8/70), przeł. J. U.
KNIGHT Arthur: *Film i telewizja* (7/69-8/70), przeł. J. U.
LEDNICKI Wacław: *Studia slawistyczne w U.S.A.* (7/69-8/70).
ŁOBODOWSKI Józef: (tłumacz) ob. Serech (11/73).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Filozofia małych ludzi* (2/64-3/65).
MIŁOSZ Czesław: *Gombrowiczowi* (10/72).
— *Notatki z lektury* (4/66, 5/67).
— *O wierszach Jastruna* (9/71).
PANKOWSKI Marian: *Ballada o pogrzebanym życiu* (11/73).
— *Uwagi o poezji* (4/66).
RODMAN Selden: *Ben Shahn — malarz Ameryki* (7/69-8/70), przeł. J. U.
SAMBOR Michał: *Literatura na emigracji* (6/68).
— (tłumacz) ob. White (7/69-8/70).
SERECH Jurij: Zachód jest Zachodem — Wschód jest Wschodem (11/73), przeł. Józef Łobodowski .
TERLECKI Tymon: *Apokalipsa Christophera Dawsona* (2/64-3/65).
ULATOWSKI Jan: *Artysta wobec epoki* (12/74).
— *O budowie obrazu* (4/66).
— *Prawda i konwenans* (5/67).
— *Rzeczywistość — ale jaka?* (6/68).
WHITE Morton: *Filozofia historii w Ameryce* (7/69-8/70), przeł. Michał Sambor.
WINCZAKIEWICZ Jan: *Pogrążeni w przeszłości* (9/71).
WINIARSKI Łukasz: *List z Jugosławii* (12/74).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

J. M.: (tłumacz) ob. Merton (7/69-8/70).
J. U.: (tłumacz) ob. Powers (7/69-8/70).
MACKIEWICZ Józef: *Przyjaciel Flor* (2/64-3/65).
MERTON Thomas: *Mnich i myśliwi* (7/69-8/70), przeł. J. M.
MIEROSZEWSKI Juliusz: (tłumacz) ob. Trilling (7/69-8/70).
NOWAKOWSKI Tadeusz: *Grüss Gott* (2/64-3/65).
POWERS I. F.: *„Lwy, jelenie i płoche łanie..."* (7/69-8/70), przeł. J. U.
SOLAK B. J.: *Impresje lotnicze* (5/67).
STRASZEWICZ Czesław: *Kociołek na Ziemowita* (6/68).
TRILLING Lionel: *W owym czasie i miejscu* (7/69-8/70), przeł. Juliusz Mieroszewski.
WITTLIN Józef: *Poe w Bronxie* (7/69-8/70).

Utwory poetyckie

ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Biskup* (9/71).
— *Finansista* (9/71).
— *Kompozytor* (9/71).
— *Podróżnik* (9/71).
— *Poeta-laureat* (9/71).
— *Uczony* (9/71).
— *Założycielka ogródków dla dzieci* (9/71).
BIEŃKOWSKA Danuta: *Psalmy z Holloway Road* (11/73).
BUJNOWSKI Józef: *Rzecz o przemijaniu* (2/64-3/65).
CZUCHNOWSKI Marian: *Anusi* (5/67).
— *Dama w jedwabnym płaszczu deszczowym* (5/67).
— *Przedmieście na przedzimiu* (5/67).
— *Spacer nad stawami* (5/67).
— *Szkarłatny kwiat* (5/67).
— *Ślad* (5/67).
— *Wazony* (5/67).
HAGELSTANGE Rudolf: *Wyjątki z „Ballady o pogrzebanym życiu"* (11/73), przeł. Marian Pankowski.
J. P.: (przekład) ob. Roethke (7/69-8/70).
ŁOBODOWSKI Józef (Przekłady mistyków hiszpańskich): *Do Boga* (Fray Pedro Malon de Chaide) (10/72).
— *Na Chrystusa ukrzyżowanego* (Anonim, wiek XVI) (10/72).
— *Na Chrystusa ukrzyżowanego* (Rafael Sanches Mazas) (10/72)
— *Na Chrystusa Zmarłego* (Luis Rosales) (10/72).
— *Prawda* (Garcia de Tejada) (10/72).
— *Sonet na śmierć* (Fray Pedro de Padilla) (10/72).
— *Zacny łotr* (Felix Carpio Lope de Vega) 10/72).
— *Z Bogiem do Boga* (Anonim, wiek XVII) (10/72).
MERTON Thomas: *Święty Malachiasz* (7/69-8/70), przeł. Czesław Miłosz.
MIŁOSZ Czesław: *Dziecię Europy* (6/68).
— (przekłady) ob. Merton, Stevens, Williams (7/69-8/70).
PANKOWSKI Marian: *Biały piach* (1/63).
— *Patrząc na chmury* (1/63).
— *Wciąż młoda śniadość mowy* (1/63).
— (przekład) ob. Hagelstange (11/73).
ROETHKE Theodore: *Pole światła* (7/69-8/70), przeł. J. P.
STEVENS Wallace: *Poemat który stanął zamiast góry* (7/69-8/70), przeł. Czesław Miłosz.
— *Pustka w parku* (7/69-8/70), przeł. Czesław Miłosz.
WIERZYŃSKI Kazimierz: *Pieśń domu* (5/67).
— *Rozmowa z Orfeuszem* (2/64-3/65).
WILLIAMS William Carlos: *Yachty* (7/69-8/70), przeł. Czesław Miłosz.

Najnowsza Historia Polski

FELDHUZEN Maciej: *Rubens miał filię w Szkocji* (11/73).
FELSZTYN Tadeusz: *Polski karabin p-panc.* (2/64-3/65).
JELEŃSKI K. A.: *Wywiad z gen. Weygand* (6/68).
JEŚMAN Czesław: *Rubens heroiczny* (4/66).
KORBOŃSKI Stefan: *„Świt" — tajemnica Naczelnego Wodza* (9/71).
MARLEWSKI Józef: *Gdańsk w stosunkach polsko-niemieckich* (1/63).
OSMECKI-IRANEK Kazimierz: *Przyczynki do Powstania Warszawskiego* (11/73).
Protokół z tajnego posiedzenia Rady Min. R. P. z 28. 11. 1930 (5/67).
SOKOLNICKI Michał: *W służbie Komendanta* (12/74).
STRASZEWICZ Czesław: *O „Świcie"* (10/72).
WRECIONA Ewhen: *„Burza" we Lwowie?* (9/71).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

(AV): *Studia słowiańskie w U.S.A.* (10/72).
BRONCEL Zdzisław: *Więzienne „Noce i dnie"* (12/74).
Cz. J.: *Wspomnienia* (4/66).
DZIEWANOWSKI M. K.: *Granice zachodniej cywilizacji* (5/67).
GÓRSKI Krzysztof T.: *„Pani Sapowska" i bohaterski pies* (9/71).
GRUSZKA S.: *Pamiętniki Hoovera* (12/74).
(J): *Ameryka w oczach przyjaciół* (11/73).
— *Notatki wydawnicze* (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 10/72, 11/73, 12/74).
— *Od apokalipsy do karykatury* (1/63).
— *Polonica i antypolonica* (11/73).
— *Przegląd miesięczników* (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 11/73, 12/74).
— *Rozmowa z Gheorghiu* (1/63).
JESIEŃCZYK Janusz: *Dwie powieści o Wrześniu* (11/73).
— *„Wina" Sapiehy i wina Z. Kossak* (5/67).
JASPERS Karl: *O książce Miłosza* (6/68).
JELEŃSKI K. A.: *„My szlachta od Jafeta"* (4/66).
(J. U.): *Niemcy a rewolucja przemysłowa* (9/71).
KAJ: *„English becomes Polish"* (11/73).
— *Między marksizmem a prawdą* (2/64-3/65).
— *„Numerus aureus"* (4/64).
— *Paradoksalny świadek* (10/72).
— *Sowietyzacja Polski i duch PPS* (5/67).

KAWAŁKOWSKI Aleksander: *„Najnowsza historia Polski"* (10/72).
L.: *Polska à la minute* (11/73).
LONDYŃCZYK: *„Can Russia survive?"* (6/68).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dramat nawrócenia* (1/63).
— *Emigracyjne bezdroża* (5/67).
MIŁOSZ Czesław: *Most absolutny* (11/73).
MUHLSTEIN Anatol: *Świadectwo amb. Laroche'a* (6/68).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 11/73, 12/74).
NAGÓRSKI Zygmunt, sr.: *Problemy międzynarodowe w literaturze U.S.A.* (1/63, 2/64-3/65).
OLECHOWSKI Jan: *Wydawnictwo im. Czechowa* (4/66).
PANKOWSKI Marian: *Sztuka jest wyborem* (5/67).
PASZKOWSKI Lech: *Powieść o emigrantach w Australii* (11/73).
PR. J.: *„Le problème Allemand"* (4/66).
PRĄDZYŃSKI Jerzy: *Wspólnota doli* (5/67).
RAKOWSKI Janusz: *Zapomniane prace historyczne* (12/74).
SAMBOR Michał: *Oficyna Poetów i Malarzy* (4/66).
STERMIŃSKI Zygmunt: *Totalitarna demokracja* (9/71).
TOROSIEWICZ Jan: *Książka o Europie* (5/67).
URSYN Józef: *Notatki wydawnicze* (2/64-3/65).
VINCENZ Andrzej: *Nazwy ukraińskie w Kanadzie* (5/67).
— *Nowa antologia poezji* (6/68).
VINCENZ Stanisław: *Dramat polsko-żydowski* (1/63).
ŻEROMSKA Olga: *W obronie fikcji* (9/71).

Kroniką kulturalna

BRONCEL Zdzisław: *Kongres „dobrych" Europejczyków* (10/72).
COLIN Jean: *Na marginesie wystawy* (2/64-3/65).
CZAPSKI Józef: *O lekkości* (12/74).
— *„Rzeczy nieżywe i bez ruchu"* (10/72).
JANTA Aleksander: „Odmrożenie" skarbów wawelskich (12/74).
JELEŃSKA Teresa: (tłumacz) ob. Roditi (5/67).
J. U.: *Biust i kółko* (9/71).
KRYTYK: *Film francuski prowadzi* (6/68).
— *Film sowiecki „Młodość Chopina" — Niemcy* (11/73).
— *Iluzjon i kinorama* (5/67).
— *Od nadrealizmu do konwencji* (1/63, 2/64-3/65).
Literatura przekreśla „małą Europę" (5/67).
M.: *Doktorat* (11/73).
M. K.: *Księga mickiewiczowska* (11/73).
— *Sartre-Camus* (1/63).
(N): *O działalności Kongresu Kultury* (12/74).

OLIPRA Franciszek: *Prof. Władysław Konopczyński* (12/74).
RODITI Edouard: *List literata o Niemczech Wschodnich* (5/67), przeł. Teresa Jeleńska.
SZYSZMAN Szymon: *Rękopisy Morza Martwego* (9/71).
TARNAWSKI Wit: *Zardzewiały repertuar* (1/63).
TERLECKI Tymon: *Refleksje z pokazu* (6/68).
TOROSIEWICZ Jan: *Wystawy paryskie* (6/68, 9/71, 12/74).
ULATOWSKI Jan: *Faun i święty* (2/64-3/65).
— *François Mauriac — laureat Nobla* (1/63).
(V): *Abstrakcjonizm w jaskiniach* (5/67).
WERSYN E.: *40-ty Tydzień Społeczny* (10/72).

Sprawy krajowe

(A): *Migawki z podróży* (10/72).
JELEŃSKI K. A.: *Dwie przyjaciółki* (10/72).
LAERTES: *Kraj w neutralnym zwierciadle* (12/74).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Czerwone drzewa i polski las* (12/74).
— *Powrót* (10/72).
P.S.: *Gdynia-Tientsin* (10/72).
ZALESKI Wojciech: *Dzień w Wybranowie* (11/73).
— *Skróty w dzisiejszej Polsce* (12/74).

Sprawy i troski

A. M.: *Fakty i wnioski* (11/73).
DANILEWICZOWA Maria: *Czytelnik polski w W. Brytanii* (9/71).
PESZKOWSKI Zdzisław: *Powstaniec w połatanej sutannie* (6/68).
RÓŻYCKI Zbigniew: *Kolegium Wolnej Europy* (12/74).
WAŃKOWICZ Melchior: *Polacy w Stanach Zjednoczonych* (6/68, 7/69-8/70, 10/72).
WŁODARKIEWICZ Józef W.: *Z socjologii sportu* (11/73).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

BARZUN Jacques: *Romans Ameryki z praktycznością*, przeł. J. U. (7/69-8/70).
BERGER Arthur: *Muzyka Aarona Cooplanda*, przeł. K. A. Jeleński i A. Szałowski (7/69-8-70).
BURNHAM James: *Polityka wyzwolenia*, przeł. Jan Ulatowski (2/64-3/65).
CAHOON Herbert: *Periodyki amerykańskie*, przeł. J. U. (7/69-8/70).

DEUTSCH Babette: *Nowa poezja amerykańska*, przeł. J. M. (7/69-8/70).
GILDER Rosamond: *Współczesny teatr amerykański*, przeł. J. M. (7/69-8/70).
KAEMPFFERT Waldemar: *Energia atomowa w czasach pokojowych*, przeł. J. U. (7/69-8/70).
KNIGHT Arthur: *Film i telewizja*, przeł. J. U. (7/69-8/70).
MERTON Thomas: *Mnich i myśliwi*, przeł. J. M. (7/69-8/70).
— *Święty Malachiasz*, przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).
POWERS I. F.: *„Lwy, jelenie i płoche łanie..."* przeł. J. U. (7/69-8/70).
RODITI Edouard: *List literata o Niemczech Wschodnich*, przeł. Teresa Jeleńska (5/67).
RODMAN Selden: *Ben Shahn — malarz Ameryki*, przeł. J. U. (7/69-8/70).
ROETHKE Theodore: *Pole światła*, przeł. J. P. (7/69-8/70).
STEVENS Wallace: *Poemat który stanął zamiast góry*, przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).
— *Pustka w parku*, przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).
TRILLING Lionel: *W owym czasie i miejscu*, przeł. Juliusz Mieroszewski (7/69-8/70).
WHITE Morton: *Filozofia historii w Ameryce*, przeł. Michał Sambor (7/69-8/70).
WILLIAMS William Carlos: *Jachty*, przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).
WOLFE Bertram D.: *Agonia sowieckiej historiografii* (1/63).

Z języka czeskiego

JAKOBSON Roman: *Polska literatura średniowieczna a Czesi* (6/68).

Z języka francuskiego

COLIN Jean: *Na marginesie wystawy* (2/64-3/65).

Z języka hiszpańskiego

FERRATER MORA José: *Dwa znakomite dzieła* (5/67).
ŁOBODOWSKI Józef: *Mistycy hiszpańscy*, przekłady z: Anonim, wiek XVI, Anonim, wiek XVII, Fray Pedro Malon de Chaide, Rafael Sanches Mazas, Fray Pedro de Padilla, Luis Rosales, Garcia de Tejada i Felix Carpio Lope de Vega (10/72).

Z języka niemieckiego

JASPERS Karl: *O książce Miłosza* (6/68).

Z języka ukraińskiego

SERECH Jurij: *Zachód jest Zachodem — Wschód jest Wschodem*, przeł. Józef Łobodowski (11/73).

Listy do Redakcji

BARTOSZ A. (10/72). BOHUSZ-SZYSZKO Z. (9/71). BURMEISTER A. (12/74). CHRUŚCIEL T. (2/64-3/65). CZAPLICKI Jerzy (4/66). CZAPSKI Józef (6/68, 10/72). DITTMAR Jerzy (4/66). DROBNIAK T. (6/68). DUTKOWSKI J. (2/64-3/65). DZIEWANOWSKI J. (2/64-3/65). GIERYMSKI Tadeusz (5/67, 11/73). GINWITT S. (5/67). GRABOWSKI Zbigniew (10/72). HRABYK Klaudiusz (1/63, 4/66, 11/73). JANTA Aleksander (1/63). JELEŃSKI K. A. (12/74). JEŚMAN Czesław (9/71). KAWAŁKOWSKI Al. (6/68). KROGH Maria (4/66). KRZYWICKI Jerzy (2/64-3/65). LEDNICKI Wacław (11/73). LESZCZA Jan (11/73). MACKIEWICZ Józef (5/67). MAJEWSKI Józef Z. (4/66). MAZURKIEWICZ Wł. (11/73). NOWARA Mieczysław (1/63). OLECHOWSKI Jan (9/71). OSTROWSKI F. (1/63). PAŃKOWSKI Marian (10/72). PAWLIKOWSKI Michał K. (5/67, 6/68, 9/71). PISZCZEK Karol (2/64-3/65). PRĄDZYŃSKI Jerzy (5/67). RELIDZYŃSKI Józef (1/63). ROSOL Tadeusz (1/63). ROSTWOROWSKI Jerzy (4/66). RUDZKI A. (2/64-3/65). SANDELEWSKI W. (12/74). SCHOENFELD Henryk (4/66). SKARBEK-MICHAŁOWSKI (1/63). STRZETELSKI St. i NOWAK Jan (1/63). SZCZEPANOWSKI Stanisław Wiktor (6/68). ŚMIEJA Florian (12/74). TCHÓRZEWSKI Tadeusz (11/73). TESLAR Józef (12/74). TROFIMCZYK Wiktor (5/67). TYMOWICZ W. (5/67). ULATOWSKI Jan (2/64-3/65). WAŃKOWICZ Melchior K. (9/71, 11/73). WEINTRAUB Wiktor (9/71). WESTFAL Stanisław (4/66). WIERZBICKI Mirosław (10/72). WOJTUN Bronisław S. (1/63). WÓJCIK St. (4/66). ZALESKI Wojciech (6/68). ZAREMBA J. (12/74). ZAWADOWSKI Dr. (4/66). ZBYSZEWSKI Karol (11/73). ZWIĄZEK ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH R. P. (1/63, 5/67).

Różne

Ankieta „Nasze życie na emigracji" (2/64-3/65).
GAMM A. dr.: *Wypożyczalnia członków* (9/71).
Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za r. 1952 (1/63.)
Krajowe Zeszyty „Kultury" (1/63).
Od Redakcji (7/69-8/70).
Résumé en langue anglaise (7/69-8/70).
Résumé en langue française (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 7/69-8/70, 11/73, 12/74).

Reprodukcje

BEN SHAHN: *Epoka* (7/69-8/70).
— *Kompozycja dla klarnetu i blaszanej trąbki* (7/69-8/70).
— *Największy komik świata* (7/69-8/70).
— *Nokturn* (7/69-8/70).
— *Paterson* (7/69-8/70).
— *Spotkanie* (7/69-8/70).
— *Śmierć górnika* (7/69-8/70).
— 5 *maj* (7/69-8/70).

Noty biograficzne autorów

BARZUN Jacques (7/69-8/75). BERGER Arthur (7/69-8/70). CAHOON Herbert (7/69-8/70). DANILEWICZOWA M. (9/71). DEUTSCH Babette (7/69-8/70). GILDER Rosamond (7/69-8/70). GORDON Marek Henryk (1/63). GÓRSKI Krzysztof T. (12/74). JASPERS Karl (6/68). KAEMPFFERT Waldemar (7/69-8/70). KNIGHT Arthur (7/69-8/70). LEDNICKI Wacław (7/69-8/70). MERTON Thomas (7/69-8/70). NAGÓRSKI Zygmunt, jr. (1/63). POWERS I. F. (7/69-8/70). RODMAN Selden (7/69-8/70). ROETHKE Theodore (7/69-8/70). STEVENS Wallace (7/69-8/70). SZYSZMAN Szymon (9/71). TRILLING Lionel (7/69-8/70). WAŃKOWICZ Melchior (7/69-8/70). WHITE Morton (7/69-8/70). WILLIAMS William Carlos (7/69-8/70). WINCZAKIEWICZ Jan (9/71). WITTLIN Józef (7/69-8/70). WOLFE Bertram D. (1/63).

Wydawnictwa książkowe

T. I. Witold Gombrowicz: *Transatlantyk i Ślub* (Str. 320).
T. II. George Orwell: *Rok* 1984 (Str. 256).
T. III. Czesław Miłosz: *Zniewolony umysł* (Str. 240).
T. IV. James Burnham: *Bierny opór czy wyzwolenie* (Str. 208).
T. V. Czesław Miłosz: *Światło dzienne* (Str. 160).
T. VI. Czesław Straszewicz: *Turyści z bocianich gniazd* (S. 256).

Zeszyty Krajowe „Kultury"

T. I. *Ramy życia w Polsce* (Cz. 1-sza). Instytucje polityczne. Wymiar sprawiedliwości. Rodzina. Szkolnictwo. Ruch wydawniczy. Życie gospodarcze i zawodowe (Str. 400).

T. II. *Ramy życia w Polsce* (Cz. 2-ga). Nowa Konstytucja. Partia i stronnictwa. Armia. Reglamentacja twórczości artystycznej. Państwowy i prywatny przemysł i handel. Rzemiosło (Str. 240).

T. III. *Sowietyzacja kultury w Polsce.* Nowe wytyczne filozofii. Teoria i historia literatury. Nauki społeczno-ekonomiczne. Biologia. Literatura piękna (Str. 400).

T. IV. *Struktura gospodarstwa polskiego.* Zdrowotność i dynamika populacyjna. Kadry pracowników. Surowce i energetyka. Rolnictwo. Hutnictwo i przemysł metalowo-przetwórczy. Przemysł chemiczny. Przemysł włókienniczy. Przemysł rolniczo-przetwórczy. Przemysł elektrotechniczny. Transport. Handel zagraniczny (Str. 400).

T. V. *Sytuacja Kościoła w Polsce.* Młodzież i szkolnictwo (Str. 160).

◆

(Ze względów bibliograficznych wymieniamy powyżej wszystkie tomy „Zeszytów Krajowych"; aczkolwiek I-szy i II-gi ukazały się jeszcze w r. 1952 *nie były wymieniane w Indeksie naszym za rok* 1952).

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE
JANVIER

DENIS DE ROUGEMONT : **La Table Ronde de l'Europe** ; JEAN TARDIEU : **Poèmes** (présentation de Jules Supervielle) ; KATHERINE MANSFIELD : **Lettres inédites** (Introduction d'André Bay) ; JEAN CASSOU : **Le message des lettres hispano-américaines** ; A. ROSSI : **Une défense du pacte germano-soviétique.**

CHRONIQUES de Claude MAURIAC, Gilbert SIGAUX, Robert KANTERS, Michel SEUPHOR, Annette VAILLANT.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8e).
Téléphone : EURope 55-15 à 17 — C.C.P. 17.800 Paris.
Le N° de 112 p. illustrées, France : 120 fr. — Etranger : 150 fr.
Un ancien numéro sera envoyé gratuitement sur demande comme spécimen.

Listy do Redakcji

Rzym, 25. 11. 1953.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. Macieja Feldhuzena pt. ,,Rubens miał filię w Szkocji'', a zwłaszcza co do roli księdza Starostki ,,do którego chodzili się spowiadać bici więźniowie, błagając, aby ich ratował, a który zawsze milczał, zasłaniając się tajemnicą Spowiedzi'', pragnę dodać następujące wyjaśnienie :

Zachowanie tajemnicy Spowiedzi św. winno być bezwzględnie przez każdego księdza przestrzegane. Intencja czynienia kapłanowi zarzutu z ,,zasłaniania się tajemnicą sakramentalną'' jest nieszlachetna. A może ks. Dr Starostka okazał w ogóle brak troski o dobro jeńców lub bał się interweniować przeciwko ich torturom ?

Pragnę z góry podkreślić, że ks. Dr Starostka właściwie bezprawnie znajdował się w obozie Shinafoot, gdyż miał przydział do ,,Obozów Oficerskich w Broughton'', lecz przyjechawszy z pierwszym nabożeństwem do obozu karnego, osiadł tam dobrowolnie za drutami, mieszkał jak każdy jeniec mimo śniegu i mrozu w namiocie i nie otrzymał przez cały czas pobytu żadnej pensji. Z mieszkania w hotelu zrezygnował. Za jeńcami wstawiał się otwarcie; reagował na każdą ich krzywdę. Już w 14 dni po rozpoczęciu swej pracy duszpasterskiej złożył dokładny raport o nieludzkim traktowaniu jeńców śp. ks. Dziekanowi Sinkowskiemu. W aktach moich znajduje się kopia raportu ks. Dr Starostki z dnia 15. 10. 1940 do dowódcy obozu ppłka Słabickiego, w którym kapelan broni internowanych i domaga się zlikwidowania obozu. Czy list ten został w myśl ,,prośby autora skierowany drogą służbową do ,,Dowództwa Obozów i Oddziałów'' nie wiem. Wynik był ten, że ks. Dr Starostka został przez wicekomendanta nazwany ,,szkodliwym demagogiem''.

Dziwi mnie, że p. Feldhuzen nic nie wspomina o najgorszym wypadku, mianowicie o zastrzeleniu niewinnego strzelca Edwarda Jakubowskiego (29. 10. 1940). Ks. Starostka zaopatrzył konającego, zaprotestował publicznie przeciwko sadyzmowi dowódcy i podał się w znak protestu do dymisji, która została przyjęta. Z nowej placówki — szpital w Dupplin Castle — dojeżdżał nadal do obozu i troszczył się o swoich biedaków.

Przekonawszy się o bezskuteczności swoich raportów wojskowych i protestów, skorzystał ks. Dr Starostka z rekolekcji kapłańskich w Perth (26. 2. 1941 r.) i zawiadomił mnie o tragediach jakie się rozgrywały w Shinafoot. Dnia następnego zwiedziłem szpital w Dupplin Castle, by się widzieć z chorymi więźniami, a szczególnie z szeregowcem, b. docentem prawa U. J. Kazimierza, p. Bogusławem Osuchowskim, którego ks. Starostka przeszmugował z Izby chorych Shinafoot do szpitala. Kazałem kapelanowi złożyć mi raport na piśmie i zameldować się u mnie w Perth z jakimś uczciwym oficerem obozu jako drugim świadkiem. Z kapelanem przybył dnia 2. 3. oficer oświatowy ppor. Władysław Bąbczyński, który potwierdził wszystkie przez księdza podane fakty. Dnia 3. 3. skierowałem całokształt sprawy do Ministra Spraw Wojskowych (lub Obrony Narodowej) po to tylko by otrzymać odpowiedź p. generała Modelskiego, że podane przeze mnie fakty nie odpowiadają rzeczywistości. Wkrótce jednak obóz zamknięto.

Z powyższego wynika, że ks. Dr Starostka uczynił wszystko co mógł, aby ulżyć jeńcom i nie uchybić zadaniom kapłańskim.

Łączę wyrazy szacunku

Ks. Józef GAWLINA, Arcybiskup

Londyn, 23 listopada 1953.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem bezcenny wprost dokument, zajaki uważam wspomnienie p. Macieja Feldhuzena. Nazwa „Lagerführer", którą p. Feldhuzen obdarzył dowódcę polskiego obozu koncentracyjnego w Szkocji, jest niestety jak najbardziej trafna. Ów Lagerführer Korkiewicz powinien był stanąć przed sądem jako zbrodniarz wojenny. A pułkownik Ruchaj uszedł właściwie bezkarnie !

Nie mogę pozbyć się myśli, że za Oświęcim, Dachau itp. odpowiedzialny jest *cały* naród niemiecki. Czy cały naród polski jest odpowiedzialny za Berezę i Shinafoot ? Smutne to pytanie, ale najwyższy czas, byśmy sobie dali na nie wyczerpującą odpowiedź. Przed wojną oficerowie strzelali do cywilów w obronie „honoru oficerskiego munduru". A za potworne splamienie honoru polskiego narodu — parę miesięcy więzienia, dyscyplinarka, usunięcie z funkcji... Mój Boże !

Mam nadzieję, że ta ponura sprawa nie zejdzie z łamów „Kultury", aż wreszcie dowiem się wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Byłem wtedy gołowąsem, w Kraju, sam w cieniu Gestapo (niemieckiego), lecz czuję się chyba współwinny, bo rumienię się ze wstydu, ile razy pomyślę o polskim obozie koncentracyjnym.

Łączę wyrazy poważania, *Wojciech GNIATCZYŃSKI*

P.S.: Niech Gombrowicz się strzeże ! Zadarł z katolicyzmem, popadł w herezję moderny !

Gombrowicz imponuje mi bezkompromisową uczciwością myślenia i zdumiewa pięknem swej polszczyzny, precyzyjnej, „idiomatycznej", „mózgowej", zgoła nieemigracyjnej.

◆

Drogi Panie Redaktorze,

Od jednego z czytelników mego artykułu pt. „Fetysze i fikcje emigracji", wydrukowanego we wrześniowym numerze „Kultury", otrzymałem list, w którym m. in. znajduję : (1) *twierdzenie*, że szerzę „nihilizm" wśród emigracji; że „wielu roztrzęsionych emigrantów" — po przeczytaniu mego artykułu — dojdzie do wniosku, że „w tej sytuacji trzeba na wszystko machnąć ręką, gdyż wzamian za zwalczane przeze mnie fikcje „nic im nie daję"; (2) *pytanie :* czy dlatego, że Rząd jest wątły i biedny „mamy się odwrócić od legalizmu?"; (3) *wspomnienie i wyrzut :* „W roku 1914 Piłsudski marzył o tym, by był jakiś, choćby fikcyjny rząd polski. W roku 1917 Dmowski marzył o tym, by swój Komitet w Paryżu przekształcić na rząd, a my mamy rząd lecz jak rozkapryszone dzieci powiadamy, że to nieważne; (4) *wniosek :* „Rzeczą realną w polityce i w życiu są nie tylko dywizje, nie tylko wskaźniki cen i giełdy, nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim — wola ludzka". Tak pisze mój korespondent.

Obawiam się, że podobnie mylna interpretacja mego artykułu może urodzić się w głowie niejednego hurra-legalisty i dlatego prosiłbym Pana Redaktora o umieszczenie w „Kulturze" następujących kilku uwag wyjaśniających.

W artykule swoim bynajmniej nie twierdziłem, że istnienie Rządu na emigracji jest faktem, pozbawionym wszelkiej wartości politycznej i bynajmniej nie wysuwałem tezy, że należy „odwrócić się od legalizmu". Przeprowadziłem rzeczową analizę wartości politycznej legalizmu z punktu widzenia polityki niepodległościowej, powiedziałem wyraźnie na czym, według mnie, ta wartość polega, określiłem jej stosunek do wagi innych czynników na terenie wymienionej polityki i przestrzegałem przed przecenianiem roli

legalizmu. Właśnie to ostatnie jest szczególnie ważne gdyż pewni politycy emigracyjni stwarzają atmosferę mylnych pojęć wskutek czego cała hierarchia wartości politycznych, o które tu chodzi, ulega zupełnemu wypaczeniu. W gruncie rzeczy chodziło mi więc o sprowadzenie znaczenia legalizmu do właściwych proporcji, o stwierdzenie, czym on jest *naprawdę*, abstrahując od wszelkiej frazeologii. Czy podobna analiza może być uważana za ,,nihilizm''? Z pewnością nie gdyż każdy chyba przyzna, że im dokładniej się rozumie obiektywne znaczenie czynników w danej — czy jakiejkolwiek innej — sprawie, tym lepiej dla tej sprawy. Pogląd przeciwny prowadzi nieuchronnie do hodowania fikcji. Fikcja nie jest zaś ani dobrą podstawą polityki, ani też dobrym środkiem leczniczym dla ,,roztrzęśnionych emigrantów''.

Jeżeli w latach pierwszej wojny politycy polscy marzyli o powstaniu rządu polskiego, to te ich marzenia w żadnej mierze nie uzasadniają przekonania, że po drugiej wojnie światowej fakt — sam fakt — posiadania Rządu, abstrahowany od jego działalności politycznej, można awansować do godności czynnika szczególnie ważnego. Traktowanie spraw poważnych w świetle pełnego realizmu nie jest cechą ,,rozkapryszonych dzieci'', lecz właśnie ludzi dojrzałych.

Wreszcie sprawa znaczenia woli w polityce. Prawda, że bez woli zwycięstwa — nie ma zwycięstwa. Chodzi jednak o to, że wola nie jest jedynym czynnikiem immaterialnym, koniecznym w polityce. Drugim jest trzeźwość myślenia, pozwalająca rozumieć istniejącą rzeczywistość i należycie działać w jej ramach. Wola, oderwana od rozumienia rzeczywistości, prowadzi do klęski, czego tragicznym przykładem jest Powstanie Warszawskie.

Na zakończenie chciałbym dodać, że mój oponent, z którym tu polemizuję, jest znanym politykiem. Skoro nawet taki człowiek nie potrafi — rzeczowej i obszernej analizie — przeciwstawić nic poza westchnieniem : ,,A cóż im dajesz wzamian za te fikcje?'' — jest to niewątpliwie jeszcze jeden dowód, że analiza jest prawidłowa. Sądzę, że czas już najwyższy, aby przesunąć polskie myślenie polityczne od zagadnień formalno-prawnych do istotnych problemów programowo-politycznych na terenie polityki zagranicznej.

Dziękując Panu Redaktorowi za zamieszczenie tych uwag, łączę uścisk dłoni.

Stanisław ZARZEWSKI

◆

Nowy Jork, 20 listopada 1953.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z całego listopadowego numeru ,,Kultury'' na największą uwagę i pochwałę zasługuje moim zdaniem jedna z najkrótszych jego pozycji — notatka pt. Doktorat. Pochwała jednak, jaka należy się Redakcji z tego tytułu, jest kwalifikowana, a kwalifikacja polega na następującej klauzuli warunkowej : ,,...jeżeli mamy tu do czynienia nie ze zjawiskiem odosobnionym, lecz z pierwszym odcinkiem nowej i regularnej rubryki, a może nawet działu''.

Do rzeczy notorycznych, a godnych wszelkiego potępienia, należy fakt, że czasopisma emigracyjne poświęcają zupełnie niedostateczną uwagę przejawom działalności i twórczości naukowej na uchodźstwie. Dotyczy ten zarzut przede wszystkim tych periodyków, które w tytule lub podtytule noszą piękne słowa ,,kultura'' lub ,,kulturalny'' (to ostatnie zwykle w kombinacji z innymi przymiotnikami). Zaniedbanie to, w przekonaniu nie tylko piszącego te słowa, dyskwalifikuje pomienione czasopisma w pewnej mierze a w każdym razie jest niesprawiedliwe i bolesne dla rzeszy polskich naukowców rozproszonych po wszystkich kontynentach.

W przypadku „Kultury", która wydaje się hołdować ambicjom dość szeroko pojmowanej wszechstronności, systematyczny niemal jak dotąd brak bieżącej informacji z tej dziedziny (jeżeli nie liczyć dwóch retrospektywnych i ograniczonych w przestrzeni sprawozdawczej artykułów w numerze „amerykańskim") stworzyć może w czytelnikach zupełnie fałszywe przekonanie, iż na polu twórczości naukowej Polacy zagranicą nic nie robią, lub bardzo niewiele. Trudno o bardziej niesłuszny i zniekształcony obraz rzeczywistości. Fakt, że jest on wynikiem zaniechania raczej aniżeli pozytywnego działania nie zmienia „kwalifikacji czynu" gdyż, jak wiadomo, zaniechanie może być również karygodne. W tym wypadku jest ono takie ponad wszelką wątpliwość.

Dlatego życzyć sobie wypada, aby ta pierwsza jaskółka, jaka pojawiła się na łamach „Kultury" stała się zaczątkiem częstej i obfitej w treść rubryki, do której materiału informacyjnego na pewno nie zabraknie. Zwłaszcza że są poważne luki do nadrobienia. Chciałbym wyrazić nadzieję, że „Kultura" nie zawiedzie oczekiwań tych czytelników, którzy pragnęliby być informowani o życiu naukowym emigracji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku, *Jan S. DUTKOWSKI.*

◆

Buenos Aires, 18. 10. 1953.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jeżeli p. Summer Wells mógł wysunąć podejrzenia, iż śmierć generała Sikorskiego nie była przypadkiem — opinia polska ma prawo również do podejrzeń. I po co mamy obwijać w bawełnę, że co do nas podejrzenia kierujemy w niemałej mierze w stronę naszych aliantów? Rozumowanie nasze jest logiczne : skoro Sikorski miał ze sobą ową tajemniczą teczkę; skoro ciało jego, i wszystkie szczątki samolotu zostały wydobyte — to co się stało z ową teczką i z jej zawartością ?

Nie jestem pewien, czy protokół komisji „przesłany rządom polskiemu i czeskiemu" był podany do wiadomości publicznej. Sądzę jednak, że będę wyrazicielem opinii co najmniej dużej części społeczeństwa polskiego, jeżeli stwierdzę, że chciałoby ono znać nazwiska Polaków, którzy do komisji angielskiego Ministerstwa Lotnictwa byli przydzieleni i usłyszeć ich osobiste wyjaśnienia na ten temat.

Jedno z dwojga : albo podejrzewamy aliantów niesłusznie, a w takim razie w ich także interesie leżeć powinno udowodnienie niesłuszności zarzutu; albo też supozycje nasze mają podstawy. W tym wypadku nie zaszkodzimy już sobie, a chyba raczej pomożemy — stawiając otwarte oskarżenie.

◆

Zdziwienie „Londyńczyka" iż władze polskie nie zainteresowały się możnością wybadania p. Prchali, pilota — nie wydaje się uzasadnione. Cóż może on wiedzieć ponadto, że „złamała się pewna część sterów"? Chodzi o to, dlaczego się złamała ? Każdy wszak wie, że wystarcza dla takich celów mały „ołówek czasowy", lub coś w tym rodzaju. Zszokowany, a może nieprzytomny gdy go ratowano, pilot nie zastanawiał się nad tym, a naiwnością byłoby sądzić, że jeżeli zamach miał miejsce, to pilot o tym był poinformowany.

◆

Lotnisko w Gibraltarze leży na wąskim przesmyku, łączącym skałę z lądem stałym. W roku 1943 wciąż jeszcze powiększano je, „zasypując" morze. Ta ciasnota nie pozwalała wyraźnie odgrodzić lotniska od drogi, którą codziennie około 14.000 robotników cywilnych (o takiej liczbie mówiło się

między nami, nie wiem na jak dalece słusznych podstawach) przychodziło rano do fortu na różne roboty, a wychodziło wieczorem : w nocy nikogo, podobno, poza wojskiem i marynarką, nie było. Szli swobodnie, nie dozorowani w sposób widoczny.

Znając tedy niedociągnięcia angielskiej służby wartowniczej, nie wydaje się wcale rzeczą niemożliwą, aby ktoś z nich zaplątał się pomiędzy samoloty. Choć mimo wszystko nie mogło to być znowu tak łatwe.

Przypuśćmy jednak, że coś takiego miało miejsce. Mógłby to być wtedy albo agent niemiecki, albo bolszewicki. Czy Niemcom aż tak bardzo na śmierci Sikorskiego zależało — trudno odpowiedzieć. Przy tej koncepcji jednak nie pozostałaby tajemnicą sprawa ,,teczki".

,,Teczka" mogła obchodzić albo naszych aliantów, używających języka angielskiego, albo Rosję. Ta ostatnia miała Hissa u boku prezydenta Roosevelta. Hiss zaś mógł się posłużyć różnorodnymi sposobami. Ale w komisji Ministerstwa Lotnictwa Rosjan nie było.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Z. KIERSNOWSKI.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Odpowiadam na list p. T. Drobniaka — nie w obronie generała Żeligowskiego, bo Żeligowski jest wielkością, która mojej obrony nie potrzebuje — ale chcę wyrazić oburzenie na ignorancję i lekkomyślność sądów wypowiedzianych w tym liście. Pan Drobniak nazwał generała Żeligowskiego ,,carskim oficerem, przesiąkniętym kultem dla Wschodu".

Jedyny zarzut konkretny, który p. Drobniak wysuwa przeciw generałowi jest, iż ,,...w okresie katastrofy źle się czuł na Zachodzie i w sklerotycznym już mózgu powziął decyzję powrotu na Wschód". Otóż muszę sprostować, że nie na Wschód tylko do *Polski* wrócił Żeligowski ! Tak podyktowała mu miłość ziemi ojczystej. ,,Przynosił kości swoje do ziemi ojczystej, której już bronić nie mógł". I w tym wypadku zupełnie słuszne, że mu było obojętnie, kto chwilowo na powierzchni tej ziemi sprawuje władzę. Zrozumiałe też, że starcowi 80-letniemu, kryształowemu żołnierzowi, który całe życie kierował się tylko rycerskimi zasadami, trudno było się połapać w sytuacji wytworzonej przez totalną zdradę sojuszników, oraz czołowych przywódców polskich partii politycznych. Jedno jest pewne, że Żeligowski nie, jak Mikołajczyk, jechał zrobić karierę w rządzie komunistycznym, tylko by oddać prochy swoje Ziemi, której służył całe życie. Żeligowski źle się czuł na Zachodzie — to prawda, zwłaszcza, gdy poznał jego zakłamanie i zdradę, ale z tego nie wynika, iż miał kult dla Wschodu. Przeciwnie, gdy inni dla kariery w carskiej armii zmieniali religię, on pogardził karierą i został katolikiem i Polakiem. Spośród wielu generałów (Dowbór-Muśnicki, Haller, Michelis) jeden Żeligowski zdołał wywieźć swoje wojsko z odmętu rewolucji rosyjskiej i przyszedł do Polski z bronią w ręku, mimo iż był chyba najdalej od polskiej granicy. Jemu zresztą zawdzięczaliśmy Wilno i jemu zwycięstwo pod Radzyminem (,,Cud nad Wisłą"). Obronił Warszawę, gdy inni generałowie uważali ją za straconą.

A teraz odpowiadam p. Jeleńskiemu na jego wywiad z Weygandem.

Pan Weygand mniema, że Piłsudski zniszczył dywizje Hallera z zazdrości o rolę, jaką mogły odegrać. Czyżby to był starczy zanik pamięci, czy dyplomatyczna nieświadomość. Otóż pozwolę sobie przypomnieć, że Francja wysyłając błękitne dywizje do Polski, postawiła warunek, iż nie będą użyte przeciw Rosji. Piłsudski, jak zawsze w podobnym wypadku ,obszedł to krzywdzące nas zobowiązanie — dywizje Hallera rozwiązał, a żołnierzy

wcielił do innych jednostek. Haller jednakże nie został pozbawiony dowództwa. Dowodził innymi dywizjami i miał sposobność wykazania swego talentu.

Dalej pan Weygand sądzi, że kresowe pochodzenie Piłsudskiego zadecydowało iż szukał zbliżenia z Niemcami. Znowuż dyplomatyczna nieświadomość ! Co więc zadecydowało, że Francja szukała zbliżenia z Niemcami i osiągnęła je już w pakcie Locarneńskim w 1925 roku ? Pozwolę sobie przypomnieć, że do szukania zbliżenia z Niemcami zmusiły Piłsudskiego dwa fakty : 1) Układ w Locarno, który praktycznie przekreślał przymierze polsko-francuskie i wydawał Polskę na łup Niemcom oraz 2) odrzucenie przez Francję proponowanej wojny prewencyjnej przeciw Niemcom w 1933 roku.

Ojcem duchowym układu w Locarno był inny ,,przyjaciel Polaków'' marszałek Foch (czytaj pamiętniki Foch'a).

Ale pan Weygand o tych faktach ,,nie pamięta'' lub ,,nie wie'' i opowiada naiwne bajeczki.

Jest to dyplomatyczna nieświadomość. Dyplomatyczna nieświadomość jest ucieczką tych, co siedzą na ławie oskarżonych.

Z szacunkiem *W. K.*

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 257 paryskiego tygodnika ,,Słowo Polskie'' z dnia 8 listopada br. w dziale — ,,Wolna Trybuna'' — zamieszczony został artykuł pani Izabelli Lutosławskiej z Kanady, pt. ,,Nie ma prawa do krytyki kto tak nie panuje nad sobą''.

Zgrabnie użyty tytuł, jest — jak się okazuje — jedynie zręcznym chwytem polemicznym, mającym zapewnić autorce dostateczny kredyt i wiarę u czytelnika.

Już pierwsze zdanie artykułu świadczy jak najbardziej wymownie o rzeczywistych intencjach... — A o co tu właściwie chodzi ?!... Chodzi o to, że, co sobie — ,,w tej *Kulturze* myślą'' — ? ... skoro p. K. A. Jeleński, bo o niego autorka głównie ,,szczerbi kopię'', — może sobie pozwolić na napisanie recenzji pt. ,,My szlachta od Jafeta''.

Argumenty jakich dla obrony autora ,,Dwóch Świadków'' używa pani Lutosławska, są, aż dziw bierze, nie codzienne! Oto argument!... ''Pawlikowski jest przecież autorem ,,Wierzę w jednego Boga'', hymnu religijnego, który wszedł jako pozycja klasyczna do literatury polskiej''. Fakt ten nie ma nic do rzeczy. Pan K. A. Jeleński bynajmniej nie kwestionuje ani tego utworu, ani katolickości pana M. Pawlikowskiego. Nie ma więc potrzeby — w poważnej i rzeczowej dyskusji podkreślać faktów, które są dla sprawy bez jakiegokolwiek znaczenia. Chodzi bowiem o utwór ,,Dwa Światy'' — a nie o coś innego ! Do pisania rzeczy, które głęboko mijają się z prawdą nie upoważnia nikogo — ani dawna sława, ani nienaganna katolickość. Mamy natomiast prawo — od autora ,,Wierzę w jednego Boga'' spodziewać się czegoś więcej niż tylko pseudo-historii i terminologicznych fantazji. — Zaufać? można, owszem..., ale nie p. Pawlikowskiemu, a raczej redakcji *Kultury*.

Nie ma też autorka — dla generalnego rozprawienia się z krytykiem — potrzeby powoływania na świadka koronnego; Armii Krajowej, która istotnie w okresie niemieckiej masakry Żydów w Polsce i w Warszawie, udzielała im pomocy, na jaką ją było stać. Niepotrzebne jest również — fałszywe zresztą twierdzenie, ,,że na charakter antysemityzmu polskiego najjaśniejsze światło rzuca stosunek Polaków do Żydów podczas eksterminacji ghetta przez Niemców w Warszawie''. — To jest demagogią czystej wody ! Nie próbujmy odwracać prawd nazbyt oczywistych i, które są

wszystkim znane. Dobrze wiedzą ,,nasi Żydzi'' czyja młodzież nosiła mieczyki w klapach — i jakby tego było nie dość grube laski.

Jako człowiek, który o udzielaniu pomocy Żydom wie coś i, który tej pomocy sam im udzielał w warszawskim ghetcie i również później (przy przekraczaniu granicy węgiersko-rumuńskiej — przez młodych ,,Haluców'', oraz różnego wieku członków żydowskich organizacji sjonistycznych jak: ,,Hanuar, Betar, Aguda, Gordonia, Szoommer i Mizrachy'' (przepraszam czytelnika za możliwe użycie złej pisowni wyrazów pochodzenia hebrajskiego), po wkroczeniu do Węgier i Budapesztu wojsk niemieckich, gdy Gestapo zaczęło szaleć i, rozpoczęła się eksterminacja Żydów węgierskich. Jako będący w Polsce w latach największego — w stosunku do Żydów — niemieckiego terroru i okrucieństw, stwierdzam, że istotnie cały naród polski udzielał Żydom w ich najróżniejszych formach walki z Niemcami, swego pełnego poparcia i pomocy. Żadne jednak z ugrupowań politycznych nie ma i nie może mieć prawa do dyskontowania tego faktu na ogólny rachunek własny. Pomoc Polaków Żydom powstawała spontanicznie na emocjonalnym podkładzie walki ze wspólnym wrogiem... I tylko wyłącznie lewica polska, z socjalistami na czele, pomoc swą opierała na wyraźniejszych ideologicznych przesłankach i starej, zadawnionej przyjaźni z organizacjami żydowskimi.

Wyłączam tu rozmyślnie komunistów, gdyż ,,pomoc'' udzielana Żydom przez nich stanowi dział odrębny.

Taka jest o pomocy Żydom prawda i trudno wobec niej przyjąć wywody pani Lutosławskiej. A już nie do uwierzenia jest gdy pisze ,,o miłości'' do Żydów pewnej partii politycznej, znanej z antysemityzmu, którą przedzierżga w rolę obrońcy mas żydowskich ! Słowa o tej obronie Żydów przez odwiecznych ,,antysemitów'' nie mają po prostu najmniejszego pokrycia. Cytatami i nazwiskami można jednak dowoli żonglować. Oderwane wypadki, udzielenia przez poszczególne jednostki pomocy jednostkom lub nawet grupom, w niczym nie świadczą o stosunku do zagadnienia całej grupy politycznej, którą autorka — między wierszami — bierze gorąco w obronę. W tej sprawie, na plus, nie ma ona nic do zanotowania.

Krytyka p. K. A. Jeleńskiego jest zdrowa i taka być powinna. Mniej więcej taka sama jest opinia p. J. Bielatowicza. Słów takich — w naszym życiu publicznym — nigdy nie będzie dość ! Dobrze właśnie się dzieje, że się znajdują tacy, co mają odwagę o tym pisać, i takie pisma, które jak *Kultura* odważnie udzielają im gościny.

Proszę, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy szczerego szacunku i poważania.

Józef JENNE.

◆

Sao Paulo, 28 listopada 1953.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na marginesie ciekawego artykułu p. Macieja Feldhuzena pt. ,,Rubens miał filię w Szkocji'' zamieszczonym w nr 11/73 ,,Kultury'', chciałbym zwrócić uwagę że generał Malinowski nigdy nie był w Polsce zastępcą szefa sztabu głównego. Niestety był tylko w SEKORze (Sekretariacie Komitetu Obrony Rzeczypospolitej). Zastępcami szefa sztabu byli : płk. dypl. J. Jaklicz i płk. dypl. J. Wiatr.

Zresztą czy warto z tego powodu robić uwagi ? Niedawno ,,Wiadomości'' przechrzciły samego szefa sztabu gen. Wacława Stachiewicza obdarzając go innym imieniem. Ależ przecież to nie ważne.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Adam POLAKIEWICZ
Sao Paulo — Brazylia.

Noty biograficzne autorów

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI ur. w r. 1881 w Grodnie. Studia uniwersyteckie odbywał zrazu w Warszawie, później w Krakowie. Od r. 1906 był nauczycielem języka polskiego w szkołach rosyjskich w Wilnie. W latach okupacji niemieckiej (1915-1918) brał czynny udział w organizowaniu szkolnictwa polskiego w Wilnie.

W roku 1921 powołany na katedrę historii Polski na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie był profesorem tegoż aż do jego zamknięcia.

W r. 1941 aresztowany i wywieziony do „łagru" na Syberii, zwolniony w r. 1942 pracował w Towarzystwie Studiów Irańskich w Teheranie (1942-1945) i w Instytucie Polskim w Bejrucie (1945-1950), po jego zwinięciu od roku 1950 przebywa w Anglii.

Pierwszą pracę drukowaną ogłosił w „Wiśle" w roku 1901, następnie pracował głównie nad wiekiem XVIII. („Studia nad dziejami ekonomii królewskich na Litwie", „Dzieje Komisji Skarbowej Litewskiej", „Literatura polemiczno-sądowa XVIII wieku" i inne). Druk głównego dzieła jego życia — dwutomowej monografii o Antonim Tyzenhauzie, podskarbim nadwornym litewskim — rozpoczęty w Wilnie w roku 1939 (drukarnia „Grafika") nie został ukończony. Oryginał uratowany znajduje się obecnie (w maszynopisie) w Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

◆

DANUTA BIEŃKOWSKA (z domu Czech), ur. w 1927. Przeszła przez Rosję, Persję, Indie. Studia słowiańskie na Uniwersytecie Londyńskim. Bibliotekarka.

◆

FLORIAN ŚMIEJA, ur. 22. 8. 1925 w Kończycach na Górnym Śląsku. Studia średnie zakończył w szkolnictwie polskim na emigracji, wyższe w Cork (Irlandia), kontynuuje pracę naukową w King's College (Londyn).

Należy do grupy młodych literatów zrzeszonych w Kole Polonistów Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Staraniem Polskiego Towarzystwa Literackiego w Londynie ukaże się w najbliższym czasie debiut poetycki pt. „Czuwanie u drzwi".

◆

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ. Ur. 14 października 1925 r. w Poniewieżu (Litwa Kowieńska). Szkoła średnia — Polskie Prywatne Gimnazjum w Poniewieżu, gdzie kończy sześć klas starego typu. Na skutek zamknięcia polskich szkół w 1940 urywa się nauka. Członek Związku Harcerstwa Polskiego na Litwie (tajne) wstępuje podczas niemieckiej okupacji do Z.W.Z., zakładającego komórki organizacyjne na Litwie. W 1943 roku jako obywatel litewski zostaje powołany do niemieckiej armii. Mając do wyboru Wehrmacht (front na Wschodzie) i R.A.D. (Reichs Arbeits Dienst) wybiera R.A.D. i wyjeżdża do Niemiec, gdzie pracuje w okolicy Hamburga przy budowie lotnisk. Po inwazji Francji : Jugosławia, Austria. W 1945 po kapitulacji wstępuje do 2-go Korpusu. Przydzielony do 2-go P.AL-u. W 1946 r. przyjęty do Liceum 3 D.S.K. w Sarnano, które kończy po przyjeździe do Anglii w r. 1947. Studiuje ekonomię i socjologię w University College Dublin. W 1951 otrzymuje tytuł B. A. (hon.) i wraca do Anglii, gdzie przebywa do tej pory. Jest czynnym członkiem Z.S.A.P.O. (Związek

Studentów i Absolwentów Polaków na Obczyźnie); redaguje miesięcznik „Życie Akademickie".

Tomik wierszy „Epitafium Jesieni" ukaże się w styczniu nakładem Polskiego Towarzystwa Literackiego.

◆

ROMAN KRZYCZKOWSKI. Ur. 1923 r. w Warszawie. W roku 1949 ukończył Politechnikę Londyńską, a w roku 1952 London School of Economic. Specjalizuje się w zagadnieniach transportu miejskiego. Pracuje od czterech lat w *London Transport*.

◆

WACŁAW SZYSZKOWSKI, urodzony 17. 8. 1904 w Wielkich Łukach. Dr Praw. Studia prawnicze w Warszawie, Wiedniu i Paryżu. Przed drugą wojną światową praktykuje jako adwokat w Warszawie; zajmuje się ponadto pracą naukową, specjalizując się w prawie morskim. Bierze udział w charakterze członka polskich delegacyj w międzynarodowych kongresach morskich, jak Comité Maritime International w Paryżu lub sesji morskiej Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie. W okresie okupacji niemieckiej od początku bierze udział w wojskowej pracy konspiracyjnej (A. K.) aż do Powstania Warszawskiego włącznie. Po uwolnieniu z niewoli niemieckiej poświęca się na Zachodzie działalności polityczno-społecznej. Ogłosił m. in.: *Umowa o pracę na morskim statku handlowym*, *O niektórych zagadnieniach morskiego prawa pracy*, *O mocy obowiązującej samorządowych orzeczeń dyscyplinarnych przed sądem cywilnym*, *Le risque de guerre dans l'assurance maritime*, *Sowietyzacja prawno-polityczna Polski* (odbitka z „Kultury"); członek Rady Narodowej.

◆

Stanisław Stefan WESTFAL, ur. w r. 1911 w Lublinie. Gimnazjum w Lublinie. Magisterium z polonistyki językowej, Uniwersytetu Warszawskiego, 1934. 1934-1937 — Uniw. Kowieński (lituanistyka). 1937-1938 — ml. asystent i lektor języka litewskiego, Warszawa. Wykańcza część pracy doktorskiej o stosunku slawizmów do wyrazów rodzimych w litewszczyźnie (praca i materiały spalone w Warszawie w r. 1944). 1938-1939, attaché prasowy Poselstwa R.P. w Kownie. 1939-1941 — Prezydium Rady Ministrów w Angers i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Londynie. 1941-1945 — sprawy bałtyckie w M.S.Z. 1947-1949 — st. asystent przy katedrze slawistyki, Lund (Szwecja). Od 1949 wykładowca filologii polskiej (lecturer in Polish), Glasgow. Autor szeregu studiów z zakresu języka polskiego i litewskiego. W grudniu 1953 doktoryzuje się w Uniwersytecie Londyńskim na podstawie obszernej monografii pt. *The Genitive Sg. Masc. in Modern Literary Polish*.

◆

ZBIGNIEW RÓŻYCKI. Ur. w 1930 w Warszawie. W czasie wojny i okupacji niemieckiej przebywał w Kraju. Po powstaniu — przymusowy obóz w Niemczech. Przybył do Anglii w czerwcu 1945. Ukończył Stonyhurst College z wyróżnieniem. Do czerwca 1953 studiował historię w Oxford, w Baliol College.

Założył Oxford University Free Europe Society. Obecnie jest wiceprezesem Zrzeszenia Studentów Polskich na Uchodźstwie oraz redaktorem pisma studenckiego w języku angielskim pt. Free Europe. W 1953 r. przyjęty do College de l'Europe Libre w Strassburgu gdzie pragnął zrobić doktorat na temat przemian społeczno-psychicznych jakie zaszły w Kraju po wojnie. Nie znalazłszy tam warunków do pracy opuścił demonstracyjnie College.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

« Images de crise agraire » — voilà le titre d'un essai de Pawel HOSTOWIEC. L'auteur joint une interprétation pénétrante d'un phénomène économique à des évocations personnelles qui constituent autant de « faits uniques » à l'appui de ses thèses. L'Argentine de Peron, la grande crise américaine, le petit usurier juif d'une petite ville perdue de l'Est de la Pologne qui trouve avant la Banque d'Angleterre le moyen d'enrayer la crise dans son périmètre — voilà quelques échantillons d'une suite d'images et d'idées...

L'Ambassadeur Michal SOKOLNICKI nous donne la suite de son étude de sources allemandes contemporaines : « L'Allemagne après la Grande Défaite ».

Witold GOMBROWICZ s'oppose — dans ses « Pages d'un Journal » à l'interprétation de la littérature en tant que phénomène « historique » ou « extra-historique ».

Stanislaw KOSCIALKOWSKI consacre une longue étude au livre du Professeur Jean Fabre : « Stanislas-Auguste Poniatowski et l'Europe des Lumières » (Les Belles Lettres, Paris, 1952). C'est, selon lui, le meilleur ouvrage paru jusqu'à présent sur le dernier règne polonais.

Tymon TERLECKI apporte une étude des treize traductions polonaises du « Hamlet » de Shakespeare, parues entre 1800 et 1953. Etude à laquelle l'auteur — critique littéraire et animateur de théâtre — joint toute une richesse de considérations sur le chef-d'œuvre de Shakespeare et ses interprétations scéniques.

Jozef MACKIEWICZ, dont nous connaissions les nouvelles et les romans toujours liés à cette Pologne de l'Est qu'il aime, nous donne cette fois une nouvelle fantastique dans l'ambiance de l'émigration polonaise de Londres : un Marcel Aymé plus sérieux ?

Le grand poète polonais K.-I. Galczynski vient de mourir à Varsovie. K.-A. JELENSKI évoque sa silhouette et sa poésie. « Kultura » publie deux de ses poèmes, dont le « Testament Nocturne ».

Le livre de Samuel Sharp, « White Eagle on a Red Field » (Harvard University Press, 1953) a déjà provoqué de vives discussions dans la presse polonaise émigrée. Julius MIEROSZEWSKI et K.-A. JELENSKI l'analysent sous deux angles différents, mais complémentaires : il leur semble que la Pologne n'est pour Sharp qu'un prétexte d'esquisser une politique américaine de capitulation.

Dans sa deuxième « Lettre Yougoslave » Lukasz WINIARSKI étudie surtout les problèmes économiques. Il a trouvé dans le pays de Tito un authentique ferment de vie et une promesse de liberté.

Wojciech ZALESKI a entrepris une tâche sérieuse et délicate : il analyse le fonctionnement du Collège de l'Europe Libre à Strasbourg et propose un plan hardi de réforme d'une institution riche en promesses, mais entravée par de multiples difficultés.

Un article de S.N. commente les réactions des Polonais en Pologne à ces émissions. Il se rend compte du scepticisme des auditeurs, souvent las d'un « verbiage » excessif, mais il énumère des nombreuses questions sur lesquelles l'intérêt est toujours vif en Pologne.

Roman KRZYCZKOWSKI apporte une étude technique et parfaitement documentée sur les travaux entrepris à Varsovie en vue de la construction d'un métro. Il analyse toutes les contradictions, et arrive à la conclusion que l'argument majeur pour une telle construction ne peut être que le suivant : assurer à la capitale un refuge anti-aérien adéquat.

Dans la section de la plus récente histoire de Pologne, c'est Waclaw SZYSZKOWSKI qui nous parle cette fois du sort du barreau polonais pendant l'occupation allemande.

Jan ULATOWSKI donne une étude esthétique extrêmement pénétrante : il étudie le problème de la « forme » et du « contenu » de l'œuvre d'art plastique. Ces deux éléments sont pour lui indissociables. « La Réalité est morte — Vive la Réalité » — telle est pour lui le sens profond de toute nouvelle création artistique.

Czeslaw MILOSZ nous parle de cinq recueils de vers de jeunes poètes polonais, tous publiés en Pologne en 1952 et 1953. Il voit dans ces poètes des « boy-scouts » intellectuels et moraux de la nouvelle « réalité joyeuse » de l'univers communiste. On entend souvent dire en Pologne parmi les écrivains du régime : « Ce n'est pas pour nous qu'on écrit, c'est pour *eux* ». « Eux », ces « masses » mythiques... Mais où finit « nous », où commence « eux »? — se demande Milosz. En effet — cette « poésie » n'est guère nouvelle — elle ne fait que continuer la tradition (doit-on y voir une preuve de cet « humour historique » dont parle Mascolo à propos du communisme?) d'une poésie de clichés vides de tout contenu dont nous nourrissaient avant la guerre les premières pages des journaux. En tout cas, nous sommes bien loin des espoirs que reposaient dans une humanité nouvelle Marx, Nietzsche, ou Walt Whitman, dont Milosz traduit un appel poétique en guise d'avis fraternel à ses cadets...

Le présent numéro contient aussi des nombreuses revues de livres polonais et étrangers (entre autres du recueil poétique de Czeslaw Milosz « La Lumière du Jour », publié par « Kultura »), des comptes rendus de films et d'expositions.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 1er trimestre 1954

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiará 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-IV•	150 fr.	900 fr.	1.800 fr
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Stan. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; **St. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Ihalberg, Genève, Tél. 2-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, «Gryf Publ.»,** 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; **Polish American Book Center,** 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Ukazały się dotychczas następujące tomy :

T. I. WITOLD GOMBROWICZ **TRANS-ATLANTYK I ŚLUB**
Cena 600 frs. (12 sh., $ 2,00)

T. II. GEORGE ORWELL **ROK 1984**
Cena 500 frs. (10 sh., $ 1,75)

T. III. CZESŁAW MIŁOSZ **ZNIEWOLONY UMYSŁ**
Cena 500 frs. (10 sh., $ 1,75)

T. IV. JAMES BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., $ 2,00)

T. V. CZESŁAW MIŁOSZ **ŚWIATŁO DZIENNE Poezje**
Cena 350 frs. (7 sh., $ 1,00)

T. VI. CZESŁAW STRASZEWICZ
TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 650 frs. (13 sh., $ 2,00)

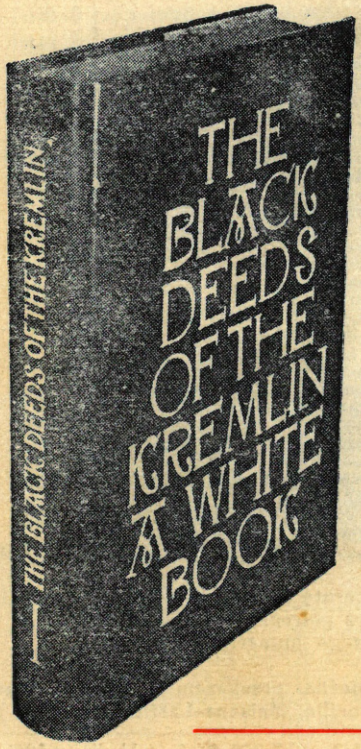

UKRAIŃSKA
BIAŁA KSIĘGA,

o przestępstwach sowieckich. Duży tom zawierający 560 stron i ponad 100 ilustracji.

BIAŁA KSIĘGA

jest wydana w języku angielskim. Cena 5 dol.

Zamawiać można :

SUZERO, 79 Ulster St. Toronto, Ont. Canada.

Cena 300 frs.

IMPRIMERIE RICHARD, Paris-18e